

MICHAEL CRICHTON

KONGO

(PRZEŁOŻYŁ: WITOLD NOWAKOWSKI)

Im więcej zdobywam doświadczenia na temat ludzkiej natury, tym bardziej przekonuję się, że człowiek jest w istocie zwierzęciem.

HENRY MORTON STANLEY, 1887

Olbrzymi samiec [goryl] wzbudził moje zainteresowanie. [...] Był uosobieniem powagi i utajonej siły; absolutnie majestatyczny w swej postaci. Nagle zapragnąłem z nim porozmawiać. [...] Żadne inne zwierzę nie wywarło na mnie tak wielkiego wrażenia. Gdy spojrzeliśmy ku sobie poprzez dolinę, zacząłem się zastanawiać, czy rozumie łączące nas pokrewieństwo.

GEORGE B. SCHALLER, 1964

WSTĘP

Utarty pogląd na temat wielkości Afryki, wynikający z błędu optycznego siatki Merkatora, uniemożliwia nam właściwą ocenę rzeczywistości. W istocie, kontynent o powierzchni przekraczającej trzydzieści milionów kilometrów kwadratowych jest niemal tak duży jak Europa i Ameryka Północna razem wzięte oraz prawie dwukrotnie większy od Ameryki Południowej. Podobny błąd popełniamy w naszej wizji afrykańskiej przyrody: Czarny Ląd wedle niej pokrywają głównie rozpalone pustynie i rozległe, pozbawione cienia, trawiaste równiny.

Jednak miano Czarnego Lądu przyłgnęło do Afryki przede wszystkim z powodu porastającej okolicy równika dżungli. Tu znajduje się dorzecze Kongo, zajmujące jedną dziesiątą powierzchni całego kontynentu; trzy i pół miliona kilometrów kwadratowych cichego, wilgotnego i mrocznego lasu, który od milionów lat zachował się w niczym nie zmienionej, pierwotnej formie.

Nawet dziś, zaledwie pół miliona ludzi zamieszkuje okolice olbrzymiej rzeki. Większość osad jest skupiona na brzegach mulistych wód powoli płynących przez dżunglę. Pokażna połać lasu oparła się naporowi cywilizacji, a tysiące kilometrów kwadratowych dziewiczego obszaru dotąd pozostaje całkowicie nie zbadanych.

Powyższe stwierdzenie dotyczy zwłaszcza północno-wschodniej części dorzecza, gdzie na skraju Rift Valley dżungla łączy się z wulkanicznym pasmem Virungi. Brak szlaków handlowych i cennych bogactw naturalnych spowodowały, że pierwszy Europejczyk zawitał w tę okolicę niewiele ponad sto lat temu.

Wyścig wiodący do „największego odkrycia lat osiemdziesiątych” odbył się w ciągu sześciu tygodni 1979 roku. Niniejsza książka relacjonuje przebieg trzynastodniowej amerykańskiej wyprawy w głąb Kongo, przeprowadzonej w czerwcu 1979 roku - sto dwa lata po zakończeniu ostatniej ekspedycji badawczej Henry'ego Mortona Stanleya. Porównanie obu wydarzeń przynosi ciekawą analizę zmian, jakie nastąpiły w metodach eksploracji nieznanymi obszarów.

Stanley znany jest przede wszystkim jako dziennikarz, który w 1871 roku odnalazł Livingstone'a, lecz swą prawdziwą wielkość udowodnił podczas późniejszych wypraw. Mówiąc słowami Mooreheada: „w Afryce pojawił się nowy typ człowieka [...] biznesmen-podróżnik [...] Stanley nie przybył do Afryki po to, by zmienić stosunki społeczne czy stworzyć nowe imperium. Prawdę powiedziawszy, niewiele interesował się antropologią, botaniką i geologią. Przede wszystkim podróżował dla własnej

sławy”.

Ekspedycja wyruszająca z Zanzibaru w 1874 roku była finansowana przez koncern prasowy. Gdy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dni później, po morderczej wędrówce, utraciwszy dwie trzecie członków, dotarła na skraj dżungli u brzegów Oceanu Atlantyckiego, Stanley miał materiał na reportaż stulecia. Był pierwszym człowiekiem, który pokonał całą długość rzeki Kongo.

Dwa lata później całkiem inne powody przywiodły go do Afryki. Podróżował pod przybranym nazwiskiem i często zmieniał trasę, aby umknąć oczom potencjalnych szpiegów; ci ze znajomych, którzy wiedzieli o jego poczynaniach, mogli jedynie przypuszczać, iż snuje „wielki plan handlowy”.

W rzeczywistości, Stanley otrzymał fundusze od króla Belgii, Leopolda II, który miał zamiar osobiście władać częścią Afryki. „Nie chodzi nam o belgijską kolonię”, pisał władca do swego protegowanego, „lecz o stworzenie całkiem nowego państwa, tak dużego, jak to tylko możliwe. [...] Belgia nie potrzebuje kolonii ani nowego terytorium. Król działa jako osoba prywatna, a pan Stanley dokonuje w jego imieniu zakupu lub przejęcia określonego obszaru...”

Ten niewiarygodny plan został w pełni zrealizowany. W 1885 roku jeden z Amerykanów stwierdził, że Leopold „jest właścicielem Kongo tak samo, jak Rockefeller jest właścicielem Standard Oil”. Porównanie było trafne w wielu aspektach, ponieważ dalszą eksploracją Afryki zajmowali się głównie ludzie biznesu.

Wspomniana sytuacja trwa do dzisiaj. Stanley mógłby w pełni zaakceptować sposób działania amerykańskiej ekspedycji z 1979 roku - szybko, z zachowaniem ścisłej tajemnicy - lecz bez wątpienia byłby zdumiony postępem techniki. W 1875 roku stracił jedenaście miesięcy, aby dotrzeć w okolice Virungi; Amerykanie przybyli tam w tydzień. Zamiast czterystuosobowej armii tragarzy, w wyprawie uczestniczyło zaledwie jedenaście osób i - człękokszałtna małpa. Kraj, po którym poruszali się Amerykanie, był w pełni niepodległym państwem i nazywał się Zair, tę samą nazwę nadano rzece. Prawdę mówiąc, w 1979 roku termin „Kongo” odnosił się wyłącznie do zlewiska ogromnej rzeki, choć nadal był używany przez geologów, ze względu na tradycję i romantyczne konotacje.

Pomimo wspomnianych różnic, obie ekspedycje łączy wiele cech wspólnych. Podobnie jak Stanley, Amerykanie utracili dwie trzecie uczestników wyprawy i desperackim wysiłkiem dotarli do skraju tropikalnego lasu. Podobnie jak Stanley, powrócili przynosząc nieprawdopodobne opowieści o ludożercach, Pigmejach,

zapomnianych cywilizacjach i ogromnych skarbach ukrytych w głębi dżungli.

Chciałbym podziękować panu R.B. Travisowi z instytutu Earth Resources Technology Services w Houston za udostępnienie materiałów zarejestrowanych na taśmie wideo; pani doktor Karen Ross z ERTS-u za wiele cennych uwag dotyczących przebiegu wyprawy; doktorowi Peterowi Elliotowi z Wydziału Zoologii Uniwersytetu Kalifornijskiego oraz wszystkim osobom (a w szczególności Amy) uczestniczącym w eksperymencie określanym mianem „Projekt Amy”; doktorowi Williamowi Wensowi z zairskiej spółki Kasai Mining & Manufacturing; doktorowi Smithowi Jeffersonowi z Wydziału Patologii Uniwersytetu w Nairobi oraz zamieszkałemu w Tangierze kapitanowi Charlesowi Munro.

Dalsze podziękowania kieruję do Marka Warwicka z Nairobi, który pierwszy zainteresował się moim pomysłem; Alana Binksa, także z Nairobi, który zaproponował mi podróż do Zairu w okolice Virungi, oraz Joyce Smali za pomoc w przygotowaniach do wyjazdu. Szczególne wyrazy wdzięczności chciałbym przekazać mej asystentce, Judith Lovejoy, która wspierała mnie w wielu trudnych chwilach i w wydatny sposób przyczyniła się do powstania niniejszej książki.

M.C.

PROLOG:

CMENTARZYSKO

Nad dżunglą wstawał świt.

Blade słońce przegnało chłód poranka i rozpędziło mgłę, spowijającą uśpionego olbrzyma. Gigantyczne pnie drzew, o średnicy przekraczającej dwanaście metrów, dźwigały pokryte gęstymi liśćmi korony na wysokość sześćdziesięciu metrów, zasłaniając niebo i nieustannie zraszając ziemię kroplami wody. Zwoje szarego mchu i lian zwieszały się z gałęzi pokrytych tu i ówdzie kwiatami orchidei. Niżej rosły ogromne, połyskujące wilgocią paprocie, które sięgały do piersi dorosłemu człowiekowi i zatrzymywały resztki mgły tuż przy ziemi. W kilku miejscach wyraźnie odcinały się kolorowe plamy: rozkwiatały czerwona acanthea, nasączona śmiertcioną trucizną i błękitny powój, otwierający płatki jedynie wczesnym rankiem. Jednak ten szarozielony, bujny, rozbuchany świat był ponury, obcy i niegościnnie dla człowieka.

Jan Kruger odłożył strzelbę i rozprostował zeszywniałe mięśnie. W pobliżu równika świt wstawał dość szybko. Pomimo mgły było już całkiem jasno. Mężczyzna zerknął w stronę obozu, który stanowiło osiem niewielkich pomarańczowych namiotów i jeden większy, służący za jadalnię. Ekwipunek upakowano w drewnianych skrzyniach i przykryto plandeką, dla lepszego zabezpieczenia przed wilgocią. Opodal siedział na kamieniu drugi z wartowników, Misulu. Sennie pomachał ręką. W pobliżu stał sprzęt telekomunikacyjny: srebrzysty talerz anteny i czarne pudełko nadajnika połączone plataniną kabli z niewielką kamerą umieszczoną na składanym statywie. Amerykanie wykorzystywali łącza satelitarne, aby przekazywać codzienne raporty do Houston, gdzie mieściła się główna kwatera ekspedycji.

Kruger był *bwana mukubwa* wynajętym, aby poprowadzić wyprawę w głąb Kongo. Miał już spore doświadczenie; pracował jako przewodnik nafciarzy, drwali, poszukiwaczy minerałów, kartografów i geologów. Wiele spółek i przedsiębiorstw organizujących podobne przedsięwzięcia poszukiwało ludzi znających lokalny dialekt i zwyczaje, niezbędne dla pozyskania tragarzy i wytyczenia marszruty. Kruger spełniał wszelkie wymagania: znał kiswahili i język Bantu oraz potrafił się porozumieć w narzeczu Bagindi. W głąb Kongo wyruszał już wiele razy, choć nigdy dotąd nie dotarł do Virungi.

Początkowo nie miał pojęcia, co sprowadziło amerykańskich geologów w

północno-wschodnią część dżungli. Zair był wprawdzie najbogatszym w złoża krajem czarnej Afryki - zajmował pierwsze miejsce w światowym wydobyciu kobaltu i diamentów używanych w przemyśle oraz siódme miejsce pod względem wydobycia miedzi. Dodatkowo posiadał spore zapasy złota, cyny, cynku, wolframu i uranu. Lecz większość bogactw naturalnych znajdowano w okęgach Shaba i Kasai. Na pewno nie w okolicach Virungi.

Odpowiedź poznał dość szybko, choć nie zamierzał z nikim dzielić się swymi spostrzeżeniami. Kiedy wyprawa minęła jezioro Kiwu i zagłębiła się w dżunglę, naukowcy poczeli badać łóżyska rzek i strumieni. W takich miejscach mogli poszukiwać jedynie złota lub diamentów. Wkrótce okazało się, że chodzi o diamenty.

Nie każde znalezisko odpowiadało wymaganiom geologów. Amerykanie poszukiwali diamentów typu IIB i każdą próbkę poddawali natychmiastowej analizie. Wynik zabiegów niewiele mówił Krugerowi: rozmawiano o przebicjach, jonach i wielkościach rezystancji. Zrozumiał jedynie, że liczyły się elektryczne właściwości minerału. Żaden z diamentów nie miał wartości jubilerskiej. Kruger obejrzał kilka próbek, lecz wszystkie były błękitne od zanieczyszczeń.

Poszukiwania trwały dziesięć dni. Posługiwano się tradycyjną metodą: ekspedycja z wolna sunęła w górę strumienia z nadzieją na odnalezienie właściwego złoża. Grunt wznosił się coraz wyżej, co oznaczało, że wyprawa dotarła do zachodniego stoku pasma wulkanicznego. Badania przebiegały rutynowo, aż do dnia, gdy grupa tragarzy odmówiła dalszego marszu.

Twierdzili, że ten obszar Virungi nosi nazwę *kanyamagufa*, co znaczy „cmentarzysko” i że każdy człowiek, na tyle głupi, aby iść dalej, zginie ze zmiażdżoną czaszką i połamanymi kośćmi. Dotykali palcami policzków i powtarzali w kółko, że każda czaszka zostanie rozbita.

Tragarze - ludzie z plemienia Arawani, należącego do grupy językowej Bantu - pochodzili z miasta o nazwie Kisangani. Jak większość tubylców żyjących z dala od dżungli, byli pełni przesądów i uprzedzeń. Kruger wezwał przywódcę grupy.

- Jaki szczep żyje w tej okolicy? - spytał wskazując gęstwinę.

- Nie ma szczep - odparł Murzyn.

- Nie ma nikogo? Nawet Bambuti? - zdziwił się Kruger. Sądził, że weszli na teren łowiecki Pigmejów.

- Ludzie tu nie przychodzić - padła odpowiedź. - To jest *kanyamagufa*.

- Więc kto rozbija czaszki?

- *Dawa* - odparł złowieszczo tragarz, używając słowa określającego w języku Bantu „magiczną potęgę”. - Tu silna *dawa*. Ludzie zostać.

Kruger westchnął. Jak większość białych mieszkańców Afryki, miał powyżej uszu wysłuchiwanie opowieści o *dawa*. *Dawa* było wszędzie: wśród skał i zarośli, wśród burzy i w duszach wrogów. Wiara w magię przetrwała na obszarze całej Afryki, lecz szczególnie silnie była zakorzeniona w Kongo.

Reszta dnia minęła na uporczywych negocjacjach. Kruger podwoił stawkę i obiecał tragarzom, że po powrocie do Kisangani każdy z nich otrzyma w nagrodę sztucer. W końcu zgodzili się iść dalej. Przewodnik nie miał wątpliwości co do motywów ich działania. Wiedział z doświadczenia, że z chwilą gdy ekspedycja zagłębiała się w dżunglę z dala od utartych szlaków, tragarze często wykorzystywali lokalny zabobon, aby wymusić lepsze wynagrodzenie. Był przygotowany na taką ewentualność i z chwilą, gdy dobił targu, przestał myśleć o całej sprawie.

Nie przejął się nawet wówczas, kiedy wędrując dalej minęli kilka polanek, po których walały się odłamki kości. Tragarze rozglądali się z przerażeniem. Po uważnych oględzinach Kruger stwierdził, że są to szczątki gerezy; pięknej nadrzewnej małpy pokrytej długim czarno-białym futrem. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak wiele kości leżało w jednym miejscu, ani dlaczego były pokruszone. Długoletni pobyt w Afryce utwierdził go w przekonaniu, że nie warto szukać odpowiedzi na każde pytanie.

Z równą obojętnością przyjął widok olbrzymich głazów uformowanych w kształcie kamiennego muru. Dawniej już kilkakrotnie oglądał podobne ruiny. W Zimbabwie, w Broken Hill i w Maniliwi znajdowały się pozostałości miast i świątyń, których nie badał dotąd żaden dwudziestowieczny uczonec.

Namioty rozłożono w pobliżu muru.

Murzyni dygotali ze strachu, przekonani, że w ciągu nocy obóz zostanie zaatakowany przez nieznaną siłę. Ich obawy udzieliły się Amerykanom. Dla świętego spokoju, Kruger wystawił dwuosobową wartę: siebie i najbardziej zaufanego tragarza, Misulu. W głębi duszy uważał to za całkowitą bzdurę, lecz stwierdził, że okoliczności wymagają pewnych ustępstw.

Jak przewidywał, noc minęła spokojnie. Koło północy usłyszał szelest krzewów i głęboki poświstujący oddech, lecz uznał to za sapanie lamparta. Duszne powietrze dżungli często sprawiało kłopot wielkim kotom. Poza tym wokół panowała cisza. Poszarzało; noc dobiegała końca.

Rozległ się cichy pisk. Misulu podniósł głowę i spojrzał pytająco na Krugera. Zamigotała czerwona lampka nadajnika. Kruger wstał i podszedł w kierunku miejsca, gdzie zgromadzono sprzęt telekomunikacyjny. Wiedział, jak obsługiwać poszczególne przyrządy. Amerykanie kładli duży nacisk, aby się tego nauczył na wypadek „szczególnych okoliczności”. Przykucnął przed czarną skrzynką opatrzoną prostokątnym zielonym ekranem.

Wcisnął kilka klawiszy. Na ekranie pojawiły się litery TH HX, co oznaczało nawiązanie łączności z Houston. Podał sygnał odpowiedzi i odczytał hasło CAMLOK. Houston domagało się transmisji wizyjnej. Kruger spojrzał w stronę kamery. Na obudowie migotała czerwona lampka. Nacisnął kolejny klawisz; na ekranie pojawił się wyraz SATLOK, potwierdzający uzyskanie łączności satelitarnych.

Sygnał z satelity docierał z sześciominutowym opóźnieniem, Kruger miał więc dość czasu, aby przemyśleć, co dalej robić. Postanowił obudzić kierownika wyprawy, Driscolla. Amerykanie zawsze poświęcali kilka minut na odpowiednie przygotowania. Kruger z rozbawieniem obserwował, jak każdy z nich pojawiał się przed kamerą w świeżej koszuli i z gładko zaczesanymi włosami.

Wśród liści rozległy się głośnie piski i skrzeki. Kilka gerez gwałtownie potrząsało gałęziami. Mężczyzna z zacięciem spojrzał w górę. W stadzie małp panowało spore zamieszanie, lecz podobne przypadki zdarzały się niemal każdego ranka.

Poczuł lekkie uderzenie w pierś. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś owad, lecz kiedy zerknął w dół, zobaczył na swojej koszuli ciemną plamkę i czerwoną kulkę leżącą na rozmiękłym mchu. Cholerne małpy. Zachciało im się rzucać jagodami. Podniósł owoc. W tej samej chwili spostrzegł, że trzyma w dłoni zgniecioną i zakrwawioną gałąkę oczną z białą nitką nerwu dyndającą w powietrzu.

Chwycił strzelbę i rzucił szybkie spojrzenie w stronę głazu, na którym siedział Misulu. Murzyn zniknął.

Kruger powoli ruszył w kierunku namiotów. Stado małp umilkło. Mężczyzna słyszał plusk błota pod swoimi butami. Ostrożnie minął uspioły obóz. Nagle do jego uszu dobiegło głębokie sapanie. Nie miał pewności, czy to lampart, gdyż opary porannej mgły tłumiły i zniekształcały wszelkie dźwięki.

Po chwili zobaczył tragarza. Misulu leżał na plecach otoczony krwawą aureolą. Miał zmiażdżoną czaszkę i połamane kości policzkowe. W zmiętoszonej twarzy czerniały szeroko otwarte usta, jedno oko wpatrywało się w przestrzeń, drugie zostało

wyrwane z oczodołu siłą uderzenia.

Kruger pochylił się, aby obejrzeć zwłoki. Serce waliło mu jak młotem. Zastanawiał się, co mogło spowodować podobne obrażenia. Ponownie usłyszał sapanie i tym razem był już pewien, że to nie lampart. Rozległ się skrzek gerezy. Kruger z głośnym okrzykiem zerwał się na równe nogi.

DZIEŃ 1 PIERWSZY:
HOUSTON
13 czerwca 1 979

1. ERTS Houston

Szesnaście tysięcy kilometrów dalej, w chłodnym, pozbawionym okien pomieszczeniu centrali komputerowej przedsiębiorstwa Earth Resources Technology Services z Houston, Karen Ross siedziała nad kubkiem kawy, wpatrzona w ekran terminalu. Przeglądała ostatni raport przekazany z Afryki za pośrednictwem satelity typu landsat. Nadzorowała operację określaną kryptonimem „Projekt Kongo”. Przez chwilę manipulowała przełącznikami; cyfrowy obraz na monitorze jarzył się czerwienią, błękitem i zielenią. Kobieta z niecierpliwością zerknęła na zegarek. Czekwała na połączenie z Afryką.

W Houston dochodziła dwudziesta druga piętnaście, lecz w centrali komputerowej ERTS-u w dzień i w nocy wszystko wyglądało tak samo. Blask padający z umieszczonych pod sufitem lamp fluorescencyjnych oświetlał długie rzędy terminali, przy których czuwalili ciepło ubrani pracownicy odpowiedzialni za łączność z grupami badawczymi, rozrzuconymi po różnych zakątkach świata. Aby zapewnić bezawaryjną pracę komputerów, utrzymywano stałą temperaturę powietrza - szesnaście stopni - kable elektryczne osłonięte ekranami, a światło sączyło się przez specjalne filtry korekcyjne, zapobiegające interferencji. Stworzono środowisko przyjazne dla maszyn; ludzkie potrzeby pozostawały na dalszym planie.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego centralę zaprojektowano właśnie w ten sposób. ERTS wymagało od swych pracowników, aby w pełni identyfikowali się z uczestnikami każdej wyprawy i dopasowali rozkład zajęć do ustalonego harmonogramu, w którym nie było miejsca na sobotnie rozgrywki baseballu i tym podobne atrakcje.

Osiem zawieszonych na ścianie chronometrów odmierzało lokalny czas w miejscach działania wszystkich ekspedycji, lecz żaden z nich nie wskazywał, która godzina jest w Houston.

Na zegarze oznaczonym: „Kongo” była szósta piętnaście, gdy z głośnika interkomu dobiegły słowa:

- Doktor Karen Ross proszona do CCR.

Kobieta pośpiesznie wystukała hasło blokujące dostęp do komputera i wstała. Każdy terminal miał zabezpieczenie, które było częścią ogólnego systemu chroniącego olbrzymią bazę danych. Działalność ERTS-u opierała się przede wszystkim na gromadzeniu informacji, a jak powtarzał szef firmy, R.B. Travis: „Kradzież jest

najłatwiejszym sposobem uzyskania potrzebnych wiadomości”.

Karen długimi krokami przemierzyła pomieszczenie. Wysoka - miała niemal sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu - i ładna, choć pozbawiona kobiecej gracji. Niedawno skończyła dwudziesty czwarty rok życia, była więc młodsza od większości współpracujących z nią informatyków. Okazała się cudownym dzieckiem, geniuszem matematyki - wielu ludzi to szokowało.

W wieku dwóch lat, towarzysząc matce podczas zakupów w supermarkecie, obliczyła w pamięci, że mięso w trzystugramowej puszcze za dwadzieścia dziewięć centów jest tańsze niż w ośmiusetgramowej za siedemdziesiąt dziewięć centów. Jako trzylatka zaskoczyła ojca odkryciem, że w odróżnieniu od innych cyfr, zero ma wiele znaczeń w zależności od zajmowanego miejsca. Gdy ukończyła osiem lat, biegle rozwiązywała zadania z algebry i geometrii oraz samodzielnie całkowała. W trzynastym roku życia trafiła pod opiekę wykładowców Instytutu Matematycznego i dokonała kilku błyskotliwych odkryć. Ukoronowaniem jej dotychczasowej kariery była praca zatytułowana „Topologiczne prognozowanie w n-przestrzeni”, która zwróciła uwagę szefów ERTS-u na utalentowaną dziewczynę. Karen Ross stała się najmłodszą kierowniczką badań w dziejach przedsiębiorstwa.

Nie pozyskała sympatii całego zespołu. Lata spędzone w izolacji i znaczna różnica wieku powodowały, że zachowywała dystans i była nieco wyniosła. Jeden ze współpracowników określił ją jako „logiczną do granicy bólu”, a chłodne obejście zyskało jej przydomek „Lodowiec Rossa”, tak nazywa się jedna z formacji arktycznych.

Młody wiek nadal stanowił dla dziewczyny trudną do pokonania przeszkodę - to właśnie z tego powodu Travis odrzucił jej kandydaturę na stanowisko dowódcy wyprawy wyruszającej w głąb Kongo, choć Karen zgromadziła wszelkie potrzebne informacje i poświęciła sporo czasu, by się odpowiednio przygotować.

- Przykro mi - powiedział. - Uważam, że to zlecenie przerasta twoje możliwości.

Karen przypomniała mu o ekspedycjach do Pahangu i Zambii, które poprowadziła w ubiegłym roku i które zakończyły się pełnym sukcesem.

- Posłuchaj... - odezwał się w końcu. - Teren badań leży szesnaście tysięcy kilometrów stąd, a stopień trudności określono na „czwórkę z plusem”. Potrzebujemy kogoś bardziej doświadczonego niż operator komputera.

Karen ze złością zagryzła usta, choć zdawała sobie sprawę, że Travis mówi prawdę. Była jedynie maszynistką o zręcznych palcach, przyuczoną do zabaw z

komputerem. Właśnie dlatego szukała okazji sprawdzenia swych możliwości w terenie. Następnym razem Travisowi nie pójdzie tak łatwo...

Zatopiona w myślach wcisnęła guzik windy oznaczonej CX. Kątem oka spostrzegła, że stojący opodal programista jest zaskoczony. Status pracownika ERTS-u nie wynikał z wysokości pensji, stanowiska służbowego, wielkości biura czy innych wartości typowych dla większości przedsiębiorstw. Liczył się wyłącznie zakres dostępu do informacji - a Karen Ross była jedną z ośmiu osób, które miały stałe prawo wejścia do pomieszczeń na trzecim piętrze.

Wsiadła do kabiny i rzuciła szybkie spojrzenie w stronę obiektywów umieszczonych nad drzwiami. We wszystkich windach znajdowały się urządzenia elektroniczne. Każda z nich jeździła tylko na jedno, wyznaczone piętro, co zapewniało pełną kontrolę nad personelem przebywającym w budynku. Karen głośno podała swoje imię i nazwisko, po czym obróciła się wkoło. Czujnik nie zarejestrował żadnych nieprawidłowości. Rozległ się cichy pisk i drzwi kabiny otworzyły się bezszelestnie.

Kobieta weszła do niewielkiego pokoju z zawieszonym u sufitu ekranem monitora i stanęła przed nie oznaczonymi żadnym napisem drzwiami wiodącymi do Centrali Łączności. Powtórzyła „Karen Ross”, po czym wsunęła w szczelinę elektroniczną kartę identyfikacyjną. Opuszkami palców przytrzymywała metaliczne brzegi karty, aby komputer mógł odczytać wartość ładunku elektrostatycznego nagromadzonego na skórze. (Metodę tę wdrożono przed trzema miesiącami, gdy Travis dowiedział się, że przeprowadzane przez specjalistów wojskowych eksperymenty chirurgiczne na strunach głosowych umożliwiają precyzyjną zmianę charakterystyki tonacji, co wystarczy, aby oszukać system rozpoznawania dźwięku.) Po krótkiej chwili drzwi się otworzyły. Karen weszła do środka.

Oświetlona czerwonym blaskiem Centrala Łączności przypominała miękkie, ciepłe łono. Wrażenie potęgowała wywołująca klaustrofobię ciasnota, panująca w pomieszczeniu wypełnionym różnym sprzętem elektronicznym. Od podłogi po sufit migotały dziesiątki monitorów. Technicy z obsługi rozmawiali przyciszonymi głosami i manipulowali niezliczonymi pokrętłami. CCR była rdzeniem całego przedsiębiorstwa: z najdalszych zakątków świata docierały tu sprawozdania uczestników każdej ekspedycji. Wszystkie, nawet najmniej znaczące relacje oraz wypowiedzi osób przebywających w Centrali skrupulatnie rejestrowano, więc znana jest treść rozmowy, jaką przeprowadzono w nocy, trzynastego czerwca 1979 roku.

- Przekaznik rozpocznie pracę za minutę - odezwał się jeden z techników.

Spojrzał na Karen. - Kawy?

- Nie - odparła kobieta.

- Chciałaś być razem z nimi?

- Zasłużyłam na to - mruknęła. Patrzyła w ekran, na którym denerwująco migotała siatka o zmiennych kształtach. Technik przyłączył się do działań umożliwiających odebranie sygnału emitowanego przez satelitę zawieszoną pięćset kilometrów nad powierzchnią ziemi.

- Sygnał wywołania.

- Sygnał wywołania. Hasło.

- Hasło.

- Uruchomić odbiornik.

- Uruchomić odbiornik. Jedziemy.

Karen nie zwracała uwagi na ich krzątanie. Obserwowała, jak ekran powoli wypełniają szare plamy zakłóceń.

- Kto rozpoczął nadawanie? - spytała.

- My - odparł technik. - W rozkładzie przewidziano, że mamy nawiązać łączność o świcie czasu lokalnego. Przejęliśmy inicjatywę, ponieważ nie doczekaliśmy się na żaden sygnał z ich strony.

- Dlaczego? - zdziwiła się Karen. - Czy coś się stało?

- Wątpię. Odpowiedzieli po piętnastu sekundach z zachowaniem pełnej procedury. Ooo... mamy obraz.

Transmisja rozpoczęła się o szóstej dwadzieścia dwie czasu zairs-kiego. Zakłócenia zniknęły, na ekranach pojawił się widok obozu rejestrowany przez kamerę umieszczoną na statywie. Dwa namioty, na wpół wygasłe ognisko i wąskie smugi porannych oparów. Nie było widać ludzi ani jakichkolwiek oznak życia.

- Jeszcze śpią - roześmiał się jeden z techników. - Przydałaby się im twoja obecność. - Karen miała opinię despotki.

- Włącz zdalne sterowanie - powiedziała.

Technik uruchomił odpowiednie urządzenie. Umieszczona w dżungli kamera zaczęła reagować na sygnały wysyłane z Houston.

- Panorama - odezwała się Karen.

Mężczyzna przy konsolce położył dłoń na joysticku. Obraz przesunął się w lewo, ukazując pozostałą część obozowiska: zgniecione i porozrywane plandeki, rozrzucony prowiant oraz wdeptany w błoto ekwipunek. Jeden z namiotów płonął; w

niebo wzbijał się czarny kłęb dymu. Na ziemi spoczywały nieruchome ciała.

- Jezu... -jęknął któryś z techników.

- Obrót o sto osiemdziesiąt stopni - warknęła. - Pełny obraz. Na ekranie pojawił się widok dżungli. Karen nie zauważyła żadnego ruchu.

- Powrót. Obiektyw w dół.

W polu widzenia kamery pojawił się zarys srebrzystego talerza anteny oraz czarne pudło nadajnika. Obok leżał na plecach jeden z geologów.

- Boże, to Roger...

- Zbliżenie. Stop - chłodnym, bezbarwnym głosem powiedziała Karen.

Twarz zabitego zastygła w jakimś groteskowym grymasie wypełniła teraz cały ekran. Zgnieciona czaszka, krew wypływająca z oczu i nosa, szeroko rozwarte usta...

- Kto to mógł zrobić?

W tej samej chwili jakiś cień padł na głowę leżącego. Kobieta rzuciła się w stronę konsoly, chwyciła joystick i wdusiła przycisk zoom-u. Obraz poszerzył się na tyle, aby można było dostrzec zarys cienia przypominającego ludzką sylwetkę.

- Ktoś tam jest! Ktoś żyje!

- Kuleje. Pewnie jest ranny.

Karen nie spuszczała wzroku z ekranu. Według niej, to nie był cień kulejącego człowieka. Coś nie pasowało, choć nie potrafiła dokładnie określić, co...

- Za chwilę pojawi się przed obiektywem - powiedziała. Byłby to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności. - Skąd biorą się zakłócenia dźwięku?

Z głośników dobiegał dziwny szum, przypominający syk lub wzdychanie.

- To nie zakłócenia, to część przekazu.

- Wzmocnienie - poleciała Karen. Technik wcisnął kilka klawiszy, lecz dźwięk pozostawał cichy i niewyraźny. Cień poruszył się i postać stanęła na wprost kamery.

- Ostrość! - zawołała Karen, lecz było już za późno. Twarz intruza pojawiła się tuż przed obiektywem w kształcie ciemnej rozmazanej plamy. Zniknęła, zanim wprowadzono korektę.

- Tubylec?

- To nie zamieszany rejon Kongo - odparła Karen.

- Coś jednak tam było.

- Zrób panoramę - zaproponowała kobieta. - Może powtórnie złapiemy go w polu widzenia.

Kamera zaczęła się obracać. Wyobraźnia podsunęła Karen widok ruchomego,

cicho warczącego mechanizmu, ustawionego na trójnożnym statywie w głębi dżungli... Nagle obraz zamigotał i zmienił położenie.

- Przewrócił kamerę.

- Cholera!

Ekran pokryły drgające linie zakłóceń.

- Wzmocnić sygnał!

Zobaczyli ogromną twarz i ciemną rękę druzgoczącą antenę. Ekran zgasł. Łączność z Kongo została przerwana.

2. Sygnatura zakłócenia

W czerwcu 1979 roku wysłannicy ERTS-u brali udział w badaniach złóż uranu w Boliwii i miedzi w Pakistanie, nadzorowali postęp prac rolniczych w Kaszmirze i pozyskiwanie drewna budulcowego na Malajach, obserwowali ruchy lodowców na Islandii oraz poszukiwali diamentów w Kongo. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; zwykle organizowano sześć do ośmiu wypraw jednocześnie.

Ponieważ każda z ekip działała w niebezpiecznym lub niestabilnym politycznie obszarze, wszyscy pilnie wypatrywali „sygnatury zakłócenia” (w slangu technicznym „sygnaturą” określano charakterystyczny obraz obiektu lub formacji geologicznej utrwalony na zdjęciu lub taśmie wideo). Większość wypadków była natury politycznej. W 1977 roku ewakuowano drogą powietrzną wszystkich członków ekspedycji przebywającej na Borneo, ponieważ wyspa stanęła w ogniu komunistycznej rebelii. W 1978 podobne rozwiązanie zastosowano podczas wojskowego puczu w Nigerii. Czasem zdarzała się „sygnatura” geologiczna; w 1976 roku wyprawa do Gwatemali została przerwana po silnym trzęsieniu ziemi.

Zdaniem R.B. Trávisa, którego w późnych godzinach wieczornych trzynastego czerwca 1979 roku obudził nagły telefon, film z Kongo przedstawiał „najgorszą z możliwych sytuacji”, lecz pochodzenie „sygnatury” pozostawało nieznane. Wiadomo było, że obóz został zniszczony w ciągu sześciu minut, ponieważ tyle czasu upłynęło pomiędzy nadaniem sygnału wywoławczego a uzyskaniem potwierdzenia odbioru. Przerażająca szybkość ataku. Pierwsze polecenie Trávisa brzmiało: „Sprawdźcie co się tam stało, do cholery!”

Szef ERTS-u był nieco ociężałym, czterdziestoosmioletnim mężczyzną, przyzwyczajonym do krytycznych sytuacji. Przed laty pracował jako inżynier konstrukcji satelitarnych w zakładach RCA, a później u Rockwella. Po przekroczeniu trzydziestki objął stanowisko kierownicze i stał się „Tancerzem deszczu”, tak określali tę funkcję ludzie związani z astronautyką. Kontrakt na produkcję satelity podpisywano zazwyczaj osiemnaście miesięcy przed zaplanowanym startem rakiety nośnej. Potem pozostawała jedynie nadzieja, że obiekt zawierający pół miliona rozmaitych części zostanie ukończony na czas. W przypadku opóźnienia, można było wykonać jedynie „taniec deszczu” i czekać z nadzieją, że zła pogoda uniemożliwi wystrzelenie rakiety w wyznaczonym terminie.

Po dziesięciu latach praktyki, Travis nauczył się podchodzić z humorem do

wszelkich kłopotów; jego filozofię życiową określał spory napis wiszący nad biurkiem: N.C.R.Z.L.P. - co znaczyło: „*Niektóre cholerne rzeczy zawsze lubią się paprać*”.

Trzynastego czerwca Travisowi nie było do śmiechu. Stracił całą ekspedycję - osiem osób, nie licząc grupy tragarzy. Osiem osób! Największa tragedia w dziejach firmy; bilans ofiar przekraczał liczbę zabitych w Nigerii w 1978 roku. Na myśl o czekających go telefonach, Travis poczuł się zmęczony i rozbity psychicznie. Najgorsze były proste z pozoru pytania. „Czy ten a ten zdąży wrócić przed egzaminem maturalnym córki?” „Czy będzie na finałach rozgrywek Małej Ligi?” Z każdej wypowiedzi przebijała nadzieja, tęsknota, oczekiwanie... A później następowały ostrożne, zdawkowe odpowiedzi Trávisa: nie jestem pewien, rozumiem, zrobię co w mojej mocy...

Czuł się chory, gdy musiał oszukiwać, lecz przez najbliższe dwa tygodnie - może miesiąc - nie mógł ujawnić prawdy. Potem sam zaczął dzwonić, składać wizyty, uczestniczyć w symbolicznych ceremoniach pogrzebowych bez trumny, odpowiadać na kolejne pytania członków rodziny, uważnie obserwujących każdą zmianę wyrazu jego twarzy.

Co miał im przekazać?

Pocieszał się myślą, że być może za kilka tygodni będzie wiedział o wiele więcej. Dziś mógł jedynie stwierdzić, że w całym ERTS-ie nikt nie ma pojęcia, co zaszło. Zmęczonym ruchem otarł czoło.

Były jeszcze inne problemy. Właśnie pojawił się kierownik działu kadr, Morris.
- Co z ubezpieczeniami? - spytał.

ERTS wystawiało polisy wszystkim członkom ekspedycji, włącznie z tragarzami. Afrykańczykom gwarantowano na ogół wypłatę w wysokości piętnastu tysięcy dolarów, co wyglądało na niewielką sumę, póki ktoś nie zauważył, że roczny zarobek w tamtych stronach wynosi sto osiemdziesiąt dolarów na osobę. Travis jednak żądał, aby każdy z tragarzy był traktowany jako pełnoprawny uczestnik wyprawy, nawet jeśli osierocona rodzina miałaby otrzymać niewielką fortunę. Nawet jeśli ERTS miałoby zapłacić sporą sumę za wystawienie polisy.

- Bez zmian - odpowiedział na pytanie Morrisa.

- Każda polisa kosztuje nas dziennie...

- Bez zmian - powtórzył Travis.

- Jak długo?

- Miesiąc.

- Jeszcze miesiąc?!

- Tak.

- Przecież ubezpieczeni nie żyją. - Morris nie potrafił się pogodzić ze stratą pieniędzy. Jego ścisły umysł wyrażał gwałtowny sprzeciw.

- Słyszałeś, co powiedziałem - odezwał się Travis. - I przekaż jakąś sumę rodzinom tragarzy. Na razie trzeba zachować milczenie o całej sprawie.

- Boże... Ile mają dostać?

- Pięćset dolarów każda.

- Jak to zaksięgujemy?

- Jako koszt postępowania prawnego - odparł Travis. - Za granicą.

- A co z zabitymi Amerykanami?

- Mają Master Charge. Przestań się martwić.

Do biura wszedł Roberts, urodzony w Anglii rzecznik prasowy przedsiębiorstwa.

- Chcesz uruchomić tę sprawę?

- Nie - odrzekł Travis. - Ani jedno słowo nie może przedostać się do gazet.

- Jak długo?

- Miesiąc.

- Cholera, to kawał czasu. Nawet twoi pracownicy *zaczną* puszczać parę.

- Więc postaraj się ich powstrzymać. Potrzebuję trzydziestu dni, aby doprowadzić sprawę do końca.

- Wiesz już, co się tam wydarzyło?

- Nie - powiedział Travis. - Ale będę wiedział.

- Skąd?

- Z nagrania.

- Wszystkie taśmy są do niczego.

- Na razie - odparł Travis. Wezwał grupę techników i programistów. Długo rozważał możliwość zasięgnięcia rady ekspertów od polityki, lecz w końcu zdecydował, że lepsze informacje otrzyma na miejscu.

- To, co wiemy na temat wyprawy do Kongo - powiedział - zostało zarejestrowane na ostatniej taśmie. To jedyny materiał, jakim dysponujemy. Musicie wycisnąć wszystko, co da się uratować z dźwięku i obrazu. Do roboty.

3. Odkrycie

Technicy ERTS-u nazywali proces odzyskiwania danych „wydobyciem”, co w zadziwiający sposób było podobne do prób uratowania mienia ze statku zatopionego na dużej głębokości.

Żądaną informację należało wyłuskać na powierzchnię z elektronicznej otchłani, a każdy fałszywy ruch groził bezpowrotną utratą cennych elementów ładunku. W przedsiębiorstwie kierowanym przez Trávisa działały dwie grupy: specjaliści od dźwięku oraz obrazu.

Karen Ross już wcześniej rozpoczęła badanie przekazu wizyjnego. Podjęła niezwykle skomplikowane działania, możliwe do wykonania jedynie z wykorzystaniem ultranowoczesnych środków technicznych.

ERTS było stosunkowo młodym przedsiębiorstwem, które powstało w 1975 roku, gdyż wówczas wzrosło zainteresowanie zasobami bogactw naturalnych. Od tamtej pory zgromadzono oszałamiającą liczbę danych; jedynie z landsata otrzymano pięćset tysięcy przekazów wizyjnych, a każdej doby co godzinę przybywało szesnaście nowych. Łącznie z konwencjonalnymi zdjęciami lotniczymi, wykonanymi metodą tradycyjną „na żywo” i w podczerwieni oraz obrazami zarejestrowanymi przez radar, archiwum ERTS-u mieściło dwa miliony fotografii i było wciąż uzupełniane o nowe pozycje. Każdą informację należało skatalogować i umieścić w odpowiednim miejscu, by można ją było natychmiast wykorzystać. Przedsiębiorstwo przypominało ogromną bibliotekę, do której każdego dnia wpływało siedemset nowych książek. Nic dziwnego, że „bibliotekarze” pracowali gorączkowo przez całą dobę.

Goście, odwiedzający ERTS, nie potrafili zrozumieć, że jeszcze dziesięć lat temu podobne przedsięwzięcie byłoby niemożliwe, nawet przy zastosowaniu maszyn cyfrowych. Nie pojmowali także natury informacji, przekonani, że widoczne na ekranach obrazy są po prostu zdjęciami.

Klasyczna fotografia powstała w dziewiętnastym wieku, jako wynik procesu chemicznego pozwalającego utrwalić obraz na kliszy pokrytej światłoczułą emulsją. ERTS wykorzystywało dwudziestowieczny system zapisu informacji, modyfikując go do własnych potrzeb. Zamiast aparatów fotograficznych używano skanerów, a zamiast kliszy - taśm typu CCT. W archiwum nie gromadzono „zdjęć” w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, lecz „dane obrazu”, które w razie potrzeby mogły zostać bezzwłocznie przetworzone na odczyt wizyjny.

Ponieważ wszystkie informacje przechowywano w formie impulsów elektrycznych zarejestrowanych na taśmie magnetycznej, istniała ogromna liczba sposobów weryfikacji danych. ERTS posiadało osiemset trzydzieści siedem programów komputerowych umożliwiających obróbkę obrazu, wykonanie powiększenia, usunięcie niepożądanych elementów oraz selekcję szczegółów. Karen wykorzystwała czternaście. Większość czasu zajęła jej praca nad ostatnim, najmniej wyraźnym fragmentem przekazu, gdzie widoczna była czyjaś twarz i ręka druzgocząca antenę.

Przede wszystkim uruchomiła proces „czyszczenia”, usuwający ślady zakłóceń. Wyodrębniła szare linie i plamy, które nie należały do obrazu, lecz występowały jedynie w ściśle określonych pozycjach skanera, po czym poleciła komputerowi ich wymazanie. Ekran pokryły białe punkty, powstałe w miejscach, gdzie przedtem znajdowały się zakłócenia. Karen podała hasło „wypełnić przestrzeń”. Komputer zaczął przekształcać i uzupełniać ubytki obrazu, wykorzystując dane zawarte w istniejących fragmentach.

Po chwili powstał obraz wolny od wszelkich zanieczyszczeń, lecz nadal zamglony i uniemożliwiający dokładną identyfikację. Karen rozpoczęła kolejną operację, polegającą na wzmocnieniu sygnału i rozciągnięciu skali walorów, lecz wskutek jej zabiegów wystąpiły zakłócenia fazowe. Kiedy próbowała poradzić sobie z tym problemem, ponownie pojawiły się błyski, co z kolei zmusiło ją do uruchomienia trzech kolejnych programów...

Pracowała ponad godzinę, gdy nagle ekran rozbłysnął czystym, wyraźnym obrazem. Karen wstrzymała oddech. Patrzyła na ciemne, pomarszczone oblicze, czujne oczy ocienione gęstymi brwiami, płaski nos i szerokie, wysunięte usta.

Ze stop-klatki spoglądała posepna twarz goryla.

Przy stanowisku Karen pojawił się Travis. Potrząsnął głową.

- Skończyliśmy obróbkę syczącego dźwięku, zarejestrowanego podczas przekazu. Komputer potwierdził, że jest to głos wydawany przez istotę ludzką, pochodzący z czterech źródeł. Ale to nie koniec dziwactw. Z analizy wynika, że ten dźwięk powstał podczas wdechu, a nie, jak u normalnego człowieka, podczas wydechu.

- Komputer się myli - powiedziała Karen Ross. - To nie był człowiek.

Wskazała widoczną na ekranie twarz goryla. Travis nie wyglądał na zaskoczonego.

- Artefakt - stwierdził.

- Nieprawda.

- Wypełniłaś domniemanym kształtem białe plamy i otrzymałaś artefakt. Czuję w tym rękę chłopców z „tag teamu”. Znów bawili się w porze lunchu.

Nazwę „tag teamu” nadano grupie młodych informatyków, którzy w wolnych chwilach z upodobaniem wykorzystywali dostępny sprzęt, aby tworzyć wysoce skomplikowane wersje gier komputerowych, co czasem wywoływało zamieszanie w oprogramowaniu.

Karen już nieraz skarżyła się na nich.

- Ale ten obraz jest prawdziwy - upierała się dalej.

- W zeszłym tygodniu Harris wykonał podobną operację i zamiast pasma gór Karakorum zobaczył pojazd kosmitów zbliżający się do Księżyca. Ty raczej wylądowałaś u McDonalda - mruknął Travis. - Bardzo śmieszne.

Odszedł kilka kroków.

- Lepiej przyjdź do mojego biura. Rozpoczęliśmy przygotowania przed kolejną próbą.

- Poprowadzę ekspedycję? Pokręcił głową.

- Nie ma mowy.

- A co z tym? - ponownie wskazała na ekran.

- Nie wierzę w podobne rozwiązanie - powiedział Travis. - Goryle zachowują się inaczej.

Spojrzał na zegarek.

- W tej chwili interesuje mnie tylko pytanie, jak szybko ERTS będzie mogło znów znaleźć się w Kongo.

4. Druga ekspedycja

Travis bez wahania podjął decyzję o wysłaniu kolejnej wyprawy; nurtowało go wyłącznie pytanie, jak uczynić to w najszybszy i najbezpieczniejszy sposób. Wezwał do siebie kierowników sekcji rozliczeń, kontaktów międzynarodowych, łączności, geologii, logistyki i biura prawnego. Wszyscy ziewali i przecierali zaspane oczy.

- Chcę, aby ekspedycja dotarła do Kongo najpóźniej za dziewięćdziesiąt sześć godzin - zagaił, po czym odchylił się w fotelu i w spokoju słuchał wyjaśnień, że jest to absolutnie niemożliwe. Powodów było sporo.

- Przygotowanie ekwipunku do transportu lotniczego zajmie sto sześćdziesiąt godzin - odezwał się Cameron, odpowiedzialny za logistykę.

- Możemy przełożyć termin rozpoczęcia wyprawy w Himalaje i wykorzystać ich sprzęt - powiedział Travis.

- To ekspedycja wysokogórska.

- Przeróbki zajmą nam najwyżej pięć godzin - zauważył Travis.

- Nie mamy samolotu - wtrącił szef transportu, Lewis.

- Na lotnisku w San Francisco stoi pusty boeing 747 koreańskich linii lotniczych. Otrzymałem wiadomość, że za pięć godzin może lądować u nas.

- Nie mają żadnego ładunku? - z niedowierzaniem spytał Lewis. Travis skinął głową.

- Poprzedni klient odwołał zlecenie.

- Ile to będzie kosztować? - jęknął księgowy, Irwin.

- Ambasada Zairu w Waszyngtonie nie wystawi wiz wjazdowych w tak krótkim czasie - wtrącił Martin, kierownik działu zagranicznego. - Mam poważne wątpliwości, czy w ogóle możemy je dostać. Jak wszyscy wiemy, poprzednią ekspedycję zorganizowaliśmy na podstawie umowy z rządem zairskim zezwalającej na eksplorację minerałów. Jednak warto pamiętać, że nie otrzymaliśmy prawa wyłączności. Podobne umowy zawarli Japończycy, Niemcy i Holendrzy, tworząc konsorcjum górnicze. Obowiązuje zasada: „kto pierwszy, ten lepszy”. Jeśli władze Zairu dowiedzą się o naszych kłopotach, anulują kontrakt i wpuszczą do dżungli konsorcjum euro-japońskie. W tej chwili, w Kinszasie działa ponad trzysta japońskich biur handlowych, które sypią jenami jak z rękawa.

- Masz rację - powiedział Travis. - Oczywiście pod warunkiem, że cała sprawa ujrzy światło dzienne.

- Tajemnica zostanie rozszyfrowana z chwilą, gdy złożymy podanie o wizy.
- Nie złożymy podania - odparł Travis. - Na razie, wszyscy są przekonani, że nasza ekspedycja wciąż pozostaje w okolicach Virungi. Jeśli dość szybko wyślemy nową ekipę, nikt nie zauważy zmiany.

- A co z pozwoleniem przekroczenia granicy? Co z listem przewozowym?...

- Drobiazg. Między innymi po to wymyślono koniak - mruknął Travis. Alkohol cieszył się największym wzięciem wśród celników i pracowników straży granicznej. W skład wyposażenia każdej wyprawy wyruszającej do odległego zakątka świata wchodziło kilka skrzynek koniaku oraz kilkadziesiąt tranzystorowych odbiorników radiowych i aparatów fotograficznych typu polaroid.

- Drobiazg? Jak zamierzasz przedostać się przez granicę?

- Potrzebujemy odpowiedniego człowieka. Munro?

- Munro? To śliska sprawa. Zairsy ministrowie go nienawidzą.

- Jest doskonałym specjalistą i zna teren. Martin chrząknął głośno.

- Uważam, że niepotrzebnie zostałem wezwany na dzisiejsze spotkanie. Zamierzasz nielegalnie wkroczyć na obszar suwerennego państwa, wykorzystując w tym celu pomoc byłego najemnika...

- Niezupełnie - przerwał mu Travis. - Okoliczności wymagają, aby ekspedycja przebywająca w Kongo została uzupełniona kilkoma ludźmi. To zdarza się bardzo często. Nie mam powodów, by podejrzewać, że coś się stało; chcę jedynie przyspieszenia wyników badań. Niestety, czas nie pozwala mi działać drogą oficjalną, więc przyjmuję inny wariant, który na pewno nie przysporzy nikomu kłopotów.

Trzynastego czerwca o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć zakończono wstępne przygotowania do wyprawy i przekazano dane do komputera. Transportowy boeing 747 miał wystartować z Houston dzień później, o dwudziestej. Na piętnastego czerwca zaplanowano lądowanie w Afryce, gdzie miał się przyłączyć Munro, „lub ktoś w tym rodzaju”. Ustalono, że cała ekspedycja powinna się znaleźć w Kongo nie później niż siedemnastego czerwca.

Za dziewięćdziesiąt sześć godzin.

Karen Ross obserwowała dyskusję toczącą się za szklanym przepierzeniem oddzielającym pokój Trávisa od reszty pomieszczenia. Uważała, że szef ERTS-u popełnił błąd, zbyt szybko przedstawiając wnioski oparte na niekompletnym zestawie danych. Powtórna ekspedycja miałaby sens jedynie wówczas, gdyby wyraźnie

określono cel poszukiwań. Kobieta w zamyśleniu spojrzała na obraz widniejący na ekranie terminalu.

Jakim argumentem mogła przekonać Trávisa?

Skomplikowany proces obróbki danych zawsze stwarzał niebezpieczeństwo, że wynik końcowy może „zdryfować”; oderwać się od rzeczywistości niczym pozbawiony cum statek, odepchnięty falą od nadbrzeża. Zagrożenie wzrastało, kiedy informację poddawano dodatkowym manipulacjom - zwłaszcza gdy operator zmieniał konfigurację stu sześciu punktów świetlnych tworzących obraz.

Komputery ERTS-u były wyposażone w kilka programów sprawdzających i oceniających wartość wyniku. Karen wykorzystwała dwa, aby zweryfikować wizerunek goryla. Pierwszy określano skrótem APNF od słów „*animation predicted next frame*” - przewidywany kolejny kadr animacji.

Taśma wideo mogła być potraktowana jak zwykła błona filmowa, czyli ciąg statycznych ujęć ułożonych w określonej kolejności. Karen zarejestrowała w pamięci komputera kilka „kadrów” i zażądała utworzenia następnych. Wynik porównała z istniejącym obrazem.

Przejrzała osiem PNF. Działały. Jeśli istniał błąd w bazie danych, to musiał występować przy każdej próbie generowania wizerunku.

Zadowolona, wprowadziła program „szybkiej trójprzestrzeni”, w którym płaski obraz zyskiwał trójwymiarową charakterystykę opartą na analizie odcieni szarości. Krótko mówiąc, komputer podejmował decyzję, czy widoczny cień nosa lub góry odpowiada rzeczywistości i oznacza, że wspomniany element wystaje ponad otoczenie. Karen uruchomiła taśmę. Goryl poruszył się, a komputer stwierdził, że całość wizerunku zachowuje cechy przestrzenne.

Obraz widoczny na ekranie był bez wątpienia prawdziwy.

Kobieta wstała i skierowała się w stronę biura Trávisa.

- Powiedzmy, że kupuję ten pomysł - zgodził się Travis. Zmarszczył brwi. - Lecz w dalszym ciągu nie widzę powodu, aby powierzyć ci kierownictwo wyprawy.

- Co ustaliła druga grupa? - spytała Karen.

- Druga grupa? - mężczyzna udał zdumienie.

- Przekazałeś im taśmę, aby zweryfikowali moje wyniki. Travis spojrział na zegarek.

- Jeszcze nic - mruknął. - Ogólnie wiadomo, że pracujesz najszybciej.

Karen Ross uśmiechnęła się, z triumfem.

- I właśnie dlatego powinnam poprowadzić ekspedycję - powiedziała. - Znam każdą informację zawartą w bazie danych, ponieważ sama stworzyłam tę bazę. Jeśli masz zamiar wysłać nową wyprawę, zanim ostatecznie rozwiążemy problem „goryla”, potrzebujesz kogoś dobrego do obsługi komputera. Kogoś, kto będzie potrafił pracować nawet w najtrudniejszych warunkach. W przeciwnym wypadku ekspedycja podzieli los poprzedniej ekipy. Na dobrą sprawę nadal nie wiesz, co się właściwie stało.

Travis siedział w milczeniu. Przez długą chwilę spoglądał na kobietę. Karen wyczuła jego wahanie i uznała to za dobry znak.

- Poza tym... proszę o pozwolenie wyjścia - powiedziała.

- Chcesz zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz?

- Tak. Kogoś z naszej listy.

- Ryzykowne posunięcie - odparł Travis. - W podobnych sytuacjach nie popieram kontaktów z ludźmi spoza firmy. Konsorcjum siedzi nam na karku, a ty ryzykujesz, że powstanie przeciek informacji.

- To bardzo ważne - nie ustępowała Karen. Mężczyzna westchnął.

- Okay, skoro tak uważasz... Westchnął ponownie.

- Pamiętaj, że nie będę tolerował żadnej zwłoki. Karen Ross już dawno była przygotowana.

Travis został sam. Wciąż rozmyślał nad podjętą decyzją. Wszystko wskazywało na to, że koszty przekroczą trzysta tysięcy dolarów, nawet jeśli wyprawa zakończy się w ciągu dwóch tygodni. Członkowie zarządu będą jęczeć z rozpaczą na wieść, że kierowanie tak drogim przedsięwzięciem powierzono niedoświadczonej, dwudziestoczteroletniej dziewczynie. Gra szła o wyjątkowo dużą stawkę, a już przekroczono limit czasu i wydatków. Chłodny, sztywny styl bycia Karen Ross nie czynił z niej dobrej kandydatki na dowódcę ekspedycji. Przeciwnie, stwarzał zagrożenie, że nie będzie potrafiła się porozumieć z pozostałymi uczestnikami.

A mimo wszystko... szef ERTS-u obdarzał pewną sympatią „Lodowiec Rossa”. Filozoficzne podejście do spraw *zarządzania*, ukształtowane podczas wieloletniej praktyki z „tańcem deszczu”, nakazywało Travisowi ufać pracownikom, którzy mieli najwięcej szans na osiągnięcie sukcesu, lub najmniej możliwości, aby doprowadzić do całkowitej klęski.

Obrócił się w stronę komputera umieszczonego obok biurka.

- Travis - powiedział. Ekran pojaśniał.

- Plik psychograficzny.

Na ekranie pojawił się żądany zbiór informacji.

- Ross, Karen - odezwał się Travis.

Komputer odpowiedział napisem MYŚLĘ, co oznaczało, że poszukuje podanego hasła. Mężczyzna czekał.

Po chwili ekran pokrył się rzędami liter. Każdy pracownik ERTS-u przechodził trzydniowy test psychologiczny, który ujawniał nie tylko jego umiejętności, lecz także cechy charakteru. Travis przebiegł oczami kilka linii tekstu i uznał, że podobna opinia może nieco uspokoić nerwowość członków zarządu.

OSOBA O DUŻEJ INTELIGENCJI / LOGICZNA / ELASTYCZNA W DZIAŁANIU / INTUICYJNIE PRZYSWAJAJĄCA DANE / Z ŁATWOŚCIĄ PRZYSTOSOWUJE PROCESY MYŚLOWE DO NAGŁEJ ZMIANY SYTUACJI / UPARCIE DAŻY DO WYZNACZONEGO CELU z ZDOLNA WYTRZYMAĆ DUŻY WYSIŁEK INTELEKTUALNY/

Cechy doskonałego dowódcy wyprawy. Travis zerknął na dół ekranu. Dalsza część informacji była mniej uspokajająca.

MŁODZIEŃCZA BEZWZGLĘDNOŚĆ / ZNIKOMA POTRZEBA KONTAKTÓW MIĘDZYLUDZKICH / CHEĆ DOMINACJI / POCZUCIE WYŻSZOŚCI INTELEKTUALNEJ / NIECZUŁOŚĆ / CHEĆ OSIĄGNIĘCIA CELU BEZ WZGLĘDU NA CENĘ /

Na końcu następowała notka o „przenicowanych” cechach charakteru, której koncepcja zakładała, że w warunkach silnej presji pewne osoby mogą zachowywać się całkiem inaczej niż na co dzień: ludzie o protekcyjnym stosunku do innych, w momencie zagrożenia stawali się dziecięco bezradni, histerycy podejmowali chłodne i rozsądne decyzje, a osoby obdarzone logicznym umysłem działały bez krzty logiki.

MATRYCA PRZENICOWANIA: DOMINUJĄCA {PRAWDOPODOBNIENIE NIE CHCIANA} BEZSTRONNOŚĆ OCENY SYTUACJI MOŻE ZNIKNAĆ W CHWILI, GDY CEL ZNAJDZIE SIĘ W ZASIĘGU RĘKI / ŻĄDZA SUKCESU MOŻE SPOWODOWAĆ BARDZO NIEBEZPIECZNĄ I NIELOGICZNĄ REAKCJĘ / ODRZUCENIE

AUTORYTETÓW / OSOBA POWINNA BYĆ ŚCIŚLE KONTROLOWANA W
OSTATNIM ETAPIE DZIAŁAŃ /

Travis patrzył na ekran, przekonany, że w czasie najbliższej ekspedycji końcowy warunek nie zostanie spełniony.

Karen odczuwała miłe podniecenie na myśl o tym, jak dużą władzę dawało jej nowe stanowisko. Krótco przed północą przejrzała listę osób współpracujących z przedsiębiorstwem. ERTS wspierało badania wielu zoologów, przekazując im niewielkie fundusze za pośrednictwem fundacji o nazwie Earth Resources Wildlife Fund. Pod hasłem „Naczelne” odnalazła czternaście nazwisk, w tym kilku naukowców z Borneo, Malezji, Afryki i Stanów Zjednoczonych. Wśród Amerykanów był tylko jeden badacz goryli, doktor Peter Elliot z filii University of California w Berkeley.

Widoczna na ekranie informacja przedstawiała Elliota jako dwudziestodwuletniego kawalera, pracownika naukowego Wydziału Zoologii. Główny kierunek badań nosił nazwę: „Sposób porozumiewania się z naczelnymi (goryle)”, a wszelkie fundusze kierowano na rzecz czegoś, co nazywało się: „Projekt Amy”.

Karen spojrzała na zegarek. W Houston była północ, więc w Kalifornii dochodziła dwudziesta druga. Wykręciła numer telefonu.

- Słucham - głos mężczyzny był zabarwiony podejrzliwością.

- Doktor Peter Elliot?

- Tak... - Nastąpiła chwila wahania. - Pani jest dziennikarką?

- Nie - odpowiedziała. - Mówi doktor Karen Ross z Houston. Współpracuję z Earth Resources Wildlife Fund, skąd czerpie pan fundusze na swoje badania.

- Och... tak... - Cień wątpliwości nie zniknął z głosu mężczyzny. - Na pewno nie jest pani z żadnej gazety? Chciałbym jedynie ostrzec, że nagrywam naszą rozmowę jako potencjalny materiał dowodowy...

Karen zawahała się chwilę. W obecnej sytuacji najmniej potrzebny był znerwicowany naukowiec, rejestrujący szczegóły działalności ERTS-u. Milczała.

- Jesteś Amerykanką? - spytał.

- Oczywiście.

Spojrzeła na ekran komputera, na którym pojawił się napis:

IDENTYFIKACJA GŁOSU POTWIERDZONA LAT 29.

- Powiedz, o co chodzi - odezwał się Elliot.

- Mamy zamiar wysłać ekspedycję do Kongo w okolice Virungi i...

- Naprawdę? Kiedy wyruszacie? - W głosie mężczyzny brzmiała niemal chłopięca ekscytacja.

- Prawdę mówiąc, już za dwa dni i...

- Chcę jechać z wami - oświadczył Elliot.

Karen była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ale... doktorze Elliot, dzwonię z całkiem innego powodu...

- I tak muszę pojechać - wtrącił. - Wspólnie z Amy.

- Kto to jest Amy?

- To goryl - odpowiedział Peter Elliot.

DZIEŃ DRUGI:
SAN FRANCISCO
14 czerwca 1979

1. „Projekt Amy”

W późniejszych wywiadach wielu naukowców niesłusznie sugerowało, że w czerwcu 1979 roku Peter Elliot „musiał opuścić miasto”. Zachowały się taśmy wyjaśniające motywy jego działania oraz konieczność wyjazdu do Kongo. Ostateczna decyzja o podróży zapadła po konsultacjach w gronie współpracowników, dwa dni przed telefonem od Karen.

Jednak prawdą jest, że doktor Elliot stał się celem niewybrednych ataków rozmaitych grup społeczeństwa, prasy, niektórych naukowców, a nawet własnych kolegów z Uniwersytetu. Oskarżano go o „nazistowskie metody działań” i „dręczenie nierozumnych (sic!) stworzeń”. Bez zbytej przesady można stwierdzić, że wiosną 1979 roku kariera zawodowa Elliota była bliska załamania.

Temat swoich badań znalazł przypadkowo. Jako dwudziestotrzyletni absolwent Wydziału Antropologii University of California w Berkeley przeczytał o rocznym gorylątku, chorym na dyzenterię, które zostało przewiezione na leczenie z ogrodu zoologicznego w Minneapolis do Akademii Weterynaryjnej w San Francisco. Był rok 1973, pierwszy okres badań nad językiem naczelnych.

Od dawna istniał pogląd, że małpy stojące na najwyższym poziomie rozwoju są zdolne do nauki mówienia. W 1661 roku Samuel Pepys widział w Londynie szympansa i zapisał w swym dzienniku: „[...] zachowywał się całkiem jak człowiek [...] Wierzę, że mógłby posiadać zdolność mówienia lub porozumiewania się za pomocą znaków”. Inny siedemnastowieczny pisarz posunął się jeszcze dalej: „Pawiany oraz inne małpy podobne do ludzi [...] znają ludzki język, lecz nie używają go z obawy, że zostaną zapędzone do pracy”.

Niestety, wszelkie próby podejmowane w ciągu kolejnych trzystu lat kończyły się niepowodzeniem. Najambitniejsze działania podjęli Keith i Kathy Hayes z Florydy, którzy w początku lat pięćdziesiątych próbowali wychować szympansię imieniem Vicki, traktując ją niczym małe dziecko. Podczas pobytu w domu Hayesów, Vicki nauczyła się czterech wyrazów: „mama”, „papa”, „cup” („kubek”) i „up” („do góry”), jednak każde słowo wymawiała niewyraźnie i z dużą trudnością. Wynik eksperymentu zdawał się potwierdzać opinię stale rosnącego grona specjalistów, że człowiek jest jedyną istotą zdolną do przyswojenia sobie sztuki mówienia. Jak stwierdził George Gaylord Simpson: „Język jest [...] najbardziej dobitnym dowodem człowieczeństwa. Wszyscy normalni ludzie posiadają dar mowy, niedostępny dla innych organizmów

żywych”.

Nic dziwnego, że przez następne piętnaście lat nikt nie interesował się mową małp. Dopiero w 1966 roku, w Reno w stanie Nevada, Beatrice i Allen Gardnerowie odnaleźli film przedstawiający Vicki. Po kilkakrotnym obejrzeniu utrwalonego na taśmie materiału doszli do przekonania, że szympanśica nie miała kłopotów ze zrozumieniem wielu pojęć, lecz z wymową. Niemrawe ruchy warg uzupełniała wyrazistą gestykulacją. Wniosek był oczywisty: należało wykorzystać język znaków.

W czerwcu 1966 roku Gardnerowie rozpoczęli doświadczenia z młodą szympanśicą Washoe, ucząc ją zasad amerykańskiego języka migowego (Ameslan) używanego przez głuchoniemych. Małpa robiła zdumiewające postępy; w 1971 roku знаła 160 wyrazów, które umiała zastosować podczas „rozmowy”. Tworzyła także nowe kombinacje znaków na określenie przedmiotów lub zjawisk, które widziała po raz pierwszy: gdy dostała arbuza, zasygnalizowała: „woda-owoc”.

Na temat pracy Gardnerów było wiele kontrowersyjnych opinii; okazało się, że świat naukowy zbyt mocno przywiązany jest do teorii o niekomunikatywności naczelnych. (Jak zauważył jeden z profesorów: „Boże, aż wstyd pomyśleć, jak słynne nazwiska widnieją pod rozprawami napisanymi w ciągu minionych dziesięcioleci - i wszyscy są zgodni, że tylko człowiek posiadał zdolność mówienia”.)

Jednak umiejętności Washoe skłoniły badaczy do podjęcia kolejnych eksperymentów. Szympanśica imieniem Lucy nauczyła się porozumiewać za pomocą komputera; Sarah używała tablicy i kolorowych pisaków. Inne gatunki małp także udowodniły, że są pojętne. Orangutan Alfred rozpoczął swą edukację w 1971 roku, a samica goryla nizinnego, Koko, w 1972. W 1973 roku Peter Elliot odnalazł samicę goryla górskiego, Amy.

W czasie pierwszej wizyty w szpitalu zobaczył cierpiące małe stworzenie, z rozrzuconymi kończynami, niemal bezwładnie leżące na podłodze. Poglądził małpę po głowie i powiedział łagodnie:

- Cześć, Amy. Jestem Peter.

Amy ugryzła go w rękę, powodując głębokie skaleczenie.

Niefortunne z pozoru zdarzenie nie zniechęciło Elliota do dalszych badań. Rok 1973 przyniósł wiele ciekawych wyników. Podstawowe zasady nauki nosiły nazwę „kształtowania”. Małpie pokazywano pewien przedmiot, a Elliot cierpliwie układał palce zwierzęcia w symbol oznaczający nazwę obiektu. Systematycznie prowadzone testy potwierdzały, że Amy rozumie treść przekazu.

Większość naukowców akceptowała zasadnicze metody działania, lecz sam sposób nauki nadal wzbudzał wiele kontrowersji. Powstał spór, czy język znaków może być miernikiem inteligencji (w myśl przyjętej opinii, wśród istot ludzkich jedynie mowa pełniła podobną funkcję). Ktoś zauważył, że postępy nie muszą wynikać z pojętności zwierząt, lecz mogą być efektem treserskich umiejętności nauczyciela.

Z czasem stało się oczywiste, że każda z małp ma całkiem odrębną osobowość. Jeden z eksperymentatorów stwierdził: „Badania naczelnych są jedyną dziedziną nauki, w której wszyscy podziwiają studentów, a nie profesorów”. Rosła liczba namiętnych dyskusji i sporów. Wśród osób bezpośrednio zaangażowanych w doświadczenia panował zgodny pogląd, że Lucy ma skłonność do nadużywania alkoholu, Koko zachowuje się niczym źle wychowany brzdąc, a Lana „dostała małpiego rozumu” zauroczona własną sławą („pokazywała, co potrafi, tylko wówczas, gdy w pobliżu znajdował się dziennikarz”). Nim zaś był tak głupi, że otrzymał przydomek Dim - „Ciemniak”.

Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, aby Peter Elliot mógł stać się obiektem ataków opinii publicznej. Temu przystojnemu, nieco nieśmialemu mężczyźnie - synowi właściciela pralni z Marin County - przez wiele lat udało się uniknąć kontrowersyjnych opinii na temat swej działalności. Wyniki badań przedstawiał w sposób rzeczowy i zrównoważony, a postępy, jakie czyniła Amy, były udokumentowane z niespotykaną dokładnością. Nie szukał taniego rozgłosu; nigdy nie zgodził się na występ swej podopiecznej w programie telewizyjnym.

Nieufność Petera po części wynikała z jego ogromnej ambicji. Nie uczestniczył w dyskusjach, bo nie miał na to czasu. Pracował nocami i w święta, wymagając od asystentów, aby postępowali tak samo. Potrafił także zdobyć dotacje na prowadzenie swych doświadczeń; na wszystkich konferencjach zoologicznych pojawiał się w garniturze, podczas gdy inni naukowcy paradowali w dżinsach i zgrzebnych koszulkach. Chciał uczynić z Amy prawdziwą „małpią damę” i stać się głównym ekspertem w kontaktach z naczelnymi.

Dodatkowe fundusze pozwoliły mu w 1975 roku na zatrudnienie czterech asystentów. W 1978 roczny budżet programu opatrzonego kryptonimem „Projekt Amy” zamykał się sumą stu sześćdziesięciu tysięcy dolarów. W skład zespołu wchodziło osiem osób, w tym informatyk i psycholog dziecięcy. Jeden z pracowników Instytutu Bergrena stwierdził później: „Działalność Elliota była znakomitą inwestycją. Dzięki naszej dotacji »Projekt Amy« zwiększył o pięćdziesiąt procent wykorzystanie

łączy komputerowych, ponieważ konsultacje prowadzono jedynie w nocy lub w czasie weekendów, gdy malała stawka opłaty. Elliot potrafił dobrze wydać każdego centa i był szczerze oddany swej pracy. W jego życiu nie liczyło się nic oprócz Amy. Był nudnym rozmówcą, lecz z naszego punktu widzenia miał wiele interesujących zalet. Trudno przewidzieć, kto naprawdę jest błyskotliwy; o wiele łatwiej dostrzec upór i pracowitość. Z osobą doktora Elliota wiązaliśmy wielkie nadzieje”.

Kłopoty zaczęły się rankiem, drugiego lutego 1979 roku. Amy mieszkała w przyczepie campingowej, ustawionej na terenie miasteczka akademickiego. Noce spędzała sama, a każde przybycie pracowników witała wybuchem żywiołowej radości. Tego dnia miała wyjątkowo smętny nastrój. Zachowywała się nerwowo i przestraszonym wzrokiem spoglądała w stronę ludzi, jakby obawiała się kary.

Elliot był przekonany, że w nocy zaszło coś złego. W odpowiedzi na jego pytanie, Amy użyła znaków „spać” i „pudełko”, tworząc nową, niezrozumiałą kombinację. Podobna sytuacja zdarzała się dość często; by nazwać nieznanie sobie pojęcia małpa łączyła w pary poszczególne sygnały, a ich prawidłowe odczytanie zależało wyłącznie od domyślności uczestników eksperymentu. Kilka dni wcześniej zaskoczyła wszystkich określeniem „krokodyl-mleko”. Dopiero po pewnym czasie ktoś zauważył, że mleko, które zwierzę otrzymało do picia, jest kwaśne. Ponieważ Amy odnosiła się z dużą niechęcią do krokodyli (które zresztą widywała wyłącznie na ilustracjach), uznała, że niesmaczny napój zasługuje na podobną nazwę.

Teraz powtarzała „spać-pudełko”. Początkowo przypuszczano, że ma na myśli swoje miejsce do spania, przypominające duże gniazdo. Jednak już wkrótce „pudełko” okazało się zwykłym, często używanym przez małpę określeniem odbiornika telewizyjnego.

Wyposażenie przyczepy, łącznie z telewizorem, było przez całą dobę kontrolowane za pomocą komputera. Ponieważ Amy lubiła spędzać wolny czas przed ekranem, istniało podejrzenie, że samodzielnie włączyła odbiornik i nie potrafiła go wyłączyć, a hałas płynący z głośnika uniemożliwił jej nocny odpoczynek. Jednak rankiem telewizor był wyłączony; małpa nie przejawiała żadnego zainteresowania ogólną krzątaniną. Najwyraźniej chodziło jej o coś całkiem innego.

W końcu Elliotowi udało się ustalić, że „spać-pudełko” oznaczało „spać-obrazki”. Na dalsze pytania Amy odpowiedziała: „źle-obrazki”, „stare obrazki” i „Amy-widzieć-płakać”.

Coś jej się śniło.

Wiadomość wywołała ogromne podniecenie wśród współpracowników Elliota. Amy była pierwszą małpą, która wspomniała o snach. Jednak radość okazała się przedwczesna. W ciągu kilku kolejnych nocy gorylicę nadal męczyły koszmary, lecz uparcie odmawiała udzielenia dalszych wyjaśnień. Co gorsza, najwyraźniej winiła swych opiekunów za taki stan rzeczy i popadała w coraz głębszą apatię.

Jej zdolność do przyswajania nowych pojęć zmalała z 2,7 do 0,8 znaku tygodniowo, a umiejętność spontanicznego tworzenia nowych symboli z 1,9 do 0,3. Nie potrafiła się skupić. Coraz częściej zachowywała się w sposób trudny do przewidzenia; niemal codziennie miewała ataki złego humoru. Pomimo stosunkowo młodego wieku miała sto trzydzieści siedem centymetrów wzrostu, ważyła niemal sześćdziesiąt kilogramów i była bardzo silna. Naukowcy zaczęli się obawiać, czy uda się do końca kontrolować jej zachowanie.

Najbardziej niepokoił ich upór, z jakim odmawiała odpowiedzi na pytania dotyczące jej nocnych przeżyć. Próbowano użyć podstępu: pokazywano małpie rozmaite ilustracje, przez całą dobę obserwowano obraz rejestrowany kamerą zawieszoną pod sufitem przyczepy w nadziei, że pozostawione w samotności zwierzę zrobi coś, co mogłoby się przyczynić do rozwiązania zagadki (niczym małe dziecko, Amy często „mówiła do siebie”). Przeprowadzono nawet kilka testów neurologicznych, łącznie z EEG.

Na koniec spróbowano ją skłonić do malowania.

Rezultat był natychmiastowy. Amy uwielbiała malować posługując się palcami, a gdy do farby dodano niewielką ilość pieprzu, przestała oblizywać dłonie. Teraz z zapalem wzięła się do tworzenia obrazów, wyraźnie odzyskując nieco dawnego wigoru.

Psycholog, David Bergman, zauważył, że „wszystkie rysunki Amy łączy wspólny temat: najczęściej są to odwrócone kształty w formie półkola lub półksiężyca zawsze występujące w połączeniu z gęstwiną prostych, zielonych kresek. Amy twierdzi, że zielone linie oznaczają »las«, a półkola określa nazwą - »żle-domy« lub »stare domy«. Czasem maluje czarne okręgi, zwane przez nią »dziurami«.,,

Bergman sprzeciwiał się oczywistej konkluzji, że malowidło przedstawia dżunglę porastającą ruiny jakiejś budowli. „Gdy obserwuję Amy pokrywającą farbami wciąż nowe arkusze papieru, odnoszę wrażenie, że chodzi o coś o wiele głębszego, graniczącego z obsesją. Amy nie lubi tych obrazów i usiłuje wyrzucić je ze swego

umysłu...” Prawdziwe znaczenie rysunków w dalszym ciągu pozostawało nieznane. Pod koniec kwietnia 1979 roku ustalono, że istnieją cztery podstawowe sposoby interpretacji, które uszeregowano według ważności:

1. „Sny są próbą racjonalnego wytłumaczenia codziennych zdarzeń”. Był to typowy przykład interpretacji, stosowany przede wszystkim wobec ludzi. Uczestnicy eksperymentu powątpiewali, aby podobny pogląd sprawdził się w przypadku Amy.

2. „Sny są uzewnętrznieniem młodzieńczych frustracji”. Siedmioletnia Amy była w okresie dojrzewania i wykazywała wszelkie cechy typowe dla ludzkich nastolatków. Od roku miewała zmienny humor, dąsała się bez powodu, robiła wiele zamętu wokół siebie i przejawiała całkiem nowe zainteresowanie płcią przeciwną.

3. „Sny są cechą typową dla całego gatunku”. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że wszystkie goryle miewają koszmary i że w na swobodzie - w stadzie - zachowanie pozostałych osobników powoduje rozładowanie stresu. Choć od dwudziestu lat prowadzono obserwacje dziko żyjących goryli, nic nie potwierdzało tej teorii.

4. „Sny są pierwszym objawem postępującej degeneracji umysłowej”. To była najgorsza możliwość. Aby eksperyment miał szansę powodzenia, rozpoczynano pracę z bardzo młodymi zwierzętami. W miarę upływu lat ujawniały się właściwe cechy danego osobnika: mógł się okazać tępy lub zadziwiająco bystry, oporny lub uległy, tryskający zdrowiem lub chorowity. Kondycja małp była przedmiotem nieustannej troski; wiele kosztownych i pracochłonnych badań zakończyło się przed czasem z powodu śmierci zwierzęcia. Szympan z Atlanty, Timothy, już w 1976 roku zdradzał objawy choroby umysłowej. W końcu popełnił samobójstwo przez koprofagię, krztusząc się na śmierć własnymi ekskrementami. Orangutan z Chicago, Maurice, stał się neurotykiem podatnym na różnego rodzaju fobie, co w 1977 roku spowodowało konieczność przerwania doświadczeń. Wysoki poziom inteligencji, dzięki któremu małpy stanowiły niezwykle wartościowy obiekt badań, miał poważny wpływ na ich zachowanie i sprawiał, że były równie niestałe jak ludzie.

Mimo wyczerpanych działań wszystkich członków ekipy, „Projekt Amy” znalazł się w impasie. W maju 1979 roku podjęto brzemiennej w skutki decyzję: postanowiono opublikować rysunki Amy i przekazano dokumentację redakcji czasopisma „Journal of Behavioral Sciences”.

2. Przełom

Artykuł zatytułowany „Zagadka marzeń sennych goryla górskiego” nigdy nie został opublikowany. Materiał dostarczono trzem naukowcom, którzy mieli napisać recenzje, lecz jeden egzemplarz trafił (do dziś nie wiadomo, w jaki sposób) do biura Primate Preservation Agency, nowojorskiego ugrupowania stworzonego w 1975 roku w celu „ochrony zwierząt naczelnych przed niehumanitarnym traktowaniem w czasie doświadczeń laboratoryjnych”¹.

Trzeciego czerwca członkowie PPA rozpoczęli pikietowanie Wydziału Zoologii w Berkeley, wzywając do „uwolnienia” Amy. W grupie demonstrantów przeważały kobiety, niektóre z małymi dziećmi. W lokalnym programie telewizyjnym pokazano ośmiolatka trzymającego zdjęcie małpy i krzyczącego: „Wolność dla Amy!”

Uczestnicy eksperymentu popełnili poważny błąd. Zignorowali protest, podając krótkie wyjaśnienie, że PPA otrzymało „błędną informację”. Sprostowanie zostało wysłane jako oficjalne stanowisko uniwersyteckiego biura prasowego.

Piątego czerwca PPA wydało ulotkę zawierającą opinię wielu znanych zoologów na temat „Projektu Amy” (później niektórzy z nich odwołali wysuwane zarzuty, bądź stwierdzili, że fałszywie zacytowano ich słowa). Doktor Wayne Turman z filii University of Oklahoma w Norman rzekomo oświadczył, że postępowanie Elliota jest „dziwaczne i nieetyczne”, a doktor Felicity Hammond z Yerkes Primate Research Center w Atlancie dodała, że „ani Elliot, ani jego badania nie mają nic wspólnego z nauką”. Doktor Richard Aronson z University of Chicago określił eksperyment jako „zdecydowanie faszystowski”.

Żaden ze wspomnianych naukowców nie czytał artykułu Elliota, lecz ich opinie - szczególnie zaś zdanie Aronsona - rozpętały prawdziwą burzę. Ósmego czerwca rzecznik prasowy PPA, Eleanor Vries, przypuściła gwałtowny atak na „przestępczą działalność doktora Elliota i jego nazistowskich współpracowników”. Stwierdziła, że senny koszmar dręczący Amy jest bezpośrednim skutkiem doświadczeń oraz że zwierzę torturowano, karmiono narkotykami i poddawano elektrowstrząsom.

Uczestnicy projektu działali dość opieszale. Dziesiątego czerwca przedstawili obszerną odpowiedź, wyjaśniającą szczegóły eksperymentu i odwołującą się do nie opublikowanego artykułu. Niestety, biuro prasowe Uniwersytetu było „zbyt zajęte”,

¹ Opis działań podjętych przeciwko Elliotowi zaczerpnięto z artykułu J.A. Peeblesa pt. „Naruszenie swobód akademickich przez spekulacje i plotki prasowe: sprawa doktora Petera Elliota”, opublikowanego na łamach

aby podjąć jakąkolwiek inicjatywę.

Jedenastego czerwca zebrała się rada uczelni. Rozpatrywano „przypadki naruszenia etyki” wśród wykładowców i pracowników naukowych. Eleanor Vries zakomunikowała, że PPA zaangażowało znanego prawnika z San Francisco, Melvina Belli, do „uwolnienia Amy z rąk oprawców”. Belli uchylił się od komentarzy.

W tym samym dniu nastąpił niespodziewany przełom w badaniach nad zachowaniem Amy i wydawało się, że eksperymetatorzy są bliscy rozwiązania tajemnicy.

Pomimo zamieszania i nieustannych ataków ze strony prasy, grupa Elliota kontynuowała doświadczenie. Zachowanie Amy - zwłaszcza nasilające się napady niezadowolenia - przypominały, że zasadniczy problem wciąż pozostaje nie wyjaśniony. Jak zwykle w podobnych sytuacjach, pomógł przypadek.

Jedna z asystentek, Sarah Johnson, przeglądała dokumentację wykopalisk prowadzonych w Kongo. Istniała niewielka szansa, że Amy widziała stanowisko archeologów („stare budynki w głębi dżungli”) przed schwytaniem i przewiezieniem do zoo w Minneapolis. Fakty nie przedstawiały się zbyt zachęcająco: pierwsi naukowcy pojawili się w tych okolicach zaledwie sto lat temu, wrogo nastawieni tubylcy i niedawna wojna domowa zniechęcały do prowadzenia systematycznych poszukiwań, a ponadto wilgoć panująca w dżungli bezpowrotnie niszczyła wszelki ślad działalności człowieka.

O prehistorii tego obszaru wiedziano niewiele i Sarah w ciągu kilku godzin zakończyła pracę. Nie chciała jednak tak prędko rezygnować z powierzonego jej zadania. Rzuciła okiem na inne książki zgromadzone w bibliotece antropologicznej - kilka rozpraw etnograficznych, dzieła historyczne oraz relacje z dawnych wypraw. Najwcześniej na teren Kongo dotarli arabscy łowcy niewolników i portugalscy kupcy. Zachowało się nieco książek z tamtych czasów, lecz Sarah nie знаła arabskiego ani portugalskiego. Poprzestała jedynie na obejrzeniu ilustracji.

Odwróciła kolejną stronę i... jak powiedziała później: „ciarki przebiegły mi po plecach”.

Był to portugalski sztych z 1642 roku, reprodukowany w książce wydanej dwieście lat później. Pożółkły wizerunek widoczny na zetlałym papierze przedstawiał zrujnowane miasto, porośnięte lianami i ogromnymi krzewami paproci. Bramy i okna

budynków były zakończone półkolistymi łukami. Takimi, jak na rysunkach Amy.

- To była chwila, która każdemu badaczowi może przytrafić się tylko raz w życiu - powiedział później Elliot. - Oczywiście, jeśli ma trochę szczęścia. Nie wiedzieliśmy nic o tym rysunku; pośpiesznie skreślony podpis zawierał słowo wyglądające jak „Zinj” oraz datę 1642. Natychmiast ściągnęliśmy tłumaczy biegłych w staroarabskim i portugalskim, lecz w gruncie rzeczy chodziło o coś innego. Zyskaliśmy szansę weryfikacji problemu, który dotąd był rozpatrywany jedynie teoretycznie. Malowidła wykonane przez Amy musiały powstać pod wpływem pobudzonej pamięci genetycznej.

Teorię „pamięci genetycznej” ogłosił Marais w 1911 roku, co dało początek zaciekłym dyskusjom, trwającym niemal do dzisiaj. Jej zasady, ujęte w najprostszej formie, zakładały, że mechanizm genetycznego dziedziczenia funkcjonuje nie tylko w przypadku cech fizycznych, ale także psychicznych i zasad reakcji. Szczególnie widoczne jest to u stworzeń stojących na niższym stopniu rozwoju, które przychodzą na świat ze znajomością określonego modelu zachowania i nie uczestniczą w długotrwałym procesie wychowawczym. Bardziej skomplikowane organizmy cechowała różnorodność reakcji, *zależna* od pamięci i stopnia wyuczenia. Powstawało pytanie, czy jakaś część umysłu ssaków, a w szczególności małp i ludzi, jest genetycznie „zakodowana” od chwili narodzin.

Elliot był przekonany, że Amy stanowi najlepszy dowód na potwierdzenie wspomnianej teorii. Małpa została wywieziona z Kongo, gdy miała zaledwie siedem miesięcy. Jeśli we wczesnym dzieciństwie nie widziała ruin porośniętych dżunglą, jej sny powstawały pod wpływem pamięci genetycznej. Ostateczne rozwiązanie mogła przynieść tylko podróż do Afryki. Jedenastego czerwca wieczorem uczestnicy eksperymentu zdecydowali, że podejmą wszelkie działania, aby zorganizować - i opłacić - niecodzienną wyprawę.

Dwunastego czerwca cały zespół z niecierpliwością czekał na wynik pracy tłumaczy. Materiał źródłowy miał być opracowany w ciągu dwóch dni, lecz koszt podróży dwóch osób i Amy obliczono na trzydzieści tysięcy dolarów, co stanowiło poważny uszczerbek w rocznym budżecie. Co gorsza, transport goryla przez pół świata powodował szereg komplikacji celnych i biurokratyczne zamieszanie.

Elliot zdawał sobie sprawę, że potrzebuje pomocy eksperta, lecz nie miał pojęcia, do kogo powinien się zwrócić. Trzynastego czerwca odebrał telefon z

Houston. Doktor Karen Ross z Earth Resources Wildlife Fund stwierdziła, że za dwa dni poprowadzi ekspedycję w głąb Kongo. Choć obojętnie wysłuchała prośby Petera, okazywała - przynajmniej w czasie rozmowy telefonicznej - dużą znajomość problemów związanych z przygotowaniem do egzotycznej wyprawy.

Gdy spytała, czy może przyjechać do San Francisco, doktor Elliot z radością oświadczył, że będzie mu bardzo miło ją gościć.

3. Formalności

Czternasty czerwca 1979 roku na zawsze zapisał się w pamięci Petera Elliota jako dzień pełen niespodzianek. Wszystko zaczęło się już o ósmej rano, w biurze firmy prawniczej Sutherland, Morton & O'Connell z powodu zarzutów wysuwanych przez PPA - jeśli Amy miała bezpiecznie wyjechać za granicę, Elliot nie mógł dopuścić do rozprawy sądowej.

John Morton przyjął go w wyłożonej boazerią bibliotece, której okna wychodziły na Grant Street. W czasie rozmowy notował coś na żółtych kartkach papieru.

- Myślę, że to pan ma rację - zagaił - lecz chciałbym ustalić kilka faktów. Amy jest gorylem?

- Tak. Samicą goryla górskiego.

- Wiek?

- Siedem lat.

- To znaczy, że nadal jest dzieckiem?

Elliot wyjaśnił, że goryle osiągają pełną dojrzałość pomiędzy szóstym a ósmym rokiem życia, więc Amy można porównać do ludzkiego szesnastolatka.

Morton zapisał kilka słów.

- Czy można zaliczyć ją do grupy nieletnich?

- A trzeba?

- Myślę, że to istotne.

- Tak, w dalszym ciągu jest nieletnia - powiedział Elliot.

- Skąd pochodzi? To znaczy, gdzie się urodziła?

- Pewna turystka nazwiskiem Swenson znalazła ją w Afryce, w wiosce o nazwie Bagimindi. Matka Amy została zabita przez tubylców i zjedzona. Pani Swenson kupiła małpkę.

- Więc nie była urodzona w niewoli? - spytał Morton, notując szybko.

- Nie. Pani Swenson przywiozła ją do Stanów Zjednoczonych i umieściła w zoo w Minneapolis.

- Czy zrezygnowała z prawa własności?

- Myślę, że tak - odparł Elliot. - Próbowaliśmy się z nią skontaktować, aby ustalić kilka szczegółów z dzieciństwa Amy, lecz okazało się, że ponownie wyjechała z kraju. Dużo podróżuje; w tej chwili przebywa gdzieś na Borneo. W każdym razie, gdy

Amy znalazła się w San Francisco, spytałem dyrektora zoo w Minneapolis, czy mogę zatrzymać ją dla przeprowadzenia kilku badań. Zgodził się, by przez trzy lata zwierzę przebywało pod moją opieką.

- Odpłatnie?

- Nie.

- Czy podpisał pan jakiś dokument?

- Nie. Poprzestaliśmy na rozmowie. Morton skinął głową.

- Umowa ustna... - mruknął nie przerywając pisania. - Kiedy minęły ustalone trzy lata?

- Wiosną 1976 roku. Poprosiłem zoo, by przedłużyło termin na następne sześć lat, i uzyskałem zgodę.

- Także ustną?

- Tak. Rozmawialiśmy przez telefon.

- Nie było żadnej korespondencji?

- Nie. Dyrektor nie przejawiał większego zainteresowania całą sprawą. Prawdę mówiąc, myślę, że zapomnieli o Amy. Mają cztery inne goryle.

Morton zmarszczył brwi.

- Przecież goryl jest niezwykle cennym zwierzęciem. Gdyby ktoś chciał kupić go sobie do domu lub do cyrku...

- Goryl znajduje się na liście gatunków zagrożonych wyginięciem; nie można go kupić prywatnie. Lecz ma pan rację, ogrody zoologiczne płacą wysokie sumy.

- Jak wysokie?

- Nie ma ustalonej wartości rynkowej, lecz cena zwykle wynosi dwadzieścia... trzydzieści tysięcy dolarów.

- Przez cały czas próbował pan nawiązać kontakt ze zwierzęciem?

- Tak - odparł Peter. - Nauczyłem ją znaków amerykańskiego języka migowego.

W tej chwili posługuje się sześciuset dwudziestoma słowami.

- To dużo?

- Więcej niż udało się osiągnąć jakiegokolwiek innej małpie. Morton skinął głową.

- Czy codziennie przebywa pan ze zwierzęciem?

- Tak.

- Dobrze - powiedział Morton. - To bardzo istotne stwierdzenie dla dalszego postępowania.

Od ponad stu lat, w krajach Zachodu istniał zorganizowany ruch społeczny domagający się przerwania doświadczeń prowadzonych na zwierzętach. Prym wiodły stowarzyszenia przeciwników wiwisekcji, RSPCA i ASPCA, początkowo skupiające grupę zagorzałych miłośników zwierząt, którzy żądali zaprzestania wszelkich eksperymentów.

Naukowcy wypracowali z czasem rutynową linię obrony, w pełni akceptowaną przez prawników. Dowodzą, że doświadczenia umożliwiają rozwój medycyny i poprawę życia człowieka, co jest ważniejsze niż dobro innych stworzeń. Nikt przecież nie protestuje przeciwko temu, że od tysięcy lat zwierzęta wykorzystywane są do transportu i prac rolnych. Eksperymenty naukowe stanowią jedynie rozwinięcie idei o służebnej roli gatunków stojących na niższym stopniu rozwoju.

Poza tym, zwierzęta są prymitywne. Nie mają świadomości, nie zdają sobie sprawy z własnego istnienia. Filozof George H. Mead stwierdził: „Zwierzęta nie posiadają żadnych praw. Człowiek w każdej chwili może odebrać im życie i nie popełni żadnego przestępstwa. Nie ma straty...”

Wiele osób protestowało przeciwko takim poglądom, lecz wymagania prawa powodowały konieczność znalezienia odpowiedzi na dalsze pytania. Chodziło przede wszystkim o zwierzęta z niższych pięter skali filogenetycznej. Niektórzy badacze prowadzili doświadczenia na żywych psach, kotach i innych ssakach... a dżdżownice, raki, pijawki i mątwy? Ignorowanie praw tych stworzeń było formą „klasyfikacyjnej dyskryminacji”. Z drugiej strony, jeśli zasługiwały na opiekę, wrzucenie żywego homara do garnka z wrzątkiem należało także zaliczyć do czynów przestępczych.

Pytanie, co jest okrucieństwem wobec zwierząt, powodowało wiele zamieszania w organizacjach zajmujących się ochroną przyrody. Niektóre z nich domagały się nawet delegalizacji tępienia szczurów; w 1968 roku w Australii miał miejsce idiotyczny incydent w fabryce lekarstw². Sądy, w obawie przed ośmieszeniem, niechętnie ingerowały w działalność naukowców. Przerwano kontrolę, co spowodowało wzrost liczby eksperymentów. W latach siedemdziesiątych, tylko w Stanach Zjednoczonych ginęły rocznie sześćdziesiąt cztery miliony zwierząt.

² W zachodniej Australii powstał nowy zakład farmaceutyczny, wyposażony tylko w jedną linię produkcyjną. Wyznaczony pracownik sortował lekarstwa według kolorów, wciskając klawisz odpowiadający barwie pigułki. Pewien zoolog, zwolennik skinnerowskiej koncepcji nauczania programowego, zauważył, że podobne zadanie mogłyby pełnić odpowiednio wytresowane gołębie. Dyrektor fabryki niezbyt wierzył wywodom naukowca, jednak wyraził zgodę na przeprowadzenie testu. Ptaki pracowały znakomicie i zostały na stałe „zatrudnione” przy produkcji. Niestety, RSPCA zażądało zmiany decyzji, wysuwając przeciwko fabryce oskarżenie o okrucieństwo wobec zwierząt. Miejsce gołębi zajął ponownie człowiek, dla którego wspomniana praca najwyraźniej nie była zbyt okrutna, (przyp, autora)

Jednak wraz z upływem czasu zaszły istotne zmiany. Badania na delfinach i małpach udowodniły, że obie grupy zwierząt mają nie tylko wysoką inteligencję, lecz są w pełni świadome swego istnienia; potrafią rozpoznać swój wizerunek na fotografii oraz odbicie w lustrze. W 1974 roku grupa naukowców stworzyła organizację pod nazwą International Primate Protection League, kontrolującą przebieg doświadczeń z małpami. W marcu 1978 roku rząd Indii zakazał wywozu rebusów do laboratoriów na całym świecie. Kilka procesów dowiodło, że w niektórych przypadkach zwierzętom także przysługują pewne prawa.

Dawne poglądy miały wiele wspólnego z ideą niewolnictwa. Zwierzę stanowiło własność swego pana i było całkowicie zdane na jego łaskę. Teraz zasada własności zeszała na plan dalszy. W lutym 1977 roku pracownik laboratorium wypuścił na wolność samicę delfina imieniem Mary. Władze University of Hawaii oskarżyły go o umyślne spowodowanie utraty cennego zwierzęcia doświadczalnego. Dwa procesy zakończyły się umorzeniem postępowania.

Listopad 1978 roku przyniósł sprawę szympansa imieniem Arthur. Małpa biegle posługiwała się językiem migowym, lecz naukowcy z Johns Hopkins University postanowili zakończyć eksperyment i sprzedać zwierzę. Opiekun Arthura, William Levine, złożył pozew przeciwko uczelni twierdząc, że jego wychowanek nie może być traktowany jak zwykły szympanś.

- Wszyscy zwrócili uwagę na fakt - mówił Morton - że Arthur określał innych przedstawicieli swego gatunku jako „czarne rzeczy”. Gdy wręczono mu do posortowania zestaw fotografii z wizerunkami ludzi i szympanśów, wykonał zadanie bezbłędnie, lecz swoje zdjęcie umieścił w grupie „ludzie”. Eksperyment powtórzono; wynik był identyczny. Arthur nie uważał się za szympanśa. Sąd uznał, że powinien pozostać z dotychczasowym opiekunem, ponieważ każda zmiana mogła wywołać poważny wstrząs psychiczny.

- Amy płacze, gdy ją opuszczam - powiedział Elliot.

- Czy pytał ją pan o zgodę na prowadzenie testów?

- Za każdym razem - uśmiechnął się Elliot. Morton nie zdawał sobie sprawy, jak w praktyce wyglądały zasady postępowania z Amy. Nawet zwykła przejażdżka samochodem wymagała jej zgody. Małpa zdawała sobie sprawę ze swojej siły i potrafiła być niezwykle uparta.

- Czy może pan to udowodnić?

- Mam taśmy wideo.

- Czy Amy rozumie treść doświadczeń? Peter wzruszył ramionami.
- Twierdzi, że tak.
- Czy stosuje pan system kar i nagród?
- Wszyscy badacze tak robią. Morton zmarszczył brwi.
- Jakich kar używa pan względem Amy?
- Gdy jest wyjątkowo nieposłuszna, każę jej stać w kącie twarzą do ściany.

Czasem musi iść wcześniej spać i nie dostaje wieczorem kanapki z dżemem i masłem orzechowym.

- A tortury i elektrowstrząsy?
- Bzdury.
- Czy nigdy nie zastosował pan przemocy fizycznej?
- Amy jest dużym, silnym zwierzęciem. Czasem obawiam się, że to ona może zastosować przemoc.

Morton uśmiechnął się, po czym wstał.

- Wszystko będzie dobrze - oświadczył. - Każdy sędzia uzna, że Amy jest pańską wychowanicą i że do pana należy ostateczna decyzja w jej sprawie.

Zawahał się chwilę.

- Wiem, że moje pytanie może brzmieć dziwnie... Czy Amy mogłaby się pojawić na sali sądowej?

- Chyba tak - odparł Elliot. - Sądzi pan, że zajdzie taka konieczność?
- Nie teraz - stanowczo oświadczył Morton. - Lecz prędzej czy później...

Zobaczy pan, za dziesięć lat mała posługująca się językiem migowym wystąpi podczas procesu w roli świadka.

Elliot uściśnął wyciągniętą dłoń prawnika i skierował się w stronę wyjścia.

- Tak przy okazji... - Obejrzał się. -- Czy mógłbym spodziewać się kłopotów, gdybym chciał wywieźć ją za granicę?

- Jeśli zostanie wyznaczony termin rozprawy, będzie pan miał kłopoty nawet przy przekraczaniu granicy stanu - odpowiedział Morton. - Planuje pan podróż?

- Tak.

- W takim razie radzę, aby działał pan jak najszybciej i nikomu nie mówił o swoich planach.

Zaraz po dziewiątej Elliot pojawił się w swoim biurze, na trzecim piętrze budynku, w którym mieścił się Wydział Zoologii.

- Dzwoniła doktor Ross z Wildlife Fund - odezwała się na jego widok sekretarka, Carolyn. - Jest w drodze do San Francisco. Pan Hakamichi telefonował trzykrotnie; twierdził, że ma niezwykle ważną sprawę. O dziesiątej rozpoczyna się narada uczestników „Projektu Amy”, a Windy czeka w pańskim gabinecie.

- Naprawdę?

James „Windy” Weldon pełnił funkcję kierownika katedry, lecz był obdarzony słabym i chwiejnym charakterem. Studenckie karykatury przedstawiały go najczęściej jako starego marynarza, unoszącego ośliniony palec; zawsze wiedział, z której strony wieje wiatr. Przez kilka ostatnich dni skrupulatnie unikał Elliota i jego ekipy.

Peter wszedł do gabinetu.

- Och... cieszę się, że cię widzę, chłopcze - odezwał się Weldon. Z fałszywą serdecznością potrząsnął prawicą Elliota. - Wcześniej przyszedłeś.

Peter zrobił ponurą minę.

- Nie lubię przebijać się przez tłum - mruknął.

Pikietowanie budynków uczelni rozpoczynało się zwykle o dziesiątej, czasem później, w zależności od tego, o której przyjeżdżali dziennikarze. To też była nowość: demonstracja na zamówienie mass mediów.

- Już więcej nie przyjdą - uśmiechnął się Weldon.

Wręczył Elliotowi wieczorne wydanie „Chronicie”. Artykuł na pierwszej stronie był zakreślony grubą czarną linią. Eleanor Vries zrezygnowała z funkcji dyrektora lokalnego oddziału PPA, tłumacząc się przepracowaniem i kłopotami rodzinnymi. Zarząd stowarzyszenia wydał oświadczenie, że surowa ocena badań doktora Elliota okazała się pomyłką.

- To znaczy? - spytał Peter.

- Belli przejrzał twój artykuł oraz zapoznał się ze stanowiskiem pani Vries dotyczącym stosowania tortur i stwierdził, że PPA może zostać uwikłane w proces o zniesławienie - ciągnął Weldon. - W nowojorskim biurze organizacji wybuchła panika. Jeszcze dziś będą do ciebie dzwonić z przeprosinami. Mam nadzieję, że okażesz wyrozumiałość.

Elliot, zmęczony, opadł na krzesło.

- Co z zapowiedzianym na przyszły tydzień posiedzeniem rady wydziału?

- Och... to niezwykle istotna sprawa - stwierdził Weldon. - Bez wątplenia zajmiemy się surową oceną postępowania dziennikarzy i przedstawimy oświadczenie w pełni popierające twoją działalność. Właśnie zacząłem pracować nad treścią

dokumentu.

- Naprawdę? - spytał Elliot ze źle skrywaną ironią.

- Chyba nie wątpisz, że w dwustu procentach jestem po twojej stronie - zaperzył się Weldon. Nerwowo krążył po gabinecie, spoglądając na ściany pokryte rysunkami wykonanymi przez Amy. Widać było wyraźnie, że jeszcze nie zakończył rozmowy.

- Nadal maluje te same obrazki? - spytał w końcu.

- Tak - odparł Elliot.

- I wciąż nie masz pojęcia, co one oznaczają?

Elliot milczał przez chwilę. Uznał, że jeszcze za wcześnie, aby wtajemniczać kogokolwiek w najnowsze wyniki badań. Zwłaszcza Weldon.

- Nie - odpowiedział.

- Jesteś pewien? - Weldon zmarszczył brwi. - Myślę, że jest ktoś, kto potrafi rozwiązać tę zagadkę...

- Skąd to przypuszczenie?

- Ostatnio wydarzyło się coś dziwnego. Ktoś chce kupić Amy.

- Kupić?! O czym ty mówisz?

- Wczoraj zadzwonił do mnie prawnik z Los Angeles i zaoferował sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Pewnie bogaty miłośnik przyrody - westchnął Elliot. - Usiłował w ten sposób uchronić zwierzę od dalszych tortur.

- Mylisz się - odparł Weldon. - Po pierwsze, propozycja nadeszła z Japonii, od człowieka nazwiskiem Hakamichi powiązanego z przemysłem elektronicznym. Po drugie, prawnik telefonował dziś rano i podniósł cenę do dwustu pięćdziesięciu tysięcy.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - powtórzył Elliot. - Za Amy?

Oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru sprzedawać zwierzęcia.

Jednak fakt, że ktoś zaoferował tak ogromną sumę, wprowadził go w osłupienie.

Weldon miał własne zdanie na ten temat.

- Tylko prywatna firma jest w stanie wyłożyć na podobny cel ćwierć miliona dolarów. Chodzi o wielki przemysł. Hakamichi przeczytał o twoich doświadczeniach i doszedł do wniosku, że umiejętności mówiącej małpy można wykorzystać w praktyce.

- Spojrzał w sufit, co było wyraźnym znakiem, że zamierza popisać się elokwencją. - Widzę nowe możliwości dla naszej uczelni. Ośrodek szkolenia inteligentnych zwierząt

do zadań w przemyśle...

Elliot zaklął.

- Nie po to pracowałem z Amy, żeby włożyć jej na głowę kask ochronny i wcisnąć do łapy torbę z drugim śniadaniem.

- Powinieneś lepiej zastanowić się nad całą sprawą - odparł Weldon. - A jeśli w ten sposób zyskamy możliwość stworzenia małpom nowego środowiska? Pomyśl, co to oznacza. Nie tylko kolejne dotacje dla wydziału, lecz także możliwość podjęcia nowych doświadczeń. Co najważniejsze, stworzymy zwierzętom szansę przeżycia. Wiesz dobrze, że małpy człekokształtne są zagrożone wyginięciem. Drastycznie zmniejsza się liczba szympansów. Orangutany z Borneo giną wskutek systematycznego wycinania dżungli; przypuszczalnie za dziesięć lat gatunek ulegnie całkowitej *zagładzie*. W Afryce równikowej populacja goryli zmalała do trzech tysięcy osobników. Wszystkie te gatunki znikną z powierzchni ziemi jeszcze za naszego życia. Chyba że znajdziemy jakieś inne wyjście. Pomyśl o tym.

Elliot przyjął radę Weldona. O dziesiątej, podczas spotkania z pozostałymi uczestnikami eksperymentu, rozpoczął dyskusję na temat możliwości wykorzystania umiejętności małp w różnych gałęziach przemysłu. Ktoś wspomniał o korzyściach dla pracodawców: brak związków zawodowych i rozbudowanego systemu ubezpieczeń mógł stanowić istotną kartę przetargową (w 1978 roku wydatki na opiekę socjalną pracowników zakładów samochodowych z Detroit przekroczyły koszt stali zużytej podczas produkcji).

Większość członków ekipy wyrażała pogląd, że wizja „małp--robotników” jest co najmniej dziwaczna. Amy nie przypominała bezmyślnej karykatury człowieka - wręcz przeciwnie, była inteligentnym i bardzo wrażliwym stworzeniem, nie pasującym do zmechanizowanego modelu świata. Potrzebowała specjalistycznej opieki; miała kapryśny charakter i łatwo zapadała na zdrowiu. Jeśli Hakamichi chciał posadzić małpy przy taśmie, aby produkowały telewizory i sprzęt hi-fi, to był po prostu źle poinformowany.

Jedynе poważne ostrzeżenie padło z ust psychologa, Bergmana.

- Ćwierć miliona dolarów to kupa forsy - powiedział. - Hakamichi nie jest idiotą. Skoro widział rysunki Amy, z pewnością wie, że ma do czynienia ze zwierzęciem neurotycznym i niełatwym we współżyciu. Uważam, że to właśnie te rysunki przyciągnęły jego uwagę, choć nie mam pojęcia, dlaczego mogą być warte

dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Nikt z obecnych również tego nie wiedział i tematem dalszej dyskusji stały się prace Amy oraz niedawno przetłumaczone teksty arabskie o Kongo. Sarah Johnson rozpoczęła swą wypowiedź od stwierdzenia:

- Nie mam najlepszych wieści ³.

Z jej dalszych wyjaśnień wynikało, że dzieje Kongo były mało znane. Dawni Egipcjanie zamieszkujący brzegi górnego odcinka Nilu wiedzieli jedynie, że ich rzeka bierze początek ze źródeł leżących gdzieś na południu, w tajemniczym miejscu określanym jako „Kraj Drzew”, gdzie w ciągu dnia było tak ciemno jak nocą, ponieważ gęsty las przesłaniał blask słońca. W owej ponurej krainie żyły dziwne stworzenia: czarno-białe zwierzęta i maleńcy ludzie z ogonami.

Minęło cztery tysiące lat, nim pojawiły się nowe informacje. W VII wieku n.e. do Afryki Zachodniej przybyli Arabowie poszukujący złota, kości słoniowej, przypraw korzennych i niewolników. Żeglowali wzdłuż wybrzeża i nie mieli ochoty zapuszczać się w głąb kontynentu. Afrykę środkową nazwali „Zinj” - „Kraj Czarnych” - i byli przekonani, że jest to baśniowy obszar, skąd wywodzą się wszelkie podania i legendy. Opowiadali o olbrzymim lesie, ogoniastych karłach, górach plujących ogniem i zasłaniających niebo czarną chmurą, wioskach zamieszkałych przez małe utrzymujące stosunki z miejscowymi kobietami, owłosionych i płaskonosych olbrzymach, stworzeniach przypominających pół-człowieka i pół-lamparta oraz o targowiskach, na których ludzkie mięso sprzedawano jako najdelikatniejszy przysmak.

Tym podobne historie mogły odstraszyć nawet największych śmiałków, choć jednocześnie wspominano o górach ze złota, korytach rzek usianych diamentami, zwierzętach mówiących ludzkim językiem i ukrytych w głębi dżungli cywilizacjach pławiących się w niewyobrażalnym przepychu. Jedną z opowieści dość często pojawiającą się we wczesnych relacjach: legenda o zaginionym mieście Zinj.

Zgodnie z treścią przekazu, miasto znane było starożytnym Hebrajczykom jako ogromny skarbiec pełen diamentów. Szlak wiodący do bram grodu stał się pilnie strzeżoną tajemnicą, przekazywaną przez pokolenia z ojca na syna. Lecz klejnotów poczęło brakować, kopalnie opustoszały, a ruiny budynków zniknęły pod zielonym płaszczem dżungli. Dawny szlak karawan również nie istniał; ostatni człowiek, który

³ Zebrane przez nią informacje pochodziły przede wszystkim z pracy A.J. Parkinsona pt. „Delta Kongo — mity i fakty” („The Congo Delta in Myth and History”), wydanej w Londynie w 1904 roku. (przyp. autora)

wiedział, gdzie go szukać, zabrał tajemnicę do grobu kilkaset lat temu.

Legendarne miejsce zachowało arabską nazwę Zinj⁴, lecz Sarah znalazła niewiele informacji na temat samego miasta. W 1187 roku pewien Arab zamieszkały w Mombasie, Ibn Baratu, zanotował, że „okoliczni tubylcy prawią [...] o ukrytym w głębi kraju osiedlu zwanym Zinj. Czarni mieszkańcy grodu żyli w luksusie i nawet niewolników stroili w klejnoty, szczególnie zaś lubowali się w błękitnych brylantach, bowiem ziemia kryła niezliczone bogactwa”.

W 1292 roku Pers imieniem Mohammed Zaid opisał „ogromny brylant [wielkości] ludzkiej pięści [...] wystawiony na widok publiczny w Zanzibarze. Powiadają, że przywieziono go z dżungli, gdzie można odnaleźć ruiny miasta Zinj i gdzie podobne klejnoty występują w dużej obfitości, rozrzucone na ziemi lub zatopione w korycie rzeki...”

W 1334 inny Arab, Ibn Mohammed, zamieścił w swym dzienniku następujące uwagi: „Poczyniliśmy pewne starania, aby odnaleźć Zinj, lecz przyszło nam zrezygnować, gdy otrzymaliśmy wieść, że miasto od dawna jest opuszczone i zrujnowane. Opis głosi, że budynki wyglądają cudacznie, a wszystkie okna i drzwi mają kształt półksiężyca. Ponoć ruiny zamieszkuje dziwna rasa kudłatych ludzi, porozumiewająca się szeptem w nieznanym języku...”

Później do zachodnich brzegów Afryki dotarli niestrudzeni odkrywcy, Portugalczycy. W 1544 roku podjęli wyprawę w górę rzeki Kongo, lecz szybko napotkali przeszkody, które przez kilka następnych stuleci skutecznie broniły wstępu w głąb dżungli. Trzysta dwadzieścia kilometrów od ujścia (tam, gdzie kiedyś znajdowało się Leopoldville, a obecnie Kinszasa) rzeka okazała się nieżeglowna z powodu bystrzyn i wodospadów, w okolicy zaś krążyły plemiona ludożerców. Duszne, wilgotne powietrze tropikalnego lasu było siedliskiem wielu chorób - malarii, śpiączki i żółtej febry - które dziesiątkowały białych podróżników.

Portugalczykom nie udało się spenetrować środkowego obszaru Kongo. Anglicy także ponieśli klęskę; ekspedycja kapitana Brennera zaginęła bez śladu w 1644 roku. Przez dwieście lat Afryka równikowa była białą plamą na mapach cywilizowanego świata.

Ówczesni podróżnicy chętnie powtarzali zasłyszane legendy, wśród nich

⁴ Na kanwie podań o zaginionym mieście Zinj powstała popularna powieść H. Rider Haggarda pt. „Kopalnie króla Salomona”, opublikowana po raz pierwszy w 1885 roku. Autor książki, utalentowany lingwista, w 1875 roku otrzymał stanowisko sekretarza gubernatora Natalu i prawdopodobnie wówczas usłyszał wspomnianą legendę opowiadaną przez Zulusów. (przyp, autora)

opowieść o Zinj. W 1642 roku portugalski grafik i malarz, Juan Diego de Yaldez, wykonał popularny sztych przedstawiający ruiny miasta.

- Poza tym malował ludzi z ogonami i małpy napastujące murzyńskie kobiety - stwierdziła Sarah Johnson.

Ktoś jęknął.

- Yaldez prawdopodobnie był kaleką - ciągnęła dziewczyna. - Spędził życie w portowym mieście Setubal, pijąc z marynarzami i rysując ilustracje do ich opowieści.

Pierwsze poważne badania Afryki podjęli w połowie dziewiętnastego wieku Burton i Speke, Baker i Livingstone, a przede wszystkim Stanley. Żaden z nich nie znalazł ruin Zaginionego Miasta. Od stu lat nikt nie wspominał o Zinj.

Wśród uczestników narady zapanowało przygnębienie.

- Mówiłam, że nie mam najlepszych wieści - mruknęła Sarah.

- Z twoich ustaleń wynika - odezwał się Peter Elliot - że sztych powstał na podstawie ustnej relacji i nawet nie mamy pewności, gdzie zacząć poszukiwania.

- Obawiam się, że jest jeszcze gorzej - odpowiedziała Sarah. - Brak jednoznacznych dowodów, że miasto w ogóle istniało. To tylko legenda.

4. Rozwiązanie

Peter Elliot był typowym dzieckiem dwudziestego wieku - ufnym w moc komputerów i rzetelność informacji przekazywanych za pomocą symboli, tabel i wykazów. Wiadomość, że wypełniony detalami sztych jest jedynie produktem wyobraźni utalentowanego artysty, okazała się dla niego prawdziwym szokiem.

W świetle ostatnich wydarzeń projekt podróży do Kongo wydał mu się dziecięco naiwny. To, że rysunki Amy przypominały obraz Yaldeza, było bez wątpienia dziełem przypadku. Jak choć przez chwilę mógł przypuszczać, że opowieść o Zaginionym Mieście jest czymś więcej niż starą legendą? W siedemnastym wieku podobne historie poszerzały horyzonty myślowe słuchaczy i stanowiły inspirację do podjęcia działań. Lecz w skomputeryzowanej rzeczywistości dwudziestego stulecia Zinj było czymś równie nierealnym jak Camelot czy Xanadu. Tylko głupiec mógłby uwierzyć w coś podobnego.

- Zaginione miasto nie istnieje - powiedział głośno.

- Owszem, istnieje - usłyszał kobiecy głos. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Elliot uniósł głowę. To nie był głos Sarah. W rogu pomieszczenia stała wysoka, smukła dziewczyna, nie więcej niż dwudziestopięcioletnia. Można by ją uważać za piękną, gdyby nie chłodny, zniechęcający sposób zachowania. Miała na sobie ciemny, dwuczęściowy kostium, a w ręku trzymała niewielki neseser.

- Jestem Karen Ross z Wildlife Fund - oświadczyła. Postawiła neseser na stole i otworzyła zamki. - Chciałabym zasięgnąć opinii na temat tych fotografii.

Wręczyła plik zdjęć najbliższej siedzącej osobie. Wśród zgromadzonych rozległy się westchnienia i ciche gwizdy. Elliot czekał z niecierpliwością, aż fotografie dotrą do niego.

Czarno-białe kadry pokrywały poziome pasy zakłóceń. Obraz pochodził z ekranu telewizyjnego, lecz Elliot nie miał wątpliwości, co przedstawia: porośnięte dżunglą ruiny budynków o dziwnych, półkolistych wyciętych otworach drzwi i okien.

5. Amy

- Przez satelitę? - powtórzył Elliot napiętym głosem.

- Tak. Zdjęcia pochodzą z przekazu satelitarnego przesłanego z Afryki dwa dni temu.

- W takim razie... zna pani dokładne położenie tych ruin?

- Oczywiście.

- I dowodzona przez panią ekspedycja wyrusza za kilka godzin?

- Dokładnie za sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty - odpowiedziała Karen, spoglądając na zegarek.

Elliot zakończył naradę i ponad godzinę spędził z niezwykłym gościem. Później twierdził, że doktor Ross fałszywie przedstawiła mu cel wyprawy i zbagatelizowała niebezpieczeństwo grożące uczestnikom. Jednak w czasie rozmowy był tak przejęty możliwością wyjazdu, że z dużym roztargnieniem słuchał słów Karen. Przez całe lata mógł pracować dzięki dotacjom, to spowodowało, że nie czuł zażenowania, gdy oczekiwania sponsorów niezbyt zgadzały się z jego motywacjami. To był cynizm - cecha konieczna, by prowadzić doświadczenia naukowe: ile mogą kosztować badania nad nowym lekarstwem przeciwko nowotworom? Niejeden profesor obiecywał rewelacyjne wyniki, aby otrzymać niezbędne fundusze.

Elliot nie przypuszczał ani przez chwilę, że sam stanie się obiektem manipulacji. Karen nie była całkiem szczerą; otrzymała wyraźne polecenie Trávisa, aby plan ekspedycji przedstawić „z pominięciem kilku szczegółów”. Postępowała rutynowo; każdy pracownik ERTS-u mówił jedynie tyle, ile uważał za konieczne. Elliot popełnił poważny błąd, traktując ją jak zwykłą przedstawicielkę organizacji wspierającej rozwój nauki.

W czasie rozmowy obie strony zachowywały daleko posuniętą ostrożność. Peter sprawiał wrażenie nieśmiałego i wystraszonego chłopca. Podobną postawę przyjmował często w czasie spotkań z nieznanymi. Jak zauważył jeden z wykładowców: „Nic dziwnego, że poświęcił życie małpom - z ludźmi nie potrafiłby rozmawiać”. Mało kto wiedział, że w szkole średniej Elliot był najtwardszym i najbardziej skutecznym obrońcą w drużynie futbolowej. Także w pracy zawodowej wykazywał upór i zdecydowanie w dążeniu do celu.

Podobnie Karen Ross... mimo dziewczęcej urody i miękkiego, uwodzicielskiego tonu głosu była inteligentna i miała niespotykaną u kobiet siłę charakteru (wcześnie

wydoroślała; wychowawczyni z gimnazjum określiła ją mianem „najdoskonalszego kwiecia wśród twardych niewiast Teksasu”). Czuła się odpowiedzialna za los, jaki spotkał uczestników pierwszej ekspedycji, i chciała naprawić swój domniemany błąd. Zdecydowała, że Peter i Amy mogą okazać się pomocni podczas wyprawy, a to stanowiło wystarczający powód, aby dołączyli do ekipy. Poza tym niepokoiła ją wzmożona aktywność konsorcjum, czego dobitnym dowodem były telefony od Hakamichiego. Wyjazd Elliota mógł w pewnym stopniu zmniejszyć zagrożenie, nie mówiąc już o tym, że jego obecność stanowiła dodatkowe alibi w razie przypadkowego spotkania patroli granicznych.

A przede wszystkim... Karen chciała odnaleźć złoża diamentów - i poświęciłaby wszystko, aby jak najprędzej dotrzeć do celu.

Na zdjęciu wykonanym w porcie lotniczym San Francisco, Karen Ross i Peter Elliot wyglądają jak para młodych naukowców, którzy z niecierpliwością oczekują rozpoczęcia wyprawy. Prawdziwe uczucia skrywali pod maską wesołości. Peter nie miał zamiaru przyznać, że kieruje nim chęć znalezienia odpowiedzi na pewne pytania, a Karen - że spodziewa się czysto pragmatycznych osiągnięć. Jakkolwiek było, czternastego czerwca znaleźli się w rozklekotanym fiacie zmierzającym wzdłuż Hallowell Road na drugą stronę uniwersyteckiego boiska. Karen odczuwała pewien niepokój; jechała na spotkanie z Amy.

Elliot przekręcił klucz w drzwiach opatrzonych napisem: NIE WCHODZIĆ - DOŚWIADCZENIA W TOKU. Z wnętrza dobiegały niespokojne pomruki i skrzypienie. Mężczyzna przystanął.

- W czasie spotkania musisz pamiętać, że masz do czynienia z gorylem, a nie z człowiekiem - powiedział. - Ten gatunek małp przestrzega własnych reguł zachowania. Nie mów zbyt głośno, ani nie wykonuj gwałtownych ruchów. Uśmiechając się nie pokazuj zębów; wśród goryli jest to oznaką agresji. Patrz w dół, ponieważ spoglądanie prosto w oczy peszy każde zwierzę. Amy potrafi być bardzo zazdrosna.

Stój z dala ode mnie i nie próbuj mnie dotykać. Cały czas mów prawdę. Amy dość dobrze rozumie po angielsku i z reguły nie musimy korzystać z języka migowego. Potrafi rozpoznać kłamstwo i daje odczuć swoją niechęć.

- W jaki sposób?

- Każe ci wyjść, przestanie odpowiadać na pytania i będzie robić złośliwe miny.

- Coś jeszcze?

- Nie. - Uśmiechnął się uspokajająco. - Zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze. Zaraz odbędzie się tradycyjne powitanie, choć czasem myślę, że jest już zbyt duża na podobne czułości.

Spreżył całe ciało, otworzył drzwi i powiedział:

- Dzień dobry, Amy.

Potężna czarna małpa wyskoczyła z głębi przyczepy i rzuciła mu się w ramiona. Peter zachwiał się pod wpływem impetu. Karen stała bez ruchu, zdumiona wielkością zwierzęcia. Spodziewała się czegoś mniejszego i... miłszego. Amy dorównywała wzrostem przeciętnej kobiecie.

Małpa cmoknęła mięsistymi ustami policzek mężczyzny. Jej czarna głowa wydawała się nienaturalnie wielka. Okulary Petera zaparowały od oddechu zwierzęcia, a Ross poczuła słodkawy zapach. Peter delikatnie wyplątał się z uścisku długich ramion.

- Amy dzisiaj szczęśliwa? - spytał.

Zwierzę wykonało kilka szybkich ruchów palcami, jakby opędzało się od natrętnych owadów.

- Nieco się spóźniłem, to prawda - przyznał Elliot.

Małpa ponownie poruszyła palcami i Karen nareszcie zrozumiała, że to był język znaków. Nie posiadała się ze zdumienia; myślała, że „rozmowa” będzie przebiegać znacznie wolniej i z namaszczeniem. Amy nie spuszczała wzroku z twarzy Petera. Była niezwykle czujna, jakby wszystkimi zmysłami chłonęła każdy jego gest, każde słowo i ton głosu.

- Musiałem pracować - usprawiedliwił się Elliot. Amy westchnęła, wykonując całkiem ludzki gest rezygnacji.

- To prawda, ludzie wciąż pracują.

Peter wprowadził swą podopieczną do wnętrza przyczepy i skinął na czekającą Karen.

- Amy, to jest pani doktor Ross. Przywitaj się. Małpa zerknęła podejrzliwie na kobietę.

- Cześć, Amy - powiedziała Karen. Uśmiechnęła się w stronę podłogi. Było jej głupio, że musi zachowywać się w ten sposób, lecz jednocześnie odczuwała strach przed potężnym zwierzęciem.

Amy wytrzeszczyła na gościa oczy, po czym odeszła w głąb pomieszczenia, gdzie stała sztaluga. Palcami zaczęła rozprowadzać farbę, pozornie nie zwracając

uwagi na otoczenie.

- Co to znaczy? - spytała Karen. Czuła się nieco urażona zachowaniem gorylicy.

- Zobaczymy - odparł Elliot.

Chwilę później Amy porzuciła malowanie i wspierając się na przednich łapach podeszła wprost do kobiety. Obwąchała jej łono i poddała całą sylwetkę szczegółowym oględzinom. Szczególnie zainteresowała małą skórzana torebka zaopatrzona w błyszczący zamek. Karen Ross stwierdziła później: „Czułam się jak na snobistycznym przyjęciu. Byłam obserwowana przez inną kobietę i miałam wrażenie, że zaraz usłyszę pytanie, gdzie kupiłam swoje ciuchy”.

Stało się jednak inaczej. Amy uniosła dłoń i z premedytacją strząsnęła kilka kropel zielonej farby na spódnicę Karen.

- Nie idzie nam zbyt dobrze - mruknęła kobieta.

Elliot obserwował zachowanie gorylicy z dużo większym zaniepokojeniem, niż chciałby się do tego przyznać. Amy niełatwo nawiązywała kontakt z obcymi ludźmi, zwłaszcza z kobietami. Już dawno zauważył, że ma wiele cech charakterystycznych dla „płci pięknej”. Potrafiła udawać niewiniątko, była czuła na pochlebstwa, lubiła zwracać na siebie uwagę, uwielbiała makijaż i z dużą starannością dobierała kolory swetrów, które nosiła zimą. Woląла przebywać w towarzystwie mężczyzn niż kobiet i z wyraźną zazdrością odnosiła się do przyjaciółek Petera. Co prawda spotykała je rzadko, lecz czasem wyczuwała na ubraniu mężczyzny zapach damskich perfum i nie potrafiła powstrzymać się od komentarzy.

Sytuacja z pozoru wyglądałaby zabawnie, gdyby nie fakt, że mała czasem atakowała nieproszonych gości. Atak Amy zaś nie miał w sobie nic śmiesznego.

Tym razem spokojnie powróciła do sztalugi.

Nie lubi kobieta nie lubi Amy nie lubi idź sobie idź - zasygnalizowała.

- Co ona mówi? - spytała Karen usiłując zetrzeć farbę ze spódnicy. Peter z ulgą stwierdził, że nie miała zamiaru krzyżeć i piszczeć, jak czyniły niektóre osoby źle potraktowane przez Amy.

- Powiedziała, że podoba jej się twój sposób ubierania - odparł.

Amy szybko spojrzała w jego stronę. Postępowała tak zawsze, gdy źle przetłumaczył jej słowa.

Amy nie kłamie Peter nie kłamie.

- Bądź grzeczna, Amy - powiedział. - Karen jest bardzo miłą osobą.

Małpa warknęła ponuro i z zapalem powróciła do malowania.

- Co teraz? - spytała Karen.

- Dajmy jej nieco czasu - uspokajająco uśmiechnął się Peter. - Musi oswoić się z sytuacją.

Nie zagłębiał się w wyjaśnienia, że z innymi małpami bywało gorzej. Szympany rzucały fekaliami nawet w swych opiekunów, a od czasu do czasu atakowały ludzi, aby podkreślić swą dominację. Miały silną potrzebę określenia hierarchii. Na szczęście, goryle były bardziej powściągliwe i nie przywiązywały wagi do stosunków panujących w „stadzie”.

W tej samej chwili Amy zerwała arkusz ze sztalugi, po czym podarła go gwałtownie, rozsypując skrawki po podłodze.

- Już się oswoiła? -- odezwała się Karen. Wyglądała bardziej na rozbawioną niż przestraszoną.

- Amy, przestań - upomniał ją Peter podniesionym głosem. - Amy...

Małpa z wyraźną złością usiadła pośrodku pomieszczenia i dalej szarpała resztki papieru.

Ta kobieta. Ta kobieta - sygnalizowała.

Było to typowe „zachowanie zastępcze”. Jeśli goryl nie czuł satysfakcji po bezpośrednim przejawie agresji, robił coś symbolicznego. Rozdzierane kawałki papieru zastępowały Karen.

Peter zauważył, że zwierzę weszło w pierwszą fazę „sekwencji”, jak podobne zachowanie nazywali członkowie ekipy. U ludzi wyglądało to nieco inaczej: rozgniewany człowiek czerwieniał na twarzy, napinał mięśnie, po czym zaczynał krzyczeć i rzucać różnymi przedmiotami, nim przeszedł do rzeczywistego ataku. Goryl darł papier lub trawę i z gniewnym pomrukiem dreptał na boki. Po chwili walił w ziemię, starając się wywołać jak najwięcej hałasu.

Jeśli „sekwencja” nie została przerwana - atakował.

- Amy - powiedział surowo Peter - Karen kobieta guziki.

Małpa znieruchomiała. W jej świecie słowo „guziki” oznaczało najwyższy status danej osoby.

Obdarzona wyjątkowo dużą zdolnością obserwacji, z łatwością rozpoznawała zależności panujące wśród ludzi, z którymi spotykała się codziennie; zwłaszcza wśród członków ekipy. Z nieznanymi osobami nie potrafiła sobie poradzić. Tradycyjne oznaki pozycji społecznej - ubiór, postępowanie i sposób prowadzenia rozmowy - nie

miały dla niej żadnego znaczenia.

Gdy była bardzo młoda, bez powodu atakowała policjantów. Dopiero po kilku nieprzyjemnych incydentach i groźbach Peter domyślił się, że pogardliwie traktowała mundury ozdobione błyszczącymi guzikami. Była przekonana, że musi okazać swą wyższość wobec tak śmiesznie ubranej osoby. Naukowcy stracili wiele czasu, aby zmienić poglądy zwierzęcia, lecz w końcu dopięli swego. Amy nauczyła się traktować „guziki” z należytych respektem.

Teraz z nowym zainteresowaniem spoglądała na Karen. Otoczona skrawkami papieru wyglądała na szczerze zmartwioną, jakby popełniła towarzyski nietakt. Bez ponaglenia podniosła się i stanęła w kącie twarzą do ściany.

- Co się stało? - spytała kobieta.

- Zrozumiała, że była niegrzeczna.

- Każesz jej stać w kącie, niczym nieposłusznemu dziecku? Przecież nie zrobiła nic złego.

Nim Peter zdążył zareagować, podeszła do Amy. Małpa z uporem wpatrywała się w ścianę.

Karen postawiła torebkę na podłodze. Przez chwilę nic się nie wydarzyło. Potem Amy wzięła torebkę, zerknęła na kobietę i skierowała wzrok na Petera.

- Zniszczy wszystko, co jest w środku - powiedział Elliot.

- Nie szkodzi.

Amy bez trudu otworzyła zamek i wysypała zawartość torebki na podłogę. Przez chwilę grzebała wśród rozrzuconych kosmetyków.

Szminka szminka Amy lubi Amy chce szminka chce.

- Chce szminkę.

Karen pochyliła się i znalazła żądany przedmiot. Amy zdjęła nasadkę i nabazgrała czerwone kółko na policzku kobiety. Później uśmiechnęła się, wydała uszczęśliwiony pomruk i pomknęła w drugi koniec pokoju, gdzie stało lustro przymocowane do podłogi. Zaczęła malować szminką usta.

- Chyba tym razem poszło lepiej - zauważyła Karen.

Amy tkwiła przed zwierciadłem, smarując sobie twarz coraz bardziej. Uśmiechnęła się do odbicia, po czym pomalowała szminką zęby. Peter zdecydował, że czas zadać najważniejsze pytanie.

- Amy chce pojechać w podróż?

Małpa uwielbiała wycieczki i traktowała je jako rodzaj wyróżnienia. Po

szczególnie udanym dniu Peter zabierał ją do pobliskiej kawiarni, gdzie mogła popijać przez słomkę sok pomarańczowy i cieszyć się z zainteresowania, jakim darzyli ją inni goście. Szminka i podróż... Nie spodziewała się, że w ciągu jednego poranka dozna tyle radości.

Podróż samochodem? - spytała.

- Nie. Długa podróż. Wiele dni.

Opuścić dom?

- Tak, opuścić dom. Wiele dni.

To obudziło jej podejrzania. Jedyne wielodniowe wyjazdy, w jakich brała udział, oznaczały pobyt w szpitalu i niezbyt przyjemną kurację, gdy była przeziębiona lub miała zapalenie układu moczowego.

Dokąd podróż? - zasygnalizowała.

- Do dżungli, Amy.

Nastąpiła długa przerwa. Peter myślał, że małpa nie zrozumiała jego słów, choć doskonale znała wyraz „dżungla” i była zdolna połączyć wszystkie informacje w logiczną całość. Amy z namysłem „mówiła” do siebie, co czyniła zawsze, gdy zastanawiała się nad jakimś problemem.

Dżungla podróż podróż dżungla jedzie podróż dżungla jedzie.

Odłożyła szminkę. Spojrzała na rozrzucone po podłodze kawałki papieru, po czym zaczęła je zbierać i wkładać do kosza na śmieci.

- Co to znaczy? - spytała Karen.

- To znaczy, że Amy wybiera się w podróż - odparł Peter.

6. Wyjazd

Uniesiony wysoko nos transportowego boeinga 747 przypominał rozwartą paszczę krwiożerczego potwora. Samolot przyleciał z Houston do San Francisco późnym popołudniem. O dwudziestej pierwszej zdumieni pracownicy lotniska wnieśli do ładowni dużą aluminiową klatkę, kilka kartonów witamin, nocnik i pudło z zabawkami. Jeden z mężczyzn wyciągnął kubek ozdobiony wizerunkiem Mickey Mouse i potrząsnął głową.

Peter i Amy stali w pobliżu pasa startowego. Małpa zakrywała uszy, żeby nie słyszeć gwizdu pracujących silników.

Ptaki głośno - zasygnalizowała Peterowi.

- Polecimy ptakiem, Amy - odparł.

Małpa nigdy dotąd nie podróżowała samolotem; nawet nie była w pobliżu lotniska.

Jedzie samochodem - zdecydowała.

- Nie możemy pojechać samochodem. Polecimy samolotem.

Polecimy gdzie polecimy?

- Polecimy do dżungli.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, lecz Peter powstrzymał się od dalszych wyjaśnień. Jak wszystkie goryle, Amy miała wstręt do wody i nie dawała się namówić do przekroczenia choćby najmniejszego strumienia. Wiadomość, że będą lecieć nad ogromnym akwenem, mogłaby ją poważnie zaniepokoić. Peter wołał zmienić temat - zaproponował, że wejdą do samolotu. Gdy wspięli się po rampie, Amy spytała:

Gdzie kobieta-guziki?

W ciągu ostatnich pięciu godzin Peter nie widział Karen. Teraz ze zdziwieniem zauważył ją. Kobieta rozmawiała przez telefon wiszący na ścianie ładowni; dłonią zakrywała ucho i usiłowała przekrzyczeć hałas. Do Elliota docierały jedynie fragmenty rozmowy.

- To chyba wystarczy, Irving... Tak, mamy cztery dziewięć zero siedem i jesteśmy w pełni przygotowani. Dwa mikro HUD-y, to wszystko... Owszem, dlaczego nie?

Zakończyła rozmowę i odwróciła się w stronę nowo przybyłych.

- Wszystko w porządku? - spytał Elliot.

- Tak. Oprowadzę was.

Poszli w głąb ładowni. Peter spojrzął za siebie i zobaczył na rampie kolejnego pracownika niosącego kilka ponumerowanych metalowych skrzynek oznaczonych napisem INTEC, INC.

- To główna część ładowni - odezwała się Karen.

W samolocie znajdowało się kilka samochodów terenowych, amfibii, niezatopialnych łodzi oraz całe góry ubrań, wyposażenia polowego i żywności - wszystko oznaczone kodem paskowym i starannie zapakowane. Kobieta wyjaśniła, że ERTS może w ciągu kilku godzin zorganizować wyprawę w dowolne miejsce na kuli ziemskiej. Nie zapomniała podkreślić, że podobną szybkość działania osiągnano wyłącznie dzięki komputerom.

- Skąd ten pośpiech? - spytał Peter.

- Takie są wymagania biznesu - odpowiedziała Karen. - Cztery lata temu nie było przedsiębiorstw podobnych do ERTS-u. Teraz jest ich dziewięć i wszystkie chcą być najlepsze. Liczy się przede wszystkim szybkość. W latach sześćdziesiątych każda z kompanii naftowych mogła sobie pozwolić na wielomiesięczne lub nawet wieloletnie poszukiwania właściwego złoża. Dziś jest inaczej; decyzje zapadają w ciągu kilku dni. Przypuszczam, że w latach osiemdziesiątych wystarczy parę godzin, aby uzyskać żadaną informację. W tej chwili ERTS może przedstawić pełny wykaz danych w ciągu trzech tygodni, jednak do 1990 roku czas oczekiwania skróci się jeszcze bardziej. Jeśli dyrektor przedsiębiorstwa eksploatacyjnego zatelefonuje do nas rano z poleceniem zebrania informacji o dowolnym obszarze świata, to nim skończy godziny urzędowania, odpowiedź będzie czekała na jego biurku.

Przeszli dalej. Elliot zauważył, że prócz ciężarówek oraz innych pojazdów większą część wyposażenia stanowiły aluminiowe skrzynki oznaczone symbolem C31.

- Command-Control Communications and Intelligence, czyli sterowany głosem system komunikacji i wywiadu. Do jego budowy wykorzystano mikroprocesory - wyjaśniła Karen. - Najdroższa część ekwipunku. Gdy zaczynaliśmy, wydatki na elektronikę nie przekraczały dwunastu procent rocznego budżetu. W tej chwili wynoszą trzydzieści jeden procent i wciąż rosną. Łączność, sondy, systemy ochronne i tak dalej...

Zaprowadziła ich na tył samolotu, do części przeznaczonej dla pasażerów, gdzie prócz miejsc do spania znajdowało się kilka stanowisk pracy oraz pokaźnych rozmiarów komputer.

Ładny dom - ucieszyła się Amy.

- Tak, bardzo ładny.

Karen przedstawiła im młodego geologa z gęstą brodą, Jensena, oraz Irvinga Levine'a, który oświadczył, że jest „potrójnym E”. Obaj mężczyźni krzatali się przy komputerze, lecz przerwali pracę, aby uścisnąć dłoń Amy. Małpa obdarzyła ich ponurym spojrzeniem, po czym wlepiała wzrok w ekran. Była wyraźnie zafascynowana kolorowymi obrazkami i usiłowała nacisnąć któryś z klawiszy.

Amy bawi się pudełko - zasygnalizowała.

- Później - odparł Elliot i odsunął jej łapę z klawiatury.

- Zawsze zachowuje się w ten sposób? - spytał Jensen.

- Niestety - powiedział Elliot. - Uwielbia komputery. Jest 7. nimi zaznajomiona od dzieciństwa i w pewnym sensie uważa je za swoją własność.

Umilkł na chwilę, po czym spytał:

- Co znaczy „potrójne E”?

- „Ekspedycyjny ekspert od elektroniki” - odparł wesoło Irving. Kpiący uśmiech często gościł na jego twarzy. - Usiłuję zapanować nad całym tym bałaganem. Dostaliśmy nieco sprzętu od Intecu, ale Bóg jeden wie, co szykują Japończycy i Germanie.

- Uparta sztuka - wtrącił ze śmiechem Jensen, wskazując na Amy. Małpa nacisnęła kilka klawiszy.

- Amy, nie! - zawołał Peter.

- To tylko zabawa. Zaraz jej się znudzi - powiedział uspokajającym tonem Jensen. - Nie może niczego popsuć.

Amy dobry goryl - zasygnalizowała małpa i wcisnęła kolejne klawisze. Wyglądała na zupełnie spokojną. Elliot w głębi ducha czuł ulgę, że komputer odwrócił jej uwagę od przygotowań do odlotu. Zawsze bawił go widok ciemnej, kudłatej sylwetki pochylonej nad terminalem. Amy z namysłem przyłożyła palec do dolnej wargi, co wyglądało na świadomą parodię zachowania człowieka.

Praktyczna jak zwykle Karen zainteresowała się przyziemnymi problemami.

- Czy Amy będzie spać w łóżku?

- Nie. - Elliot pokręcił głową. - Na każdą noc goryle przygotowują sobie świeże poślanie. Dajcie jej kilka koców. Urządzi na podłodze coś w rodzaju gniazda i zaśnie.

- A co z witaminami i lekarstwami? Może połykać pigułki?

- Zwykle trzeba ją czymś przekupić lub ukryć lekarstwo we wnętrzu banana. Połyka banany bez gryzienia.

- Bez gryzienia - powtórzyła Karen, jakby ostatnia uwaga wydała jej się czymś bardzo ważnym. - Nasze pigułki mają standardowe rozmiary, więc nie powinno być kłopotu.

- Amy bierze to samo co ludzie, potrzebuje jedynie większej dawki witaminy C.

- Możemy podawać jej 400 mg dziennie. Wystarczy? Znakomicie. Czy dobrze znosi działanie szczepionki antymalarycznej? Już dziś powinna przyjąć pierwszą dawkę.

- Zazwyczaj reaguje na lekarstwa jak człowiek - odparł Elliot. Ross skinęła głową.

- Na wysokości tysiąca pięciuset metrów zmieni się ciśnienie wewnątrz kabiny. Myślisz, że mogą być z nią jakieś problemy?

- Ten gatunek goryla żyje w górach, nawet dwa tysiące czterysta metrów nad poziomem morza - wyjaśnił Peter. - Przyszło mi na myśl coś innego. Amy jest przyzwyczajona do wilgotnego klimatu i często oddaje mocz. Będzie musiała często uzupełniać zapas płynu w organizmie.

- Potrafi korzystać z toalety?

- Niestety, sedes jest dla niej zbyt wysoki. Ale kupiłem nocnik.

- Umie się nim posługiwać?

- Oczywiście.

- Mam dla niej nową obrozę. Będzie ją nosić?

- Tak, jeśli powiesz, że to prezent.

Rozmowa trwała dalej, lecz Elliot stał się wyraźnie roztargniony. Nagle uświadomił sobie, że w ciągu kilku ostatnich godzin w zachowaniu Amy zaszła istotna zmiana. Zniknęły gdzieś niekontrolowane, neurotyczne oznaki niepokoju wywoływane dziwnymi snami. Na pozór małpa całkiem zapomniała o niedawnej przeszłości; nie wykazywała objawów niezadowolenia, nie popadała w melancholię... Ponownie stała się młodym, ciekawym świata zwierzęciem. Peter zadał sobie pytanie, czy depresja - malowanie palcami i tym podobne rzeczy - nie są wynikiem długoletniego przebywania w monotonnym otoczeniu laboratorium. Pierwsze doświadczenia mogły być czymś ciekawym, lecz w miarę upływu czasu... Może potrzebowała niewielkiej dawki emocji?

Atmosfera przygotowań wywołała podniecenie. Peter starał się odpowiadać na pytania Karen, lecz myślami błądził gdzie indziej. Czuł, że dzieje się coś ważnego. Ekspedycja z udziałem Amy była pierwszym krokiem do weryfikacji jednego z

najważniejszych zagadnień zoologicznych - teorii Pearla.

Na posiedzeniu American Ethnological Society w Nowym Jorku w 1972 roku Frederick Pearl stwierdził: „Dziś, kiedy małpy człekokształtne biegle opanowały język migowy, wydaje się jedynie kwestią czasu, aby któraś z nich wzięła bezpośredni udział w badaniach nad życiem dziko żyjących osobników tego samego gatunku. Wyobraźmy sobie sytuację, gdy wychowana przez ludzi małpa pełni funkcję tłumacza... ba, nawet ambasadora gatunku *Homo sapiens* wobec innych stworzeń...”

Wystąpienie przyrodnika wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie, szczególnie ze strony U.S. Air Force, które od lat sześćdziesiątych finansowało rozwój wspomnianych badań. Jedna z plotek sugerowała, że sztab lotnictwa opracował tajny projekt pod kryptonimem CON-TOUR, zakładający nawiązanie kontaktu z pozaziemskimi formami życia. Oficjalnie, koła wojskowe uważały UFO za „zjawisko atmosferyczne”, lecz mało kto wierzył w szczerść podobnych oświadczeń. Spekulowano na temat „wizyty” i roli, jaką mogli wtedy odegrać naukowcy doświadczeni w pracy z uzdolnionymi zwierzętami. Potencjalny udział małp w eksperymentach z dzikimi stworzeniami postrzegano jako przykład kontaktu z „obcą inteligencją”, co było wystarczającym wytłumaczeniem zaangażowania w te doświadczenia dowództwa Air Force.

Pearl mylił się w przewidywaniach, że pierwsze badania zostaną przeprowadzone w 1976 roku. Powód był prosty: „mówiące” małpy nie potrafiły porozumiewać się z dzikimi pobratymcami. Niektóre, jak szympan Arthur, zaprzeczały jakimkolwiek związkom z przedstawicielami własnego gatunku, nadając im mało pochlebną nazwę „czarnych rzeczy” (w czasie wizyty w zoo, Amy nie miała kłopotów z rozpoznaniami innych goryli, lecz była zdegustowana ich ociężałością i po kilku bezowocnych próbach podjęcia rozmowy za pomocą języka znaków, przeważała je „głupimi goryłami”).

Tego typu obserwacje spowodowały, że w 1977 roku jeden z badaczy, John Bates, oświadczył bez ogródek:

”Stworzyliśmy wykształconą zwierzęcą elitę, demonstrującą tę samą snobistyczną wyższość, z jaką doktor filozofii odnosi się do kierowcy ciężarówki [...] Uważam, że nie istnieją żadne przesłanki, aby któraś ze znanych mi małp pełniła funkcję ambasadora wobec innych zwierząt. Są na to po prostu zbyt wyniosłe”.

Prawda była nieco inna; nikt nie wiedział, jak zachowają się małpy w warunkach polowych, ponieważ nikt nie podjął podobnej próby. Amy miała być

pierwsza.

O dwudziestej trzeciej samolot ERTS-u wzniósł się z pasa startowego lotniska w San Francisco i wziął kurs na wschód, w kierunku Afryki.

DZIEŃ TRZECI

TAIMGIER

15 czerwca 1979

1. Przyjemna prawda

Peter znał Amy od dzieciństwa. Był dumny z umiejętności przewidywania jej wszystkich reakcji, lecz do tej pory małpa rzadko opuszczała laboratorium. W obliczu nowych zjawisk zachowywała się całkiem inaczej.

Nie potwierdziły się obawy Elliota, że zwierzę najbardziej przerazi się momentu startu. Przygotowany zastrzyk z thoralenu okazał się niepotrzebny. Amy spokojnie obserwowała Jensena i Levine'a. Gdy zapięli pasy, natychmiast uczyniła to samo. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że bierze udział w zajmującej, choć prostej zabawie. Słyszając huk silników zrobiła przerażoną minę, lecz po chwili, uspokojona zachowaniem pozostałych pasażerów, rozparła się wygodnie w fotelu, uniosła brwi i westchnęła z udawanym znudzeniem.

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie, gdy samolot wzbił się w powietrze. Amy wyjrzała przez okno - i wpadła w panikę. Rozpięła pas, po czym zaczęła biegać po całej kabinie.

Gdzie ziemia ziemia gdzie ziemia? - gestykulowała z zapalem, potrącając siedzących ludzi i przyciskając twarz do każdej szyby. Powierzchnia ziemi była ciemna i niewyraźna.

Gdzie ziemia?

Elliot wstrzyknął jej środek uspokajający, posadził w fotelu i *zaczął* delikatnie iskać.

Dziko żyjące małpy spędzają dziennie kilka godzin na wzajemnym iskaniu. Poza funkcją kosmetyczną, wspomniany zabieg ustala hierarchię grupy - istnieje ścisła zasada, kto i jak długo ma być iskany - oraz działa kojąco i pozwala rozładować napięcie. Po kilku minutach Amy uspokoiła się na tyle, aby zauważyć, że niektórzy pasażerowie samolotu sięgnęli po napoje. Bezwzględnie zażądała „picia z zielonym w środku”, co było określeniem martini z oliwką, oraz papierosa. Elliot pozwalał jej palić tylko przy wyjątkowych okazjach, lecz tym razem bez wahania spełnił prośbę.

Po godzinie okazało się, że dawka emocji była jednak zbyt duża. Amy cicho siedziała przy oknie i sygnalizowała do siebie: *ładny widok*. Nagle zaczęła wymiotować.

Amy przeprasza Amy brudzi Amy Amy przeprasza - wyjaśniała zawstydzona.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją Elliot. Poglądził zwierzę po karku. Chwilę później małpa oświadczyła: *Amy teraz śpi*, po czym zwinęła na kształt gniazda kilka

koców. Zasnęła niemal natychmiast; ze świstem wciągała powietrze przez szerokie nozdrza. Elliot ułożył się obok. Zastanawiał się, czy gorylom w stadzie nie przeszkadza takie głośne chrapanie?

Peter miał własne problemy związane z podróżą. Podczas pierwszego spotkania z Karen był przekonany, że rozmawia z przedstawicielką placówki naukowej. Widok ogromnego, wyładowanego elektroniką samolotu oraz rozmach przygotowań do ekspedycji nasunęły mu podejrzenia, że Earth Resources Technology może być w rzeczywistości jednostką militarną.

- Na to jesteśmy zbyt dobrze zorganizowani - roześmiała się kobieta. Wyjaśniła pokrótce, skąd wzięło się zainteresowanie rejonem Virungi. Owszem, znalazła źródła mówiące o zaginionym mieście Zinj, jednak doszła do całkiem innych wniosków niż uczestnicy „Projektu Amy”.

W ciągu minionych trzystu lat niejednokrotnie podejmowano próby odszukania tajemniczych min. W 1692 roku angielski podróżnik John Marley poprowadził dwuosobową wyprawę w głąb Kongo. Wszyscy zaginęli bez śladu. Podobny los spotkał Holendrów w 1744 roku. W 1804 kolejna ekspedycja brytyjska, dowodzona przez szkockiego arystokratę, sir Jamesa Taggerta dotarła do Virungi od północy, dochodząc aż do brzegów rzeki Ubangi. Grupa rozpoznawcza, wysłana na południe, nie powróciła.

W 1872 roku Stanley był dość blisko Virungi, lecz minął ten rejon nie odważywszy się zapuścić w głąb tajemniczego terytorium. W 1899 ekspedycja niemiecka zawróciła z drogi, po utracie niemal dwóch trzecich uczestników. Finansowana z prywatnych źródeł wyprawa

Włochów zaginęła w 1911 roku. Od tamtej pory poszukiwania Zinj ustały.

- Zatem nikt nie odnalazł ruin miasta - stwierdził Elliot. Karen potrząsnęła głową.

- Myślę, że kilka ekspedycji tam dotarło - odpowiedziała. - Tylko nikt nie powrócił.

We wczesnym okresie eksploracji Czarnej Lądu każda, nawet najstaranniej przygotowana wyprawa narażona była na rozmaite niebezpieczeństwa. Wielu śmiazków przypłaciło życiem swą ciekawość. Ci, których nie dosięgła malaria, śpiączka lub febra, tonęli w rzekach pełnych hipopotamów i krokodyli lub znikali w

głębi dżungli zamieszkaney przez lamparty i ludożerców. Mimo swego ogromu, las tropikalny nie dostarczał podróżnikom odpowiedniej ilości pożywienia; zdarzało się, że całe ekspedycje ginęły z głodu.

- Przyjęłam założenie, że miasto jednak istnieje - powiedziała Karen Ross do Elliota. - Pozostawało zatem pytanie: gdzie go szukać?

Wokół Zinj rozciągały się złoża diamentów, a tam, gdzie są diamenty, muszą być wulkany. Uwagę Karen przyciągnęła dolina Rift Valley, olbrzymi twór geologiczny o szerokości pięćdziesięciu kilometrów, rozcinający zachodnią część kontynentu na długości dwustu czterdziestu kilometrów. Dolina była tak wielka, że jej prawdziwą strukturę odkryto dopiero w ostatnich latach dziewiętnastego wieku, gdy badacz nazwiskiem Gregory zauważył, iż próbki skał pochodzące z odległych od siebie szczytów są identyczne. W myśl najnowszej teorii, Rift Valley miała stanowić dno oceanu, lecz zapoczątkowana dwieście milionów lat temu próba podziału kontynentu z niewiadomych powodów uległa zahamowaniu.

Dolinę otaczają podłużne jeziora: Malawi, Tanganika, Kivu i Mobutu oraz pasmo wulkanów, do którego należy aktywny sejsmicznie rejon Virungi. Trzy nadal czynne wulkany: Mukenko, Mubuti i Kanagarawi wznoszą się na wysokość 3300 - 4500 m n.p.m., górując od zachodu nad Rift Valley, a od wschodu nad dorzeczem Kongo. Dobre miejsce do rozpoczęcia poszukiwań... Karen Ross zdecydowała, że czas poznać „przyziemną” prawdę.

- Co to takiego? - spytał Peter.

- Badania wstępne przeprowadzane są zazwyczaj z dużej odległości -- wyjaśniła Karen. - Zdjęcia satelitarne, zwiad lotniczy, odczyt radarowy i tak dalej... Posiadamy miliony przekazów, jednak nic nie może zastąpić tradycyjnej ekspedycji z udziałem doświadczonych ekspertów, którzy na miejscu są w stanie dokonać właściwej oceny znaleziska. Pierwsza z wypraw poszukiwała przede wszystkim złota, lecz odnalazła diamenty.

Wcisnęła kilka klawiszy i ekran rozjarzył się dziesiątkami świecących punktów.

- Tu widać miejsca, gdzie w łóżyskach rzek występowały niewielkie ilości diamentów. Jak widzisz, punkty otaczają półkolistie pasmo wulkanów, co prowadzi do oczywistego wniosku, że próbki zostały wypłukane ze złoża znajdującego się w rejonie Virungi...

- ...a jego odszukaniem ma się zająć kolejna ekspedycja - dokończył Peter.

- Tak. Tylko nie myśl, że to takie proste. - Wskazała na ekran. - Obraz

przekazywany przez satelitę przedstawia obszar o powierzchni pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, gdzie dotąd nie stanęła stopa białego człowieka. Zarośla ograniczają widoczność do kilku metrów. Wyprawa potrwałaby kilka lat, a jej uczestnicy mogliby minąć ruiny, nawet nie domyślając się, że są blisko celu. Musiałam ograniczyć teren poszukiwań, czyli... znaleźć miasto.

- Znaleźć miasto? Na zdjęciu satelitarnym?

- Owszem - odpowiedziała. - Udało mi się to.

Lasy tropikalne od dawna stanowiły utrapienie dla osób prowadzących obserwację ziemi „z lotu ptaka”. Nie pomagały najnowocześniejsze zdobycze techniki. Liście olbrzymich drzew szczelnym płaszczem zakrywały powierzchnię ziemi. Na zdjęciach lotniczych dżungla porastająca obszar Kongo wyglądała niczym zniszczony, pofałdowany dywan w monotonie zielonym kolorze. Nieprzenikniona zasłona skrywała nawet rzeki o szerokości dochodzącej do trzydziestu metrów.

W tych warunkach znalezienie ruin miasta wydawało się przedsięwzięciem przypominającym poszukiwanie igły w stogu siana. Karen wpadła na inny pomysł; postanowiła zbadać cechy flory występującej w okolicach Virungi.

Takie badania prowadzono głównie w klimacie umiarkowanym, gdzie w zależności od pory roku zmieniała się szata roślinna. Jednak las równikowy zimą i latem był taki sam. Pożądany wynik mogła przynieść jedynie analiza albedo.

Terminem „albedo” określano stosunek ilości energii elektromagnetycznej odbijanej przez daną powierzchnię do ilości energii skierowanej w jej stronę. Mówiąc bardziej zrozumiałym językiem, była to miara „jasności” powierzchni. Rzeka posiadała wysokie albedo, ponieważ woda odbijała większość promieni słonecznych. Gęsta roślinność pochłaniała światło, więc jej albedo było dość niskie. Już w 1977 roku informatycy z ERTS-u opracowali specjalny program komputerowy, umożliwiający precyzyjny pomiar danych.

Podstawowe pytanie brzmiało: jakie zmiany w wegetacji roślin mogą wskazywać na istnienie ruin miasta? Odpowiedź była oczywista: „wtórna” dżungla.

Dziewicze obszary nosiły nazwę „pierwotnej dżungli” i w pełni odpowiadały wyobrażeniom większości ludzi o tropikalnym lesie. Olbrzymie drzewa mahoniowe, teko we i hebanowe wyrastały ze skłębionej gęstwiny palm i paproci. Pierwotną dżunglę spowijał odstraszący mrok, lecz stosunkowo rzadkie poszycie nie utrudniało wędrówki. Działalność człowieka wprowadzała istotne zmiany. Wykarczowany i

opuszczony teren porastał nową roślinnością, wśród której dominowały szybkoienne bambusy i kolczaste liany, tworzące zwartą, niemożliwą do pokonania barierę.

Karen skoncentrowała swą uwagę wyłącznie na odszukaniu właściwego albedo. Ze względu na odmienność gatunków roślin „wtórna” dżungla miała zupełnie inny współczynnik odbicia niż reszta obszaru, a ponadto można było ustalić jej wiek. Drzewa pierwotnego lasu żyły kilkaset lat; flora „wtórnej” dżungli ginęła po dwudziestu latach, ustępując miejsca coraz nowym roślinom.

Badania brzegów rzek, gdzie istniały niezliczone ślady osad, potwierdziły, że komputery ERTS-u potrafią z dużą dokładnością określić zmiany albedo. Karen zaczęła przeszukiwać dżunglę porastającą zachodni stok Virungi. Wydała polecenie, aby na obszarze pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych odnaleźć miejsce o współczynniku odbicia energii elektromagnetycznej niższym od 0,03 i średnicy przekraczającej stu metrów. Gdyby korzystała wyłącznie ze zdjęć lotniczych, musiałaby zatrudnić pięćdziesięciu ekspertów i czekać trzydzieści jeden lat na wykonanie zadania. Komputer przeanalizował sto dwadzieścia dziewięć tysięcy fotografii satelitarnych w czasie krótszym niż dziewięć godzin.

I znalazł miasto.

W maju 1979 roku Karen otrzymała z komputera regularny, niemal geometryczny obraz starej „wtórnej” dżungli, porastającej niewielki obszar położony na zachodnim stoku czynnego wulkanu Mukenko, pomiędzy drugim a trzecim stopniem północnej szerokości geograficznej.

- Wysłaliście ekspedycję? - odezwał się Elliot.

Kobieta skinęła głową.

- Trzy tygodnie temu. Przewodnikiem był niejaki Kruger z Południowej Afryki. Odnaleźli niewielkie ilości diamentów i ruszyli dalej w poszukiwaniu głównego złoża. Wkrótce dotarli do ruin.

- I co? - spytał Elliot.

Po raz kolejny puścił taśmę.

Na czarno-białym obrazie widać było dymiące zgliszcza obozu oraz kilka martwych postaci ze zmiażdżonymi głowami. Na zwłokach pojawił się cień, automatyczny obiektyw kamery uchwycił go dokładniej, pokazując zarys utykającej sylwetki. Elliot przyznał, że mógłby to być cień goryla, lecz uparcie obstawał przy swoim zdaniu.

- Goryl tego nie mógł zrobić. Goryle to spokojne, roślinożerne zwierzęta - powtarzał w kółko.

Obejrzeni taśmę do końca. Na ekranie pojawił się zrekonstruowany przez komputer wizerunek twarzy olbrzymiej małpy.

- Przyjemna prawda - westchnęła Karen Ross.

Elliot nadal miał wątpliwości. Cofnął końcówkę filmu i w milczeniu obejrzał trzysekundowe ujęcie głowy goryla. Obraz drgał i był nieco zamazany, lecz w jakimś stopniu nieprawdziwy... Pominąwszy nietypowe zachowanie zwierzęcia, coś się nie zgadzało. Ale co? Elliot włączył stop-klatkę. Sierść... Tak. Twarz i sierść były szare.

- Czy możesz wzmocnić kontrast? - Spojrzał na Karen. - Obraz jest zbyt blady.

- Nie wiem... - Dotknęła kilku klawiszy. - Myślę, że wszystko w porządku.

Nie udało jej się ściemnić ekranu.

- Szary... - mruknął Elliot. - Goryle są dużo ciemniejsze.

Był całkowicie pewien, że stworzenie ma zbyt jasną sierść, aby można było je zaliczyć do któregoś ze znanych gatunków *Pongidae*. Nowy gatunek. Nowy gatunek wielkiej, szarej małpy o agresywnym usposobieniu, zamieszkującej wschodnie rejony Kongo.

Peter postanowił wziąć udział w tej wyprawie, aby zgłębić zagadkę sennych koszmarów, dręczących Amy. Nagle zrozumiał, że gra idzie o dużo wyższą stawkę.

- Uważasz, że to nie goryl? - spytała Karen.

- Sprawdzimy... - mruknął mężczyzna. Siedział nieruchomo, wpatrzony w ekran.

2. Problem B-8

- Co mam zrobić?! - zawołał Tom Seamans. Przycisnął słuchawkę ramieniem i zerknął na stojący przy łóżku zegarek. Dochodziła trzecia w nocy.

- Idź do zoo - powtórzył Elliot. Mówił bulgoczącym głosem, jakby trzymał głowę pod wodą.

- Peter, gdzie jesteś?

- Gdzieś nad Atlantykiem. Lecimy w stronę Afryki.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedział. - Chcę, żebyś wczesnym rankiem poszedł do zoo.

- Po co?

- Weź kamerę i sfilmuj zachowanie goryli. Zwierzęta muszą być w ruchu. To bardzo ważne, ponieważ chcę wykluczyć pewne podejrzenia.

- Poczekaj, zanotuję - powiedział Seamans. Był informatykiem-programistą i już zdążył się przyzwycząić, że uczestnicy „Projektu Amy” dzwonili do niego o najdziwniejszych porach z różnymi żądaniami.

- Co dalej?

- Wykorzystaj też filmy o gorylach, jakie posiadamy w naszej wideo-tece. O gorylach dzikich, z zoo... nieważne. Im więcej danych, tym lepiej. Powtarzam, zwierzęta muszą być w ruchu. Jako punkt wyjścia wykorzystaj dane o szympansach. Wszystko, co mamy, przenieś na taśmę i przepuść przez program.

- Jaki program? - ziewnął Seamans.

- Program, który za chwilę napiszesz - odparł Elliot. - Potrzebuję szczegółowej analizy różnic powstałych w wizerunku...

- Chcesz ustalić wzorzec zachowania? - Seamans był autorem podobnego programu, określającego, które z gestów wykonywanych przez Amy mają jakieś znaczenie, i umożliwiającego obserwację ruchów zwierzęcia przez całą dobę. Był dumny ze swoich umiejętności i nie krył się z tym, choć zadanie nastęczyło mu sporo kłopotów.

- Mniejsza o nazwę - powiedział Elliot. - Musi to być program odróżniający goryle od innych naczelnych, na przykład szympansów.

- Żartujesz - jęknął Seamans. - To problem B-8.

Informatycy zajmujący się opracowaniem programów wzorcowych, terminem „B-8” określali najtrudniejsze etapy działań. Od wielu lat usiłowano „wytłumaczyć”

komputerom, na czym polega różnica pomiędzy literą „B” i cyfrą „8”, choć nawet na pierwszy rzut oka nie sposób pomylić obu znaków. Jednak to, co było oczywiste dla człowieka, dla skanera stawało się nieczytelne. Czytnik musiał dysponować bardzo precyzyjnym wzorcem, by dokonać analizy porównawczej, co - zwłaszcza w przypadku rękopisów - doprowadzało naukowców do rozpacz.

Tymczasem Elliot żądał programu umożliwiającego rozróżnienie dwu gatunków małp o bardzo zbliżonym wyglądzie.

- Po co? - spytał znużonym głosem Seamans. - Goryl to goryl, a szympans to szympans. Różnica jest oczywista.

- Zrób, o co proszę - powiedział Elliot.

- Czy mogę wykorzystać wielkość zwierząt?

Była to zasadnicza różnica dzieląca oba gatunki, lecz dla komputera wielkość nie stanowiła znaczenia, póki nie wprowadzono informacji o odległości dzielącej obiektyw kamery od obserwowanego obiektu oraz długości ogniskowej.

- Nie - odparł Peter. - Tylko dane morfologiczne.

Seamans westchnął.

- Piękne dzięki. Co na wyjściu?

- Dziewięćdziesiąt pięć procent pewności, że rozpoznanie jest prawidłowe, na podstawie czarno-białego obrazu zarejestrowanego w ciągu trzech sekund na taśmie magnetycznej.

Seamans zmarszczył brwi. Natychmiast pojął, że Elliot ma jakiś krótki film przedstawiający zwierzę przypominające goryla. Skąd wątpliwości? Ze wszystkich znanych mu naukowców, właśnie Peter widział najwięcej goryli. Od szympansów różniły się wielkością, wyglądem, ruchami i zachowaniem. Oba gatunki były tak odmienne, jak na przykład morświny i wieloryby. Wzrok lepiej nadawał się do właściwej identyfikacji. A Elliot nie wierzył własnym oczom... Nad czym mógł się zastanawiać?

- Spróbuję - powiedział Seamans - lecz potrzebuję nieco czasu. Takich programów nie pisze się w ciągu jednej nocy.

- Musisz to zrobić jeszcze dziś, Tom - odezwał się Elliot. - Zadzwoń za dwadzieścia cztery godziny.

3. We wnętrzu trumny

Jeden z narożników pokładu przeznaczony dla pasażerów zajmowała niewielka, dźwiękoszczelna kabina, wyposażona w uchylne drzwi i mały ekran komputera. Uczestnicy wyprawy nazywali ją „trumną”, ponieważ po kilku minutach pracy w jej wnętrzu każdy *zaczynał* cierpieć na klaustrofobię.

Karen weszła do „trumny” w chwili gdy samolot przelatywał nad środkową częścią Atlantyku. Spojrzała przez ramię: Elliot i Amy chrapali głośno na podłodze, a Jensen i Levine grali w „polowanie na łódź podwodną”, wykorzystując ekran komputera. Zamknęła wieko.

Była zmęczona, lecz zdawała sobie sprawę, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni - bo tyle miała trwać ekspedycja - czeka ją o wiele większy wysiłek. Czternaście dni... Za trzysta trzydzieści sześć godzin będzie wiadomo, kto zyskał prawo do dalszej eksploracji rejonu Virungi: ERTS czy konsorcjum euro-japońskie.

Karen nie zamierzała przegrać wyścigu.

Podawała hasło i wpisała współrzędne Houston. Przez chwilę czekała na połączenie. Opóźnienie sygnału wynosiło pięć sekund, ponieważ obie strony używały kodu uniemożliwiającego przechwycenie informacji.

Na ekranie pojawił się napis: TRAVIS.

Karen wystukała ROSS, po czym podniosła słuchawkę.

- Psiakrew - odezwał się Travis. Jego głos docierający n; i pokład samolotu w formie dźwięków generowanych przez komputer, był pozbawiony wszelkich emocji.

- Mów - powiedziała Karen.

- Skośni zaczęli krążyć - padła odpowiedź.

„Skośni” było ulubionym przez Travisa określeniem konkurencji, którą w ciągu ostatnich czterech lat stanowili najczęściej Japończycy (powtarzał zwykle: „W latach osiemdziesiątych są Japonce, w dziewięćdziesiątych będą Chinole. Zawsze skośni. Żeby utrzymać się na nogach, musimy zrezygnować z oglądania niedzielnych rozgrywek futbolu”).

- Szczegóły - zażądała.

W wyobraźni zobaczyła sylwetkę mężczyzny siedzącego przed odbiornikiem zainstalowanym w centrum łączności. Użycie generatora dźwięków powodowało konieczność starannej artykulacji.

- Wiedzą, że wyruszyłaś - zabrzączał głos Travisa. - Przyśpieszyli działania. Za

wszystkim stoją Niemcy; twój stary przyjaciel Richter. Za kilka minut rozpocznę karmienie. To tyle, jeśli chodzi o dobre wieści.

- A złe?

- W ciągu minionych dziesięciu godzin Kongo zamieniło się w piekło. Mamy paskudne informacje.

- Drukuj - odparła kobieta.

Na ekranie pojawił się napis: DANE GEOPOLITYCZNE oraz kilkanaście linijek tekstu. Karen zaczęła czytać:

AMBASADA ZAIRU W WASZYNGTONIE OŚWIADCZYŁA ŻE WSCHODNIE GRANICE PAŃSTWA VIA RWANDA ZOSTAŁY ZAMKNIĘTE / PODEJRZENIE PRZEJŚCIA NA TEREN ZAIRU WOJSK IDI AMINA UCIEKAJĄCYCH Z UGANDY PRZED AGRESJĄ TANZANII / PRZEWIDYWANY ROZŁAM / FAKTY INNE / BUNT MIEJSCOWYCH PLEMION {KIGANI} / OKRUCIEŃSTWA KANIBALIZM ITD / POSTAWA PIGMEJÓW NIEPEWNA / ZABIJAJĄ WSZYSTKICH LUDZI WCHODZĄCYCH DO DŻUNGLI / RZĄD ZAIRU WYZNACZYŁ GENERAŁA MUGURU {ALIAS RZEŹNIKA ZE STANLEYVILLE} DO ZLIKWIDOWANIA „ZA WSZELKĄ CENĘ” POWSTANIA KIGANI / SYTUACJA WYSOCE NIEPEWNA / JEDYNA LEGALNA DROGA WIEDZIE OD ZACHODU PRZEZ KINSZASĘ / MUSISZ DZIAŁAĆ NA WŁASNĄ RĘKĘ / KONIECZNY KONTAKT / Z MUNRO / UTRZYMAĆ GO Z DALA OD KONSORCJUM / WASZE POŁOŻENIE NIEBEZPIECZNE / MUSICIE UZYSKAĆ POMOC MUNRO /

Karen przymknęła oczy. Nie spodziewała się, że sytuacja przybierze tak niekorzystny obrót.

- Ile mamy czasu? - spytała.

EURO-JAPOŃSKIE KONSORCJUM OBEJMUJE FIRMY HAKAMICHI {JAPONIA} / GERLICH {NIEMCY} / VOORSTER {AMSTERDAM} / DOSZLI DO PEŁNEGO POROZUMIENIA / OD TEJ PORY ISTNIEJE NIEBEZPIECZEŃSTWO PODSŁUCHU / PRZEWIDUJEMY ELEKTRONICZNE ZAGŁUSZANIE TRANSMISJI I WYKORZYSTANIE TAKTYKI BOJOWEJ W CZASIE POSZUKIWANIA CELU DWA-B / WEJDĄ NA TEREN KONGO W CIĄGU 48 GODZIN {WIARYGODNE ŹRÓDŁO} TERAZ SZUKAJĄ MUNRO /

- Kiedy będą w Tangierze?
- Za sześć godzin. A wy?
- Za siedem. Gdzie jest Munro?
- Nie wiemy - powiedział Travis. - Możesz go jakoś przycisnąć?
- Oczywiście - odparła Karen. - Jeśli nie uzna moich racji, będzie zmuszony opuścić kraj w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.
- Co masz? - spytał Travis.
- Czeski automat z troskliwie zabezpieczonymi odciskami palców. To powinno wystarczyć.
- Powinno - zgodził się Travis. - Jak twoi pasażerowie? Miał na myśli Elliota i Amy.
- W porządku - zapewniła Ross. - Niczego się nie domyślają.
- Dopilnuj, żeby nic się nie zmieniło - powiedział Travis, po czym odłożył słuchawkę.

4. Pora karmienia

- Nadeszła pora karmienia - stwierdził wesoło Travis. - Kogo tam mamy?

- Pięciu tancerzy na linii Beta - odparł Rogers. Był ekspertem od podsłuchu elektronicznego, czyli „łowcą pluskiew”.

- Znamy kogoś?

- Nawet wszystkich - z lekkim rozdrażnieniem powiedział Rogers. - Beta jest naszą główną linią przesyłową, więc każdy, kto usiłuje włamać się do systemu, prędzej czy później musi tam trafić. W ten sposób zwiększa szansę uzyskania informacji, choć w naszym wypadku może poznać jedynie wysokość niektórych pensji i podatków. Reszta danych jest zaszyfrowana.

- Czas zaczynać karmienie - powiedział Travis. „Karmieniem” nazywano zabieg przesyłania fałszywych informacji za pomocą łączy objętych podsłuchem. - Skośni są podłączeni?

- Oczywiście. Co im podać?

- Współrzędne położenia zaginionego miasta.

Rogers skinął głową i otarł czoło. Z powodu tuszy bez przerwy się pocił.

- Z jaką dokładnością?

- Cholernie dobrą - burknął Travis. - Są zbyt sprytni, żeby złapać się na prosty podstęp.

- Nie chcesz chyba powiedzieć im prawdy?

- Nie, ale informacje muszą brzmieć wiarygodnie. Przesuń punkt zero o jakieś dwieście kilometrów.

- Nie ma sprawy - powiedział Rogers.

- Zakodowane? - spytał Travis.

- Oczywiście.

- Znasz szyfr, który będą mogli złamać w ciągu dwunastu... piętnastu godzin?

- Tak - oświadczył Rogers. - Wygląda na niezwykle skomplikowany, choć w rzeczywistości zawiera ukrytą wadę, ułatwiającą rozszyfrowanie. Potrzeba tylko nieco pracy.

- Niech się nad tym pogłowią - powiedział Travis.

- Bez obaw, ucziwie zarobią każdego jena. Nie będą podejrzewać, że zostali nakarmieni. Na próbę podrzuciliśmy kilka informacji ekspertom z armii. Zjawili się radośnie uśmiechnięci i z wyższością udzielali wyjaśnień. Żaden nie odkrył podstępu.

- Okay - mruknął Travis. - Przez najbliższe czterdzieści osiem godzin skośni powinni być przekonani, że są na właściwym tropie. Wprowadź odpowiednie dane i bierz się do roboty.

- Z przyjemnością - odparł Rogers. Podeszedł do terminalu. Travis westchnął. Miał nadzieję, że uda mu się zyskać trochę czasu - przynajmniej tyle, aby wyprawa bezpiecznie dotarła do złoża diamentów.

5. Oznaki niebezpieczeństwa

Obudził go przyciszony szmer głosów.

- Informacje są jednoznaczne?

- Jak cholera. Tu masz PSOP sprzed dziewięciu dni. Jeszcze nie doszło do właściwej erupcji.

- Niska pokrywa chmur.

- Chmury są dużo jaśniejsze. To wyłazi z wnętrza.

- Szlag by trafił!

Elliot otworzył oczy i zobaczył cienką czerwoną linię świtu wdzierającą się na granatowe niebo widoczne za oknami kabiny. Zegarek wskazywał piątą jedenastą - piątą rano, według czasu San Francisco. Od rozmowy z Seamanssem upłynęły zaledwie dwie godziny. Elliot ziewnął. Spojrzał na Amy zwiniętą na podłodze w gnieździe ułożonym z koców. Mała chrapała głośno. Pozostałe koje były puste.

Zerknął w stronę komputera. Jensen i Levine wpatrywali się w ekran, prowadząc cichą rozmowę.

- Paskudnie. Mamy gotową projekcję?

- Za chwilę. Zażądałem retrospekcji z ostatnich pięciu lat i pozostałych PSOP-ów.

Elliot wstał z łóżka i podszedł do komputera.

- Co to są PSOP-y? - spytał.

- Zdjęcia satelitarne dokumentujące wydarzenia o szczególnie ważnym znaczeniu - wyjaśnił Jensen. - Czasem noszą nazwę „pieluch”, ponieważ wykorzystujemy je wówczas, gdy zaczynamy łać po nogach.

Wskazał na ekran.

- Paskudna sprawa. Wulkany.

- Jakie wulkany? - zapytał Elliot.

Zobaczył kłęb dymu - zabarwionego przez komputer ciemną zielenią - wydobywający się z krateru Mukenko.

- Wybuch następuje mniej więcej co trzy lata - powiedział Levine. - Ostatni zanotowano w marcu 1977 roku, lecz wszystko wskazuje na to, że w przyszłym tygodniu dojdzie do kolejnej erupcji. Czekamy na prognozę.

- Karen wie o tym? Levine wzruszył ramionami.

- Wie, ale nie wygląda na zdenerwowaną. Dwie godziny temu odebrała pilną

wiadomość z Houston i poszła wprost do ładowni. Od tamtej pory jej nie widziałem.

Elliot ruszył do mrocznego wnętrza luku towarowego. W ładowni panował dotkliwy chłód. Szyby i metalowe części samochodów pokrywała cienka warstwa lodu, z każdym oddechem z ust mężczyzny unosił się obłok pary.

Karen Ross stała tyłem, pochylona nad oświetlonym stolikiem. Słyszając kroki przerwała pracę i obróciła się w stronę Elliota.

- Myślałam, że śpisz - powiedziała.

- Nie mogę. Co robisz?

- Sprawdzam wyposażenie. - Podniosła niewielki plecak. - Oto najnowszy ekwipunek. Waży zaledwie dziewięć kilogramów, lecz jego zawartość wystarcza na dwa tygodnie. Zawiera wszystko: jedzenie, ubrania, wodę.

- Nawet wodę? - spytał Elliot.

Woda była ciężka: stanowiła siedem dziesiątych wagi ludzkiego ciała. Wysuszone i sprasowane racje żywnościowe stawały się nadzwyczaj lekkie, lecz każdy organizm potrzebował przede wszystkim płynów. Człowiek mógł przeżyć wiele tygodni bez pożywienia; śmierć z pragnienia następowała w ciągu kilku godzin. A woda była ciężka...

- Dzielne spożycie wody wynosi przeciętnie od czterech do sześciu litrów - odpowiedziała z uśmiechem Karen. - Podczas dwutygodniowej wyprawy, zapas przypadający na każdego z uczestników ważyłby nie mniej niż czterdzieści osiem kilogramów. NASA wyprodukowała specjalny filtr, uzdatniający każdą ciecz - łącznie z uryną. Ciężar urządzenia nie przekracza dwustu gramów.

Zauważyła kwaśną minę mężczyzny i dodała:

- Otrzymana w ten sposób woda jest bardziej czysta niż zwykła kranówka.

- Wierzę ci na słowo - zgodził się Elliot. Podniósł ze stołu parę dziwnie wyglądających okularów. Miały ciemne, grube szkła oraz centralnie umieszczony obiektyw.

- Gogle holowizyjne - powiedziała Karen. - Z noktowizorem.

Potem pokazała mu niewielką kamerę z tłumikiem drgań powstających podczas ruchu, obiektywy do filmowania w podczerwieni oraz miniaturowy miernik laserowy, nie większy od ołówka. Peter spostrzegł kilka małych statywów z ruchomymi głowicami. Karen wyjaśniła, że są to „części wyposażenia obronnego”.

Mężczyzna zbliżył się do ostatniego stołu, na którym spoczywało sześć pistoletów maszynowych. Wziął jeden do ręki. Broń była ciężka i błyszcząca od smaru.

W pobliżu leżało kilka paczek amunicji. Nie zauważył symboli, nie wiedział więc, że trzyma w dłoni radziecki AK-47, wyprodukowany w Czechosłowacji.

Spojrzał na Karen.

- Niezbędne środki ochrony - powiedziała. - Wchodzą w skład ekwipunku każdej wyprawy. Nie ma powodu do niepokoju.

Elliot potrząsnął głową.

- Co było w informacji, którą otrzymałaś z Houston?

- Wcale się tym nie przejęłam - odparła.

- W przeciwieństwie do mnie - stwierdził mężczyzna.

Z wyjaśnień Karen wynikało, że informacja dotyczyła tylko sytuacji politycznej. Rząd Zairu zamknął przejścia graniczne łączące kraj z Rwandą i Ugandą. Jedyna droga dostępna dla turystów i biznesmenów wiodła przez Kinszasę.

Oficjalny komunikat nie wspominał o przyczynach decyzji, lecz eksperci z Waszyngtonu byli przekonani, że na teren Zairu wkroczyły oddziały Idi Amina, uciekające z Ugandy przed atakiem armii tanzańskiej. Mogło dojść do „lokalnych zamieszek”. W Afryce centralnej określano w ten sposób przypadki okrucieństw, a nawet kanibalizmu.

- Wierzysz, że to możliwe? - spytał Elliot. - Że... tam są ludożercy?

- Nie - odpowiedziała Karen. - To kłamstwa rozsiewane przez Holendrów, Niemców i Japończyków. Prawdopodobnie głównym pomysłodawcą jest twój przyjaciel, Hakamichi. Euro-japońskie konsorcjum elektroniczne otrzymało wiadomość, że wyprawa ERTS-u odnalazła bogate złoża diamentów. Próbuje zyskać na czasie i przejąć prawa do eksploatacji. Nietrudno było im przekonać któregoś z polityków w Kinszasie, by wydał zarządzenie o zamknięciu granic.

- Po co nam broń, skoro w Zairze panuje spokój?

- Niezbędne środki ochrony - powtórzyła. - Wierz mi, podczas całej wyprawy nie skorzystamy z niej ani razu. Teraz spróbuj się przespać. Niedługo wylądujemy w Tangierze.

- W Tangierze?

- Mam spotkanie z kapitanem Munro.

6. Munro

Nazwisko Charlesa Munro nie figurowało w oficjalnym spisie licencjonowanych przewodników wypraw. Istniało ku temu kilka powodów, wśród których nie bez znaczenia była przeszłość „kapitana”.

Munro wychował się w dzikiej północnej prowincji Kenii. Był nieślubnym synem szkockiego farmera i jego gospodyni, pięknej Hinduski. Farmer zginął podczas powstania Mau-Mau w 1956 roku ⁵, a jego kochanka zmarła jakiś czas później na gruźlicę. Munro wyjechał do Nairobi. Pod koniec lat pięćdziesiątych pracował jako tropiciel i przewodnik bogatych turystów, udających się w głąb buszu na safari. W tym czasie zaczął używać tytułu „kapitan”, choć nigdy nie odbył służby wojskowej.

Źle znosił humory swych pracodawców. W 1960 roku zajął się przemysłem broni z Ugandy do nowo powstałego niepodległego państwa Kongo. Po zdymisjonowaniu i wyjeździe Czombego znalazł się w bardzo niekorzystnej sytuacji i pod koniec 1963 roku zniknął ze wschodniej Afryki.

Pojawił się ponownie w 1964, jako jeden z białych najemników generała Mobutu, w oddziale dowodzonym przez pułkownika „Wściekłego Mike'a” Hoare. Hoare określał go jako „twardego, wyszkolonego tropiciela, który umiał udowodnić swą skuteczność w walce, jeśli przebywał z dala od kobiet”. Po zakończeniu operacji „Dragon Rouge” i zdobyciu Stanleyville, nazwisko Munro zaczęto łączyć z masakrą dokonaną przez najemników w wiosce Avakabi. „Kapitan” znów zniknął na kilka lat z pola widzenia.

W 1968 roku zamieszkał w bogatej dzielnicy Tangiem. Nie ujawniał źródła swych dochodów, choć istniały podejrzenia, że na początku lat siedemdziesiątych dostarczał wschodniemiecką broń sudańskim komunistom, w latach 1974-1975 wspomagał powstanie zwolenników władzy cesarskiej w Etiopii, a w 1978 znajdował się wśród francuskich spadochroniarzy lądujących w prowincji Shaba w Zairze.

Przejawiał niezwykłą aktywność. Choć w wielu państwach był traktowany jako *persona non grata*, swobodnie podróżował po całym kontynencie, używając rozmaitych paszportów. Urzędnicy rozpoznawali go bez trudu, lecz bali się odmówić mu prawa wjazdu.

Dyrektorzy zachodnich spółek geologicznych niezbyt chętnie korzystali z jego

⁵ W powstaniu Mau-Mau zginęło dziesięć tysięcy osób, lecz siedmioletni terror przyniósł śmierć jedynie trzydziestu siedmiu białym osadnikom. Wszystkie zabójstwa były bardziej dziełem przypadku niż świadomej

pomocy, by nie drażnić miejscowych polityków. Munro domagał się niebotycznie wysokiego wynagrodzenia, lecz gwarantował powodzenie nawet najtrudniejszych przedsięwzięć. W 1974 roku pod przybranym nazwiskiem poprowadził w głąb Kamerunu dwie niemieckie ekspedycje poszukujące złóż cyny. W 1977 roku, w okresie wyjątkowego nasilenia walk w Angoli, stanął na czele wyprawy zorganizowanej przez ERTS. Rok później odmówił udziału w kolejnej ekspedycji, ponieważ Houston uznało, że zażądał zbyt wygórowanego honorarium. Wyprawa do Zambii nie doszła do skutku.

Wobec sytuacji, jaka panowała w Zairze, pomoc Charlesa Munro wydawała się wręcz nieoceniona. Transportowy jumbo-jet był coraz bliżej lotniska w Tangierze.

Celnicy opieczętowali samolot nie interesując się jego ładunkiem, lecz wszystkich uczestników wyprawy (prócz Amy) poddano szczegółowej kontroli. W bagażach Jensena i Levine'a znaleziono śladową ilość heroiny.

Incydent został spowodowany przez zastanawiający zbieg okoliczności. W 1977 roku celnicy amerykańscy zostali wyposażeni w nowoczesne czujniki neutronowe oraz chemiczne detektory zapachu. Oba urządzenia były produkowane w zakładach Hakamichi Electronics. Rok później poddano w wątpliwość ich działanie. Hakamichi nalegał, aby detektory wypróbowano także na innych lotniskach, m.in. w Singapurze, Bangkoku, Delhi, Monachium i Tangierze.

Dane techniczne urządzeń używanych w Tangierze nie stanowiły tajemnicy dla dyrektorów koncernu. Wiedzano także, iż niektóre substancje, na przykład nasiona maku lub drobno pocięte buraki, mogą spowodować zakłócenia i zmienić odczyt. Usunięcie usterki zajmowało co najmniej czterdzieści osiem godzin (późniejszy raport stwierdzał, że po dokładnym przeszukaniu w walizkach obu mężczyzn odnaleziono skrawki buraków).

Jensen i Levine zdecydowanie odrzucili oskarżenie o przemyt narkotyków i zwrócili się o pomoc do amerykańskiego konsulatu. Sprawa miała potrwać co najmniej kilka dni; Karen Ross zatelefonowała do Trávisa.

Szef ERTS-u uznał, że cała sprawa „śmierdzi holenderskim śledziem”. Za wszelką cenę należało wyruszyć dalej jak najszybciej.

- Są przekonani, że wpadliśmy w pułapkę - powiedział. - Nie damy się zatrzymać.

- Kto zajmie się problemami geologicznymi? - spytała Karen.
- Ty - odparł Travis.
- A elektroniką?
- Wszyscy uważają cię za geniusza - oświadczył Travis. - Musisz pozyskać Munro. Z jego pomocą dasz sobie radę.

O zmierzchu nad pastelowymi dachami Tangieru rozległo się przeciągłe zawołanie muezinów, nawołujące wiernych do wieczornej modlitwy. Dawniej na szczycie minaretu pojawiał się duchowny, dziś Zastępował go głośnik odtwarzający nagranie. Technika zdominowała nawet tradycje islamu.

Karen Ross siedziała w fotelu ustawionym na tarasie okazałego budynku, należącego do kapitana Munro. Obok pochrapywał zmęczony długim lotem Peter.

Czekali już trzy godziny i Karen zaczęła się niepokoić. Z wnętrza domu dobiegał do nich zniekształcony powiewami wiatru szmer rozmów prowadzonych w jakimś orientalnym języku.

Na taras weszła prześliczna marokańska pokojówka, jedna z wielu usługujących w tej rezydencji. Niosła telefon. Stała przed Karen i złożyła ceremonialny ukłon. Miała nie więcej niż szesnaście lat, oliwkową cerę i fiołkowe oczy.

- To jest pani telefon do Houston - powiedziała szkolną angielszczyzną. - Posłuchanie zaraz się zacznie.

Karen trąciła zaspanego Petera.

- Posłuchanie zaraz się zacznie - powtórzyła.

Elliot był zdumiony wystrojem wnętrza. Spodziewał się surowego, wojskowego stylu i ze zdziwieniem spoglądał na kunsztowne mauretańskie łuki oraz fontanny migoczące w promieniach słońca.

Potem zobaczył grupę Niemców i Japończyków, którzy z nachmurzonymi minami wpatrywali się w Karen. Kobieta zatrzymała się na chwilę, po czym powiedziała „przepraszam” i podbiegła w stronę wysokiego młodzieńca o jasnych włosach. Przywitała go serdecznym pocałunkiem i rozpoczęła przyjacielską rozmowę.

Peter zmarszczył brwi, lecz po chwili zauważył, że Japończycy - ubrani w jednakowe czarne garnitury - także nie byli zachwyceni tym spotkaniem. Uśmiechnął się życzliwie w ich stronę, jakby w pełni akceptował zachowanie Karen.

- Kto to był? - spytał, kiedy wróciła.

- Richter - odpowiedziała. - Najlepszy topolog w Europie Zachodniej. Zajmuje się przede wszystkim ekstrapolacją przestrzeni i może się pochwalić znakomitymi wynikami... - Uśmiechnęła się lekko. - Prawie tak dobrymi, jak moje.

- Pracuje dla konsorcjum?

- Oczywiście. Jest Niemcem.

- Dlaczego z nim rozmawiałaś?

- Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności - odparła. - Jeden z moich profesorów był podobny do Karla. Potrafił wykorzystać wszelkie istniejące dane, lecz nigdy nie wymyślił niczego nowego. Przywiązany do faktów... więzień realizmu.

Potrząsnęła głową.

- Pytał o Amy?

- Oczywiście.

- Co mu powiedziałaś?

- Że mała bardzo źle zniosła podróż i prawdopodobnie niedługo zdechnie.

- Uwierzył?

- Zobaczymy. Nadchodzi Munro.

W sąsiednim pomieszczeniu pojawił się wysoki mężczyzna, ubrany w strój koloru khaki. W ocienionych wąsami ustach trzymał cygaro. Ciemne, bystre oczy badawczo obserwowały nowo przybyłych. Zamienił kilka słów z Japończykami, lecz to, co powiedział, wyraźnie nie przypadło im do gustu. Chwilę później z szerokim uśmiechem podszedł do pary Amerykanów.

- Doktor Ross... Słyszałem, że wybiera się pani w górę rzeki Kongo.

- Razem z panem, kapitanie Munro - odpowiedziała Karen.

Uśmiech byłego najemnika stał się jeszcze szerszy.

- Kongo przeżyje prawdziwy najazd obcokrajowców.

Elliot niewiele rozumiał z dalszej wymiany zdań. Pierwsza zaczęła Karen.

- Pięćdziesiąt tysięcy USA w szwajcarskich frankach na zero-dwa w pierwszym roku z uzgodnionym terminem wypłaty - zaproponowała.

Munro pokręcił głową.

- Sto w szwajcarskich frankach i zero-sześć w ciągu pierwszego roku, pełne konto, bez zniżek.

- Sto w amerykańskich dolarach i zero-jeden w pełnym depozycie, dyskonto na punkt wyjścia.

- Punkt wyjścia? W samym środku cholernego Kongo? Mógłbym czekać co

najmniej trzy lata. Co będzie, jeśli zostaniecie zestrzeleni?

- Jeśli chcesz coś zyskać, musisz zaryzykować. Mobutu jest wystarczająco sprytny.

- Mobutu wymyka się spod kontroli, a ja wciąż żyję tylko dlatego, że nie przepadam za hazardem - odparł Munro. - Sto i zero-cztery w ciągu pierwszego roku z dyskontem wyłącznie na otwarcie. Zero-dwa, jeśli upierasz się przy swoim.

- Jeśli nie jesteś hazardzistą, mogę zaproponować kupno za dwieście.

Munro ponownie pokręcił głową.

- Za uzyskanie prawa do eksploracji złoża zapłacicie więcej.

- W Kinszasie jest inflacja. Bieżący limit wydobycia jest oceniany poniżej tysiąca.

- Skoro tak twierdzisz...

Skierował się w stronę pokoju, gdzie czekali Niemcy i Japończycy.

- Nie powinni o tym wiedzieć - powiedziała pośpiesznie Karen.

- Mają własne źródła informacji - odparł Munro. Wyszedł.

- Sukinsyn - szepnęła Karen. Przyciszonym głosem zaczęła mówić do słuchawki:

- Nie przyjmie takich warunków... Nie, to niemożliwe... Chcą go pozyskać...

- Wysoko cenisz jego usługi - odezwał się Elliot.

- Jest najlepszy - odpowiedziała i powróciła do przerwanej rozmowy telefonicznej. W sąsiednim pomieszczeniu Munro ze smutkiem potrząsnął głową. Odrzucił ofertę. Elliot zauważył, że Richter poczerwieniał gwałtownie.

Munro podszedł do Karen.

- Ile wynosi przewidywany limit?

- Poniżej tysiąca.

- Chodzi zatem o złoża rudy.

- Nic nie wiem na temat złoża.

- W takim razie niepotrzebnie wyrzucasz pieniądze - odparł mężczyzna. - Mam rację?

Karen Ross w milczeniu wpatrywała się w misternie rzeźbiony sufit.

- Wyprawa w rejon Virungi to nie spacer po parku - ciągnął Munro. - Kigani szaleją. Wiesz, że są kanibalami? Wśród Pigmejów panuje spore wzburzenie; łatwo dostać strzałę w plecy. Wulkan grozi erupcją. W powietrzu unoszą się chmary tse-tse. Stęchła woda, skorumpowani urzędnicy... Kiepskie miejsce na piknik. Powinnaś

zaczekać, aż nieco się uspokoi i dopiero wówczas podjąć wyprawę.

Peter głośno wyraził swoje poparcie.

- Mądry facet - mruknął Munro. Nie tracił dobrego humoru. Karen była wyraźnie rozdrażniona jego zachowaniem.

- Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia - ucięła.

- To chyba oczywiste - skinął głową Munro.

Elliot zrozumiał, że negocjacje zostały zerwane. Uniósł się z krzesła, aby uścisnąć na pożegnanie dłoń gospodarza, lecz Munro ponownie wyszedł do sąsiedniego pokoju.

- Idzie nam coraz lepiej - powiedziała Karen.

- Lepiej? - zdziwił się Peter. - Munro uważa, że nic ciekawego mu nie zaoferowałaś.

- Nie. Jest przekonany, że mamy dokładniejsze informacje, gdzie szukać złoza, i więcej szans na wywiązanie się z umowy.

Goście zgromadzeni w przyległym pomieszczeniu gwałtownie wstali z foteli i skierowali się w stronę wyjścia. Munro uścisnął dłoń każdemu z Niemców i z kurtuazją skłonił się Japończykom.

- Chyba masz rację - odezwał się Elliot. - Dostali odprawę. Ross zmarszczyła brwi.

- Coś tu nie gra - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie powinni tak łatwo zrezygnować.

Peter był zaskoczony jej zachowaniem.

- Przecież na to właśnie liczyliśmy!

- Cholera - warknęła Karen. - Wykiwali nas. Gorączkowym szeptem zaczęła mówić do słuchawki.

Elliot nic z tego nie rozumiał. Był jeszcze bardziej zaskoczony, gdy Munro zamknął drzwi za ostatnim z wychodzących, po czym powrócił do pokoju i oświadczył, że właśnie podano kolację.

Posilali się na sposób marokański, siedząc na podłodze i jedząc palcami. Pierwsze danie stanowił pasztet z gołębi, później wniesiono półmiski z duszonym mięsem.

- Odrzuciłeś ofertę Japończyków? - spytała Karen.

- Ależ skądże - odparł Munro. - To byłoby niestosowne. Powiedziałem, że muszę się zastanowić... i naprawdę mam zamiar tak zrobić.

- Dlaczego odeszli? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zapewniam cię, że to nie miało nic wspólnego ze mną. Przypuszczam, że otrzymali telefoniczną wiadomość, która całkowicie zmieniła ich plany.

Karen Ross znacząco zerknęła na zegarek.

- Znakomita potrawa - powiedziała, siląc się na uprzejmość.

- Cieszę się, że ci smakuje. To *tajin*. Mięso wielbłąda.

Karen zakrztusiła się z wrażenia. Elliot również stracił apetyt. Munro zwrócił się w jego stronę.

- Słyszałem, że podróżuje pan z gorylem, profesorze.

- Skąd pan wie?

- Od Japończyków. Byli szczerze zafascynowani pańskim zwierzęciem. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że ich zainteresowanie graniczy z obsesją. Młody mężczyzna z gorylem i młoda kobieta poszukująca...

- ...przemysłowych diamentów - wtrąciła Karen.

- Przemysłowych diamentów. - Ponownie spojrzął na Elliota. - Lubię szczerą rozmowę. Diamenty... to interesujące.

Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że pojął wagę informacji.

- Musisz nas do nich zaprowadzić, Munro - odezwała się Karen.

- Świat jest pełen diamentów - padła odpowiedź. - Można je znaleźć w Afryce, w Indiach, Rosji, Brazylii, Kanadzie... nawet w Ameryce. Arkansas, Nowy Jork, Kentucky... gdzie tylko spojrzeć. Jednak ty wybrałaś Kongo.

Nie wypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

- Poszukujemy błękitnych diamentów typu IIB w otoczce z boru - powiedziała Karen - które mają właściwości półprzewodników i są wykorzystywane w przemyśle elektronicznym.

Munro przygładził wąsy.

- Błękitne diamenty - pokiwał głową. - To ma sens. Kobieta przytaknęła ze zniecierpliwieniem.

- Nie można ich uzyskać drogą syntezy?

- Nie. Wykonano kilka prób w Stanach Zjednoczonych i w Japonii. Otrzymano pewną ilość boru, lecz sam proces przebiegał tak chaotycznie, że zarzucono ten pomysł.

- Zatem należy odnaleźć złożę.

- Słusznie. Chcę tam dotrzeć jak najszybciej. - Głos kobiety brzmiał matowo. Z

napięciem spoglądała na twarz gospodarza.

- Oczywiście - odparł Munro. - Liczy się tylko biznes, prawda? Przeszedł na drugą stronę pokoju, wsparł dłonie o rzeźbioną balustradę i spojrzał w mrok spowijający Tangier.

- Nie jestem tym zaskoczony - powiedział. - Prawdę mówiąc... Rozległ się grzechot serii wystrzałów. Munro rzucił się na podłogę.

Pociski roztrzaskały kilka szklanek i talerzy stojących na stole, któraś z dziewcząt krzyknęła przeraźliwie. Ross i Elliot leżeli płasko na marmurowej posadzce. Kule gwizdały w powietrzu, z sufitu i ścian odpadały kawałki tynku. Po trzydziestu sekundach zapanowała głucha cisza.

Elliot z wahaniem uniósł głowę. Zobaczył wstającego Munro.

- Konsorcjum przystąpiło do właściwej rozgrywki. - Były najemnik wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Rozumiem ich zdenerwowanie.

Karen otrzepała ubranie z resztek tynku.

- Pięć koma dwa dla pierwszych dwóch setek, bez rabatu, w szwajcarskich frankach - powiedziała.

- Pięć koma siedem i jadę.

- Zgoda. Umowa stoi.

Munro uściśnął im dłonie, po czym oświadczył, że potrzebuje kilku minut, aby przygotować się do wyjazdu.

- Tak... po prostu? - odezwała się Karen. Z nagłym niepokojem zerknęła na zegarek.

- Masz jakieś zmartwienie? - spytał Munro.

- Czeskie AK-47 - odpowiedziała. - W twoim magazynie. Mężczyzna nie okazał zdziwienia.

- Trzeba je zabrać - stwierdził. - Konsorcjum przygotowało pewnie coś podobnego. W ciągu najbliższych godzin czeka nas masa pracy.

W oddali zabrzmiały syreny wozów policyjnych.

- Wyjdziemy tylnymi drzwiami - zarządził Munro. Godzinę później lecieli już w stronę Nairobi.

DZIEŃ CZWARTY:

NAIROBI

16 czerwca 1979

1. Czasówka

Odległość pomiędzy Tangierem a Nairobi wynosi pięć tysięcy osiemset kilometrów - dalej niż z Nowego Jorku do Londynu. Lot trwał osiem godzin. Karen spędziła większość czasu przy komputerze, pracując nad czymś, co nazywała „liniami prawdopodobieństwa”.

Na ekranie widniała mapa Afryki pokryta różnobarwnymi pasami.

- Chodzi o pomiar czasu - wyjaśniła Karen. - Istnieją różne warianty dalszej trasy.

Elliot spojrział na cyfry migoczące na zegarze wmontowanym w obudowę komputera.

- Co to znaczy? - spytał.

- Chcę jak najprędzej dotrzeć na miejsce. Zgodnie z ostatnimi wyliczeniami, podróż zajmie nam sześć dni, osiemnaście godzin i pięćdziesiąt jeden minut. Zażądałam, żeby komputer wyznaczył nową, jeszcze szybszą marszrutę.

Peter nie umiał powstrzymać się od uśmiechu. Pomysł, aby maszyna wyliczyła czas podróży z dokładnością do jednej minuty, wydawał mu się nieco dziwaczny. Dziwiło go, że Ross z całą powagą traktuje tę zabawę.

Zegar wskazał pięć dni, dwadzieścia dwie godziny i dwadzieścia cztery minuty.

- Lepiej - kiwnęła głową Karen. - Ale to nie wystarczy. Nacisnęła jeden z klawiszy. Linie pokrywające kontynent rozciągnęły się i zmieniły położenie.

- Przypuszczalna trasa konsorcjum - wyjaśniła kobieta. - Opracowana według danych, jakie udało się nam uzyskać do tej pory. Wysłali dużą grupę, liczącą ponad trzydzieści osób. Prawdopodobnie nie znają dokładnego położenia ruin miasta, lecz wyruszyli z dwunastogodzinnym wyprzedzeniem i w tej chwili powinni już być w Nairobi.

Zegar wskazał pięć dni, dziewięć godzin i dziewiętnaście minut. Karen wcisnęła klawisz oznaczony napisem: DATA. Cyfry zmieniły położenie, odczyt brzmiał: 06 21 79 0814.

- Wyprawa konsorcjum dotrze do Zinj dwudziestego pierwszego czerwca o ósmej rano.

Komputer brzęczał przez chwilę, kolorowe pasy wciąż zmieniały wygląd i wielkość. Na zegarze pojawiły się kolejne cyfry: 06 21 79 1224.

- Hmm... - mruknęła Karen. - Nawet w sprzyjających okolicznościach,

konsorcjum zyska nad nami cztery godziny przewagi.

Z głębi samolotu wynurzył się Munro. Trzymał w dłoni kanapkę.

- Poszukaj innej trasy - powiedział - albo idź na całość.

- Nie mogę. Nie z małpą. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Musisz coś postanowić. Czas ucieka.

Elliot przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym niedowierzaniem. Kilka godzin różnicy? Za pięć dni?

- Przecież... - wtrącił nieśmiało - ...kiedy opuścimy Nairobi i wejdziemy w głąb dżungli... wszystkie prognozy nie będą miały znaczenia.

- Dzisiejsza eksploracja Afryki w niczym nie przypomina przeszłości - odpowiedziała Karen. - Skończyła się epoka kilkumiesięcznych ekspedycji. Komputer potrafi wyliczyć czas wyprawy z dokładnością do kilku minut... powiedzmy, do pół godziny.

Potrząsnęła głową.

- Muszę sobie poradzić z tym problemem. Toczy się gra o wielką stawkę.

- Masz na myśli diamenty?

Wyciągnęła palec. W górnej części ekranu widniał napis: BLUE CONTRACT. Peter spytał, co to znaczy.

- Niezłą forszę - odpowiedziała kobieta. - Tak sądzę - dodała po chwili.

Prawdę mówiąc, nie wiedziała.

Każdy nowy kontrakt ERTS-u oznaczano kryptonimem. Zanotowaną w pamięci komputera nazwę kontrahenta znał tylko Travis, wszyscy pozostali pracownicy - od programistów po uczestników wyprawy - posługiwali się hasłem. „Red Contract”, „Yellow Contract”, „White Contract”... Tajemnica była ściśle przestrzegana, choć domniemana tożsamość klientów stanowiła ulubiony temat rozmów i rozmaitych domysłów.

„Niebieski” kontrakt został podpisany w grudniu 1978 roku. Zobowiązywał ERTS do podjęcia poszukiwań naturalnego złoża diamentów „na terytorium przyjaźnie nastawionego lub neutralnego kraju”. Typ minerału określono symbolem IIB, lecz nie sprecyzowano żadnych wymiarów ani jakości. Nabywca był zdecydowany przyjąć każdą próbkę. Co dziwniejsze, nie określił wartości UECL.

Niemal każda umowa zawierała punkt dotyczący UECL, czyli górnej granicy kosztów eksploatacji złoża. Nie wystarczało samo Odkrycie minerałów - wydobyć musiało się opłacać. Obliczano wartość rudy oraz sumę wydatków związanych z

zatrudnieniem miejscowych robotników, budową sztolni, lotniska, dróg dojazdowych oraz punktów pomocy medycznej i szpitali. Brak wspomnianego paragrafu oznaczał, że klient był skłonny zapłacić każdą cenę.

Domorośli „detektywi” z ERTS-u w ciągu czterdziestu ośmiu godzin odkryli ważne poszlaki dotyczące kontraktu. Diamenty typu IIB swój błękitny kolor zawdzięczały śladowej ilości boru. Były bezwartościowe jako materiał jubilerski, lecz znakomicie pełniły funkcję półprzewodników o rezystancji stu omów. Miały także właściwości światłowodowe.

Nieco później ktoś znalazł krótki artykuł pod tytułem „Projekt McPhee zakończony niepowodzeniem”, opublikowany siedemnastego listopada 1978 roku w magazynie „Electronic News”. Autor notatki wyjaśniał, że próba otrzymania sztucznych diamentów z domieszką boru, przeprowadzona w zakładach Silec w stanie Mas-Sachusetts, okazała się zbyt kosztowna i niepewna, aby „podjąć decyzję o produkcji przemysłowej”. Kilka końcowych zdań brzmiało: „Inne firmy także zrezygnowały z doświadczeń. We wrześniu br. w tokijskim koncernie Hakamichi przerwano prace nad projektem Nagury”. Pracownicy ERTS-u znaleźli kolejny element łamigłówki.

Już w 1971 roku eksperci od mikroelektroniki zatrudnieni w zakładach Intec w Santa Clara doszli do przekonania, że diamentowe półprzewodniki znajdują zastosowanie w nowej generacji „superkomputerów” lat osiemdziesiątych.

Pierwsza seria maszyn cyfrowych, określanych nazwami ENIAC i UNIVAC, została wykonana w tajnych laboratoriach wojskowych podczas drugiej wojny światowej. Zasadniczą część konstrukcji stanowiły lampy próżniowe, których „żywołność” określano na dwadzieścia godzin. W praktyce zdarzało się, że komputer wyposażony w tysiące rozszarżonych układów przerywał pracę już po siedmiu minutach. Lampy limitowały także pojemność pamięci i wielkość maszyny.

W komputerach drugiej generacji pojawił się wynaleziony w 1947 roku tranzystor - mała metalowa „kanapka”, która przejęła wszelkie funkcje lampy próżniowej. Tranzystory potrzebowały mniejszej ilości energii, wytwarzały niewiele ciepła i cechowały się dużą niezawodnością. Rozwój techniki silikonowej spowodował, że w ciągu kolejnych dwudziestu lat powstały trzy generacje sprawnych i tanich komputerów.

Jednak w latach siedemdziesiątych inżynierowie oraz informatycy zaczęli poszukiwać całkiem nowych rozwiązań. Szybkość maszyn cyfrowych nadal zależała od

długości obwodów, a postęp miniaturyzacji został zahamowany przez odwieczny problem: przegrzanie. Mikroskopijne części topiły się w czasie pracy pod wpływem wydzielanego przez nie ciepła. Należało wyeliminować efekt termiczny przy jednoczesnym obniżeniu rezystancji.

Już dwadzieścia lat wcześniej kilku naukowców zauważyło, że niektóre metale w nadzwyczaj niskich temperaturach nabierają cech „nadprzewodników” i umożliwiają swobodny przepływ elektronów. W 1977 roku koncern IBM ogłosił podjęcie badań nad stworzeniem superszybkiego komputera wielkości winogrona, chłodzonego płynnym azotem. Konstrukcja wymagała całkiem nowej techniki oraz użycia materiałów odpornych na niską temperaturę.

Praktycznym wyjściem wydawało się zastosowanie „zanieczyszczonych” diamentów.

Kilka dni później, niektórzy z pracowników ERTS-u zaczęli przebąkiwać o nowym rozwiązaniu. Lata siedemdziesiąte cechował gwałtowny rozwój informatyki. Twórcy pierwszych komputerów byli przekonani, że wystarczą cztery maszyny, aby „w najbliższej przyszłości wykonać wszystkie zadania stojące przed całym cywilizowanym światem”. Nowe prognozy przewidywały, że w ostatnim dziesięcioleciu dwudziestego wieku będzie ponad miliard komputerów połączonych siecią telekomunikacyjną, jednak eksperci wątpili nawet w teoretyczną możliwość realizacji tych założeń (w raporcie z 1975 roku ogłoszonym przez Instytut Naukowy w Hanowerze stwierdzono, że na kuli ziemskiej brak wystarczającej ilości metali do stworzenia odpowiednich linii przesyłowych).

Harvey Rumbaugh doszedł do wniosku, że w latach osiemdziesiątych nastąpi gwałtowne załamanie systemów przekazywania i przechowywania danych. „Państwa o wysokim stopniu rozwoju przemysłu były zupełnie nie przygotowane na kryzys paliwowy lat siedemdziesiątych. W ciągu najbliższego dziesięciolecia z podobnym zaskoczeniem zareagują na brak dostępu do informacji. Kryzys paliwowy ograniczył postęp komunikacji; kryzys informacyjny ograniczy rozwój wiedzy. Czas pokaże, co bardziej boli”.

Jedyną nadzieję pokładano w technice laserowej. Pojemność skondensowanej wiązki światła była dwadzieścia tysięcy razy większa niż tradycyjnego kabla wykonanego z metalu. Lecz nowa technika wymagała nowych technologii; zastosowania specjalnych soczewek oraz diamentowych półprzewodników, których wartość w nadchodzących latach „miała przekroczyć cenę ropy naftowej”.

Rumbaugh posunął się jeszcze dalej. „W niezbyt odległej przyszłości urządzenia elektryczne trafią do lamusa”, stwierdził. „Centralną część każdego komputera będą stanowić układy świetlne, a do przesyłania informacji posłużą światłowody”. Powód był prosty: szybkość. „Światło biegnie w przestrzeni z szybkością światła” - ciągnął swój wywód Rumbaugh. „Fale elektryczne są zbyt powolne. Mikroelektronika odchodzi w przeszłość”.

Rozwój wypadków zdawał się przeczyć jego słowom. W 1979 roku obroty zakładów przemysłu elektronicznego w samych Stanach Zjednoczonych przekroczyły osiemdziesiąt miliardów dolarów. Sześć z koncernów umieszczonych w pierwszej dwudziestce listy „Fortune 500” było ściśle związanych z produkcją komputerów i od trzydziestu lat zwycięsko pokonywało rozmaite problemy techniczne.

W 1958 roku pojedynczy układ silikonowy zawierał dziesięć elementów elektronicznych. Dwanaście lat później, w 1970 roku, układ tej samej wielkości składał się już ze stu części.

Dalszy postęp odbywał się w lawinowym tempie. W 1972 roku pojedynczy układ zawierał tysiąc elementów, a w 1974 - dziesięć tysięcy. Eksperci przewidywali, że na początku lat osiemdziesiątych mikrochip wielkości paznokcia będzie złożony z miliona części, lecz dzięki zastosowaniu fotoprojeksji zadanie zostało wykonane już w 1978 roku. Wiosną 1979 podjęto pierwsze prace nad dziesięciokrotnym zwiększeniem wspomnianej liczby. W roku 1980 miał się pojawić układ zawierający miliard elementów... choć niemal wszyscy byli przekonani, że nastąpi to dużo wcześniej.

Bezprecedensowy rozwój elektroniki nie znajdował odbicia w żadnej innej gałęzi przemysłu. Zakłady samochodowe w Detroit dokonywały niewielkich zmian projektowych raz na trzy lata, co dla nowych generacji komputerów stanowiło całą epokę. Gdyby konstruktorzy z Detroit chcieli dotrzymać kroku specjalistom od elektroniki, musieliby w ciągu dziesięciu lat opracować projekt silnika, który umożliwiałby pokonanie na jednym litrze benzyny stu trzydziestu milionów kilometrów zamiast dotychczasowych dwunastu. Jak dotąd udało im się zwiększyć ostatnią liczbę do dwudziestu pięciu, co świadczy o nieuchronnie nadchodzącym zmierzchu amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego.

Napięta sytuacja panująca na rynku elektronicznym budziła strach przed zagrożeniem ze strony obcych konkurentów, zwłaszcza Japonii. W 1973 roku powstał Japoński Ośrodek Wymiany Kulturalnej w Santa Clara, który w rzeczywistości był

nowoczesnym i dobrze wyposażonym centrum szpiegostwa przemysłowego.

W świetle istniejącej sytuacji, sprawa „niebieskiego” kontraktu nabierała nieco innego znaczenia. „To będzie hit najbliższego dziesięciolecia”, oświadczył Travis. „Ten, kto pierwszy położy rękę na diamentach, przez pięć lat będzie nie do pokonania. Pięć lat. Wiesz, co to znaczy?”

Karen Ross wiedziała. W przemyśle, gdzie nowe rozwiązania wdrażano w ciągu miesięcy, nawet kilkutygodniowa przewaga przynosiła krociowe zyski. Kalifornijskie zakłady Syntel rozpoczęły produkcję chipu pamięciowego 256K, w czasie gdy inne koncerny wytwarzały 16K, a opracowanie 64K zdawało się wciąż bliższe marzeniom niż rzeczywistości. Syntel utrzymał pozycję lidera zaledwie przez szesnaście tygodni, lecz zysk wyniósł ponad sto trzydzieści milionów dolarów.

- W tej chwili mówimy o pięciu latach - stwierdził Travis. - Wpływy przodującego koncernu osiągną miliardową wartość. Oczywiście, jeśli odnajdziemy diamenty.

Pochylona przed ekranem komputera kobieta doskonale zdawała sobie sprawę z ciężącej na niej odpowiedzialności. W wieku dwudziestu czterech lat stanęła na czele ekspedycji uczestniczącej w szaleńczym wyścigu, którego stawka przekraczała granice ludzkiej wyobraźni.

- Nie przejmuj się, gdy czasem zawiodą cię nerwy - powiedział Travis w czasie pożegnania. - Od twoich decyzji i działań *zależą* miliardy dolarów. Po prostu działaj najlepiej, jak potrafisz.

Udało jej się skrócić czas wyprawy o kolejne trzy godziny i trzydzieści siedem minut, lecz było to zbyt mało w porównaniu z wynikiem konsorcjum. Kilka minut, które zwiastowały całkowitą klęskę... nawet przy zastosowaniu rozwiązań proponowanych przez Munro.

Chwilę później nadeszły jeszcze gorsze wieści.

Na ekranie pojawił się napis: PIGGYBACK SLURP / WSZYSTKIE ZAKŁADY ODWOŁANE.

- Cholera - zakłęła Karen. Poczula nagły przyływ zmęczenia. Jeśli informacja była prawdziwa, nie mieli szans na zwycięstwo dżungli.

2. Piggyback Slurp

Travis czuł się jak głupiec.

Ponownie spojrzął na notatkę otrzymaną z Ośrodka Lotów Kosmicznych w Greenbelt, w stanie Maryland.

ERTS DLACZEGO PRZYSYŁACIE DANE O MUKENKO NIEPOTRZEBNE
ALE DZIĘKUJEMY WSTRZYMAĆ EMISJĘ.

Wiadomość nadeszła przed kilkunastoma minutami, lecz łączne opóźnienie wynosiło ponad pięć godzin.

- Niech to szlag! - warknął Travis. Zerknął na telex.

Po raz pierwszy pomyślał, że coś się nie układa, gdy Japończycy i Niemcy zerwali negocjacje z Munro. Początkowo byli skłonni zapłacić każdą sumę, aby go pozyskać, później nieoczekiwanie zmienili front i ledwo dotrwali do pożegnania. Bez wątpienia otrzymali nowe, niezwykle ważne informacje.

Skąd?

Nasuwało się tylko jedno logiczne wyjaśnienie, a telex przesłany z Greenbelt potwierdzał domysły Trávisa.

ERTS DLACZEGO PRZYSYŁACIE DANE O MUKENKO

Centrala ERTS-U nie przysyłała żadnych danych. W 1978 roku Travis zawarł porozumienie z Ośrodkiem Lotów Kosmicznych o wymianie informacji docierających na ziemię za pośrednictwem landsatów. Koszty połączeń satelitarnych stanowiły główną część wydatków przedsiębiorstwa, a ośrodek w Greenbelt zgodził się zredukować opłaty o trzydzieści procent w zamian za ograniczony dostęp do archiwum ERTS-u.

Umowa wyglądała korzystnie, tym bardziej że przepływ informacji miał przebiegać za pomocą zaszyfrowanych sygnałów.

Dopiero teraz Travis w pełni zrozumiał błąd, jaki popełnił podpisując wspomniane porozumienie. Odległość pomiędzy Houston i Greenbelt wynosiła ponad trzy tysiące dwieście kilometrów. Na linii telefonicznej, gdzieś pomiędzy Teksasem i Maryland, zainstalowano „piggyback”, terminal „zasysający” dane z głównego

komputera. Wyrafinowana forma szpiegostwa przemysłowego.

W początkowej fazie działalności „piggyback” służył jedynie jako przekaźnik informacji pomiędzy współpracującymi przedsiębiorstwami. Gdy operator poznał obowiązującą procedurę i hasła wywoławcze, mógł bezpośrednio włączyć się do transmisji. Korzystał wówczas z obu central, wobec Houston występując jako Greenbelt, a wobec Greenbelt jako Houston. „Zasysanie” danych trwało tak długo, póki jedna ze stron nie zorientowała się w sytuacji.

Podstawowe pytanie brzmiało: czego dowiedział się szpieg w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin?

Travis sprawdził wykaz wychodzących informacji. Rezultat był przygnębiający. Prócz podstawowego pakietu danych, komputer ERTS-u przesłał miesięczny raport dotyczący wszelkich działań i operacji podejmowanych przez pracowników centrali. Euro-japońskie konsorcjum zdobyło klucz do szyfru i z całą pewnością знаło już dokładne położenie zaginionego miasta.

Czas działał na niekorzyść ekspedycji ERTS-u, a ostatnie przewidywania brzmiały coraz bardziej niepokojąco. Karen Ross, czy kto inny, szansę na sukces równały się zeru.

Travis nie miał złudzeń. Uznał, że wyprawa jest chybionym przedsięwzięciem. Nie wierzył, aby obecność Amy mogła coś zmienić. Goryle nie miały doświadczenia w poszukiwaniu złóż minerałów.

Sprawa wyglądała beznadziejnie.

Czy powinien wezwać uczestników ekspedycji do powrotu? Obrzucił ponurym spojrzeniem ekran komputera.

- Kosztorys - powiedział.

Na monitorze pojawił się napis: KOSZTORYS PRZYGOTOWANY.

- Kongo.

Ekran pojaśniał długimi rzędami cyfr: wydatki dzienne, akumulacja, przewidywane koszty, margines dopuszczalnego błędu wskutek nagłych wypadków... Wyprawa dotarła w okolice Nairobi, a łączna suma nieco przekraczała sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów.

Przerwanie ekspedycji oznaczało stratę dwustu dwudziestu siedmiu tysięcy czterystu pięćdziesięciu pięciu dolarów.

- Czynniki BF - polecił Travis.

Obraz na monitorze uległ zmianie. Skrót BF pochodził od słów *bona fortuna*, a

właśnie ów przysłowiowy „łut szczęścia” był niezwykle potrzebny podczas dalekich i niebezpiecznych wypraw.

MYŚLĘ, oznajmił komputer.

Travis czekał. Wiedział, że maszyna potrzebuje kilkunastu sekund, aby wprowadzić odpowiednie poprawki, zwłaszcza że Karen miała dopiero za pięć dni dotrzeć do wyznaczonego celu.

Zabrzączał interkom. Po chwili odezwał się głos Rogersa.

- Znaleźliśmy szpiega. „Piggyback” został zainstalowany w Nor-man, w Oklahomie, w budynku należącym oficjalnie do North Central Insurance Corporation. Pięćdziesiąt jeden procent akcji NCIC jest własnością hawajskiego towarzystwa Halekuli, które z kolei pozostaje pod ścisłą kontrolą Japończyków. Co mam robić?

- Daj im popalić - warknął Travis.

- Jasne - odparł Rogers. Połączenie zostało przerwane.

Na ekranie komputera pojawił się napis: CZYNNIK BF UWZGLĘDNIONY oraz stopień prawdopodobieństwa: 0,449. Travis był zaskoczony; istniała pewna szansa, że Karen dotrze do Zinj przed ekspedycją konsorcjum. Nigdy nie kwestionował słuszności wyliczeń. Wynik 0,449 był wystarczająco dobry.

Nie należało zatem przerywać wyprawy. Travis postanowił, że uczyni wszystko co w jego mocy, aby zyskać na czasie i osłabić przewagę konsorcjum. Miał już kilka pomysłów, jak to zrobić.

3. Nowe informacje

Tom Seamans uzyskał połączenie z Elliotem w chwili, gdy samolot przelatywał nad Jeziorem Rudolfa w północnej Kenii.

Niedawno zakończył pracę nad programem komputerowym odróżniającym goryle od pozostałych gatunków człekokształtnych, Zwłaszcza od szympansów. Z Houston otrzymał taśmę z trzysekundowym, nieco zamazanym filmem przedstawiającym ogromną małpę niszczącą antenę satelitarną i ponuro spoglądającą w stronę kamery.

- I co? - spytał Elliot. Zerknął na monitor.

PROGRAM DYSKRYMINACYJNY GORYL / SZYMPANS

PODZIAŁ WG PRZEDSTAWIONEGO WZORCA:

GORYL: 0,9934

SZYMPANS: 0,1132

TAŚMA WIDEO {HOUSTON}: 0,3349

- Diabli nadali - mruknął Elliot. Wynik wskazywał na całkowitą nieprzydatność programu.

- Przepraszam - usłyszał po drugiej stronie słuchawki głos Seamansa. - Miałem problemy z materiałem testowym. Wizerunek zarejestrowany na filmie został poddany obróbce komputerowej, co spowodowało, że zatracił niektóre istotne cechy oryginału. Wolalibyśmy pracować na matrycy. Możesz mi to załatwić?

Karen skinęła głową.

- Tak - powiedział Elliot.

- Przeprowadzę jeszcze jedną próbę - ciągnął Seamans – lecz jeśli chcesz wysłuchać mojej opinii, wynik będzie zbliżony do poprzedniego. Goryle, podobnie jak ludzie, mają zróżnicowaną, indywidualną budowę twarzy. W chwili gdy poszerzymy wzorzec, otrzymamy większą liczbę rozwiązań. Utknąłeś w miejscu, Peter. Nie możesz udowodnić, że to nie goryl... chociaż założę się o każdą sumę, że masz rację.

- O czym mówisz? - spytał Elliot.

- O czymś zupełnie nowym - odparł Seamans. - Gdyby naprawdę chodziło o goryla, na kolejnym etapie obliczeń komputer wskazałby 0,89 lub 0,94. Wizerunek z filmu ma współczynnik 0,39. Stanowczo za mało. To nie goryl, Peter.

- W takim razie, co to może być?

- Forma przejściowa. Sprawdziłem miejsce, gdzie wystąpiły pierwsze różnice. Wiesz, co było najważniejsze? Kolor skóry. Nawet na czarno-białym obrazie zwierzę jest zbyt jasne jak na goryła. Mówimy o całkiem nowym gatunku.

Peter spojrzał w stronę Karen.

- Ma to jakiś wpływ na przewidywany przebieg wyprawy?

- Na razie nie - odpowiedziała. - Pozostałe czynniki są o wiele poważniejsze... i nie otrzymaliśmy ostatecznego potwierdzenia.

- Zbliżamy się do Nairobi - dobiegł z interkomu głos pilota.

4. Nairobi

Osiem kilometrów od granic miasta rozciągała się spalona słońcem lawanna. Wielu mieszkańców Nairobi pamiętało czasy, gdy dzikie zwierzęta podchodziły jeszcze bliżej. Gazele, bawoły i żyrafy wędrowały po podwórkach, czasem zbłąkany lampart wśliznął się do sypialni. W niezbyt odległej przeszłości miasto miało charakter kolonialnej osady; życie nabierało tu całkiem innego smaku. „Jesteś żonaty, czy mieszkasz w Kenii?” - brzmiało standardowe pytanie. Mężczyźni lubili tego popić i byli skłonni do zwady, kobiety wyróżniały się olśniewającą urodą i cechowała je swoboda obyczajów, a upływ czasu Wyznaczały terminy kolejnych polowań.

Liczące pół miliona mieszkańców współczesne Nairobi niemal Całkowicie zatraciło dawne cechy. Kilka wiktoriańskich budynków niknęło w gąszczu autostrad, świateł sygnalizacyjnych, drapaczy chmur, Supermarketów, ekspresowych pralni chemicznych, francuskich restauracji i sinych obłoków smogu.

Rankiem szesnastego czerwca transportowy samolot ERTS-u osiadł Da pasie Międzynarodowego Portu Lotniczego w stolicy Kenii. Munro Wyruszył na poszukiwanie tragarzy. Karen miała zamiar w ciągu dwóch godzin opuścić miasto, lecz zmieniła plany, gdy otrzymała pilną wiadomość z Houston. Travis powiadomił ją, że jeden z geologów Uczestniczących w pierwszej wyprawie, Peterson, mimo wszystko dotarł do Nairobi.

- Naprawdę? - spytała podekscytowanym głosem. - Gdzie jest teraz?

- W kostnicy - odparł Travis.

Elliot zmrużył powieki; na metalowym stole leżał martwy mężczyzna w jego wieku. Połamane ręce, poszarpana skóra o sinym kolorze... Peter spojrzał na Karen. Wydawała się niezwykle spokojna. Obecny przy oględzinach patolog nacisnął pedał uruchamiający zawieszony pod sufitem mikrofon.

- Proszę podać swoje nazwisko - zwrócił się do kobiety.

- Karen Ellen Ross.

- Narodowość i numer paszportu.

- Amerykanka, F 1413649.

- Czy potrafi pani zidentyfikować tego mężczyznę?

- Tak - odpowiedziała. - To James Robert Peterson.

- Jakie związki łączyły panią ze zmarłym Jamesem Robertem Petersonem?

- Pracowaliśmy razem - powiedziała oschle. Miała beznamiętny wyraz twarzy,

niczym badacz obserwujący geologiczne znalezisko.

Patolog obrócił głowę w kierunku mikrofonu.

- Potwierdzono tożsamość Jamesa Roberta Petersona, lat dwadzieścia dziewięć, obywatela Stanów Zjednoczonych, rasy kaukaskiej.

Ponownie spojrzał na Karen.

- Kiedy ostatni raz widziała pani zmarłego?

- W maju. Był członkiem ekspedycji, która wyruszyła w głąb Kongo.

- Czy widziała go pani w ciągu minionego miesiąca?

- Nie - odparła. - Co się stało?

Patolog dotknął obrzmiałych sińców na ramionach leżącego mężczyzny. Końce palców zagłębiły się w ciało, pozostawiając ślady przypominające ugryzienie.

- Cholernie zagmatwana historia - powiedział. Piętnastego czerwca Peterson przybył do Nairobi na pokładzie niewielkiego samolotu czarterowego. Był w stanie szoku i zmarł kilka godzin później nie odzyskawszy przytomności.

- Dziw, że w ogóle do nas dotarł. Pilot miał kłopoty z silnikiem, więc osadził maszynę na lotnisku polowym w Garona, w Zairze. Peterson wyłonił się z krzaków, dokuśtykał do pasa startowego i upadł.

Mężczyzna wskazał na zgruchotane kości przedramion. Wyjaśnił, że obrażenia powstały co najmniej cztery dni wcześniej.

- Musiał okropnie cierpieć - dodał.

- Co mogło spowodować takie rany? - spytał Elliot.

Patolog stwierdził, że w całej swojej praktyce po raz pierwszy zetknął się z podobnym przypadkiem.

- Na pierwszy rzut oka jest to uraz pochodzenia mechanicznego. Niemal identyczne obrażenia odnoszą ofiary wypadków samochodowych. Jednak uraz mechaniczny może powstać tylko po jednej stronie ciała. W tym przypadku... - rozłożył ręce.

- Jaka jest pańska opinia? - wtrąciła Karen.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - oświadczył patolog. - Pod paznokciami denata znaleźliśmy ślady krwi i kilka szarych włosów. Właśnie rozpoczęliśmy badania.

Mężczyzna siedzący w drugiej części pomieszczenia podniósł głowę nad mikroskopu.

- To nie są ludzkie włosy; mają całkiem inny przekrój. Przypominają sierść

zwierzęcia blisko spokrewnionego z człowiekiem.

- Inny przekrój? - zdziwiła się Karen.

- Najlepsza metoda określenia, skąd pochodzą - odparł patolog. - Weźmy dla przykładu włosy łonowe. W przekroju przypominają elipsę, czym różnią się wyraźnie od włosów porastających inne części ciała. Wyniki naszych badań częstokroć stanowiły ważny dowód podczas rozprawy sądowej. Przeprowadziliśmy także wiele doświadczeń nad sierścią i możemy się pochwalić znakomitymi osiągnięciami...

Rozległ się przeciągły, brzęczący dźwięk.

- Wynik badania krwi - powiedział patolog.

Włączył monitor. Na ekranie ukazały się dwie pastelowe smugi.

- Po lewej stronie widzimy próbkę krwi ludzkiej. Po prawej wyciąg spod paznokci denata. Różnica jest dostrzegalna gołym okiem.

- Zatem to nie jest krew człowieka? - spytała Karen. Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Elliota.

- Hmm... - patolog wpatrywał się w ekran. - Zbliżona... Może pochodzić od jakiegoś zwierzęcia domowego, na przykład od Awini. Albo od małpy. Surowica człekokształtnych ma wiele cech wspólnych z surowicą człowieka. Komputer zaraz przedstawi nam szczegółową analizę.

Na monitorze pojawił się ciąg liter.

ODCZYN ALFA I BETA JEDNAKOWY: KREW GORYLA.

Patolog pokiwał głową.

- Mamy odpowiedź. Krew goryla.

5. Badania

- Ona nie zrobi panu żadnej krzywdy - zapewniał Peter wystraszonego sanitariusza, który od kilku minut siedział w przeznaczony dla pasażerów części transportowego jumbo-jeta. - Proszę spojrzeć, nawet się uśmiecha.

Amy rzeczywiście rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu, pilnie uważając, by nie odsłonić zębów. Niestety, pracownik prywatnej kliniki z Nairobi nie miał pojęcia o podstawowych zasadach etykiety panującej wśród goryli. W roztrzęsionej dłoni ścisnął strzykawkę.

Postój w stolicy Kenii był ostatnią okazją do wykonania kompleksowych badań stanu zdrowia Amy. Ogromne, umięśnione ciało zwierzęcia posiadało w rzeczywistości nadzwyczaj delikatną konstrukcję. W San Francisco małpa była otoczona ścisłą opieką lekarską - co drugi dzień pobierano od niej próbki moczu, co tydzień kierowano kał do analizy, a co miesiąc przeprowadzano szczegółowe badania krwi. Co trzy miesiące odbywała podróż do gabinetu dentystycznego, gdzie usuwano jej kamień nazębny.

Amy znosiła wszelkie zabiegi bez najmniejszego protestu, lecz sanitariusz nic o tym nie wiedział. Trzymał strzykawkę niczym pistolet.

- Jest pan pewien, że on nie gryzie? Amy starała się jakoś pomóc.

Amy obiecuje nie gryzie - zasygnalizowała powoli, co czyniła zawsze, jeśli podejrzewała, że ktoś nie rozumie jej znaków.

- Obiecała, że pana nie skrzywdzi - powiedział Elliot.

- Łatwo panu mówić - nie ustępował sanitariusz. Peter nie wdawał się w zbędne wyjaśnienia.

Amy ze spokojem obserwowała ruchy sanitariusza. Mężczyzna pobrał od niej próbkę krwi, po czym z ulgą przystąpił do pakowania przyrządów.

- Boże, co za bestia - westchnął.

- Sprawia pan jej przykrość - odezwał się Elliot. Amy zareagowała niezwykle żywiłowo.

Kto bestia?

- Nie zwracaj uwagi na jego słowa - odparł Peter. - Nigdy nie widział goryla.

- Słucham? - spytał sanitariusz.

- Poczula się urażona. Czeka na przeprosiny.

Sanitariusz z trzaskiem zamknął torbę. Spojrzał na Elliota, po czym przeniósł

wzrok na Amy.

- On czeka na przeprosiny?

- Ona - sprostował Peter. - Jak by pan się zachował słysząc, że ktoś nazwał pana „bestią”?

Elliot był nieco zdenerwowany. Od wielu lat zwalczał utarty pogląd, że szympans ma charakter wiecznie rozbawionego dziecka, Orangutan - szacownego starca, a goryl - krwiożerczego potwora. Ani jedno z porównań nie odpowiadało prawdzie.

Małpy nie pasowały do tych stereotypów. Szympans był bardziej Niebezpieczny od goryla. Jako typowy ekstrawertyk łatwo ulegał napadom niepohamowanej złości. Elliot ze zdumieniem obserwował matki, które podczas wizyty w zoo bez obawy podchodziły ze swymi pociechami do wybiegu szympansów, a zachowywały bezpieczną odległość przed klatką z gorylami. Nie wiedziały, że wiele murzyńskich dzieci zostało porwanych i zjedzonych przez stada dziko żyjących szympansów - czegoś podobnego nie zrobiłby żaden goryl.

Amy czuła się mocno dotknięta ludzkimi uprzedzeniami. Nie ponosiła winy za to, że natura obdarzyła ją muskularnym, pokrytym czarną sierścią ciałem i pomarszczoną twarzą ocienioną grubymi brwiami. Była inteligentna i wrażliwa, przyjacielsko nastawiona do otoczenia. Nie rozumiała, dlaczego na jej widok ludzie uciekali, podnosili przeraźliwy krzyk lub miotali obelgi.

- Twierdzi pan, że on rozumie po angielsku? - nachmurzył się sanitariusz.

- Ona - westchnął Peter. - Tak, rozumie.

Ludzie obawiający się Amy, zawsze uważali ją za samca. Elliot nie Znosił tego. Sanitariusz pokręcił głową.

- Nie wierzę.

- Amy, pokaż panu, gdzie jest wyjście.

Małpa zbliżyła się do drzwi i otworzyła je na oścież. Sanitariusz z mocno zdziwioną miną wyszedł na zewnątrz.

Głupi ludzki człowiek - oświadczyła Amy.

- Nieważne - odparł Elliot. - Chodź. Peter łaskocze Amy. Baraszkowali przez piętnaście minut. Amy zwinęła się na podłodze

i pomrukiwała z zadowolenia. Zajęty zabawą Peter nie zauważył cienia, jaki pojawił się w drzwiach samolotu. Zbyt późno podniósł głowę. Dostrzegł jedynie opadającą rurę. Gwałtowny ból eksplodował mu pod czaszką, a chwilę później

wszystko spowila głęboka ciemność.

6. Porwanie

Obudził go świdrujący w uszach dźwięk urządzeń elektronicznych.

- Proszę się nie poruszać - usłyszał.

Peter otworzył oczy i zobaczył jasny snop światła. Leżał na plecach na podłodze samolotu. Obok majaczyła czyjaś sylwetka. - Proszę spojrzeć w prawo... teraz w lewo... Czy może pan zgiąć palce?

Posłusznie spełnił wszystkie polecenia. Światło zniknęło. Zobaczył klęczącego czarnoskórego mężczyznę w białym kitlu. Lekarz delikatnie dotknął jego głowy, po czym cofnął rękę. Palce miał poplamione krwią.

- Nie ma powodu do obaw - oświadczył. - obrażenia są powierzchowne.

Spojrzał w bok.

- Jak długo pozostawał nieprzytomny?

- Najwyżej kilka minut - odparł Munro.

Rozległ się ponowny pisk. W kącie kabiny stała Karen uzbrojona w niewielką różdżkę połączoną kablem z przenośnym czujnikiem.

- Cholera - mruknęła. Wyłuskała coś spod ramy okiennej. - To już piąty. Wykonali kawał dobrej roboty.

Munro spojrzał na Elliota.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Na wszelki wypadek, w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin pacjent powinien pozostawać pod ścisłą obserwacją - wtrącił lekarz.

- Dwadzieścia cztery godziny?! - zawołała Karen. Ruszyła w dalszy obchód.

- Gdzie... - wysapał Peter.

- Zabrali ją - odparł Munro. - Otworzyli tylny luk, skorzystali z pneumatycznej zjeżdżalni i zniknęli, zanim ktokolwiek połąpał się w sytuacji. To znaleźliśmy tuż przy tobie.

Podał mu niewielką szklaną fiolkę pokrytą japońskimi napisami. Boki ampulki były porysowane, a gumowy tłok mocno wciśnięty do środka. Z jednej strony wystawała złamana igła.

Elliot usiadł.

- Nie tak gwałtownie - odezwał się lekarz.

- Nic mi nie jest - odparł Peter, choć nadal czuł pulsujący ból głowy. Obrócił ampulkę w dłoni.

- Była pokryta szronem? - spytał. Munro skinął głową.

- Dwutlenek węgla - mruknął Elliot. - Pocisk usypiający wystrzelony z wiatrówki, za pomocą naboju ze sprężonym dwutlenkiem węgla.

- Igła złamała się w ciele zwierzęcia.

Oczami wyobraźni zobaczył obraz wystraszonej, krzyczącej Amy. W San Francisco żyła otoczona czułością i troskliwą opieką. Nie była przygotowana na brutalne traktowanie ze strony ludzi; nie знаła okrucieństw panujących we współczesnym świecie.

Peter powąchał fiolkę. Poczł ostrą woń.

- Lobaxin. Silny środek nasenny. Zaczyna działać w ciągu piętnastu sekund.

Był wściekły. U wielu zwierząt lek powodował uszkodzenia wątroby, więc już dość dawno zarzucono jego stosowanie. I jeszcze ta złamana igła...

Wstał. Ciężko oparł się na ramieniu Munro. Lekarz zaczął gwałtownie protestować.

- Nic mi nie jest - powtórzył Peter.

Z drugiego końca pomieszczenia dobiegał przeciągły pisk. Karen właśnie zbliżyła różdżkę do apteczki. Przenikliwy dźwięk wprowadził ją w wyraźne zakłopotanie. Pośpiesznie zamknęła drzwi szafki i energicznym krokiem weszła między fotele przeznaczone dla pasażerów. Pisk rozległ się znowu. Karen sięgnęła pod jedno z siedzeń i wydobyla niewielki czarny przedmiot.

- Spójrzcie. Musiał tu działać prawdziwy fachowiec. Nawet w ciągu kilku godzin nie uda mi się oczyścić samolotu. Mamy zbyt mało czasu.

Stała przy komputerze i uderzyła palcami w klawisze.

- Gdzie oni mogą być? - spytał Elliot. - To znaczy... konsorcjum?

- Sześć godzin temu opuścili lotnisko Kubala na przedmieściach Nairobi - odparł Munro.

- To znaczy, że nie zabrali Amy.

- Oczywiście - wtrąciła ze zniecierpliwieniem Karen. - Jest im Zupełnie niepotrzebna.

- Czy... czy mogli ją zabić? - spytał Peter.

- Mogli - cicho odpowiedział Munro.

- Boże...

- Lecz wątpię, żeby posunęli się tak daleko - dodał były najemnik. - Wolą działać bez rozgłosu, Amy zaś jest ogólnie znana... W pewnych kręgach cieszy się

znaczną popularnością. Mówiące goryle nie są zbyt liczne. O Amy mówiono w telewizji, pisano w gazetach... Gdyby chcieli ją usunąć, najpierw zabiliby ciebie.

- Więc żyje - westchnął Peter.

- Żyje - przytaknęła Karen. - Nikt w konsorcjum nie ma pojęcia, dlaczego wzięliśmy ją na wyprawę, lecz są przekonani, że porwanie opóźni nasze przygotowania. Nic z tego... - dodała Znaczącym tonem.

Peter zrozumiał, że miała zamiar pozostawić Amy w rękach kidnaperów.

- Musimy ją uwolnić - powiedział dobitnie. - Jestem odpowiedzialny za los...

- Siedemdziesiąt dwie minuty - przerwała mu Karen wskazując na monitor. - Jeśli chcemy zmieścić się w czasie.

Spojrzała na Munro.

- I tak musimy przystąpić do realizacji planu B. Mężczyzna skinął głową.

- Zaraz się tym zajmę.

- Potrzebujemy innego samolotu - ciągnęła Karen. - Ten jest zbyt mocno nafaszerowany „pluskwami”.

Nie przestawała poruszać palcami po klawiaturze komputera.

- Ruszamy prosto do punktu M - oświadczyła. - Pytania?

- Żadnych - zwięźle odparł Munro.

- Nie opuszczę Amy - odezwał się Elliot. - Skoro chcecie ją tu zostawić, rezygnuję z dalszego udziału w ekspedycji... - przerwał, gdyż na ekranie pojawił się długi rząd liter.

GORYL NIEWAŻNY / NATYCHMIAST WYRUSZYĆ DO NASTĘPNEGO PUNKTU / MAŁPA NIE MA WPLYWU NA POTENCJALNE SKRÓCENIE CZASU / POWTARZAM KONTYNUOWAĆ EKSPEDYJCJĘ BEZ AMY/

- Nie możecie jej porzucić - nie ustępował Peter. - Zostaje.

- Coś ci powiem - warknęła Karen. - Od samego początku wiedziałam, że wasza obecność nie ma żadnego znaczenia. Chodziło nam tylko o wywołanie zaniepokojenia wśród przeciwników. Po przyjeździe do San Francisco wciąż byłam śledzona. Konsorcjum usiłowało dociec, z jakiego powodu taszczymy ze sobą goryla. Teraz możecie po prostu siedzieć w Nairobi lub wracać do Stanów. Nic mnie to nie obchodzi.

7. Pluskwy

- Do diabła! - wybuchnął Elliot. - Chcesz mi powiedzieć...

- Dobrze słyszałeś, co chcę powiedzieć - chłodno wtrąciła Karen. - Nie jesteś mi potrzebny.

Chwyciła mężczyznę za ramię i wywlekła na zewnątrz samolotu, kładąc jednocześnie palec na ustach.

Peter zrozumiał, że chciała porozmawiać z nim na osobności. Do diabła z diamentami i całą intrygą, pomyślał. Liczyła się tylko Amy.

- Nie wyjadę bez niej - powiedział z uporem.

- Ja też - odparła Karen. Szybkim krokiem ruszyła w stronę policyjnego śmigłowca, który stał opodal pasa startowego. Elliot pośpieszył za nią.

- Co takiego?

- Naprawdę nic nie rozumiesz? - spytała kobieta. - W naszym samolocie jest pełno „pluskiew” i szpiedzy konsorcjum słyszą każde słowo. Moje przemówienie było przeznaczone wyłącznie dla nich.

- Kto cię śledził w San Francisco?

- Nikt. Stracą kilka godzin, próbując ustalić tożsamość domniemanego wywiadowcy.

- Traktujesz Amy jako przynętę?

- Nie - odpowiedziała. - Posłuchaj... Nikt nie wie, co stało się i poprzednią ekspedycją. Wbrew opinii Travisa, twojej czy kogokolwiek uważam, że ma to jakiś związek z goryłami. Amy może nam pomóc.

- Jako „ambasador”?

- Potrzebujemy pewnych informacji - odparła Karen. - Amy Wie dużo więcej o gorylach niż wszyscy naukowcy razem wzięci.

- Chcesz ją odnaleźć w ciągu godziny?

- Nie. - Spojrzała na zegarek. - Mamy najwyżej dwadzieścia minut.

- Niżej! Niżej! - krzyczała Karen do mikrofonu umożliwiającego jej rozmowę z pilotem. Śmigłowiec zatoczył krąg nad wieżą Parlamentu, po czym skierował się na północ, w stronę budynków hotelu „Milton”.

- Nie mogę lecieć zbyt nisko, proszę pani - brzmiała uprzejma odpowiedź pilota. - Przekroczyliśmy już dolny pułap dozwolonej wysokości.

- To nie wystarcza, do cholery! - wrzasnęła Karen, wpatrując się w niewielkie pudełko, które trzymała na kolanach. Przesunęła kilka przełączników. W radiu zatrzeszczał gniewny głos kontrolera lotów.

- Teraz na wschód! - poleciała Karen. Śmigłowiec zwrócił w kierunku biedniejszych dzielnic przedmieścia. Z każdą ewolucją żołądek Elliota wykonywał dziwne harce. Mężczyzna przycisnął dłonie do obolałej głowy. Czuł się potwornie, lecz za nic w świecie nie chciał zrezygnować z poszukiwań. Jeśli Amy pozostawała pod wpływem narkotyku, tylko on jeden umiałby jej pomóc.

- Mam odczyt - odezwała się Karen. Wskazała na północny wschód. Śmigłowiec przeleciał nad kilkoma zburzonymi budynkami, złomowiskiem, pylistą drogą...

- Wolniej, wolniej...

Cyfry widoczne w okienku czujnika poczęły gwałtownie maleć Zero.

- W dół! - krzyknęła Karen. Helikopter osiadł na opustoszałym wysypisku śmieci.

Pilot pozostał w kabinie.

- Gdzie są śmieci, tam jest pełno szczurów - zawołał.

- Nie boję się szczurów - oświadczyła Karen.

- Gdzie są szczury, tam są kobry - dodał pilot.

- Och...

Wiał lekki wiatr. Papiery i resztki opakowań szeleściły pod nogami idących. Cuchnąca woń śmietniska powodowała, że Elliot odczuwał coraz mocniejsze zawroty głowy.

- Już niedaleko - odezwała się Karen. Z podnieceniem zerknęła na zegarek.

- Tutaj?

Pochyliła się i aż po łokieć zagłębiła rękę w dużej stercie odpadków. Z rosnącym zdenerwowaniem grzebała wśród śmieci. W końcu wydobyła obrożę - tę samą obrożę, którą ofiarowała Amy na lotnisku w San Francisco. Obróciła przedmiot w dłoniach i przez chwilę przypatrywała się grubej tabliczce z imieniem zwierzęcia. Plastik nosił wyraźne ślady świeżych zadrapań.

- Do diabła... - powiedziała po chwili. - Straciliśmy szesnaście minut.

Pobiegła w stronę czekającego śmigłowca. Elliot z trudem dotrzymywał jej kroku.

- Jak chcesz ich znaleźć, skoro pozbyli się nadajnika? - wysapał.

- Tylko dureń mógłby polegać na pojedynczym urządzeniu - odparła. - To był

podstęp. Wyszukałam dość wyraźne miejsce... i dali się podejść, lecz byli na tyle sprytni, że ustawili właściwą częstotliwość.

Wskazała na podrapaną tabliczkę.

- Mogli odnaleźć drugi - powiedział Peter.

- Nie mogli.

Wirnik startującego śmigłowca rozpętał istną burzę śmieci. Karen zbliżyła usta do mikrofonu.

- Zabierz nas na największe złomowisko w Nairobi - poleciła pilotowi.

Po dziewięciu minutach czujnik zarejestrował inny, niezwykle słaby sygnał dochodzący z cmentarzyska samochodów. Śmigłowiec wylądował na ulicy, ściągając swym widokiem tłum rozwrzeszczanych dzieci. Karen i Peter weszli na teren składnicy. Zaczęli się przedzierać przez gąszcz zardzewiałych wraków. - Jesteś pewna, że właśnie tu ukryto Amy? - spytał Elliot.

- Bez wątplenia. Jedyne, co mogli zrobić, to otoczyć ją górą metalu.

- Dlaczego?

- Żeby stłumić fale radiowe.

Nie przerywając marszu, co chwila spoglądała na czujnik.

Elliot usłyszał stłumiony pomruk dochodzący ze zniszczonego autobusu. Szarpnął czerwone od rdzy drzwiczki i wspiął się do środka. Amy leżała na plecach, skrępowana taśmą samoprzylepną. Była nieco oszołomiona, lecz wydała radosny jęk, gdy Peter zaczął uwalniać ją z więzów.

Powitanie trwało dość krótko. Peter zbadał prawą pierś zwierzęcia i usunął szczypcami złamaną igłę. Amy pisnęła, po czym mocno objęła go ramionami. W dali rozległo się przeciągłe wycie policyjnych syren.

- Już dobrze... Wszystko w porządku - odezwał się Elliot. Posadził małpę na poszarpanym fotelu i przeprowadził dokładne oględziny. Nie zauważył nic niepokojącego.

- Gdzie drugi nadajnik? - spytał.

- W środku - uśmiechnęła się Karen. Peter zrobił gniewną minę.

- Podsunęłaś jej do połknięcia kawałek tworzywa nafaszerowany elektroniką? Naraziłaś na niebezpieczeństwo niezwykle delikatny i cenny organizm...

- Daj spokój - przerwała. - Pamiętasz duże pastylki, które otrzymaliście na początku podróży? Sam też połknąłeś jedną.

Spojrzała na zegarek.

- Trzydzieści dwie minuty - mruknęła. - Nieźle. Zostało nam jeszcze czterdzieści minut do wyjazdu z Nairobi.

8. Punkt wyjścia

Munro siedział w kabinie samolotu pochylony nad klawiaturą komputera. Obserwował linie pokrywające mapę widoczną na monitorze. Terminy, trasy, położenie geograficzne... Co dziesięć sekund komputer podawał nową wersję marszruty, uzupełnioną informacjami o przewidywanych kosztach, problemach kwatermistrzowskich i logistycznych oraz upływie czasu.

Szukał najlepszego rozwiązania.

Dawniej działało się inaczej. Jeszcze pięć lat temu powodzenie wyprawy było w dużej mierze dziełem przypadku. Teraz wszędzie panowały komputery, dokładnie planujące każde posunięcie. Nawet konserwatywnie nastawiony Munro musiał ustąpić. Poznał BASIC, TW/GESHUND oraz kilka innych języków programowych. Biznes całkowicie zmienił swoje oblicze.

Taaak... właśnie przez owe zmiany Munro postanowił przyłączyć się do ekspedycji. Na pewno nie zrobił tego dla Karen Ross, która była upartą młodą osobą, bez żadnego doświadczenia, jakie jest potrzebne w wędrówkach po dżungli. Miał jednak pełne zaufanie do informatyków czuwających nad archiwum ERTS-u i lubił pracę w małych grupach. Był przekonany, że trzydziestoosobowa wyprawa konsorcjum popadnie w spore kłopoty z chwilą wejścia na teren Kongo.

Na razie musiał wyznaczyć najkrótszą trasę. Przycisnął kilka klawiszy, po czym zerknął na ekran. Poprawił trajektorię i wprowadził nowe rodzaje połączeń. Później, polegając na wiedzy zdobytej podczas Wielokrotnych eskapad, zaczął usuwać zbędne elementy. Wymazywał ścieżki, omijał lotniska i mosty, eliminował trasy przejazdu ciężarówek.

Liczba dni, godzin i minut, widoczna na zegarze komputera, wyraźnie zmniejszała się, lecz w dalszym ciągu podróż z punktu wyjścia (Nairobi) trwała zbyt długo, by myśleć o pełnym sukcesie. Najkorzystniejszy wariant zakładał, że ekspedycja uzyska trzydziesto-siedmiominutową przewagę. Stanowczo za mało...

Munro zmarszczył brwi i zaciągnął się dymem z cygara. Może przekroczyć rzekę Liko w Muganie?

Wcisnął kolejny klawisz.

Nie pomogło. Przeprawa przez Liko opóźniała tempo marszu. Pozostawała niebezpieczna wędrówka doliną Goroba...

PROPONOWANE ROZWIĄZANIE O WYSOKIM STOPNIU ZAGROŻENIA.

- Cieszę się, że myślimy tak samo. To cecha wybitnych umysłów - wycedził przez zęby mężczyzna. Wciąż szukał nowych, niekonwencjonalnych rozwiązań tego problemu. Po chwili już wiedział.

Inni uczestnicy wyprawy będą protestować, ale...

Przebiegł wzrokiem spis ekwipunku. Znakomicie. Wprowadził odpowiednie dane i z uśmiechem spojrzął na czerwoną linię, przecinającą mapę Afryki zaledwie kilka mil od upragnionego celu. Wcisnął klawisz wywołania.

WARIANT NIEMOŻLIWY DO REALIZACJI.

Wydał polecenie, aby komputer zignorował zapis i cierpliwie czekał na wynik. Miał rację - przewaga nad konsorcjum wzrastała do czterdziestu godzin. Niemal pełne dwie doby!

Na monitorze pojawił się kolejny rząd liter.

WARIANT NIEMOŻLIWY DO REALIZACJI / WSPÓŁCZYNNIK WYSOKOŚCI
/ DUŻE NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA UCZESTNIKÓW /
PRAWDOPODOBIEŃSTWO POWODZENIA NIEMAL ZEROWE /

Munro pokręcił głową. Przy dobrej pogodzie wszystko powinno pójść zgodnie z planem. Wysokość nie stanowiła zbytniego problemu, a poszycie dżungli było wystarczająco miękkie.

Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że ma rację.

9. Wyjazd

Niewielki fokker S-144 wyglądał u boku ogromnego jumbo-jeta niczym niemowlę ssące pierś matki. Wokół luków towarowych panowała nieustanna krzątanina; przenoszono ekwipunek. Karen Wyjaśniła Peterowi, że zmiana samolotu jest konieczna ze względu na bezpieczeństwo wyprawy. Boeing był na podsłuchu i miał „zbyt duże Wymiary”.

- Odrzutowiec jest szybszy - zaproponował Elliot.

- Niekoniecznie - odparła zagadkowo Karen.

Peter nie zadawał dalszych pytań. Wydarzenia toczyły się w zawrotnym tempie, a on miał własne zmartwienia. Wprowadził Amy na pokład fokkera i przystąpił do szczegółowych oględzin. Małpa była posiniaczona - głośno narzekała, gdy ją badał - lecz żadna kość nie uległa złamaniu.

W kabinie samolotu pojawiło się kilku czarnoskórych pasażerów. Złożyli bagaże i wdali się w ożywioną rozmowę, co chwila wybuchając głośnym śmiechem. Amy była wyraźnie zaintrygowana ich zachowaniem.

Jaki dowcip? - spytała, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Po chwili zasnęła, zmęczona niedawnymi przejściami i dawką narkotyku.

Elliot wszedł do ładowni. Karen przedstawiła mu uśmiechniętego Murzyna o imieniu Kahega.

- Och... - Kahega serdecznie potrząsnął dłonią Petera. - Doktor Elliot. Doktor Ross i doktor Elliot. Doktor i doktor. Cudownie.

Peter nie widział w tym nic cudownego. Kahega roześmiał się uprzejmie.

- Znakomity kamuflaż - oświadczył. - Nie to, co dawniej. Doktor i doktor... Zatem wyruszamy z pomocą medyczną? Cudownie. Gdzie „medykamenty”? - porozumiewawczo mrugnął.

- Nie przewozimy lekarstw - westchnęła Karen.

- Cudownie. W pełni popieram pani postępowanie - odparł Kahega. - Jest pani Amerykanką? Co zabieramy? M-16? Znakomita broń. Można na niej polegać.

- Kahega uważa, że jesteśmy przemytnikami - wyjaśniła Karen. Nie potrafię go przekonać, że się myli.

Murzyn wybuchnął zaraźliwym śmiechem.

- Współpracujecie z kapitanem Munro! - zawołał, po czym podszedł do grupy robotników.

- Jesteś pewna, że nie szmugujemy broni? - spytał półgłosem Peter.

- Poszukujemy czegoś cenniejszego - odpowiedziała. Zaczęła przepakowywać ekwipunek. Elliot chciał jej pomóc, lecz pokręciła przecząco głową.

- Muszę zrobić to sama. Ciężar bagażu nie może przekraczać osiemnastu kilogramów na osobę.

- Osiemnastu kilogramów? W całości?

- Tak wyliczył komputer. Munro zatrudnił Kahegę i siedmiu innych Kikujów. Razem z nami jest jedenaście osób plus Amy. Ją także obciążymy plecakiem, więc łącznie zabierzemy dwieście szesnaście kilogramów.

Skrupulatnie ważyła każdy pakunek, nie wyłączając zapasów żywności.

Elliot zamyślił się głęboko. Ekspedycja zmierzała ku nowym niebezpieczeństwom. Przez chwilę miał ochotę zrezygnować z dalszego udziału, lecz później przypomniał sobie o zamazanym wizerunku olbrzymiej szarej małpy, należącej przypuszczalnie do całkiem nowego, nieznanego gatunku. Dla takiego odkrycia warto było podjąć największe ryzyko. Spojrzał przez okno na grupę tragarzy.

- To Kikujowie?

- Tak - odpowiedziała Karen. - Dzielni, choć gadatliwi. Trajkoczą niemal bez przerwy. Poza tym są braćmi, więc uważaj na to, co mówisz w ich obecności. Mam nadzieję, że Munro nie zdradził zbyt wiele...

- Kikujom?

- Nie. NCNA.

- NCNA? - powtórzył Peter.

- Chińczykom. Są bardzo zainteresowani elektroniką – wyjaśniła kobieta. - W zamian za pomoc, Munro udzielił im kilku informacji... - Wskazała w stronę okna. Rzeczywiście, były najemnik stał w cieniu skrzydła odrzutowca i prowadził rozmowę z czterema

Chińczykami.

- Połóż to w tamtym kącie - odezwała się Karen. Peter podszedł do trzech styropianowych pojemników opatrzonych napisem: AMERICAN SPORT DIYERS, LAKE ELSINORE, CALIF.

- Będziemy nurkować? - spytał ze zdziwieniem. Kobieta nie zwróciła uwagi na jego słowa.

- Chciałabym wiedzieć, o czym rozmawiają... - zamruczała pod nosem. Martwiła się niepotrzebnie, gdyż Munro był doświadczonym negocjatorem i nie

musiał zbyt wiele mówić o komputerach.

Fokker wystartował z lotniska w Nairobi o czternastej dwadzieścia cztery, trzy minuty przed zaplanowanym czasem.

W ciągu szesnastu godzin, jakie upłynęły od uwolnienia Amy, ekspedycja pokonała dziewięćset kilometrów, przekraczając granice czterech państw: Kenii, Tanzanii, Rwandy i Zairu. Samolot dotarł nad Obszar Barawana, na wschodnim skraju kongijskiej dżungli. Lot byłby niemożliwy bez pomocy „z zewnątrz”, Munro oświadczył jednak, że ma przyjaciół „w bardzo dziwnych miejscach” i zwrócił się do pracowników chińskiego wywiadu, działających na terenie Tanzanii.

Chińczycy przejawiali niezwykłą aktywność na kontynencie afrykańskim już w latach sześćdziesiątych. Mieli poważny wpływ na przebieg wojny domowej w Kongo, ponieważ Pekin domagał się nowych dostaw rudy uranu. Wszelkie operacje nadzorował Bank of China lub, co zdarzało się o wiele częściej, miejscowa filia New China News Agency. W latach 1963-1968 Munro poznał wielu „korespondentów wojennych” i korzystał z ich pomocy podczas przemytu broni. Był na tyle przewidujący, że nigdy nie zerwał dawnych kontaktów.

Pekin nie skąpił pieniędzy mieszkańcom Afryki. Pod koniec lat sześćdziesiątych ponad połowa dwumiliardowej sumy przeznaczonej na pomoc zagraniczną trafiła do krajów Czarnej Łądy. Drugi miliard przekazano w tajemnicy. W 1973 roku Mao Zedong publicznie ubolewał nad wysokością strat, jakie poniósł próbując obalić rząd prezydenta Mobutu.

Działalność Chińczyków polegała przede wszystkim na osłabieniu wpływów Związku Radzieckiego, jednak od czasów drugiej wojny światowej także Japonia nie cieszyła się ich sympatią. Uwagi, jakie poczynił Munro na temat konsorcjum, padły na podatny grunt, a dla przypieczętowania układu, z ładowni samolotu wyniesiono trzy poplamione oliwą kartony ze znakami Hongkongu.

Dwaj główni rezydenci chińskiego wywiadu, Li T'ao i Liu Shuwen, pochodzili z prowincji Hunan. Bardzo narzekali na jakość miejscowych potraw, więc z zadowoleniem przyjęli prezent w postaci suszonych grzybów mun, sosu sojowego i zawieszistej, ostrej pasty czosnkowej. Fakt, że przyprawy nie pochodziły ze zdradzieckiego Tajwanu, lecz z neutralnego politycznie Hongkongu, także miał dodatni wpływ na przebieg nieformalnych rozmów.

Agenci NCNA dostarczyli potrzebne dokumenty i trudną do zdobycia część

ekwipunku. Posiadali znakomite mapy oraz szczegółowe informacje o sytuacji panującej na północno-wschodniej granicy Zairu. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż wielu z nich towarzyszyło armii tanzańskiej podczas niedawnego najazdu na Ugandę.

Ostrzegali, że w głębi dżungli nastąpił gwałtowny przybór wód rzecznych i doradzali wykorzystanie balonów do przeprawy. Munro nie przejmował się tym problemem; prawdę mówiąc, miał zamiar suchą stopą dotrzeć do celu, i nie zdradził Chińczykom szczegółów swego planu.

Szesnastego czerwca o dziesiątej wieczorem fokker wylądował na lotnisku Rawamagena, na przedmieściach Kigali w Rwandzie. Oficer kontroli lotów z plikiem formularzy wszedł na pokład maszyny i spytał o cel podróży. Munro oświadczył, że samolot zatoczy pętlę nad dżunglą i powróci do Rawamageny.

Peter zmarszczył brwi.

- Przecież mieliśmy wylądować gdzieś...

- Ciii... - potrząsnęła głową Karen. - Nic nie mów. Urzędnik był widocznie zadowolony z odpowiedzi, gdyż podsunął pilotowi jakiś papier do podpisania, po czym opuścił kabinę. Karen wyjaśniła Elliotowi, że w Rwandzie nie było zwyczaju dopytywać się o szczegóły.

- Chciał wiedzieć, czy samolot ponownie wyląduje w Rawama-genie. Nie był zainteresowany niczym więcej.

Lotnisko zdawało się uśpione. Przez dwie godziny czekali na uzupełnienie zapasów paliwa. Niecierpliwa zwykle Karen zachowywała stoicki spokój, a Munro po prostu drzemał.

- Co z czasem? - spytał Elliot.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała kobieta. - I tak wystartujemy dopiero za trzy godziny. W okolicach Mukenko powinniśmy być dopiero o świcie.

- Tam jest lotnisko?

- Coś w tym rodzaju - mruknął Munro. Naciągnął kapelusz na Oczy i znów zasnął.

Peter zdradzał wyraźny niepokój. Karen wyjaśniła mu, że większość afrykańskich „lotnisk” to goły pas ziemi, wycięty w buszu. Piloci nie mogli podchodzić do lądowania w nocy ani w czasie mglistych poranków, ponieważ na oczyszczonym z krzewów terenie pasły się stada zwierząt, obozowali koczownicy lub stał inny samolot oczekujący sprzyjających warunków do startu.

- Musimy mieć wystarczającą ilość światła - powiedziała. - Dlatego czekamy.
Nie przejmuj się; wzięłam pod uwagę wszelkie Okoliczności.
Peter skinął głową i oddalił się w stronę śpiącej Amy.
- Będziemy musieli powiedzieć mu prawdę - westchnęła Karen.
- Dlaczego? - spytał Munro nie unosząc kapelusza.
- Możemy mieć kłopoty z Amy.
- Sam się nią zajmę.
- Elliot będzie zdenerwowany.
- To zrozumiałe - odparł mężczyzna. - Jednak nie widzę powodu, by niepokoić go przed czasem. Pomyśl, ile zyskamy jednym skokiem.
- Co najmniej czterdzieści godzin.
- Więc masz odpowiedź - mruknął Munro. - A teraz przestań gadać i spróbuj trochę odpocząć.

**DZIEŃ PIĄTY:
MORUTI
17 czerwca 1979**

1. Zair

Pięć godzin po tym, jak opuścili Rawamaganę, krajobraz zaczął się zmieniać. Kiedy minęli Gomę i zbliżyli się do granicy Zairu, w dole pojawiła się najbardziej wysunięta na wschód część dżungli. Zafascynowany Elliot przycisnął czoło do szyby.

W bladym świetle poranka tu i ówdzie wisiały strzępy mgły omotane wokół drzew niczym kwiaty bawełny. Czasem mignęła ciemna wstęga wijącej się błotnistej rzeki, czasem prosta, krwistoczerwona pręga drogi. Lecz poza tymi nielicznymi wyjątkami widać było jedynie nieprzerwany, ciągnący się aż po horyzont, dywan liści.

Widok był nieco monotony, choć jednocześnie napawał grozą spowodowaną bliskością zjawiska, które Stanley określał „beznamiętnym ogromem świata przyrody”. Nawet ktoś siedzący wygodnie w klimatyzowanej kabinie samolotu mógł stwierdzić bez trudu, że obserwuje gigantyczny twór natury, przy którym karłowaciały największe miasta stworzone przez człowieka. Każde z drzew miało potężny pień o średnicy dwunastu metrów, wyrastający na wysokość sześćdziesięciu metrów, pod kopułą liści zaś z łatwością zmieściłaby się gotycka katedra. Co więcej, Elliot zdawał sobie sprawę, że las sięga trzy tysiące dwieście kilometrów na zachód, kończąc się dopiero na atlantyckim wybrzeżu Zairu.

Ciekawiła go reakcja Amy na widok dżungli, stanowiącej przecież naturalne schronienie goryli. Mała uważnie spoglądała w okno.

Tutaj dżungla - zasygnalizowała z tą samą obojętnością, z jaką określała kolor podsuwanej karty lub nazwę przedmiotu leżącego na podłodze przyczepy, którą zamieszkiwała w San Francisco. Rozpoznała dżunglę, potrafiła ją nazwać, lecz nie objawiała żadnego wzruszenia.

- Amy lubi dżunglę? - spytał Peter.

Tutaj dżungla - odpowiedziała. - *Dżungla*.

Mężczyzna próbował dalej przekonać, że musi istnieć jakiś *związek* emocjonalny zwierzęcia z afrykańską przyrodą.

- Amy lubi dżunglę?

Tutaj dżungla dżungla tu jest dżungla Amy widzi dżunglę. Elliot postanowił zmienić taktykę.

- Amy mieszka w dżungli?

Nie - zasygnalizowała bez zainteresowania.

- Gdzie mieszka Amy?

Amy mieszka w domu Amy. Miała na myśli przyczepę.

Peter obserwował, jak poluźniła pas bezpieczeństwa, wsparła brodę na dłoni i leniwie spojrzała w okno.

Amy chce papierosa - pokazała. Zauważyła palącego Munro.

- Później - powiedział Elliot.

O siódmej rano przelecieli nad błyszczącymi metalicznie dachami kopalni cynku i tantalu w Masisi. Munro, Kahega i rozgadani tragarze przeszli w tył samolotu, gdzie leżał zgromadzony ekwipunek.

Zmartwieni - oświadczyła na ich widok Amy.

- Dlaczego uważasz, że są zmartwieni?

Zmartwieni ludzie martwią się kłopotami.

Po chwili Elliot również wszedł do ładowni, gdzie znalazł ludzi Munro grzebiących w wielkich stosach słomy. Starannie owijając nią każdy przedmiot pakowali sprzęt do podłużnych, muślinowych pojemników, kształtem przypominających torpedę.

- Co to takiego? - spytał Peter.

- Tak zwane pojemniki Crosslina - odparł Munro. - Nadzwyczaj trwałe.

- Nigdy nie widziałem tak opakowanego ekwipunku - zauważył Elliot. - Znakomicie zabezpieczony...

- I o to chodzi - mruknął Munro, po czym odszedł w stronę kabiny pilota.

Nosowłosy człowiek kłamie Peter - stwierdziła Amy. Tereminem „nosowłosy” określała Munro, który miał wąsy. Elliot nie zwrócił na nią uwagi. Obrócił się w stronę Kahegi.

- Jak daleko do lądowiska? Kahega uniósł głowę.

- Lądowiska?

- W Mukenko.

Murzyn zastanawiał się przez chwilę.

- Dwie godziny - powiedział w końcu i zachichotał. Dodał kilka słów w swahili. Jego bracia również wybuchnęli śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - spytał Elliot.

- Doktorze - Kahega klepnął go poufale w plecy - pan jest wesołym człowiekiem.

Samolot przechylił się i powoli zatoczył szerokie koło. Kahega i jego bracia

skoczyli do okien. Peter poszedł w ich ślady. W pierwszej chwili zobaczył jedynie dżunglę; potem dostrzegł w dole kolumnę zielonych jeepów, jadących błotnistym szlakiem. Przypominały wojskowy konwój. Elliot usłyszał kilkakrotnie powtórzone słowo „muguru”.

- O co chodzi? - spytał. - Jesteśmy w Muguru?

Kahega gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie. Cholera, ostrzegałem kapitana. Ten durny pilot zablądził.

- Zablądził? - powtórzył Peter. Poczul, że sam dźwięk tego słowa ścina mu krew w żyłach.

- Kiedy kapitan Munro da mu popalić, zaraz odnajdzie właściwy kurs - roześmiał się Murzyn.

Samolot skierował się na wschód. W miejscu dżungli na widnokręgu pojawiły się pokryte sawanną wyżyny, pofałdowane wzgórza i pojedyncze kępy wysokich drzew. Bracia Kahegi trajkotali w podnieceniu, chichotali i poklepywali się po plecach. Najwyraźniej mieli znakomitą zabawę.

Nagle pojawiła się Karen. Ze skupionym wyrazem twarzy przecisnęła się między fotelami. Z tekturowego pudła wyjęła kilka kul ściśle zwiniętej metalowej folii, przypominających wielkością piłki do koszykówki.

Elliotowi skojarzyły się z ozdobami na choinkę.

- Co robisz? - spytał.

Po chwili usłyszał pierwszą eksplozję. Fokker zadygotał.

Elliot ponownie podbiegł do okna. Po prawej stronie dostrzegł cienką białą smugę pary zakończoną czarnym obłokiem dymu. Samolot przechylił się w bok, zawracając w kierunku dżungli. Z widocznych w dole liści uniosła się kolejna biała smuga.

Pocisk, zrozumiał Peter. Pocisk samonaprowadzający.

- Ross! - krzyknął Munro.

- Gotowa! - odwrzasnęła.

Nastąpił jaskrawoczerwony wybuch i gęsty dym przesłonił widok za oknem. Samolot zatrzęsł się, lecz nie zboczył z kursu. Elliot nie wierzył własnym oczom: znaleźli się pod ostrzałem!

- Radar! - darł się Munro. - Nie optyka! Radar!

Karen zgarnęła naręcze srebrzystych piłek i poszła na tył samolotu. Kahega

otworzył drzwi. Wiatr ze świstem wdarł się do wnętrza.

- Co się dzieje, do cholery?! - spytał Peter.

- Bez obaw - rzuciła przez ramię Karen. - Zaraz opanujemy sytuację. - Powietrze przeciął donośny gwizd zakończony trzecią eksplozją. Karen rozerwała folię na piłkach, po czym cisnęła je na zewnątrz.

Silniki zawyły; fokker odskoczył dziesięć kilometrów na południe, wznosząc się jednocześnie na trzysta pięćdziesiąt metrów. Zatoczył regularne koło. Przy każdej ewolucji Peter mógł dojrzeć paski folii wiszące w powietrzu niczym srebrzysta chmura. Dwie kolejne rakiety eksplodowały w pobliżu metalicznego obłoku. Huk i podmuch bardzo denerwowały Amy. Małpa z cichym pomrukiem bujała się w swoim fotelu.

Karen zajęła miejsce przy komputerze.

- Ta srebrzysta sieczka wprowadza w błąd radarowy system celowania - powiedziała uspokajającym tonem. - System naprowadzający rakiety uznał, że ukryliśmy się w chmurach.

Elliotowi wydawało się, że Karen mówi niezwykle wolno, jakby jej słowa stanowiły część sennego marzenia. Nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło.

- Kto do nas strzelał?

- Prawdopodobnie FZA - odparł Munro. - Forces Zairoises Armoises. Armia Zairu.

- Armia Zairu?! Dlaczego?

- Przez pomyłkę - powiedziała Karen nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

- Przez pomyłkę? Strzelają do nas pociskami ziemia-powietrze i to ma być pomyłką? Przecież możemy ich powiadomić, co zaszło!

- Nie możemy - odparła Karen.

- Dlaczego?

- Ponieważ w Rawamagenie nie podaliśmy pełnego harmonogramu lotu - odezwał się Munro. - A to oznacza, że pogwałciliśmy przestrzeń powietrzną Zairu.

- Chryste Panie - jęknął Peter.

Karen milczała. Nadal tkwiła przy komputerze i stukala palcami po klawiaturze.

- Kiedy zgłosiłem się do udziału w ekspedycji, nie przypuszczałem, że idę na wojnę! - Głos Elliota zbliżył się niebezpiecznie do granicy histerycznego krzyku.

- Ja również - mruknęła Karen. - Wygląda na to, iż rzeczywistość przerosła

nasze oczekiwania.

Zanim Peter zdążył coś odpowiedzieć, Munro położył mu dłoń na ramieniu.

- Wszystko idzie po naszej myśli - oświadczył. - To były stare pociski, wyprodukowane jeszcze w latach sześćdziesiątych i wybuchały głównie dlatego, że korozja naruszyła ich system napędu. Nie ma strachu... Patrz, Amy potrzebuje twojej opieki. Idź do niej. Ja i Ross zajmujemy się resztą.

Karen klęła w duchu. Samolot krążył w odległości dwunastu kilometrów od metalicznej chmury, a ona musiała podjąć błyskawiczną decyzję. Była wściekła, że nastąpiło tak dramatyczne - i całkowicie niepotrzebne - opóźnienie.

Od początku wyprawy euro-japońskie konsorcjum wyprzedzało ich o osiemnaście godzin i dwadzieścia minut. Podczas postoju w Nairobi Munro opracował plan, który nie tylko likwidował tę różnicę, lecz pozwalał ekspedycji ERTS-u na osiągnięcie czterdziesto-godzinnej przewagi. Plan - o którym z oczywistych powodów nie poinformowano Elliota - przewidywał desant spadochronowy na północnym stoku Mukenko.

Według przewidywań Munro, droga do ruin zaginionego miasta powinna zająć około trzydziestu sześciu godzin. Karen była przekonana, że uczestnicy wyprawy opuszczą samolot o czternastej. Ze względu na pokrywą chmur spowijającą Mukenko i specyfikę miejsca zrzutu, mogliby dotrzeć do Zinj dziewiętnastego czerwca w południe.

Plan był dość ryzykowny. Nikt nie był przeszkolony w skokach ze spadochronem, lądować mieli w głębi dżungli, ponad trzy dni drogi od najbliższego dużego miasta. Przypadkowa kontuzja któregoś z uczestników mogłaby się okazać tragiczna w skutkach. Pozostawała jeszcze sprawa sprzętu. Na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów opór powietrza był mniejszy i niewykluczone, że pojemniki Crosslina, mimo swej odporności, przy zetknięciu z wulkaniczną skałą zostaną zniszczone. Karen początkowo uznała, iż projekt jest zbyt niebezpieczny, jednak Munro upierał się przy swoim. Argumentował, że czasza spadochronu otwiera się automatycznie na określonej wysokości, a wyższe partie wulkanicznego zbocza pokrywa popiół miękki jak piasek plaży, że pojemniki można dodatkowo zabezpieczyć, wreszcie, że to on będzie trzymał Amy podczas skoku.

Karen Ross dwukrotnie łączyła się z komputerem w Houston, lecz wynik nie wypadł zadowalająco. Prawdopodobieństwo udanego zrzutu wynosiło 0,7980, co

oznaczało jedną możliwość na pięć, że ktoś ulegnie poważnemu wypadkowi. Jednak „udany desant” podnosił szansę wyprawy do 0,9943, a więc pozwalał całkowicie pogromić konsorcjum.

Żaden inny projekt nie dawał podobnej możliwości. Karen jeszcze raz zerknęła na monitor.

- Myślę, że będziemy skakać - powiedziała.

- To najlepsze wyjście - skinął głową Munro.

Dzięki zrzutowi mogli uniknąć wielu dodatkowych problemów. Z Zairu wciąż dochodziły niepokojące informacje. Bunt plemienia Kigani zmienił się w zbrojne powstanie, wrzało wśród Pigmejów, armia przerzuciła swoje oddziały na wschodnią granicę, by zdusić rebelię... Munro wiedział, że afrykańscy żołnierze lubią strzelać bez zadawania zbędnych pytań. W tej sytuacji desant na Mukenko wydawał się jedynym słusznym rozwiązaniem.

Tak było, nim rakiety wojsk zairskich zaczęły eksplodować wokół samolotu. Teraz ekspedycja wciąż znajdowała się sto dwadzieścia kilometrów na południe od planowanego miejsca zrzutu. Fokker krążył nad terytorium Kigani marnując czas oraz paliwo.

Co gorsza, komputer odmawiał połączenia z satelitą; Karen nie mogła skontaktować się z Houston. Przez piętnaście minut gniotła przyciski i wzmacniała moc nadajnika, póki nie zrozumiała, że transmisja została zagłuszona.

Po raz pierwszy w życiu miała ochotę płakać.

- Spokojnie - powiedział półgłosem Munro, zdejmując jej dłonie z klawiatury. - Nie wolno załamywać się przy pierwszym niepowodzeniu. Wszystko po kolei.

Karen uwolniła się z jego objęć i uparcie naciskała klawisze. Munro pokiwał głową. Był świadkiem podobnych sytuacji podczas innych wypraw, zwłaszcza tych, w których uczestniczyli naukowcy. Zamknięci na co dzień w laboratoriach, gdzie wszystko można zdefiniować lub poddać modyfikacji, z wolna tracili poczucie rzeczywistości i uważali, że są w stanie kontrolować każdą cząsteczkę materii i przestrzeni. Odkrycie, iż świat rządzi się własnymi prawami i opornie poddaje się woli człowieka, wywoływało poważny wstrząs psychiczny.

- Przecież nie lecimy samolotem wojskowym - odezwała się Karen. - Dlaczego nas zaatakowano?

Munro spojrzał w jej stronę. Podczas kongijskiej wojny domowej, obie

walczące armie strzelały do wszystkiego, co się poruszało w powietrzu.

- Zdarza się - mruknął.

- A zagłuszanie transmisji? Ci na dole nie potrafiliby tego dokonać. Zakłócenia występują pomiędzy naszym nadajnikiem a satelitą. Do tego potrzeba drugiego satelity i... - przerwała z przerażeniem.

- Chyba nie sądzisz, że konsorcjum zupełnie o nas zapomniało - powiedział Munro. - Pytanie brzmi, czy potrafisz temu zaradzić? Czy wiesz, co robić w podobnym przypadku?

- Oczywiście - odparła Karen. - Mogę wyemitować sygnał niszczący, mogę nadawać optycznie nośnikiem IR, mogę spróbować połączenia z przekaźnikiem naziemnym... Lecz nie mogę zrobić w ciągu najbliższych kilku minut! A natychmiast potrzebuję dostępu do informacji. Cały plan diabli wzięli!

- Wszystko po kolei - spokojnie powtórzył Munro. Widział zdenerwowanie malujące się na twarzy kobiety. Nie umiał jej pomóc; musiała zapanować nad emocjami.

Jego zdaniem, ekspedycja ERTS-u nie mogła już zwyciężyć. Nie widział szans na pokonanie konsorcjum, lecz nie miał zamiaru się poddawać. Z doświadczenia wiedział, że jeszcze wszystko może się zdarzyć.

- Spróbujemy nadrobić stratę - powiedział.

- Nadrobić? Jak?

- Popłyniemy Ragorą. - Wypowiedział głośno pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy. - To rzeka o bardzo szybkim nurcie, nie będzie problemu.

- Spływ jest zbyt niebezpieczny.

- Przekonamy się na miejscu - odparł, choć doskonale wiedział, że Karen ma rację. Ragorą była niebezpieczna, szczególnie w czerwcu.

- Powiemy pozostałym? - spytał. Starał się mówić spokojnym, zrównoważonym tonem.

- Tak - zgodziła się Karen. Z dala dobiegł huk kolejnej eksplozji. - Wyośmy się stąd.

Munro zwinnym ruchem przesunął się w tył fokkera i podszedł do Kahegi.

- Zbierz ludzi.

- Tak jest, boss - zawołał Murzyn. Wyjął butelkę taniej whisky. Każdy z mężczyzn pociągnął solidny łyk palącego napoju.

- Co to ma znaczyć? - spytał Elliot.

- Muszą się przygotować - powiedział Munro.

- Do czego?

W tej samej chwili dołączyła do nich Karen. Skrzywiła twarz w uśmiechu.

- Dalej pójdziemy piechotą - oświadczyła. Peter wyjrzał przez okno.

- Gdzie jest lądowisko?

- Nie ma - odparła Karen.

- Co to znaczy „nie ma”?

- To znaczy, że nie ma lądowiska.

- Samolot wyląduje na polanie? - nie ustępował Elliot.

- Nie - odpowiedziała. - W ogóle nie wyląduje.

- Więc jak dostaniemy się na dół? - spytał Peter. Nagle domyślił się odpowiedzi i poczuł gwałtowny skurcz żołądka.

- Amy nic się nie stanie - stwierdził beztróskim tonem Munro. Zaciśnął uprzęż spadochronu na piersiach Elliota. - Dałem jej zastrzyk z thoralenu i będę ją mocno trzymał.

- Trzymał? - powtórzył Peter.

- Jest za mała, aby samodzielnie wylądować. Skoczemy razem.

Amy chrapała głośno z głową wspartą na ramieniu mężczyzny.

Munro ułożył małpę na podłodze.

- Teraz uważaj - powiedział do Elliota. - Czasza otwiera się automatycznie. Obie dłonie zaciśniesz na linkach. Jeśli będziesz chciał skrócić w prawo, pociągniesz prawą, jeśli w lewo...

- Co się z nią stanie? - Peter wskazał na uśpioną Amy.

- Cały czas będzie ze mną. Słuchaj tego, co mówię. Jeśli coś się nie uda, masz na piersiach spadochron zapasowy.

Klepnął w zawiniątko, przy którym wisiało niewielkie czarne pudełko. Widoczne w okienku cyfry wskazywały 1450.

- Wysokościomierz. Otworzy spadochron zapasowy, jeśli na wysokości tysiąca metrów prędkość opadania przekroczy dziesięć metrów na sekundę. Nie masz powodów do zmartwień; wszystko działa automatycznie.

Czoło Petera pokryły grube krople potu. Dygotał.

- Co z lądowaniem?

- Nic - uśmiechnął się Munro. - Lekko ugnij kolana i rozluźnij całe ciało. Siła

uderzenia o ziemię jest mniejsza niż podczas skoku z trzymetrowej skarpy. Robiłeś to tysiące razy.

Oślepiający blask wpadł przez otwarte drzwi samolotu. Wiatr świstał przeraźliwie. Ludzie Kahegi skakali w krótkich odstępach. Peter spojrzał na ściągniętą, poszarzałą twarz Karen.

- Naprawdę masz zamiar uczestniczyć w tym... Skoczyła, znikając w słonecznej poświacie.

- Twoja kolej - powiedział Munro.

- Nigdy nie skakałem.

- To dobrze. Nie będziesz czuł strachu.

- Już jestem przerażony.

- Zaraz ci pomogę - mruknął były najemnik i silnym pchnięciem Wyrzucił go z samolotu.

Z ponurą miną obserwował spadającą sylwetkę. Nie musiał już udawać wesołości. „Człowiek stojący w obliczu niebezpieczeństwa powinien być wściekły”, powiedział później. „To naprawdę daje dobre wyniki. Chciałem, żeby podczas całego lotu w dół Elliot kipiał ze złości. Żeby nienawidził mnie za to, co zrobiłem”.

Munro doskonale zdawał sobie sprawę z podjętego ryzyka. W chwili, gdy uczestnicy ekspedycji opuścili samolot, zniknęła ostatnia więź bezpośrednio łącząca ich z cywilizacją. Odbywali podróż nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie; wkraczali do prymitywnego, groźnego Awiata, który istniał tysiące lat przed ich narodzeniem. „Mimo wszystko, nie zamierzałem nikogo zniechęcać. Miałem poprowadzić ekspedycję w głąb Kongo. Było dość czasu, aby poznali prawdziwe oblicze strachu”.

Śmiertelnie przerażony Elliot wciąż spadał.

Żołądek podchodził mu do gardła; czuł w ustach smak wymiocin, przenikliwy wiatr świstał mu w uszach i targał włosy. Drżał z zimna i ze strachu. W dole rozciągała się lesista równina usiana niewielkimi pagórkami. Petera tym razem nie wzruszyło piękno krajobrazu, przede wszystkim dlatego, że mocno zacisnął powieki. Nie chciał oglądać swego upadku, choć gdy zamknął oczy, wycie wiatru wydawało mu się głośniejsze.

Mijały minuty. Czasza (czy inna cholerna rzecz, która znajdowała się w plecaku) wciąż się nie otwierała. Życie Petera zależało teraz wyłącznie od sprawności

drugiego spadochronu. Chwycił zawiniątko zawieszane na piersiach, lecz po chwili opuścił dłonie; nie chciał czegoś popsuć. Jak przez mgłę przypomniał sobie opowieści o skoczkach, którzy zginęli, nieumiejętnie manipulując przy linkach spadochronu.

Wycie wiatru przybierało na sile; ciało mężczyzny z zawrotną szybkością zbliżało się ku ziemi. Nic. Peter czuł, że pęd powietrza wypełnia mu nogawki spodni i przykleja koszulę do spoconego ciała. Nic. Był przekonany, że upłynęły co najmniej trzy minuty od chwili, gdy opuścił pokład samolotu. Nie otwierał oczu, aby nie widzieć wierzchołków drzew, wśród których za kilka sekund miał zakończyć życie...

Zbierało mu się na wymioty.

Cienka strużka śliny płynęła mu z ust, a ponieważ spadał głową w dół, ściekała po karku za koszulę i powodowała gwałtowne dreszcze.

Rozległ się głośny trzask.

Peter wywinął gwałtownego koziołka. Początkowo był przekonany, że uderzył o ziemię, lecz po chwili poczuł, że wolno szybuje w powietrzu. Otworzył oczy i zobaczył blady błękit nieba.

Spojrzał w dół, by ze zdumieniem stwierdzić, że nadal znajduje się kilkaset metrów nad ziemią. Munro wypchnął go z kabiny przed kilkoma sekundami...

Elliot uniósł głowę, lecz nie dostrzegł samolotu. W górze unosił się ogromny prostokąt płótna pokryty czerwonymi, białymi i niebieskimi pasami: czasa spadochronu. Starannie przestudiował jej wygląd; nie chciał patrzeć na ziemię. Jeden brzeg „latającego skrzydła” był wydęty, drugi łopotał lekko na wietrze. Spadochron rzeczywiście przypominał skrzydło samolotu. Od krawędzi płótna do uprząży biegły cienkie, lecz mocne linki.

Peter wziął głęboki oddech i spojrzał w dół. W dalszym ciągu znajdował się na sporej wysokości. Powolne opadanie miało w sobie coś kojącego. Westchnął z ulgą.

Po chwili zauważył, że leci gdzieś w bok. Nieco niżej widział inne spadochrony. Próbował je policzyć, lecz nie potrafił się skoncentrować. Sześć? Wiatr unosił go coraz dalej.

Pociągnął za linkę wiszącą po lewej stronie. Poczul skręt ciała. „Latające skrzydło” skierowało się w lewo.

Nieźle, pomyślał.

Szarpnął mocniej. Nie zwrócił uwagi na to, że leci coraz szybciej. Próbował zbliżyć się do pozostałych uczestników wyprawy. Ponownie usłyszał jęk wiatru. Uniósł głowę z nadzieją, że gdzieś w górze szybuje Munro, lecz zobaczył jedynie kolorową

czaszę spadochronu.

Zerknął ponownie w dół i zmartwiał z przerażenia. Wierzchołki drzew zbliżały się w zawrotnym tempie. Zniknęła gdzieś cała łagodność lotu. Pierwszy ze spadochronów opadł na ziemię... potem drugi... trzeci...

Do lądowania zostało niewiele czasu. Gałęzie zaczęły migotać mu przed oczami. Nagle spostrzegł, że lewą ręką nadal ciągnie linkę. Opuścił dłoń. Prędkość spadania wyraźnie zmalała.

Dwóch kolejnych skoczków bezpiecznie wylądowało na murawie. Wokół rozciągniętych płócien krzatali się ludzie Kahegi. Żaden nie odniósł obrażeń.

Peter spadał w sam środek dużej kępy drzew. Szarpnął uprząż i całym ciałem wykonał gwałtowny skręt w prawo. Poruszał się coraz szybciej, lecz nie udało mu się ominąć niebezpieczeństwa. Sterczące ku górze konary przypominały drapieżnie wyciągnięte palce...

Zamknął powieki. Ostra kora drapała mu twarz i ręce. Wiedział, że lada chwila uderzy o twarde podłoże. Ugiął kolana i...

Uderzenie nie nastąpiło.

Zapadła głęboka cisza. Peter poczuł serię delikatnych szarpnięć. Otworzył oczy i spostrzegł, że wisi półtora metra nad ziemią; spadochron zaczepił o gałąź.

Po krótkiej szamotaniu zdołał się oswobodzić z płataniny pasów i linek. Ciężko upadł na kolana. Nim zdążył się podnieść, zobaczył nadbiegającą Karen.

- Nic mi nie jest - oświadczył stanowczo. Rzeczywiście, czuł się jak nigdy dotąd. Żywy... Po chwili ponownie upadł, lecz z uporem dźwignął się na nogi.

- Witamy w Kongo - usłyszał radosny głos Kahegi. Peter wytarł podbródek.

- Gdzie Amy? - spytał.

Munro właśnie lądował. Miał zakrwawione ucho w miejscu, gdzie ugryzła go przerażona Amy. Małpa dość dobrze zniosła nowe doświadczenie. Na czworakach podbiegła do Elliota, sprawdziła czy wszystko w porządku, po czym wykonała kilka gestów.

Amy nie lubi latać.

- Uwaga!

Podłużny pojemnik Crosslina z głośnym hukiem uderzył o ziemię i rozpadł się na dziesiątki kawałków, rozsypując zawartość po okolicy.

- Leci następny!

Elliot rzucił się na trawę. Druga „bomba” upadła kilka metrów od niego; został przysypany plastikowymi pudełkami z żywnością. Gdzieś w górze brzęczały silniki kołującego fokkera. Peter wstał. Zobaczył, że ludzie Kahegi rozbiegają się na wszystkie strony w poszukiwaniu schronienia przed kolejnymi pojemnikami pikującymi w kierunku ziemi.

- Ostrożnie, tam jest laser! - krzychała Karen.

Bombardowanie ustało równie szybko, jak się zaczęło. Samolot odleciał; zapanowała przenikliwa cisza, którą po chwili przerwał burkliwy głos Munro. Przewodnik wydał kilka krótkich poleceń w języku swahili. Murzyni pośpiesznie zakopali spadochrony i przystąpili do segregowania ekwipunku.

Dwadzieścia minut później ekspedycja zniknęła w głębi dżungli. Uczestników wyprawy czekał trzystukilometrowy marsz przez dziewicze rejony Kongo. Na końcu wędrówki była cudowna nagroda...

Dostępna tylko zwycięzcom.

2. Kigani

Elliot dość szybko otrząsnął się z szoku wywołanego lotem i zaciekawiony obserwował otoczenie. W koronach drzew trajkotały małpy, chłodne powietrze poranka wypełniał śpiew ptaków. Tragarze wędrowali gęsiego, paląc papierosy i dowcipkując w egzotycznym narzeczu. Petera ogarnęło radosne poczucie wolności. Zniknęły ciasne więzy cywilizacji; otaczała go aura przygody, niespodziewanych zdarzeń czyhających za każdym zakrętem ścieżki, aura romantyzmu związana z poszukiwaniem śladów odległej przeszłości. Słuchał głosów zwierząt dobiegających z gęstwiny, cieszył się grą światła i cieni, z niekłamanym entuzjazmem stawiał stopy na wilgotnym poszyciu i ukradkiem zerkał na pełną gracji postać idącej obok kobiety. Uroda Karen zajaśniała w jego oczach niespodziewanym blaskiem.

Kobieta ani razu nie spojrzała w stronę Petera.

Wciąż manipulowała przyciskami jakiegoś przyrządu. W torbie zawieszanej na ramieniu dźwigała dużą czarną skrzynkę. Była całkowicie pochłonięta swym zajęciem, więc Elliot bez przeszkód przyglądał się jej. Zauważył ciemne plamy potu na koszuli Karen, niedbale opadające na kark kosmyki jasnych włosów i pogniecione, zabłocone podczas lądowania spodnie. Nie odrywała oczu od wskaźników.

- Ciesz się widokiem przyrody - rozległ się tuż nad uchem Petera głos byłego najemnika. - Już niedługo przesiąkniesz wilgocią i zaczniesz pałać nienawiścią do każdego drzewa.

Elliot stwierdził, że wędrowka przez dżunglę jest całkiem przyjemna.

- Taaak... bardzo - odparł skrzywiony Munro.

Okręg Barawana nie należał do całkiem dziewiczych. Od czasu do czasu mijał pola oraz inne ślady ludzkiej działalności, choć nigdzie nie było widać pracujących wieśniaków. Peter głośno wyraził swoje zdziwienie, lecz Munro jedynie potrząsnął głową. W miarę jak posuwali się dalej, przewodnik popadał w coraz głębsze milczenie. Często zatrzymywał kolumnę i nasłuchiwał głosu ptaków, nim ruchem dłoni zezwolił iść dalej.

Podczas każdego postoju Peter spoglądał za siebie, na rząd tragarzy niosących na głowach równo ułożone pakunki. Czuł się spadkobiercą tradycji Stanleya, Livingstone'a oraz innych podróżników, którzy sto lat temu badali wnętrza Czarnego Lądu. Afryka Równikowa niewiele się zmieniła od czasów pamiętnej wyprawy Stanleya w głąb Kongo. Nie uległ zmianie także sposób eksploracji. Piesza, kosztowna

wędrówka w towarzystwie tragarzy i wśród tysiąca niebezpieczeństw...

Nim minęło południe, Petera ogarnęło ogromne zmęczenie. Wysokie buty ocierały mu stopy. Nawet Murzyni odczuwali trudy marszu; zrezygnowali z palenia papierosów i w milczeniu przedzierali się przez dżunglę. Peter zaproponował krótką przerwę na posiłek.

- Nie - odpowiedział Munro.

- Nie - zawtórowała mu Karen, spoglądając na zegarek. Kilka minut po pierwszej usłyszeli stłumiony warkot śmigłowców.

Munro oraz ludzie Kahegi błyskawicznie przypadli do ziemi i zniknęli w cieniu zarośli. Pozostali uczestnicy ekspedycji poszli w ich ślady. Po chwili nad drzewami ukazały się dwa duże zielone helikoptery. Peter wyraźnie widział napis FZA namalowany białą farbą na bokach maszyn.

Munro natychmiast rozpoznał sylwetki śmigłowców. Amerykańskie hueye, bez uzbrojenia.

- Wojsko... - pogardliwie wykrzywił usta. - Szukają powstańców.

Godzinę później wyprawa dotarła do rozległej polany porośniętej maniokiem. Wśród zagonów stała prosta drewniana chata. Z komina unosił się dym, kilka świeżo wypranych koszul powiewało na lekkim wietrze, lecz nigdzie nie było widać mieszkańców.

Munro uniósł dłoń, dając sygnał do zatrzymania. Murzyni zdjęli z głów bagaże, po czym bez słowa usiedli na trawie.

Elliot wyczuwał panujące napięcie, choć nie potrafił zrozumieć przyczyny nagłego postoju. Munro i Kahega podpełzli na skraj zarośli. Z uwagą obserwowali otoczenie chaty. Po dwudziestu minutach bezczynności Karen zaczęła się niecierpliwie.

- Nie rozumiem, dlaczego...

Szorstka dłoń Munro zakryła jej usta. Były najemnik wskazał na polanę i wyszeptał jedno słowo:

- Kigani.

Oczy Karen zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Munro cofnął rękę. Teraz już wszyscy wpatrywali się w cichą, pozornie pozbawioną życia budowlę. Karen zatoczyła ręką obszerne koło, proponując okrążenie niebezpiecznego miejsca i podjęcie dalszej wędrówki. Munro przecząco pokręcił głową. Był przekonany, że należy czekać.

Wyciągnął palec w stronę Amy, po czym pytająco spojrzął na Elliota. Chciał wiedzieć, czy ukryte w wysokiej trawie zwierzę nie spowoduje jakiegoś hałasu. Peter ruchem dłoni nakazał małpie milczenie, choć Amy doskonale wyczuwała nastrój ludzi, i tak jak oni co jakiś czas zerknęła niespokojnie w kierunku chaty.

Upływały kolejne minuty. Ciszę upalnego popołudnia przerywało jedynie monotonne brzęczenie cykad. Wyprana bielizna łopotała na wietrze.

Peter popatrzył na komin. Błękitne pasemko dymu zniknęło. Munro i Kahega wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Murzyn zręcznym ruchem prześliznął się ku grupie tragarzy, otworzył jedno z pudeł i wyjął niewielki karabin maszynowy. Nakrył broń dłonią, by stłumić metaliczny dźwięk zwalnianego bezpiecznika, po czym powrócił na dawne miejsce. Wokół panował niczym nie zmacony spokój. Munro ostrożnie położył karabin na ziemi. Czekali dalej. Elliot zerknął na Karen, lecz kobieta nie odrywała wzroku od polany.

Drzwi chaty otworzyły się z cichym zgrzytem. Munro oparł na ramieniu kolbę karabinu.

Nic. Po jakimś czasie w blasku słońca pojawili się Kigani. Dwunastu muskularnych mężczyzn uzbrojonych w łuki i długie włócznie *panga*. Tułowie i nogi mieli pomalowane w ukośne pasy, a twarze całkowicie pokryte białą farbą, co nadawało im upiorny wygląd ożywionych szkieletów. Ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, weszli między wysokie pędy manioku. Po chwili zniknęli w dżungli.

Munro nadal leżał bez ruchu. Dopiero po dziesięciu minutach wstał, potrząsnął głową i westchnął.

- To byli Kigani - powiedział. Po tak długim milczeniu jego głos brzmiał nienaturalnie głośno.

- Co tu robili? - spytała Karen.

- Zabili i zjedli mieszkańców chaty - wyjaśnił Munro. - Większość okolicznych osad została opuszczona na pierwszą wieść o powstaniu.

Dał sygnał do rozpoczęcia dalszego marszu. Nim weszli w głąb lasu, Elliot spojrzął przez ramię na samotny budynek. Co mógłby zobaczyć po wejściu do środka? W uszach dźwięczały mu beznamiętne słowa przewodnika: „Zabili... i zjedli mieszkańców chaty”.

- Myślę, że mieliśmy sporo szczęścia - odezwała się Karen. - Już wkrótce taki widok będzie należał do przeszłości.

- Wątpię - pokręcił głową Munro. - Stare zwyczaje trudno wykorzenić.

W latach sześćdziesiątych, podczas zairskiej wojny domowej, doniesienia o przypadkach kanibalizmu oraz innych okrucieństwach szokowały opinię publiczną całego świata. Nikt nie pamiętał, że w Afryce Równikowej od niepamiętnych czasów pienieło się ludożerstwo. W 1897 roku Sidney Hinde zapisał, że „[...] przedstawiciele niemal wszystkich plemion z dorzecza Kongo są, bądź byli kanibalami. Wśród niektórych szczepów zjadanie wrogów cieszy coraz większą popularnością”.

Był szczerze zdumiony, że tubylcy nie kryli się z owymi obyczajami.

„Kapitanowie parowców zawijających do Afryki zapewniali mnie, że ilekroć chcieli zakupić nieco koźliny, miejscowi kacykowie żądali w zamian kilku niewolników. Niekiedy pojawiali się tubylcy obarczeni kością słoniową, którą usiłowali wymienić na żywy towar twierdząc, iż w okolicy panuje dotkliwy brak ludzkiego mięsa”.

Tak pojmowany kanibalizm nie miał cech rytuału lub ceremonii religijnej; stanowił po prostu część codziennej diety. Wielebny Holman Bentley, który spędził w Kongo ponad dwadzieścia lat, cytuje w pamiętniku słowa pewnego tubylca:

„Biali myślą, że najsmaczniejsza jest wieprzowina, bo nigdy nie próbowali mięsa człowieka”.

W innym miejscu dodaje:

„Żaden ze znanych mi Murzynów nie rozumiał moich protestów. »Ty zjadasz kury i kozy, my lubimy jeść ludzi. Gdzie różnica?« - pytali”.

Podobna szczerłość owocowała rozkwitem niecodziennych obyczajów. W 1910 roku Herbert Ward przedstawił opis targowiska, gdzie niewolników sprzedawano „niczym żywe kawały mięsa. Choć brzmi to niewiarygodnie, każdy z kupujących mógł zamówić dla siebie wybrany kawałek ciała przyszłej ofiary. Do znakowania używano zazwyczaj kolorowej gliny lub odpowiednio przewiązanego źdźbła trawy. Jeńcy ze zdumiewającym stoicyzmem obserwowali przebieg każdej transakcji i bez zmrużenia oka szli na spotkanie losu”.

Co dziwniejsze, żadne ze wspomnianych doniesień nie ma cech Wiktoriańskiej egzaltacji, a wszyscy obserwatorzy podkreślają, że w codziennych kontaktach ludożercy są całkiem spokojni i przyjaźnie nastawieni do białych przybyszów. Ward pisał:

„Żaden z nich nie przypominał podstępnego i ponurego mordercy. Przeciwnie, byli pełni cnót, jakich brakuje mieszkańcom bardziej cywilizowanych krajów”.

Bentley mówił o nich jako o „wesołych kompanach; przyjacielskich w rozmowie, choć nieco przesadnie objawiających swoje uczucia”.

Pod administracją belgijską przypadki kanibalizmu stawały się coraz rzadsze, lecz nikt nie wierzył, by plemiona zamieszkujące Kongo całkowicie zrezygnowały z dawnych praktyk. W 1956 roku H.C. Engert zanotował następujące spostrzeżenia:

„O kanibalizmie wśród Afrykańczyków nie można mówić w czasie przeszłym [...] przebywając w wiosce ludożerców, odnalazłem kilka świeżych [ludzkich] kości. Tubylcy [...] zachowywali się całkiem pokojowo. Kanibalizm traktowali po prostu jako jeden ze starych, trudnych do wykorzenia obyczajów”.

Munro był przekonany, że bunt Kigani z 1979 roku miał podłoże polityczne. Większość członków plemienia otwarcie występowała przeciwko postanowieniom rządu w Kinszasie, nakazującym wszystkim mieszkańcom Zairu podjęcie uprawy roli i całkowitą rezygnację z polowań. Kigani należeli do zacofanej i biednej części społeczeństwa; nie znali zasad higieny, spożywali posiłki o małej zawartości protein, często zapadali na malarię, żółtą febrę i śpiączkę. Dokuczały im pasożyty. Śmiertelność wśród noworodków wynosiła cztery do jednego i tylko nieliczni dożywali dwudziestych piątych urodzin. *Angawa*, czarownicy, wpajali swym podopiecznym przekonanie, że niemal każda śmierć jest spowodowana działaniem sił nadprzyrodzonych: klątwą, pogwałceniem tabu lub zemstą upiorów. Polowanie uważano za część mistycznego rytuału wiążącego świat ludzi ze światem duchów, a ziemską egzystencję za „chwilowe przebudzenie” ze stanu wyższej świadomości. Magiczne amulety oraz zaklęcia zapewniały powodzenie w walce; ceremonialne malowanie twarzy i dłoni powodowało przyływ nadludzkich umiejętności. Kigani zjadali swych wrogów, ponieważ wierzyli, że ich ciała wypełnia tajemna siła wywołana przez innych *angawa*. Akt kanibalizmu pozwalał przełamać złe czary i wchłonąć część mocy pokonanego wroga.

Odwieczne wierzenia niechętnie ustępowały wpływom cywilizacji. Pierwsze niepokoje miały miejsce w północnym Kongo w 1890 roku, gdy na terenach łowieckich należących do Kigani pojawili się biali myśliwi wyposażeni w broń palną. Wybuch wojny domowej w roku 1961 spowodował, że wiele wiosek zaczęło przymierać głodem. Jediną metodą zdobycia pożywienia był powrót do kanibalizmu.

- Co teraz kieruje ich postępowaniem? - spytał Elliot.

- Myślę, że traktują to jako formę protestu - odparł Munro. - Na przekór

biurokratom, chcą zachować prawo do polowań.

Wczesnym popołudniem wyprawa pozostawiła za sobą rozległą dolinę i dotarła na szczyt wzgórza, skąd rozciągał się widok na całą okolicę. Z tyłu dobiegał stłumiony odgłos wybuchów. Elliot odwrócił głowę. Zobaczył czarny słup dymu wzbijający się w niebo z zielonej gęstwiny. Nad morzem płomieni krążyło stado mechanicznych sępów - śmigłowce.

- Pacyfikują jakąś wioskę - odezwał się Munro. - Jeśli żołnierze należą do plemienia Abawe, żaden Kigani nie ujdzie z życiem.

Świat dwudziestego wieku nie akceptował kanibalizmu. Odległy o tysiące kilometrów rząd w Kinszasie podjął decyzję, że „czas skończyć z kłopotliwymi zwyczajami”. W czerwcu postawiono pod broń pięciotysięczną armię. Sześć uzbrojonych w rakiety śmigłowców typu UH-2 i dziesięć wypełnionych wojskiem samolotów transportowych dotarło nad obszar objęty rebelią. Dowódca wojsk rządowych, generał Ngo Muguru, nie miał złudzeń. Wiedział, że Kinszasa domaga się całkowitej eksterminacji plemienia Kigani i zamierzał w pełni podporządkować się rozkazom ministrów.

Wybuchy pocisków i rakiet rozbrzmiewały aż do zmierzchu. Karen wspomniała o przepaści, jaka dzieliła uzbrojonych w łuki Kigani od żołnierzy dysponujących nowoczesnym sprzętem bojowym.

- Prędzej czy później musiało dojść do konfrontacji - stwierdził Munro - ponieważ zasadniczym celem życia jest samo życie. Spójrz na dzikie zwierzęta, które toczą odwieczną walkę o byt, nie przejmując się filozofią lub wierzeniami. Zmiany zachodzące w dzisiejszym świecie powodują ich zagładę. Kigani także muszą odejść, ponieważ ich obyczaje są całkiem obce współczesnemu człowiekowi.

- A jeśli istnieje coś więcej niż instynkt życia? - spytała Karen.

- Nie istnieje - odparł mężczyzna.

Jeszcze raz spotkali pomalowanych w białe pasy wojowników, lecz obie grupy dzieliła zbyt duża odległość, by brać pod uwagę możliwość ataku. Nim zapadła noc, przekroczyli rozchwiany most nad wąwozem Moruti. Munro oświadczył z ulgą, że minęli terytorium Kigani. Byli bezpieczni. Przynajmniej na razie.

3. Obóz Moruti

Munro zatrzymał się na polanie położonej wysoko nad brzegami Moruti. Wydał tragarzom rozkaz, aby rozpakowali ekwipunek i rozbili obozowisko.

Karen spojrzała na zegarek.

- Tu spędzimy noc? - spytała.

- Tak - odparł Munro.

- Dochodzi piąta. Zmrok zapadnie dopiero za dwie godziny.

- Wiem - mruknął przewodnik. Moruti znajdowało się na wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza. Po dwóch godzinach marszu wyprawa dotarłaby na skraj tropikalnego lasu. - Tu jest o wiele chłodniej... i przyjemniej - dodał.

Karen stwierdziła, że nie zależy jej na przyjemnościach.

- Do czasu - odpowiedział Munro.

Zamierzał jak najdłużej unikać przedzierania się przez dżunglę. Gęste zarośla utrudniały wędrówkę, a błoto, pijawki i roje moskitów potrafiły skutecznie obrzydzić życie.

Kahega rzucił kilka słów w swahili. Munro spojrzał w stronę Karen.

- Nie wiedzą, jak rozłożyć namioty - powiedział.

Murzyn trzymał w wyciągniętych dłoniach zgniecioną kulę srebrzystego materiału. Pozostali tragarze bezskutecznie przetrząsali torby w poszukiwaniu palików.

W 1977 roku ktoś słusznie zauważył, że ekwipunek, jakiego używano podczas dalekich wypraw, nie zmienił się prawie od osiemnastego stulecia, i że najwyższy czas pomyśleć o jego modernizacji. ERTS natychmiast zawarło odpowiednie porozumienie z NASA, prosząc o przygotowanie projektu „lekkiego, trwałego i komfortowego wyposażenia”. Specjaliści z Agencji zmienili niemal wszystko: od butów i ubrań począwszy, poprzez żywność, sprzęt kuchenny i medyczny, aż do systemów komunikacji.

W nowych namiotach wyeliminowano wsporniki, które stanowiły najcięższą część konstrukcji, i położono nacisk na właściwą izolację, co z kolei umożliwiło zredukowanie wagi śpiworów, ilości zapasowej odzieży oraz dziennej dawki wysokokalorycznego pożywienia. A ponieważ najlepszym izolatorem jest powietrze, w laboratoriach NASA powstał pneumatyczny namiot o ciężarze stu siedemdziesięciu

gramów.

Karen wyjęła z plecaka podręczną pompkę. Po chwili pierwszy namiot stanął na polanie. Był wykonany z podwójnej warstwy srebrzystego mylaru i przypominał połyskujące igloo. Murzyni klasnęli w ręce z zadowolenia, a szczerze rozbawiony Munro potrząsnął głową. Kahega wyciągnął z torby skrzynkę wielkości pudełka do butów.

- Cóż to takiego, pani doktor? - spytał.

- Klimatyzator. Dzisiejszej nocy nie będzie potrzebny.

- Zawsze zabierasz go ze sobą? - Munro skrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

Karen obrzuciła go złym spojrzeniem.

- Badania wykazały, że niewłaściwa temperatura i brak snu mają największy wpływ na ograniczenie zdolności do efektywnej pracy - oświadczyła.

- Naprawdę? - roześmiał się mężczyzna.

Skierował wzrok na Elliota, lecz ten całkowicie był pochłonięty widokiem dżungli w promieniach zachodzącego słońca. Amy pociągnęła opiekuna za rękaw.

Kobieta i nosowlosy klótnia - zasygnalizowała.

Od pierwszego spotkania Amy darzyła Munro pełnym zaufaniem, a on odpłacał jej sympatią. Zamiast klepać po głowie i gaworzyć jak do dziecka, tak czyniła większość ludzi, traktował małpę niczym dorosłą kobietę. Widział w życiu wiele goryli i całkiem nieźle poznał ich zwyczaje, więc choć nie rozumiał języka migowego, bez trudu wyczuwał intencje Amy. Gdy wyciągała w górę ramiona, zaczynał ją czochrać, póki nie zwinęła się w kłębek na ziemi pomrukując z zadowolenia.

Małpa była wyczulona na wszelkie przejawy agresji. Ze zmarszczonymi brwiami przysłuchiwała się dyskusji.

- To tylko rozmowa - zapewnił ją Peter.

Amy chce jeść - odpowiedziała.

- Poczekaj.

Karen właśnie zaczynała montować sprzęt telekomunikacyjny, co, ku uciesze Amy, miało się stać codzienną wieczorną ceremonią przez cały czas trwania wyprawy. Nadajnik zapewniający łączność satelitarną ważył zaledwie trzy kilogramy, a zestaw ECM, eliminujący zakłócenia i próby zagłuszenia sygnału, był o połowę lżejszy.

Niewinnie wyglądający przedmiot przypominający parasol okazał się składaną anteną talerzową o średnicy stu pięćdziesięciu centymetrów (Amy najbardziej lubiła tę część rytuału; gdy słońce chyliło się ku zachodowi, pytała Karen, kiedy otworzy

„metalowy kwiatek”). Kabel łączył antenę ze skrzynką nadajnika oraz miniaturowym terminalem komputerowym zaopatrzonym w niewielką klawiaturę i ekran telewizyjny o przekątnej trzy cale.

Mimo małych rozmiarów sprzęt był niezwykle skomplikowany. Komputer miał pamięć 189K i kompletny zestaw obwodów wielofunkcyjnych. Szczelna, odporna na wstrząsy obudowa zapewniała prawidłową pracę przyrządów w każdych warunkach. Nawet klawiatura była znakomicie chroniona przed pyłem i wilgocią.

Zewnętrzne części nosiły ślady wielokrotnych „testów”, jakie na własną rękę prowadzili pracownicy ERTS-u. Nowy element wyposażenia pozostawiano na noc w wiadrze brudnej wody, usiłowano rozbić o ścianę lub rozgnieść na betonowej posadzce. Jeśli po kilku próbach sprzęt nadal działał, mógł być z powodzeniem wykorzystywany w warunkach polowych.

Palce Karen spoczęły na klawiszach. Wystukała współrzędne Houston, sprawdziła moc sygnału i spokojnie czekała sześć minut na nawiązanie łączności. Niestety, na niewielkim monitorze migotały jedynie szare pasy zakłóceń od czasu do czasu przerywane barwną plamą. Ktoś zakłócał transmisję za pomocą „symfonii”.

W gwarze ERTS-u najprostszy system zagłuszania nosił nazwę „tuby”, ponieważ przypominał dokuczliwego sąsiada ćwiczącego gamę na instrumencie dętym. Zakres fal zakłócających był stosunkowo niewielki i dobierany przypadkowo, więc odnalezienie wolnego pasma nie sprawiało większych kłopotów. Bardziej skomplikowany „kwartet smyczkowy” obejmował kilka częstotliwości i emitowano go według ściśle ustalonych zasad. „Big band” zagłuszał muzyką elektroniczną znacznie szersze pasmo, a „symfonia” tłumiała całą transmisję.

Istniało kilka metod przełamania blokady. Po paru nieudanych próbach Karen zastosowała technikę „kodowania pauzy”, pozwalającą na wygenerowanie i wykorzystanie mikrosekundowych okresów ciszy, jakie istnieją nawet w mocno „zagęszczonej” muzyce.

Jej wysiłki zostały wkrótce nagrodzone. Na monitorze pojawiła się wielobarwna mapa z wyraźnie zaznaczonym miejscem obozu. Karen wcisnęła kilka klawiszy; błysnął jasny rząd liter. Słowa zapisane były w wersji skróconej, aby bez trudu zmieściły się na miniaturowym ekranie. CZAS EXPDYCJI - POZYCJA: POTWRD CZAS LOKL 18:04 H 6/17/79. Karen potwierdziła, że właśnie minęła szóstą po południu. Centralny komputer w Houston zaczął porównywać otrzymane informacje z symulowanym przebiegiem wyprawy.

Była pełna najgorszych przeczuć. Według pobieżnych obliczeń, opóźnienie do pierwotnego planu wynosiło już siedemdziesiąt godzin, a to oznaczało, że konsorcjum zyskało niemal dobę przewagi.

Desant na zbocza Mukenko miał być przeprowadzony siedemnastego czerwca o czternastej. Po trzydziestu sześciu godzinach marszu, czyli dziewiętnastego czerwca wczesnym popołudniem, ekspedycja dotarłaby do ruin zaginionego miasta. Dwa dni przed wyprawą konsorcjum.

Atak wojsk Zairu zmusił ich do opuszczenia samolotu sto trzydzieści kilometrów na południe od planowanego miejsca zrzutu. Gęste poszycie dżungli uniemożliwiało szybką wędrówkę. Spływ tratwą w dół rzeki pozwalał zaoszczędzić nieco czasu, lecz i tak potrzebowali co najmniej trzech dni, aby dotrzeć do celu.

Plan wziął w łeb. Będą mogli mówić o szczęściu, jeśli staną pod murami Zinj dwadzieścia cztery godziny po Japończykach.

Na monitorze pojawił się napis: CZAS EXPDYCJI - POZYCJA: 09:04 H OK OK. Karen nie wierzyła własnym oczom. Tylko dziewięć godzin opóźnienia?

- Co to znaczy? - spytał Munro. Istniała tylko jedna logiczna odpowiedź.

- Coś ich zatrzymało - powiedziała Karen. Monitor zamigotał.

EURO/NIPON KONSRCJM KŁOPOT LTNSKO GOMA ZAIR W SMLOCIE
ODKRYTO RADIO AKTY W SBSTANCJA NADAL CZUJNI.

- Travis odwalił kawał dobrej roboty - odezwała się Karen. Wiedziała, że zorganizowanie pułapki na polowym lotnisku Goma nie należało do najłatwiejszych zadań.

- Jeśli nadrobimy brakujące dziewięć godzin...

- Damy radę - mruknął Munro.

W blasku zachodzącego słońca obóz przypominał połyskujący stos klejnotów. Talerz anteny i pięć wypukłych namiotów skrzyły się miliardami srebrnych płomyków. Elliot i Amy usiedli na szczycie wzgórza. W dole rozpościerał się zielony dywan tropikalnego lasu. Z nastaniem zmierzchu dostrzegli pierwsze pasemka mgły. Mrok gęstniał, chłód nocy spowijał drzewa coraz grubszą zasłoną białej pary. Wkrótce niemal cała dżungla zniknęła za mleczną kurtyną.

DZIEŃ SZÓSTY:

LIKO

18 czerwca 1979

1 Dżungla

Następnego ranka wkroczyli w mrok wilgotnego tropikalnego lasu.

Munro poczuł, że dawno uśpione wrażenie klaustrofobii i zagrożenia powraca z niezwykłą siłą. Podczas pobytu w Kongo w latach sześćdziesiątych unikał dżungli jak ognia. Większość działań militarnych toczyła się na otwartych przestrzeniach - wokół kolonialnych osiedli, na brzegach rzek, na drogach i szlakach transportowych. Nikt nie szukał schronienia w gąszczu. Najemnicy nienawidzili dżungli; przesądni Simbowie drżeli ze strachu przed leśnymi duchami. Zmuszeni do ucieczki, kryli się w buszu, lecz nigdy nie odchodzili zbyt daleko. Najemnicy także nie podejmowali uciążliwego pościgu; cierpliwie czekali, aż wróg powróci.

Nawet w drugiej połowie dwudziestego wieku obszar porośnięty dżunglą traktowano jako *terra incognita*, nieznaną ląd, gdzie nowoczesne zdobycze techniki zbrojeniowej okazywały się całkiem bezużyteczne. W głębi tropikalnego lasu człowiek był po prostu intruzem. M *miro* nie czuł zadowolenia z powrotu.

Elliot, który po raz pierwszy widział dżunglę, z przejściem rozglądał się wokół siebie. Rzeczywistość przerastała najśmielsze wyobrażenia. Przerastała w sensie dosłownym: gigantyczne korony drzew ginęły w półmroku, pnie wielkości budynku i grube, porośnięte mchem korzenie... Ciemna przestrzeń przypominała wnętrze gotyckiej katedry. Przez zasłonę z liści nie mógł się przedrzeć nawet najmniejszy promień słońca.

Rzadkie poszycie umożliwiało swobodną wędrówkę. Peter ze zdumieniem stwierdził, że w głębi lasu panuje cisza, czasami przerywana wrzaskiem małą lub nawoływaniem ptaków. Wszystko spowijała monotonna zieleń. Nawet widoczne gdzieś storczyki wydawały się blade i przywiedłe.

Kolejnym zaskoczeniem był całkowity brak śladów rozkładu. Twardy grunt zapewniał dobre oparcie stopom. Panował za to piekielny upał. Wszechobecna wilgoć pokrywała liście, gałęzie i korę. Zdawała się wisieć w powietrzu i wypełniać każde wolne miejsce.

Liczące sto lat zapiski Stanleya nic nie straciły ze swej aktualności:

„Nad moją głową rozpościerały się gałęzie całkowicie zasłaniające światło dzienne. [...] Maszerowaliśmy w ponurym mroku [...] a grube krople rosy bez przerwy kapały nam na głowy. [...] Ubrania stawały się mokre i ciężkie. [...] Powietrze zastygło w bezruchu. Pot sączył się z nas wszystkimi porami. [...] Nieznana Ciemność objawiła

nam się w pełnej grozie”.

Peter od dawna marzył o wyjeździe do Afryki Równikowej, lecz teraz opanowała go przemożna chęć natychmiastowego powrotu. Czuł się przytłoczony ogromem nieprzyjaznego ludzom świata... Dżungla przypominała organizm złożony z wielu odrębnych mikro-środków, ułożonych jedno na drugim niczym warstwy ciasta. Każda enklawa miała własną florę i faunę; żyło tu czterokrotnie więcej gatunków zwierząt niż w lasach klimatu umiarkowanego. Elliot doznał wrażenia, że znalazł się we wnętrzu gorącego ciemnego łona, w miejscu, gdzie każda odmiana życia trwała w cieplarnianych warunkach do czasu, aż zyskiwała pełną odporność i zdolność podjęcia wędrówki w poszukiwaniu innego, bardziej zróżnicowanego środowiska. Ogólny charakter tych procesów nie zmieniał się od milionów lat.

Kiedy wyprawa weszła w głąb dżungli, zachowanie Amy uległo całkowitej zmianie. Elliot stwierdził później, że gdyby poświęcił temu zagadnieniu nieco więcej czasu, mógłby przewidzieć reakcję zwierzęcia.

Amy zaczęła coraz bardziej oddalać się od grupy.

Wciąż przerywała wędrówkę, siadała na murawie i leniwie przeżuwała kawałki liści lub trawę. Nie zwracała najmniejszej uwagi na wołanie Petera. Jadła powoli, z błogim wyrazem zadowolenia na pomarszczonej twarzy. Po zakończonym posiłku kładła się na plecach i zażywała spokojnej sjesty, od czasu do czasu wydając ciche westchnienia.

- Co się z nią dzieje, u diabła? - spytała zniecierpliwiona Karen. Nie mogła pozwolić na dalsze opóźnianie marszu.

- Przypomniała sobie o swym pochodzeniu - odparł Peter. - Dziki goryl jest wegetarianinem i niemal cały dzień spędza wśród krzewów. Ze względu na swoją wielkość, potrzebuje dużej ilości pokarmu.

- Nie możesz przywołać jej do porządku?

- Próbowałem. Nie reaguje na moje polecenia.

Amy trafiła do świata, gdzie nie musiała szukać ludzkiej opieki. Umiała samodzielnie zdobyć pożywienie, poszukać odpowiedniego schronienia... i mogła postępować według własnego widzimisie.

- Koniec z lekcjami - podsumował krótko Munro. Nie był naukowcem, lecz znał wyjście z sytuacji.

- Zostaw ją - mruknął. Zdecydowanym ruchem pociągnął Elliota na czoło

pochodu. - Nie oglądaj się, idź naprzód.

Przez kilka minut szli w milczeniu.

- Została... - odezwał się Peter.

- Profesorze... -jęknął przewodnik. - Byłem całkowicie przekonany, że jest pan ekspertem od goryli.

- To prawda.

- W tej części dżungli nie ma dziko żyjącego stada.

Elliot skinął głową. Nie widział małych gniazd ani wydeptanych ścieżek.

- Mimo wszystko... Amy znalazła świetne warunki do egzystencji.

- Niezupełnie - odparł Munro. - Potrzebuje towarzystwa innych osobników.

Jak wszystkie naczelne, goryle miały wysoko rozwinięty instynkt stadny. Żyły na ogół w dużych grupach i nawet chwilowa samotność budziła w nich zaniepokojenie oraz poczucie zagrożenia. Większość badaczy uważała, że chęć kontaktów socjalnych jest równie silna jak głód, pragnienie lub zmęczenie.

- Jesteśmy jej stadem - powiedział Munro. - Nie pozwoli nam odejść zbyt daleko.

Kilka minut później rozległ się głośny trzask. Małpa wyskoczyła z zarośli pięćdziesiąt metrów przed wędrującymi ludźmi i obrzuciła Petera uważnym spojrzeniem.

- Chodź, Amy - zawołał Munro. - Pora na łaskotki. Zwierzę zbliżyło się rozkołysanym krokiem. Przewodnik zanurzył palce w gęstej sierści.

- Widzi pan, profesorze? Nic się nie stało.

Do końca wędrowki Amy trzymała się blisko grupy.

O ile Elliot z mieszanymi uczuciami przyjął ów „powrót do natury” i był szczerze zmartwiony postępowaniem Amy, o tyle Karen spoglądała na dżunglę okiem poszukiwacza złóż naturalnych i stwierdziła, że nie ma tu zbyt wiele do roboty. Ogromne drzewa były elementem niezwykle wydajnego ekosystemu, lecz rosły na jałowym gruncie, niemal całkowicie pozbawionym bogactw mineralnych ⁶.

W krajach Trzeciego Świata nikt tego nie rozumiał; karczowiska z wolna zamieniały się w pustynię, a mimo to każdej doby wycinano niemal dwieście tysięcy hektarów lasu! Pas zieleni, który od sześćdziesięciu milionów lat otaczał Ziemię wzdłuż równika, w ciągu dwóch dziesięcioleci mógł się stać jedynie wspomnieniem.

⁶ Ekosystem lasu tropikalnego ma o wiele wyższą zdolność wykorzystania dostępnych zapasów energii niż jakikolwiek system konwersji opracowany przez człowieka. Patrz: C.F. Higgins et al. “Energy Resources and

Rozmiary zniszczeń wywoływały protesty w różnych miejscach globu, lecz Karen uważała, że większość opinii jest znacznie przesadzonych. Nie wierzyła w gwałtowną zmianę klimatu ani w redukcję ilości tlenu zawartego w atmosferze i z dużą ostrożnością podchodziła do wszelkich tego typu „naukowych” wywodów. Najbardziej bolało ją to, że nikt nie starał się zrozumieć zasad biologii rządzących dżunglą. Wycinanie drzew w tempie stu czterdziestu hektarów na minutę oznaczało, że w ciągu każdej godziny jeden gatunek fauny lub flory bezpowrotnie zniknął z powierzchni ziemi. Formy życia ukształtowane w ciągu trwającej miliony lat ewolucji ulegały zagładzie na oczach świata i nikt nie potrafił przewidzieć, jakie to przyniesie konsekwencje. Spis „zagrożonych” gatunków nie obejmował nawet niewielkiej części zwierząt i roślin; ginęły motyle, dżdżownice, moskity... pnącza i rozmaite odmiany mchu.

Człowiek bez zastanowienia niszczył skomplikowany ekosystem, nie podejmując próby wyjaśnienia jego sekretów. Karen bezwiednie uległa magii tajemniczego królestwa roślin, tak odmiennego od miejsc, gdzie liczyła się wyłącznie wartość zasobów mineralnych. Nic dziwnego, że Egipcjanie nazwali ten obszar „Krajem Drzew”, pomyślała. Dżungla była gigantyczną cieplarnią, gdzie gatunki flory dominowały nad fauną... tak, nad całą fauną, nawet nad niewielką grupą ludzi zatopioną w wilgotnym półmroku.

Karen zwróciła uwagę na hałaśliwe zachowanie tragarzy. Murzyni co chwila wybuchi głośnym śmiechem.

- Mają niezłą zabawę - powiedziała do Kahegi.
- Nie, pani doktor. To ostrzeżenie.
- Ostrzeżenie?
- Hałas odstrasza lamparty i bawoły. I *tembo* - dodał, wskazując na ścieżkę.
- Tędy szedł *tembo*? - spytała kobieta. Murzyn skinął głową.
- Jest gdzieś w pobliżu? Kahega wyszczerzył zęby.
- Mam nadzieję, że nie - odparł. - *Tembo*. Słoń.
- Idziemy szlakiem wydeptanym przez słonie? Będziemy mogli je zobaczyć?
- Może tak, może nie - odparł Kahega. - Mam nadzieję, że nie. Słonie są bardzo duże.

Karen zrezygnowała z dalszej dyskusji. Spojrzała za siebie, w kierunku

tragarzy.

- Słyszałam, że to twoi bracia.
- To prawda.
- Ach...
- Uważa pani, że pochodzimy od jednej matki?
- To chyba oczywiste... - powiedziała z zakłopotaniem.
- Nie - odparł Kahega.

Karen popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Zatem nie jesteście prawdziwymi braćmi?
- Jesteśmy. Tylko nie pochodzimy od jednej matki.
- Więc dlaczego uważacie się za braci?
- Mieszkamy w tej samej wiosce.
- Z rodzicami?

Na twarzy Murzyna pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia.

- Nie - oświadczył z emfazą. - Oni mieszkają w innej.
- W innej wiosce?
- Oczywiście. Jesteśmy Kikujami.

Karen nic nie rozumiała. Kahega wybuchnął śmiechem.

Kahega zaoferował swą pomoc w dźwiganiu przyrządu, który kobieta z trudem niosła na ramieniu, lecz spotkał się ze stanowczą odmową. Łączność z Houston wciąż ulegała zakłóceniom. Dopiero koło południa pojawiło się wolne pasmo. Była pora lunchu; operator konsorcjum prawdopodobnie zszedł do stołówki. Karen natychmiast wezwała centralę i zażądała harmonogramu.

Napis na ekranie głosił: CZAS EXPDYCJI - POZYCJA: 10:03 H.

W ciągu nocy opóźnienie wzrosło o godzinę.

- Musimy przyspieszyć.
- Spróbuj pobiegać - odparł Munro. - To znakomite ćwiczenie. Uznał jednak, że jego słowa zabrzmiały zbyt szorstko i dodał:

- Niejedno może się zdarzyć, zanim dotrzemy do Virungi. Usłyszeli odległy pomruk grzmotu. Kilka minut później spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Siekły z taką siłą, że powodowały ból. Ulewa trwała ponad godzinę i ustała równie szybko, jak się zaczęła. Munro zarządził postój. Zupełnie przemoknięta Karen nie miała siły protestować.

Amy zniknęła wśród zarośli w poszukiwaniu pożywienia, Murzyni gotowali ryż i wyjęte z puszek mięso. Ross, Munro i Elliot usiedli opodal. Zaczęli usuwać z nóg napęczniałe od krwi pijawki.

- Nawet nie zauważyłam, że mnie gryzą - powiedziała Karen.

- W czasie deszczu stają jeszcze bardziej uciążliwe - odparł Munro. Nagle podniósł głowę i skierował wzrok w stronę dżungli.

- Co się stało?

- Nie... nic.

Przysunął rozżarzony koniec papierosa do kolejnej pijawki. Karen i Peter poszli za jego przykładem. Próby odrywania napęczniałych krwiopijców na ogół wywoływały infekcję, ponieważ część przyssawki pozostawała w ciele.

Kahega przyniósł posiłek.

- Jak twoi ludzie? - półgłosem spytał Munro.

- Wszystko w porządku, kapitanie. Powiedziałem im, żeby nie okazywali strachu.

- Przed czym?! - spytał Elliot.

- Zajmij się jedzeniem - odparł były najemnik. - Zachowuj się całkiem naturalnie.

Peter powiódł wokół nerwowym spojrzeniem.

- Jedz! - szepnął Munro. - Nie wzbudzaj podejrzeń. Powinni być przekonani, że nikt ich nie zauważył.

Przez kilka minut panowała cisza. Nagle rozległ się szelest pobliskich krzewów i na polanę wszedł Pigmej.

2. Tancerze leśnego boga

Przybysz miał nie więcej niż sto czterdzieści centymetrów wzrostu, jasną karnację skóry i silnie umięśnioną klatkę piersiową. Całe jego odzienie stanowiła wąska przepaska na biodrach. Na ramieniu niósł łuk i kołczan wypełniony strzałami. Z uwagą przyglądał się każdemu uczestnikowi ekspedycji; szukał przywódcy.

Munro wstał i odezwał się w dziwnym języku. Pigmej odpowiedział. Przewodnik wręczył mu papierosa, którego używał wcześniej do przypalania pijawek. Murzyn wsunął prezent do skórzanej sakiewki zawieszanej u pasa. Rozmowa trwała kilka minut. Pigmej kilkakrotnie wskazał w stronę lasu.

- Mówi, że w ich wiosce jest martwy biały człowiek - oświadczył Munro. Sięgnął po apteczkę. - Muszę się spieszyć.

- Nie powinniśmy niepotrzebnie tracić czasu - wtrąciła Karen. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Skoro nie żyje...

- Żyje - odparł Munro. - Jest „martwy-ale-nie-na-zawsze”.

Pigmej z przejęciem pokiwał głową. Munro wyjaśnił, że wśród leśnych plemion istniało wiele pojęć na określenie stadium rozwoju choroby. Złożony niemocą człowiek był początkowo „rozpalony”, później „z gorączką”, następnie „chory”, „martwy”, zupełnie-martwy” i w końcu „martwy-na-zawsze”. Z krzewów wyszli inni Pigmeje.

- Wiedziałem, że nie jest sam - mruknął Munro. - Zawsze wędrują w grupach. Cały czas byliśmy pod obserwacją. Jeden fałszywy ruch i... Widzieliście ich strzały? Końce grotów są pokryte brązową mazią. Trucizna.

Spokój przybyszów prysł na widok olbrzymiej małpy wynurzającej się z buszu. Chwycili łuki i zaczęli wydawać groźne okrzyki. Prerażona Amy rzuciła się w ramiona Petera i mocno przywarła do jego piersi, nie bacząc na to, że jest cała pokryta błotem.

Pigmeje wdali się między sobą w gorączkową dyskusję. Usiłowali ustalić, o czym świadczyła obecność Amy. Munro cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Peter uwolnił się z objęć zwierzęcia.

- Co im powiedziałaś? - zwrócił się do przewodnika.

- Chcieli wiedzieć, czy goryl jest twoją własnością; odpowiedziałem, że tak. Chcieli wiedzieć, czy goryl jest samicą; odpowiedziałem, że tak. Pytali także, czy łączy was ścisły związek; odpowiedziałem, że nie. Stwierdzili, że to dobrze. Nie powinieneś

zbyt mocno wiązać się z gorylicą, jeśli chcesz uniknąć cierpienia.

- Jakiego cierpienia?

- Są przekonani, że po osiągnięciu dojrzałości małpa ucieknie w głąb dżungli. Albo złamie ci serce, albo cię zabije.

Karen w dalszym ciągu protestowała przeciwko zmianie trasy. Wioska Pigmejów leżała na odległym o kilka kilometrów brzegu Liko.

- Z każdą minutą wzrasta nasze opóźnienie.

Po raz pierwszy i ostatni w ciągu całej wyprawy Munro stracił cierpliwość.

- Pani doktor... - powiedział znacząco przeciągając głoski. - Nie spacerujemy po Houston. Jesteśmy w samym środku cholernej dżungli. To kiepskie miejsce do chorowania. Wiemy, że jakiś człowiek potrzebuje naszych lekarstw. Nie możemy zostawić go bez pomocy. Po prostu nie możemy.

- Stracimy resztę dnia, nim dotrzemy do wioski - odpowiedziała Karen. - Dziewięć... może dziesięć godzin. Nie zdołamy pokonać konsorcjum.

Jeden z Pigmejów odezwał się podniesionym głosem. Munro skinął głową, zerknął na Karen, po czym skierował spojrzenie w stronę pozostałych członków wyprawy.

- Na koszuli chorego znajduje się jakiś napis. Pigmej twierdzi, że potrafi go odrysować.

Karen z ciężkim westchnieniem popatrzyła na zegarek.

Murzyn wziął do ręki patyk, po czym przykucnął nad kawałkiem rozmięklej ziemi. Pracował powoli, starannie kreśląc obce symbole:

E R T S.

- Boże... -jęknęła Karen.

Wędrówka w towarzystwie Pigmejów w niczym nie przypominała dotychczasowego marszu. Małeńcy ludkowie z dziwną łatwością przeskakiwali błotniste kałuże, przemykali między grubymi lianami i omijali poskręcane konary. Od czasu do czasu spoglądali za siebie i chichocząc obserwowali wysiłki trójki białych podróżników. Zasapany Elliot z trudem dotrzymywał im kroku. Twarz miał podrapaną przez nisko wiszące gałęzie, co chwila potykał się o złośliwie wystające korzenie. Ostre ciernie rozrywały mu ciało; z trudem łapał każdy oddech. Karen wyglądała podobnie. Nawet Munro, choć poruszał się o wiele szybciej, zdradzał oznaki

zmęczenia.

W końcu dotarli do niewielkiego strumienia skąpanego w jasnej poświacie. Pigmeje przykucnęli na olbrzymich głazach i wystawili twarze do słońca. Peter klapnął ciężko na ziemię. Obok osunęła się zziębnięta Karen. Ich zachowanie wzbudziło ogólną wesołość wśród mieszkańców lasu.

Pigmeje byli pierwszymi ludźmi, którzy uznali dżunglę porastającą dorzecze Kongo za swą ojczyznę. Ze względu na niewielki wzrost, odmienne zachowanie i niezwykłą żywotność, już w starożytności cieszyli się sporym zainteresowaniem. Dowódca wojsk egipskich, Hufhor, który przed czterema tysiącami lat dotarł na zachód od Gór Księżycowych, opisał rasę niewielkich czarnych istot, śpiewających i tańczących na cześć nieznanego bóstwa. Herodot i Arystoteles byli przekonani, że raport Hufhora mówi prawdę, lecz w późniejszych latach „tancerze leśnego boga” zostali zaliczeni w poczet postaci mitycznych.

Siedemnastowieczna Europa z dużą dozą ufności przyjmowała opowieści o maleńkich latających ludziach, obdarzonych ogonami i bez trudu zabijających olbrzymie słonie. Kości szympanów, pomieszczone w muzeach ze szkieletami Pigmejów, pogłębiały zamieszanie. Colin Turnbull zauważył, że wiele elementów baśni znajdowało odbicie w rzeczywistości: mali mieszkańcy dżungli naprawdę polowali na słonie, zwinnymi ruchami przemieszczali się z miejsca na miejsce i nosili zwisające przepaski nieco przypominające ogony.

Elliot ocknął się na dźwięk głośniego śmiechu. Pigmeje szykowali się do dalszej wędrówki. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko podążyć ich śladem. Po półgodzinie uciążliwego kłusu poczuł zapach dymu. Niebawem na brzegu strumienia ukazała się niewielka polana.

Na otwartej przestrzeni stało półkolistie dziesięć okrągłych chat o wysokości nie przekraczającej stu dwudziestu centymetrów. Wszyscy mieszkańcy wioski wylegli przed domy, pławiąc się w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Kobiety czyściły zebrane w ciągu dnia grzyby i jagody lub gotowały niewyszukany posiłek. Dzieci ze śmiechem uwijały się pomiędzy siedzącymi na ziemi mężczyznami. Niemal każdy wojownik palił niewielką fajkę.

Munro stanął na skraju obozowiska. Dał znak swym towarzyszom, aby uczynili to samo. Cierpliwie czekali, aż ich obecność zostanie zauważona. Przybycie białych ludzi wzbudziło ogromne podniecenie. Dzieci chichotały, mężczyźni domagali się tytoniu, a rozgadane kobiety z zainteresowaniem dotykały jasnych loków Karen.

Jedna z dziewczynek zaczęła nawet zaglądać jej w spodnie.

Munro pełnił funkcję tłumacza. Zgodnie z jego wyjaśnieniami, niektóre z kobiet podejrzewały, że „bladolica” maluje włosy, a dziewczynka postanowiła na własną rękę sprawdzić, czy to prawda.

Karen spłonęła rumieńcem.

- To naturalny kolor - wykrztusiła. Przewodnik rzucił kilka słów w stronę kobiet.

- Powiedziałem, że twój ojciec również miał jasne włosy, ale nie sądzę, by mi uwierzyły.

Wręczył Elliotowi kilka papierosów i wskazał w stronę mężczyzn. Mali wojownicy z chichotem wyciągali dłonie po prezenty.

Po skończonym powitaniu gości zaprowadzono na drugi koniec wioski, gdzie mieszkał „martwy biały człowiek”. Zobaczyli wynędzniałego, brodatego mężczyznę około trzydziestki, siedzącego nieruchomo przed wejściem do nowo wybudowanej chaty. Peter na pierwszy rzut oka stwierdził, że chory znajduje się w stanie głębokiej katatonii.

- O Boże... -jęknęła Karen Ross. - Bob Driscoll.

- Znasz go? - spytał Munro.

- Geolog. Brał udział w poprzedniej wyprawie. Kilkakrotnie przesunęła dłonią przed twarzą siedzącego.

- Bobby, to ja, Karen. Bobby... Co się stało?

Driscoll nie odpowiedział. Bez zmruczenia oczu wpatrywał się w przestrzeń.

Jeden z Pigmejów zaczął coś mówić.

- Obcy pojawił się w wiosce przed czterema dniami - tłumaczył Munro. - Szalał, więc musieli go obezwładnić. Myśleli, że cierpi na gorączkę błotną, więc postawili dodatkową chatę i dali mu kilka lekarstw. Po pewnym czasie odzyskał spokój. Pozwala się karmić, ale nic nie mówi. Uważają, że uciekł żołnierzom generała Mugum, albo że jest *agudu*, niemową.

Karen cofnęła się z przerażoną miną.

- Nie mam pojęcia, jak możemy mu pomóc - dodał Munro. - fizycznie jest zdrów, ale...

Potrząsnął głową.

- Poinformuję Houston o położeniu wioski - powiedziała Karen. - Zabiorą go do Kinszasy.

Elliot pochylił się nad siedzącym bez ruchu mężczyzną. Driscoll zmarszczył nos i wciągnął głęboko powietrze. Nagle wyprężył ciało.

- Ach... ach... aaach... - zaczął ciekim głosem.

Peter odskoczył. Driscoll opuścił głowę i ponownie zapadł w milczenie.

- Co się dzieje, u diabła?

Stojący obok Pigmej szepnął coś do przewodnika.

- Poczul od ciebie woń goryla - wyjaśnił Munro.

3. Ragora

Dwie godziny później odnaleźli Kahegę i tragarzy. Pod kierunkiem jednego z Pigmejów ruszyli w dalszą drogę. Musieli pokonać południową część Gabutu. Szli w milczeniu; niemal wszyscy cierpieli na dyzenterię.

Przed opuszczeniem wioski wzięli udział we wspólnej kolacji. Munro był przekonany, że odmowa mogłaby urazić gospodarzy. Posiłek składał się z dziko rosnących bulw, zwanych *kitsombe*, przypominających kształtem pomarszczone szparagi, leśnej cebuli *otsa* i liści manioku, *modoke*, zmieszanych z grzybami. Prócz tego podano niewielką ilość kwaskowatego mięsa żółwi oraz prażone szarańcze, stonogi, dżdżownice, żaby i węże.

Dania zawierały większą ilość protein niż porcja wołowiny, lecz były źle przyjmowane przez nieprzywykłe do takiej diety żołądki białych podróżników. Wieści, przekazywane przy ognisku, także nie napawały optymizmem.

Pigmeje twierdzili, że na zboczu Makran, dokąd zmierzała ekspedycja, od niedawna obozowali żołnierze generała Muguru. Mądrzej było unikać spotkania. Munro wyjaśnił, że zarówno w języku swahili, jak i w jego kongijskiej odmianie *lingala* nie istniało pojęcie „rycerskości”.

- W tej części świata należy zabijać, by nie być zabitym. Powinniśmy zmienić trasę.

Pozostawał spływ Ragora. Munro z ponurą miną wpatrywał się w mapę, Karen nie odrywała oczu od monitora.

- Masz powody do obaw? - spytał Elliot.

- Niekoniecznie - pierwszy odezwał się Munro. - Wszystko zależy od tego, czy ostanio padały obfite deszcze.

Karen spojrzała na zegarek.

- Dwanaście godzin opóźnienia - stwierdziła. - Powinniśmy zrezygnować z kolejnego postoju i podróżować nocą.

- Już dawno powziąłem ten zamiar.

Karen popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Przewodnicy wypraw na ogół protestowali przeciw nocnym eskapadom.

- Naprawdę? Dlaczego?

- W ciemnościach łatwiej pokonamy przeszkody czyhające w dole rzeki.

- Jakie przeszkody?

- Porozmawiamy o tym na miejscu - odparł Munro.

Już z daleka usłyszeli stłumiony szum spienionej rzeki. Amy zaczęła zdradzać wyraźne zdenerwowanie. *Jaka woda?* - dopytywała się niemal bez przerwy. Peter próbował ją uspokoić, choć robił to bez większego przekonania. Zdawał sobie sprawę z konieczności przeprawy.

Na brzegu okazało się, że huk dochodzi od strony wodospadów położonych gdzieś w górze nurtu. W miejscu gdzie stali, Ragora miała około piętnastu metrów szerokości i przypominała błotniste bajoro.

- Wygląda niezbyt groźnie - powiedział Elliot.

Munro skinął głową, choć za dobrze znał Kongo, by ze spokojem myśleć o przyszłości. Jedenasta pod względem długości rzeka świata miała własne, niepowtarzalne cechy. Zwinięta niczym gigantyczny wąż, dwukrotnie przecinała równik: po raz pierwszy w okolicach Kisangani, kierując się ku północy, po raz drugi - w Mbandace, gdzie toczyła wody na południe. Jeszcze sto lat temu geografowie uważali to za wierutne kłamstwo. Niecodzienny układ koryta powodował, że pewne odcinki nurtu zawsze znajdowały się w zasięgu pory deszczowej, co z kolei wykluczało niebezpieczeństwo okresowych wylewów, tak charakterystycznych dla Nilu. Co sekundę do Oceanu Atlantyckiego wpływało cztery i pół miliarda litrów wody; rzeka ustępowała pod tym względem jedynie Amazonce.

Poskręcane koryto uniemożliwiało swobodną żeglugę. Pierwsze kłopoty zaczynały się w okolicach Stanley Pool, niecałe pięćset kilometrów od ujścia. Pięć tysięcy kilometrów w głąb lądu, w Kisangani, wodospad Wagenia całkowicie blokował ruch statków. Dalej był nieprzerwany ciąg katarakt, bystrzyn i wąwozów, gdyż źródła dopływów znajdowały się: od południa - na wysoko położonych sawannach, a od wschodu - wśród ośnieżonych szczytów masywu Ruwenzori.

Największy kanion był w okolicach Kongolo i nosił nazwę Portes d'Enfer, Wrota Piekieł.

Ragora wpadała do głównego nurtu rzeki Kongo opodal Kisangani. Ponieważ ulegała częstym zmianom, miejscowi Murzyni określali ją słowem *barawatani*, co znaczy „fałszywa droga”. Wyżłobiony w wapieniu Wąwóz Ragora miał głębokość sześćdziesięciu metrów, lecz w niektórych miejscach stawał się bardzo wąski; odległość pomiędzy skalnymi ścianami nie przekraczała trzech metrów. Ulewne deszcze powodowały, że malowniczy zakątek przemieniał się w otchłań wypełnioną

kipielą.

Miejsce, do którego dotarła ekspedycja Karen, było odległe od wąwozu o dwadzieścia pięć kilometrów. Stan rzeki nie pozwalał jednoznacznie określić ryzyka związanego z przeprawą. Munro zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz nie miał ochoty denerwować Petera, zwłaszcza że tego ostatniego całkowicie pochłaniały pertraktacje z Amy.

Mała z rosnącym zaniepokojeniem obserwowała tragarzy rozkładających na brzegu gumowe pontony. Pociągnęła Petera za rękaw i spytała:

Jakie balony?

- To są łódki - odparł mężczyzna, choć wiedział, że Amy celowo posłużyła się eufemizmem. Nie lubiła używać słów w jakikolwiek sposób związanych z wodą.

Dlaczego łódki?

- Popłyniemy rzeką.

Murzyni zepchnęli pontony na wodę i umocowali ekwipunek.

Kto płynie?

- Wszyscy - odpowiedział Peter.

Amy przez dłuższą chwilę przyglądała się krzątaniu. Wokół panowało podniecenie. Munro gardłowym głosem wydawał rozkazy, • tragarze uwijali się wśród pakunków. Peter zmarszczył brwi. Obawiał się, że ogólna nerwowość źle wpłynie na zwierzę. Mała była podatna na wszelkie zmiany nastroju wśród otaczających ją ludzi.

Przejsć wodę w łódce? - spytała.

- Nie - odparł Peter. - Nie przejsć. Popłynąć.

Nie.

Wyprężyła plecy i skuliła ramiona.

- Amy... -jęknął Peter. - Nie możemy cię tutaj zostawić. Zwierzę bez trudu znalazło rozwiązanie.

Inni ludzie płyną Peter zostaje z Amy.

- Przykro mi, Amy. Muszę popłynąć. Ty też musisz.

Nie - zasygnalizowała. - Amy nie idzie.

- Tak.

Wyjął z plecaka strzykawkę oraz ampulkę thoralenu. Amy zrobiła gniewną minę, po czym zwinęła pięścią kilkakrotnie dotknęła podbródka.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł ją Peter.

W polu widzenia pojawiła się Karen. Niosła dwa pomarańczowe kapoki.

- Co się dzieje? - spytała.

- Zaczęła kłąć - odparł Peter. - Lepiej odejść.

Karen przyjrzała się nastroszonej sylwetce zwierzęcia i oddaliła się pośpiesznie.

Amy zasygnalizowała *Peter* i ponownie uderzyła pięścią w podbródek. Słownik Ameslanu oględnie wyjaśniał znaczenie symbolu jako „paskudny”, choć małpy używały go na ogół wówczas, gdy chciały wyjść do toalety. Żaden z naukowców nie miał wątpliwości, jak należy rozumieć właściwą wymowę znaku.

Gówniany Peter.

„Mówiące” zwierzęta używały rozmaitych przekleństw. Czasem dobór słów wyglądał na przypadkowy: „orzech”, „ptak”, „mycie”. Jednak osiem małp umieszczonych w odległych od siebie laboratoriach objawiało niezadowolenie za pomocą zaciśniętej pięści. Przypadek nie został opisany w żadnym raporcie, ponieważ nikt nie kwapił się podjąć próby jego wyjaśnienia. Przyjmowano ogólnie, że zwierzęta stojące na wysokim stopniu rozwoju, podobnie jak ludzie, uważają określenia ekskrementów za wyjątkowo dobitny sposób wyrażania złości.

Gówniany Peter - powtórzyła małpa.

- Amy... - Napełnił strzykawkę podwójną dawką thoralenu.

Gówniany Peter gówniana łódka gówniani ludzie.

- Amy, przestań.

Zgarbił ramiona, przyjmując postawę rozgniewanego goryla. Zwykle udawało mu się w ten sposób przywołać zwierzę do porządku, lecz tym razem jego wysiłki spełzły na niczym.

Peter nie lubi Amy.

Małpa zrobiła smutną minę, po czym odwróciła się plecami. Podjęła „dyskusję” z nie istniejącym rozmówcą.

- Nie bądź śmieszna - powiedział Elliot. Zaciśnął dłoń na strzykawce. - Peter lubi Amy.

Nie pozwoliła mu się zbliżyć. Z rezygnacją sięgnął po wiatrówkę. Podczas wielu lat doświadczeń zaledwie trzy lub cztery razy musiał korzystać z tej metody. Pocisk utkwiał w pokrytej ciemną sierścią piersi. Małpa z rozżaleniem wyrwała igłę.

Peter nie lubi Amy.

- Przepraszam - zawołał mężczyzna. Amy wywróciła oczami. Peter podbiegł i chwycił w ramiona osuwające się na ziemię ciało zwierzęcia.

Uśpiona Amy leżała na plecach u stóp Elliota. Posapywała cicho.

Munro stał na dziobie pierwszego pontonu. Podzielił ekspedycję na dwie grupy po sześć osób. Elliot, Karen Ross i Amy znaleźli się w drugiej łodzi pod opieką Kahegi. „Patrzcie uważnie i nie popełniajcie naszych błędów”, oświadczył przewodnik.

Pierwsza część podróży minęła bez przygód. Ragora płynęła leniwie. Peter uległ urokowi wszechobecnej ciszy i w milczeniu przyglądał się promieniom słońca migoczącym w spokojnych falach rzeki. Panował upał. Karen zanurzyła rękę w mulistej wodzie, lecz Kahega pokręcił przecząco głową.

- Gdzie jest woda, tam zawsze są *mamba*.

Wskazał na brzeg, gdzie w rozgrzanym błocie spoczywały cielska kilku krokodyli. Jeden z olbrzymów otworzył pysk, ukazując rzędy zębów. Widok łodzi nie wzbudzał w sennych gadach żadnego zainteresowania.

Peter był nieco rozczarowany. Pamiętał z dzieciństwa mrozące krew w żyłach sceny z „przygodowych” filmów, gdzie stada krokodyli czyhały na przepływających śmiałków.

- Nie zaatakują? - spytał.

- Zbyt gorąco - odparł Kahega. - *Mamba* jedzą o świcie lub wieczorem, kiedy chłodniej. Kikujowie mówią, że w dzień *mamba* wstępują do armii. Raz-dwa-trzy-cztery.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

Dopiero po dłuższej dyskusji Peter zrozumiał, że w ciągu dnia gady robiły „pompki”, unosząc na sztywnych nogach ciężki tułów. Współplemioncom Kahegi przypominało to ćwiczenia wykonywane podczas żołnierskiej zaprawy.

- Czego obawia się Munro? - spytał Elliot. - Krokodyli?

- Nie - odparł Murzyn.

- Wąwozu Ragora?

- Nie.

- Więc czego?

- Tego, co jest za wąwozem.

Rzeka skręcała gwałtownie. Usłyszeli huk wody. Ponton zaczął nabierać prędkości, spienione fale przelewały się przez burty.

- Trzymajcie się, doktorzy! - wrzasnął Kahega.

Wpłynęli do głębokiego parowu.

Elliot zapamiętał jedynie fragmenty przeprawy: błotnistą kipieli połyskującą bielą w blasku słońca, taniec łodzi na grzbietach fal, sylwetkę Munro podskakującą w przedziwny sposób, lecz cudownie zachowującą równowagę.

Ponton pędził tak szybko, że ściany wąwozu przypominały rozmazaną czerwoną plamę. Czasem mignął niewielki pas zieleni przyklejony do nagiej skały. Upalny wiatr zatykał dech w piersiach, a strugi lodowato zimnej wody chłostały ciała śmiazków. Wśród śnieżnobiałej piany tkwiły obłe skały niczym łyse głowy potopionych olbrzymów.

Wszystkie wydarzenia następowały w zastraszającym tempie.

Łódź Munro znikła na długie minuty, zasłonięta ryczącą ścianą wody. Łoskot fal powracał echem, aż w końcu stał się głuchym, nieprzerwanym pomrukiem wypełniającym ciasną przestrzeń wąwozu. Blask zachodzącego słońca nie docierał na dno krętego łożyska; ponton Elliota sunął coraz dalej w głąb rozwrzeszczanego piekła, ocierał się o skały i wirował wokół własnej osi w takt ochrypłych okrzyków wioślarzy, usiłujących nie dopuścić do ostatecznej katastrofy.

Amy nadal leżała na plecach. Od czasu do czasu przesuwiała się bezwładnie w stronę burty. Peter z przerażeniem spoglądał w jej stronę; bał się, że kolejna fala zaleje nozdrza zwierzęcia i spowoduje śmierć przez uduszenie. Przemoczona Karen kulila się w drugim końcu łodzi.

- O Boże, mój Boże, mój Boże, mój Boże - mamrotała monotonnym głosem. Woda strugami spływała jej po twarzy.

Na tym nie kończył się gniew natury. Nawet w dudniącym sercu kanionu nad rzeką unosiła się ciemna chmara zawzięcie kłujących moskitów. Obecność owadów wydawała się całkiem nie na miejscu i nikt nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób przetrwały chaos panujący w wąwozie. A jednak były.

Nagle skalne ściany odskoczyły od siebie. Rzeka stała się szersza, mętna woda zaczęła płynąć spokojniej. Peter ciężko osunął się na dno łodzi i zamknął powieki. Czuł na twarzy ciepłe promyki słońca, a pod plecami leniwy ruch fali.

- Udało się - wyszeptał.

- Jak dotąd - powiedział Kahega. - Kikujowie mówią, że życie jest tylko dla żywych. Nie czas na odpoczynek, doktorze.

- Mimo wszystko mu wierzę - zmęczonym głosem dodała Karen.

Przez godzinę dryfowali łagodnym nurtem. Widoczne na brzegach skały poczęły maleć, aż w końcu zastąpiła je zielona ściana lasu. Mogłoby się wydawać, że Wąwóz Ragora był tylko przywidzeniem. Lustrzana tafla wody połyskiwała złotem w blasku zachodzącego słońca.

Chłód wieczoru stawał się coraz bardziej dotkliwy. Peter ściągnął przemoczoną koszulę. Włożył sweter, po czym przykrył ręcznikiem pochrapującą Amy. Karen sprawdzała stan nadajnika i komputera. Zanim skończyła, słońce zniknęło za horyzontem. Mrok pogłębiał się z minuty na minutę. Kahega wyciągnął dubeltówkę i załadował ją dużymi żółtymi nabojami.

- Po co to robisz? - spytał Peter.

- *Kiboko* - odparł Murzyn. - Nie znam angielskiej nazwy.

Obrócił głowę i zawołał:

- *Mzee! Nini maana kiboko*

Munro spojrział przez ramię.

- Hipopotamy! - krzyknął.

- Hipo - powiedział Kahega.

- Mogą być niebezpieczne? - spytał Peter.

- W nocy chyba nie - odparł Murzyn. - Ale ja myślę, że tak.

W dwudziestym wieku zanotowano znaczny wzrost zainteresowania etologią. Wielu badaczy podjęło trud obserwowania zwierząt w ich naturalnym środowisku, co walcie przyczyniło się do zweryfikowania utartych poglądów. Świat dowiadywał się ze zdumieniem, że łagodny, pięknooki jeleń tworzy stada rządzone bezwzględnyymi i okrutnymi prawami, a „krwiożerczy” wilk w rzeczywistości jest czułym opiekunem i ojcem rodziny. Lew - król wszelkiego stworzenia - niekiedy bywał leniwym padlinożercą, a podstępna hiena zyskała wreszcie należyte uznanie. (Przez kilka dziesięcioleci w relacjach podróżników powtarzał się opis stada lwów pożywiających się świeżo ubitą zwierzyną oraz hien czekających w bezpiecznej odległości na swoją kolej. Obserwacje prowadzone w nocy przyniosły zaskakujące rezultaty: zdarzało się, że trud polowania spoczywał na hienach, lecz lwy zagarniały łup, pozostawiając mniejszym drapieżnikom jedynie resztki. Dalsze badania pozwoliły ustalić, że stado hien stanowiło zwartą, bardzo skomplikowaną społeczność, co jaskrawo odbiegało od ogólnie przyjętej opinii.)

Hipopotam należał do grupy najmniej znanych ssaków. „Koń rzeczny”

Herodota ustępował wielkością jedynie słoniowi, lecz większą część życia spędzał w całkowitym zanurzeniu, wystawiając nad powierzchnię wody jedynie oczy i nozdrza. W grupie panował patriarchat. Dorosły osobnik władał haremem złożonym z kilku samic opiekujących się potomstwem. Liczebność stada wynosiła przeciętnie od ośmiu do czternastu zwierząt.

Pomimo ociężałego, dość zabawnego wyglądu hipopotam był dużym i niebezpiecznym stworzeniem. Samiec w sile wieku miał cztery i pół metra długości, a jego ciężar dochodził do trzech i pół tony. Mimo tak okazałej wagi potrafił szarżować z zadziwiającą prędkością. Cztery ostre zęby tkwiły niczym słupy w szerokiej paszczęce. Atakujące zwierzę podrzucało głową na boki, starając się raczej rozciąć ciało przeciwnika, niż go ugryźć. W odróżnieniu od walk innych zwierząt, starcie hipopotamów nie miało w sobie cech rytuału i na ogół kończyło się śmiercią jednego z adwersarzy.

Duże stada stanowiły zagrożenie dla człowieka. W okolicach rzek połowa wypadków śmiertelnych była powodowana przez hipopotamy; resztą odpowiedzialności obarczano słonie oraz drapieżne koty. Roślinożerny *kiboko* wychodził nocą na ląd w poszukiwaniu pożywienia. Z dala od wody stawał się szczególnie niebezpieczny i trutował każde stworzenie, które nieopatrznie zagroziło mu drogę do rzeki.

Z drugiej strony, hipopotam był ważnym ogniwem rzecznoego ekosystemu. Wydalał olbrzymią ilość odchodów i użyźniał dno koryta, co z kolei powodowało szybki wzrost roślin i stwarzało dobre warunki bytowania dla ryb oraz innych wodnych stworzeń. Bez hipopotamów życie w rzekach powoli zamierało.

Ogromne zwierzę miało jeszcze jedną, szczególną cechę. Było niezwykle przywiązane do swego terytorium. Samiec zawzięcie bronił rzeki przed intruzami i bez wahania rzucał się na innego hipopotama, krokodyla lub łódź wypełnioną ludźmi.

DZIEŃ SIÓDMY:

MUKENKO

19 czerwca 1979

1. Kiboko

Munro z dwóch względów zdecydował się podróżować nocą. Po pierwsze, chciał nadrobić opóźnienie. W harmonogramie opracowanym przez komputer znalazło się miejsce dla kilkugodzinnych przerw na odpoczynek, lecz nie przewidziano spokojnego rejsu po rzece oświetlonej księżycową poświatą. Uczestnicy wyprawy mogli do świtu zażywać snu, a jednocześnie pokonać co najmniej osiemdziesiąt kilometrów.

Drugim, ważniejszym powodem były hipopotamy. Munro zdawał sobie sprawę, że cienka powłoka pontonu nie wytrzyma ataku rozwścieczonego samca. Po zmroku zwierzęta wychodziły na brzeg, co zmniejszało ryzyko niespodziewanej konfrontacji.

Plan był dobry, lecz pojawiły się niespodziewane komplikacje. Szaleńcza przeprawa przez kanion spowodowała, że już o dziewiątej wieczorem ekspedycja dotarła do legowisk hipopotamów. Zapadał zmierzch, lecz pora żerowania zaczynała się znacznie później. A to mogło oznaczać tylko jedno - atak pod osłoną ciemności.

Dopłynęli do miejsca, gdzie rzeka tworzyła szerokie zakola. Na każdym zakręcie Kahega wyciągał rękę w stronę płycizny.

- *Kiboko* lubi spokojną wodę - twierdził.

Brzegi Ragory porastała krótko przystrzyżona roślinność, co stanowiło widomy ślad obecności zwierząt.

- Już niedługo - mruknął Kahega.

Usłyszeli niski dźwięk, przypominający pochrząkiwanie starca usiłującego oczyścić gardło z dokuczliwej flegmy. Munro zamarł w bezruchu. Łódź minęła wystający cypel. Rzeka płynęła wolno, a oba pontony dzieliła odległość zaledwie dziesięciu metrów. Przewodnik przygotował broń do strzału.

- Hau...hu-hu-hu-hu - rozległo się chóralne echo kilku głosów. Kahega zanurzył wiosło. Pióro dotknęło dna na głębokości dziewięćdziesięciu centymetrów.

- Płytko. - Murzyn pokręcił głową.

- To źle? - spytała Karen.

- Tak. Myślę, że źle.

Za kolejnym zakrętem Elliot dostrzegł przy brzegu kilka ciemnych głazów, połyskujących w świetle księżyca. Nieoczekiwanie jedna ze „skał” poderwała się z miejsca. Olbrzymie zwierzę ruszyło pędem w stronę pontonu. Peter widział wyraźnie,

jak krótkie kończyny hipopotama rozchlapują płytką wodę.

W momencie ataku Munro wystrzelił flarę. Białe światło magnezji wydobyło z mroku potworną, szeroko rozwartą paszczę. Błysnęły żółtawe kły. Zwierzę uniosło głowę i wydało gromki ryk, lecz w tej samej chwili zostało otoczone lepkiem, bladożółtym obłokiem. Powiew wiatru uniósł strzępy chmury w stronę nadpływającego pontonu.

- Gaz łzawiący - powiedziała Karen.

Łódź Munro powoli oddalała się z niebezpiecznego miejsca. Hipopotam zakwiczał z bólu i zniknął pod wodą. Pasażerowie drugiego pontonu przecierali piekące powieki, lecz nadal uważnie obserwowali okolicę. Flara opadała powoli, błyszcząc milionami iskier na powierzchni rzeki. Cienie drzew stawały się coraz dłuższe.

- Pewnie zrezygnował - odezwał się Elliot. Nie widział ani śladu hipopotama. Wokół panowała cisza.

Nagle dziób łodzi powędrował w górę. Karen otworzyła usta. Jej krzyk został stłumiony przez pomruk rozjuszonego zwierzęcia. Kahega pociągnął za spust, lecz w tej samej chwili upadł na plecy. Strzał poszedł w górę. Ponton opadł z głośnym pluskiem, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Peter zaczął pełznąć w stronę Amy, gdy nagle stwierdził, że patrzy wprost w otwarty pysk potwora. Widział różowe dziąsła i czuł na twarzy gorący oddech. Ogromne szczęki z trzaskiem zacisnęły się na gumowej burcie. Mimo panującego hałasu dał się słyszeć syk uchodzącego powietrza.

Hipopotam otworzył paszczę, lecz Kahega zdążył już się pozbierać i posłał w jego stronę ładunek gryzącego gazu. Zwierzę zanurkowało. Fala spowodowana tym ruchem pchnęła łódź w dół rzeki. Prawa burta przypominała pęknięty balon. Elliot bezskutecznie usiłował ścisnąć rozerwaną powłokę. Zdawał sobie sprawę, że za kilka minut ponton pogrąży się pod wodą.

Hipopotam ponowił atak od strony rufy. Rycząc z bólu i złości, ciał taflę rzeki niczym ciężki holownik.

- Trzymać się! - krzyknął Kahega.

Huknął strzał. Zwierzę zniknęło w chmurze gazu, a dryfująca łódź minęła kolejny zakręt. Po chwili powietrze znów było czyste. Hipopotam gdzieś przepadł. Flara dotknęła powierzchni wody i wokół zapanowała ciemność. Peter wziął na ręce wciąż śpiącą Amy. Stwierdził, że stoi po kolana w błotnistej mazi. Ponton zatonął.

Z mozołem wytaszczyli na brzeg przemoczony ekwipunek. Po chwili podpłynął

Munro. Wśród bagaży znajdowało się jeszcze kilka zapasowych łodzi, lecz wszyscy byli zgodni, że nadeszła pora na krótki odpoczynek. Zmęczeni legli na piasku oświetlonym wątłą poświatą księżyca.

Krótką sielankę przerwał przenikliwy gwizd lecących pocisków i głośnie echo wybuchów. Na niebie zakwitły chmury dymu. Jaskrawe światło eksplozji zalało krwawą poświatą brzeg rzeki.

- Artyleria przeciwlotnicza - mruknął Munro. Sięgnął po lornetkę. - Żołnierze Muguru.

- Do czego strzelają? - spytał Elliot rozglądając się po niebie.

- Nie mam pojęcia - odparł przewodnik. Amy pociągnęła go za rękaw.

Ptak leci.

- Myślisz, że coś usłyszała? - spytał Munro.

- Możliwe. Jest bardzo wyczulona na dźwięki.

Teraz już wszyscy słyszeli odległy, dochodzący z południa warkot silników. Wkrótce samolot pojawił się w polu widzenia. Pilot wykonał rozpaczliwy manewr, aby uniknąć zderzenia z nadlatującą rakietą. Kadłub maszyny błysnął metalicznie w czerwonożółtym blasku wybuchu.

- Próbują zyskać na czasie. - Munro nie odrywał lornetki od oczu. - Transportowiec C-130, z japońskimi znakami na ogonie. Bez wątplenia wiezie zaopatrzenie dla konsorcjum. Jeśli uda mu się dotrzeć na miejsce...

Samolot leciał zygzakiem wśród ognistych kul eksplodujących pocisków.

- Muszą być nieźle wystraszeni - powiedział Munro. - Nie spodziewali się takiego przyjęcia.

Peter poczuł coś w rodzaju współczucia. Wyobraził sobie przerażone twarze pilotów widoczne w rudej poświacie wpadającej do wnętrza kabiny... Krzyczeli po japońsku? Żałowali swojej decyzji?

Chwilę później samolot wydostał się spod ostrzału. Ciemna sylwetka zniknęła w mroku. Ostatni pocisk przeciął niebo krwawą pręgą i poszybował nad drzewami. Z dala doszedł stłumiony huk wybuchu.

Munro wstał.

- Mieli trochę szczęścia - powiedział. - Ruszajmy.

Skinął na Kahegę. Murzyni spuścili łodzie na rzekę.

2. Mukenko

Peter mocniej zacisnął poły kurtki. Drżąc na całym ciele stał pod rozłożystym drzewem i czekał, aż minie gradobicie. Do południa pozostały zaledwie dwie godziny, lecz na wysokości dwóch tysięcy czterystu trzydziestu metrów temperatura nie przekraczała czterech stopni Celsjusza. O piątej rano porzucili rzekę i rozpoczęli uciążliwą wspinaczkę po skalistym zboczu.

Amy z ciekawością spoglądała na lód odbijający się od gałęzi drzewa i zalegający ziemię. Nigdy dotąd nie widziała gradu. Niektóre z bryłek miały wielkość piłki golfowej.

Jak nazwa? - spytała.

- Grad - odparł Elliot.

Peter robi stop.

- Chciałbym, lecz nie potrafię. Zrobiła zadumaną minę.

Amy chce do domu.

Już wieczorem zaczęła domagać się powrotu. Działanie środków uspokajających ustąpiło, lecz była nadal ospała i przygnębiona. Dla poprawienia nastroju Elliot zaproponował jej posiłek. Zażądała mleka (choć doskonale wiedziała, że wśród zapasów żywności nie ma napojów), a gdy spotkała się z odmową, poprosiła o banana. Kahega przyniósł naręczę niewielkich, lekko cierpkich owoców. Amy wielokrotnie zjadała je ze smakiem, lecz teraz z premedytacją wrzuciła całą kiść do wody, twierdząc, że woli „prawdziwe banany”.

Peter przecząco pokręcił głową.

- Nie mamy „prawdziwych bananów”.

Amy chce do domu.

- Nie możemy teraz wrócić, Amy.

Amy dobry goryl Peter weźmie Amy do domu.

Przez wszystkie lata doświadczeń Elliot był dla niej najwyższą wyrocznią w sprawach codziennego życia. Nie rozumiała, że podczas ekspedycji rola Petera uległa zmianie, i uważała pobyt w dżungli za rodzaj kary.

Prawdę powiedziawszy, u pozostałych uczestników wyprawy także pojawiły się oznaki zniechęcenia. Z ulgą opuścili upalny mrok tropikalnego lasu, lecz w czasie wspinaczki początkowy entuzjazm zniknął bez śladu.

- Boże... -jęknęła Karen. - Najpierw hipopotamy, teraz grad... W tej samej

chwili przestało padać.

- Ruszamy dalej - oświadczył Munro.

Aż do 1933 roku wulkaniczny szczyt Mukenko opierał się atakom alpinistów. W 1908 roku gwałtowne burze zmusiły do odwrotu niemiecką ekspedycję kierowaną przez von Ranka. W 1913 Belgowie dotarli na wysokość trzech tysięcy metrów, lecz nie potrafili znaleźć drogi prowadzącej do krateru. Kolejna próba, podjęta przez Niemców w 1919 roku, zakończyła się niepowodzeniem po tragicznej śmierci dwóch członków wyprawy. Mimo to specjaliści określali stok jako „względnie łatwy” do wspinaczki. W 1943 roku na południowo-wschodnim zboczu wytyczono nową trasę. Choć była bez porównania dłuższa, cieszyła się dużym powodzeniem wśród mniej doświadczonych podróżników.

Na wysokości dwóch tysięcy siedmiuset metrów las iglasty ustępował szerokim, ginaącym w chłodnych oparach mgły, połaciom wilgotnej trawy. Powietrze stawało się coraz rzadsze. Karen wspomniała o odpoczynku, lecz Munro nie wyraził zgody.

- Czego się spodziewałaś? - spytał. - Jesteśmy w górach, a góry na ogół są wysokie.

Spojrzał na wyczerpaną kobietę.

- A harmonogram? - ciągnął. - Najtrudniejsza część wędrówki jeszcze przed nami; poczekaj, aż przekroczymy granicę trzech tysięcy metrów. Jeśli teraz zrobimy przerwę, nie uda nam się dotrzeć do szczytu przed zapadnięciem zmroku.

- Nic mnie to nie obchodzi - jęknęła Karen. Ciężko dysząc osunęła się na ziemię.

- Typowa kobieta... - westchnął Munro.

Odpowiedział uśmiechem na ponure spojrzenie Karen. Drwinami i ponaglaniami zmusił swych podopiecznych do dalszego marszu.

Powyżej trzech tysięcy metrów zniknęły ostatnie kępy trawy; jedynie cienka warstwa mchu pokrywała głązy. Wśród siwych obłoków mgły majaczyły krzewinki lobelii. Munro miał swoje powody, aby zmuszać ich do dalszej wspinaczki. Brak odpowiedniego schronienia na wypadek burzy mógłby się okazać tragiczny w skutkach.

Na wysokości trzech tysięcy trzystu pięćdziesięciu metrów ponownie ujrzeli słońce. Karen dała sygnał do zatrzymania. Zaczęła ustawiać czujnik laserowy, będący częścią satelitarnego systemu naprowadzającego. Rankiem podobna operacja zajęła

jej pół godziny.

Dla prawidłowego funkcjonowania czujników niezbędne było połączenie z Houston. Laser przypominający wielkością ogryzek ołówka spoczywał na miniaturowym stalowym statywie, a niewidoczna gołym okiem smuga światła ulatywała ze zbocza wulkanu ponad dżunglę i w odległym miejscu krzyżowała się z drugim promieniem wysyłanym przez bliźniacze urządzenie. Jeśli wyliczenia Karen były dokładne, punkt przecięcia wypadł nad zniszczonymi murami zaginionego miasta Zinj.

Peter był ciekaw, czy konsorcjum nie może wykorzystać promieni lasera dla własnych celów. Karen pokręciła głową.

- Jedynie nocą istnieje niewielkie prawdopodobieństwo wykrycia sygnału - wyjaśniła. - Podczas wędrówki współrzędne ulegają ciągłym zmianom. Na tym polega zaleta systemu.

Wkrótce poczuli gryzącą woń siarki, dolatującą z odległego o niecałe pięćset metrów krateru. Na zboczu nie pozostał nawet najmniejszy ślad roślinności. Wśród poszarpanych skał widniały żółte płyty śniegu. Bezczmurne niebo przybrało barwę ciemnego błękitu. Z południowej strony stoku widać było olbrzymi stożek Nyiragongo wynurzający się z zielonej otchłani dżungli. Szczyt Makeno nikał w oparach mgły.

Najtrudniejsze do pokonania okazało się ostatnie trzysta metrów. Bosonoga Amy z trudem wyszukiwała drogę wśród ostrych odłamków zastygłej lawy, wystających z grubej warstwy wulkanicznego popiołu. O piątej po południu stanęli na krawędzi krateru. W dole rozciągało się bulgoczące jezioro lawy o średnicy jednego kilometra. Peter był nieco rozczarowany monotonnym widokiem poczerniałych skał i szarych kłębow dymu.

- Zaczekaj do wieczora - powiedział Munro.

O zmroku lawa zaczęła świecić niczym płynne złoto. Jaskrawoczerwoną, syczącą para z wolna traciła barwę w zetknięciu z zimnym powietrzem. Ustawione na zboczu namioty połyskiwały w blasku bijącym z głębin krateru. Srebrna poświata księżycy wydobywała z ciemności skłębione chmury zwisające nad bezkresną dżunglą. Elliot wyraźnie widział miejsce, gdzie krzyżowały się dwa zielone promienie lasera. Przy odrobinie szczęścia mógł tam dotrzeć za kilkanaście godzin. Karen uruchomiła nadajnik. Po sześciominutowym oczekiwaniu bez kłopotu uzyskała połączenie z Houston. Sygnał był klarowny i pozbawiony zakłóceń.

- Cholera - zaklął Munro.

- Co się stało? - spytał Peter.

- Konsorcjum zrezygnowało z dalszego zagłuszania naszych przekazów - ponuro odparł przewodnik.

- To chyba dobrze...

- Nie - wtrąciła Karen. - Źle. Prawdopodobnie dotarli do ruin i odnaleźli złożę diamentów.

Potrząsnęła głową i włączyła monitor.

HUSTN POTWRDZA KONSRCJM U CELU ZINJ PRAWD-PODBIENSTWO
1.000. DOŚĆ RZYKA. STUACJA BZNADZNA.

- Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim - szepnęła. Elliot westchnął.

- Nogi mnie bołą.

- Jestem piekielnie zmęczony - dodał Munro.

- Do diabła z całą imprezą - warknęła Karen. Z trudem wpełzli do śpiworów.

DZIEŃ ÓSMY:
KANYAMAGUFA
20 czerwca 1979

1. Zejście

Rankiem, dwudziestego czerwca, w obozie panowało ogólne rozleniwienie. Uczestnicy wyprawy po raz pierwszy od kilku dni spożyli gorące śniadanie. Spokojnie wypoczywali w promieniach słońca lub bawili się z Amy, która z żywiołową radością reagowała na każdy przejaw zainteresowania jej osobą. Minęła dziesiąta, nim rozpoczęli wędrówkę w stronę dżungli.

Ponieważ zachodni stok Mukenko był niemal niemożliwy do sforsowania, zdecydowali się zejść kilkaset metrów w głąb dymiącego wulkanu. Munro szedł pierwszy, niosąc na głowie część ładunku. Najsilniejszy z tragarzy, Asari, musiał dźwigać Amy, gdyż rozpalone skały boleśnie parzyły stopy zwierzęcia.

Mała była przerażona zamiarami swych opiekunów. Wędrówkę po wewnętrzym zboczu krateru uważała za czyste szaleństwo. Peter po cichu przyznawał jej rację. Z bajora lawy unosiły się żrące opary, zatykające nos i powodujące obfite łzawienie. Pod czarną, zastygłą powierzchnią bulgotała rozgrzana masa.

Wyprawa dotarła do miejsca zwanego Naragema, „Oko Diabła”. Olbrzymi, wypolerowany niczym lustro łuk skalny wznosił się na wysokość czterdziestu pięciu metrów. Elliot poczuł orzeźwiający powiew wiatru. Za wulkaniczną bramą dostrzegł zielony dywan dżungli.

Zatrzymali się na krótki odpoczynek. Karen starannie zbadała niespotykaną formację. Wyszlifowane zbocza uformowały się w czasie jednej z erupcji; główna część klifu była wypchnięta, pozostało jedynie smukłe przęsło.

- Nazywają to miejsce „Okiem Diabła”, gdyż oglądane z dołu w czasie wybuchu, świeci czerwonym blaskiem niczym ogromna źrenica - powiedział Munro.

Dość szybko pokonali stromą część zbocza i weszli na straszliwie pofałdowaną powierzchnię zastygłego potoku lawy. Wokół ziały czarne jamy, niektóre dochodzące do dwóch metrów głębokości. Munro przypuszczał, że są to ślady działalności zairskich saperów, lecz po bliższych oględzinach zauważył sieć wypalonych ścieżek, rozciągających się niczym macki wokół każdego otworu. Pierwszy raz oglądał podobne zjawisko. Karen bezzwłocznie ustawiła antenę i nawiązała łączność z Houston. Wyglądała na mocno podekscytowaną.

Pozostali uczestnicy wyprawy cierpliwie czekali na wynik tych przygotowań. Karen nie spuszczała wzroku z maleńkiego monitora.

- O co pytałaś? - odezwał się Munro.

- Prosiłam o pełny zestaw danych na temat ostatniej erupcji oraz pogody, jaka wówczas panowała. Był marzec... - przerwała na chwilę. - Mówi wam coś nazwisko Seamans?

- Tak - odparł Peter. - Tom Seamans. Jeden z moich współpracowników, informatyk.

- Ma dla ciebie wiadomość. - Wskazała na ekran. Elliot podszedł do komputera.

SEMNS DO ELYTA CZEKM.

- Co to za wiadomość?

- Wciśnij klawisz wywołania - odpowiedziała kobieta. Peter spełnił polecenie.

PRZGLAD ORGNL KASETY HUSTON NWE CD.

- Nic nie rozumiem - stwierdził. Karen wyjaśniła mu, że skrót „CD” oznaczał „ciąg dalszy” i że powinien ponownie przycisnąć klawisz. Peter musiał kilkakrotnie powtórzyć tę operację, nim na monitorze pojawił się nowy rząd liter.

PRZGLAD ORGNL KASETY HUSTON NWE USTL NIA DOT INFO
DZWEKWYCH WN1K AN LIZ KOMPUTR POTWRDZA NZNY JEZYK.

Czytając na głos, łatwiej pojmował treść wiadomości.

- „Przegląd oryginalnej kasety Houston. Nowe ustalenia dotyczą informacji dźwiękowych: wynik analizy komputerowej potwierdza nieznaną język”. - Zmarszczył brwi. - Język?

- Prosiłeś go o przejrzanie filmu z Kongo? - spytała Karen.

- Tak, lecz chodziło mi wyłącznie o zarejestrowany wizerunek zwierzęcia. Nic nie mówiłem o dźwięku.

Potrząsnął głową.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

- Nic prostszego - odparła. - Oczywiście, jeśli nie masz skrępowań, by wyciągnąć go z łóżka w środku nocy.

Przebiegła palcami po klawiaturze. Kwadrans później Peter wystukał: „Cześć, Tom. Co słyhać?” Na ekranie ukazał się napis:

CZSC TOM CO SLCHC.

- Na ogół nie używamy łącz satelitarnych, by prawić sobie grzeczności - mruknęła Karen.

Monitor przekazał odpowiedź.

TRCHE ŚPIĄCY GDZE JSTES?

„Virunga”, wystukał Peter.

VIRNGA.

- Travis się wścieknie, gdy zobaczy zapis rozmowy - wtrąciła Karen. - Wiesz, ile kosztuje minuta połączenia?

Martwiła się niepotrzebnie. Peter szybko przeszedł do sedna sprawy.

OTRZMLM WDMOSC INFO DZWKOWYCH PDAJ WJSNE-NE.

PRZPDKOWE ODKRCE - ANALIZ KOMPUTR 99% PTWRDZA INFO
DZWKOWE REJSTR KASETWEJ {ODDECH} WSKZJE CHRKTRSTK MOWY.

PDAJ CHRKTRSTK.

ELMNTY PWTARZLNE-CIĄG-ZLEZNOSC STRUKTR- TYPWE DLA JEŻYKA.

TLMCZENIE?

JSZCZE NIE MA.

DLCZGO?

KOMPUTR MA ZBYT MAŁO INFO-OCZKJE NOWE DANE-ND AL PRCUJE-
MOŻE JTRO-TRZMAJ KCIUKI.

MSLISZ JEŻYK GORYLA?

TAK JEŚLI GORYL.

- Niech to szlag... - szepnął Peter. Zakończył rozmowę, lecz ostanie zdanie przekazane przez Seamansa nadal połyskiwało zielenią na monitorze.

TAK JEŚLI GORYL.

2. Włochaci ludzie

Dwie godziny po otrzymaniu niespodziewanej wiadomości ekspedycja dotarła do terytoriów goryli.

Znów wędrowali przez mrok tropikalnego lasu. Kierowali się wprost do zaginionego miasta, śladem laserowego promienia. Co prawda, wąska smuga była całkiem niewidoczna, lecz Karen wydobyla z plecaka dziwny przyrząd wyposażony w fotokomórkę reagującą wyłącznie na określoną długość fali świetlnej. Przymocowała urządzenie do niewielkiego balonu wypełnionego helem i wypuściła ponad drzewa. Wyniesiony w powietrze czujnik obracał się wokół własnej osi, a po zlokalizowaniu promienia przekazywał współrzędne do komputera.

Szli powoli, ponieważ trasa wędrówki wymagała nieustannej korekty. Po południu natknęli się na charakterystyczne odchody goryla i grupę gniazd uwitych z dużych liści.

Pięć minut później ogłuszający ryk wstrząsnął powietrzem.

- Goryl - oznajmił Munro. - Próbuje odstraszyć intruzów.

Goryl mówi odejdz - potwierdziła Amy.

- Nie możemy zawrócić - odparł przewodnik.

Goryl nie chce ludzie przychodzą.

- Ludzie nie skrzywdzą goryli - zapewnił ją Peter. Amy rzuciła mu smutne spojrzenie i potrząsnęła głową, jakby ubolewała nad jego niewiedzą.

Kilka dni później potwierdziły się jej przewidywania. Goryle nie miały powodów do obaw. Ostrzegały ludzi przed czymś zupełnie innym.

Dotarli właśnie do połowy niewielkiej polany, gdy z zarośli wynurzył się wielki samiec o grzbiecie pokrytym srebrzystą sierścią. Warknął ponuro.

Elliot szedł na czele pochodu, ponieważ Munro został odwołany przez jednego z tragarzy. Na skraju lasu ukazało się sześć innych małp. Ciemne sylwetki wyraźnie rysowały się na tle zieleni. Kilka samic przechyliło głowy i ściągnęło wargi, co było oznaką niezadowolenia. Przywódca stada warknął ponownie.

Wyglądał imponująco. Miał ponad dwa metry wzrostu, masywną głowę i potężny korpus. Ważył co najmniej sto osiemdziesiąt kilogramów. Peter pojął nagle, dlaczego pierwsi badacze określali goryle mianem „włochatych ludzi”. Zwierzę istotnie przypominało ogromnego człowieka.

Za plecami usłyszał szept Karen.

- Co teraz?

- Trzymaj się blisko mnie - odparł. - Nie rób żadnych gwałtownych ruchów.

Samiec opadł na cztery łapy, po czym wydał krótkie pohukiwanie. Dźwięk przybierał na sile. Goryl wyrwał garść darni i stanął wyprostowany. Z głośnym okrzykiem wyrzucił trawę w powietrze. Płasko ułożonymi dłońmi zabębnił w klatkę piersiową.

- Och, nie... -jęknęła Karen.

Bębnienie trwało zaledwie pięć sekund. Zwierzę ponownie stanęło na czworakach, po czym zaczęło biegać wzdłuż zarośli, szarpiąc trawę i robiąc przy tym wiele hałasu. Po chwili znów zaczęło pohukiwać.

Elliot nie ruszył się z miejsca. Przez cały czas czuł na sobie uważne spojrzenie samca. Goryl zerwał się na nogi, kilkakrotnie uderzył dłońmi w pierś i wydał wściekły okrzyk.

Potem zaatakował.

Z głośnym rykiem rzucił się w stronę Elliota. Karen wydała jęk przerażenia. Peter z trudem powstrzymywał się od ucieczki. Instynkt samozachowawczy skłaniał go do natychmiastowego wycofania się z niebezpiecznego miejsca. Ogromnym wysiłkiem zachowywał pozory spokoju - i patrzył w ziemię.

Słyszał nadbiegające zwierzę. Nagle zaczął podejrzewać, że cała wiedza o zachowaniu goryli, jaką czerpał z książek i doświadczeń, nie miała praktycznego zastosowania. Cóż znaczyły drukowane słowa wobec furii rozwścieczonego zwierzęcia i siły stalowych mięśni... Świadomie wystawił się na cel, by zginąć w imię nauki.

Goryl (który musiał znajdować się już w odległości zaledwie kilku metrów) wydał chrapliwy okrzyk. Olbrzymi cień padł na trawę tuż przed stopami nieruchomo stojącego mężczyzny. Gdy zniknął, Elliot powoli unióśł głowę.

Małpa wycofała się w odległy koniec polany. Podrapała się palcem po głowie, jakby zdziwiona, dlaczego tak imponujący popis odwagi nie wywołał wrażenia wśród intruzów. Po chwili całe stado zniknęło w wysokiej trawie. Zapadła cisza. Peter westchnął głęboko; Karen bezwładnie osunęła mu się w ramiona.

- Widzę, że jednak coś wiesz na temat goryli - powiedział Munro, wracając na czoło kolumny. Poklepał po ramieniu drżącą kobietę. - Już po wszystkim. Goryl atakuje tylko tchórzy. Podbiega i wbija zęby w tyłek uciekającego. W tutejszych rejonach taki ślad po ugryzieniu uważany jest za dowód słabości charakteru.

Karen popłakiwała cicho. Peter nie mógł powstrzymać dygotania kolan. Usiadł.

Dopiero po kilku minutach uświadomił sobie, że zachowanie goryła w pełni odpowiada książkowym opisom. Nie istniała żadna poszlaka, by twierdzić, że małpy porozumiewają się między sobą za pomocą prymitywnego języka.

3. Konsorcjum

Godzinę później natknęli się na wrak transportowca C-130. Największy samolot na świecie znalazł godne miejsce spoczynku, zagrzebany do połowy wśród olbrzymich drzew, z nosem połamanym przez twarde konary i poskręcany ogonem oplatanym przez grube pnącza. Szerokie skrzydła ocieniały dużą połąć poszycia.

Rój czarnych much pokrywał ciało pilota widoczne za stłuczonym oknem kokpitu. Owady z głośnym stukiem odskakiwały od kawałków szyby. Munro usiłował zajrzeć do ładowni, lecz pozbawione drzwi wejście znajdowało się zbyt wysoko.

Kahega wdrapał się na pobliskie drzewo, wszedł na skrzydło i wsunął głowę do wnętrza wraku.

- Nie ma nikogo - zawołał.
- Ekwipunek?
- Dużo. Pudełka i różne pojemniki.

Munro oddalił się od grupy. Minął sterzący w górę ogon i przeszedł na drugą stronę samolotu. Lewe skrzydło było poszarpane i osmalone, silnik zniknął. To wyjaśniało przyczynę katastrofy: ostatni pocisk wystrzelony przez żołnierzy FZA dotarł do celu i spełnił swą niszczycielską misję. Munro z zamyśleniem spojrzał na zgruchotany kadłub. We wraku było coś dziwnego... Spojrzał na iluminatory, zbiorniki paliwa, stateczniki. Zerknął na tylne drzwi ładowni...

- Cholera - mruknął pod nosem.

Pośpieszył do pozostałych uczestników wyprawy, czekających spokojnie w cieniu prawego skrzydła. Karen siedziała na jednym z kół oderwanych od podwozia.

- Nie zabrali ekwipunku - powiedziała ze źle skrywaną satysfakcją. Opona była tak gruba, że stopy kobiety nie dotykały ziemi.

- Nie - odparł Munro. - Choć od chwili, gdy widzieliśmy samolot, minęło zaledwie trzydzieści sześć godzin...

Zawiesił głos i czekał, aż Karen zrozumie, co chciał powiedzieć.

- Trzydzieści sześć godzin?
- Zgadza się. Trzydzieści sześć.
- Nie wzięli wyposażenia...

- Nawet nie próbowali tego zrobić - dodał przewodnik. - Spójrz na oba włązy. Nie widać, aby ktoś usiłował je otwierać. Jeśli dotarli do Zinj, dlaczego nie przybyli na miejsce katastrofy, aby zabrać ekwipunek?

Ziemia zaczęła dziwnie chrzęścić pod stopami idących. Munro pochylił się i odrzucił świeżo opadłe liście. Okolica była gęsto usiana zbielełymi kawałkami kości.

- *Kanyamagufa* - powiedział. Cmentarzysko. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Murzynów, lecz na ich twarzach malowało się wyłącznie zaciekawienie. Pochodzili z Afryki Wschodniej i nie przejmowali się przesądami lokalnych plemion.

Amy odsunęła stopę od kłujących odłamków.

Ziemia boli - zasygnalizowała.

„Co to za miejsce?” - w ten sam sposób spytał Peter.

Przyszliśmy złe miejsce.

„Jakie złe miejsce?”

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Kości! - zawołała Karen wpatrując się w ziemię.

- Widzę tylko szczątki zwierząt - odparł pośpiesznie Munro. - Prawda, Peter?

Elliot z uwagą przyglądał się rozrzuconym wokół fragmentom szkieletów. Nie potrafił dokonać natychmiastowej identyfikacji.

- Peter?

- Żadna z nich nie przypomina kości człowieka... - odparł ostrożnie. Wyraźnie przeważały szczątki ptaków, małp i niewielkich gryzoni. Zauważył kilka większych kawałków czaszki. Duża małpa? Jak duża? Wśród koron drzew żyły jedynie niewielkie osobniki.

Szympan... Nie. W tej części Kongo nie było szympansów. Więc goryl. *Znalazł* fragment z wyraźnie zarysowanym wałem nadoczodołowym i zaczątkiem charakterystycznego grzebienia kostnego.

- Peter? - z napięciem w głosie powiedział Munro.

- Nie, to nie człowiek - odparł Elliot. Co mogło zmiażdżyć czaszkę goryla? Prawdopodobnie kości rozsypały się już po śmierci zwierzęcia, pod wpływem warunków atmosferycznych. Dorosły goryl nie miał za życia naturalnych wrogów z wyjątkiem człowieka.

Munro nadal rozglądał się po okolicy.

- Kupa gnatów... Same zwierzęta - stwierdził autorytatywnie. A przechodząc obok Petera rzucił mu znaczące spojrzenie. - Ani słowa - szepnął. - Kahega i jego ludzie wiedzą, że jesteś ekspertem w tych sprawach - dodał.

Czyżby coś zauważył? Zbyt często ocierał się o śmierć, by nie umiał na pierwszy

rzut oka rozpoznać szczątków człowieka. Niemal w tej samej chwili Elliot dostrzegł podłużny, lekko wygięty kawałek kości. Pochylił się... Po chwili pojął, że trzyma w dłoni część ludzkiej czaszki. Kość jarzmową.

Nie odkładając znaleziska ponownie spojrzął na ziemię. Spod grubej warstwy organicznych odłamków wysuwały się pędy rozmaitych pnączy. Niektóre z kości były tak delikatne, że w pierwszej chwili Peter myślał, iż to szczątki gryzoni.

Teraz wiedział, że nie.

Przypomniał sobie jedno z pytań egzaminacyjnych. „Podaj nazwy siedmiu kości tworzących oczodół”. Zmarszczył czoło. Kość jarzmowa, czołowa, nosowa, klinowa... to cztery. Kość sitowa, pięć. Coś musiało oddzielać jamę ustną... kość podniebienna, sześć. Nie mógł sobie przypomnieć siódmej. *Os zygomaticum, os frontale, os nasale, os sphenoidale, os ethmoidale, os palatinum...* Kruche, niewielkie i przezroczyste kości.

Kości człowieka.

- Makabryczny widok. Całe szczęście, że nie ma tu ludzkich szczątków... - westchnęła Karen.

- To prawda - skinął głową Elliot. Spojrzął na Amy.

Ludzie umierali tutaj - zasygnalizowała.

- Co ona mówi?

- Uważa, że kości wydzielają nieprzyjemny zapach.

- Ruszajmy dalej - odezwał się Munro.

Munro pociągnął Elliota za rękaw i wysunął się nieco przed czoło pochodu.

- Dobra robota - mruknął. - Musimy zachować spokój w obecności Kikujów, w przeciwnym razie wpadną w panikę. Co powiedziała małpa?

- „Ludzie umierali tutaj”

- Wie zatem więcej niż pozostali. - Skrzywił usta w niewesołym uśmiechu. - Na pewno gubią się w domysłach...

Wśród uczestników wyprawy panowało głębokie milczenie.

- Skąd, u diabła, pochodzą te kości? - spytał Peter.

- Nie wiem - odparł były najemnik. - Widziałem szczątki lamparta, gerezy, leśnego szczura, człowieka...

- I goryla - dodał Elliot.

- Zgadza się - przytaknął Munro. - Goryla. Potrząsnął głową.

- Co mogło zabić goryla, profesorze?

Peter nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

W zrujnowanym obozie konsorcjum wśród poszarpanych namiotów wały się oblepione muchami ludzkie ciała. Powietrze wypełniał mdły odór, a monotonne brzęczenie owadów miało w sobie coś złowieszczonego. Jedynie Munro odważył się wejść na polanę.

- Nie ma rady - stwierdził. - Musimy sprawdzić, co tu zaszło. Minał stratowane ogrodzenie. W tej samej chwili włączył się automatyczny system obronny, emitujący dźwięki o bardzo wysokiej częstotliwości. Karen i Peter przycisnęli dłonie do uszu. Amy chrząknęła z niezadowoleniem.

Zły hałas.

Munro spojrział przez ramię.

- W obozie niemal nic nie słychać - zawołał. - To działa tylko na zewnątrz ogrodzenia.

Czubkiem buta obrócił leżące w pobliżu zwłoki. Przykucnął, rozpędził chmurę natrętnych owadów i w skupieniu przyglądał się głowie martwego mężczyzny.

Karen zerknęła na pobladłą twarz Elliota. Typowy naukowiec, pomyślała. Sparaliżowany strachem. Amy przestępowała z nogi na nogę, nie odrywając dłoni od uszu.

Karen nie mogła pozwolić sobie na okazywanie słabości. Wzięła głęboki oddech i zdecydowanym krokiem weszła między namioty.

- Chcę z bliska obejrzeć system bezpieczeństwa.

- Nie ma sprawy - mruknął Peter. Miał poczucie dziwnej lekkości, obawiał się, że za chwilę zemdleje. Zaduch połączony z potwornym widokiem przyprawiły go o zawrót głowy. Niczym przez mgłę widział Karen pochylającą się nad niewielkim czarnym pudełkiem... Dokuczliwy dźwięk umilkł jak ucięty nożem. Znalazła wyłącznik.

Teraz lepiej - zasygnalizowała Amy.

Karen zakrywając nos dłonią chodziła po obozie. Po chwili zaczęła czegoś szukać wśród rozrzuconych części wyposażenia. - Zobaczą, czy mieli jakąś broń, doktorze - odezwał się Kahega. Odszedł. Po krótkim wahaniu inni tragarze ruszyli w jego ślady.

Peter został sam z Amy. Zwierzę nie zdradzało głębokiego niepokoju, choć

wsunęło dłoń w rękę opiekuna.

„Co tu się stało?” - zasygnalizował Peter.

Żli przyszli - odpowiedziała.

„Jacy żli?”

Żli.

„Jacy żli?”

Żli przyszli żli przyszli żli.

„Jacy żli?”

Żli.

Mężczyzna doszedł do wniosku, że dalsze pytania nie mają sensu. Poleciał małpie, aby została na miejscu i wszedł na pobojowisko.

- Czy ktoś znalazł ciało przewodnika? - spytała Karen.

- Menard - zawołał Munro z drugiego końca obozu.

- Z Kinszasy?

- Tak.

- Słyszałaś o nim? - Elliot spojrzał na kobietę.

- Cieszył się opinią znakomitego znawcy Kongo - odpowiedziała. - Tym razem przegrał...

Przerwała w pół zdania. Patrzyła na zwłoki mężczyzny leżące twarzą ku ziemi. Peter podszedł bliżej.

- Nie obracaj go - rzuciła pośpiesznie. - To Richter. Mówiła z pełnym przekonaniem, choć rój czarnych much uniemożliwiał identyfikację. Elliot pochylił się nad ciałem.

- Nie dotykaj go!

- Dobrze... Już dobrze.

Zza pobliskiego namiotu wyłonił się Munro. Trzymał w dłoni plastikową, dwudziestolitrową bańkę wypełnioną jakąś cieczą.

- Bierz się do roboty, Kahega! - zawołał.

Murzyni zaczęli spryskiwać namioty i martwe ciała. Peter poczuł ostrą woń benzyny.

- Daj mi jeszcze minutę! - krzyknęła Karen do połowy schowana za podartym i pogniecionym strzępem płótna zasłaniającym niegdyś wejście do magazynu zaopatrzenia.

- Ile tylko zechcesz - odparł przewodnik. Powiódł spojrzeniem za wzrokiem

Elliota. Stojąca na skraju obozu Amy gestykulowała do siebie.

Źli ludzie. Ludzie nie wierzą źli przyszli.

- Nie wygląda na zbyt zaniepokojoną - odezwał się Munro.

- Tylko pozornie - odparł Peter. - Jestem przekonany, że zna prawdziwą przyczynę tragedii.

- Więc mogłaby to i owo wyjaśnić. Wszyscy uczestnicy wyprawy ponieśli śmierć w ten sam sposób. Zginęli ze zgniecionymi czaszkami.

Czarny słup dymu znaczył miejsce, gdzie do niedawna znajdował się obóz konsorcjum. Karen milczała, zatopiona w myślach.

- Co znalazłaś? - spytał idący obok Peter.

- Nic konkretnego - odpowiedziała. - Ogrodzenie funkcjonowało bez zarzutu. Przypominało nasz system obrony przed dzikimi zwierzętami. W momencie zagrożenia następuje emisja serii ultradźwięków, niezwykle bolesnych dla wrażliwego systemu słuchowego. Nie działa na gady, lecz jest cholernie skuteczne w przypadku ssaków. Drapieżnik uciekłby w głąb lasu.

- Dlaczego nie poskutkowało tym razem?

- Nie mam pojęcia. Nawet Amy zachowywała się spokojnie.

- Jaka jest reakcja ludzkiego słuchu? - spytał Peter.

- Wysoki pisk powoduje nieprzyjemne świdrowanie w uszach. „To wszystko. - Zerknęła na mężczyznę. - Poza nami, w tej części

Kongo nie ma ani jednego człowieka.

- Czy możesz opracować lepszy system obrony? - wtrącił Munro.

- Pewnie - warknęła Karen. - Zatrzyma wszystko, z wyjątkiem słonia lub nosorożca.

Peter z powątpiewaniem pokręcił głową.

Późnym popołudniem natrafili na resztki obozu pierwszej ekspedycji ERTS-u. Odkrycie nastąpiło przypadkiem, ponieważ w ciągu ośmiu minionych dni dżungla upomniwała się o swoją własność. Świeżo wyrosłe pnącza zatarły ślady. Zostało tylko parę kawałków pomarańczowego nylonu, zgnieciony aluminiowy garnek i połamany statyw. W trawie spoczywały części zniszczonej kamery. Nie znaleźli żadnego ciała. Ponieważ słońce chyliło się już ku zachodowi, ruszyli w dalszą drogę.

Amy wykonała kilka nerwowych ruchów.

Nie idziemy.

Elliot nie zwrócił uwagi na jej zachowanie.

Złe miejsce stare miejsce nie idziemy.

- Musimy iść, Amy - powiedział.

Kwadrans później dotarli na skraj polany ocienionej ogromnymi drzewami. Nad dżunglą wznosił się posępny stożek Mukenko. Na niebie w zapadającym mroku wyraźnie rysowały się zielonkawe promienie laserów. A w dole...

W dole zobaczyli omszałe, równo ociosane głazy. Mury zaginionego miasta Zinj.

Peter obrócił głowę w stronę Amy.

Małpa zniknęła.

4. WEIRD

Nie wierzył własnym oczom.

Początkowo był przekonany, że zwierzę ukryło się w zaroślach, aby ukarać go za incydent nad rzeką, gdy użył wiatrówki do zaaplikowania środka usypiającego. Pośpiesznie wyjaśnił swym towarzyszom, że podobne przypadki zdarzały się już dawniej i pół godziny spędzili na bezowocnych poszukiwaniach. Amy nie odpowiadała na wołanie; w dżungli panowała cisza. Minęło kolejne pół godziny i jeszcze pół...

Peter czuł, że ogarnia go przerażenie.

- Prawdopodobnie przyłączyła się do stada - powiedział Munro.

- To niemożliwe - stanowczo oświadczył Elliot.

- Ma siedem lat, jest niemal dorosła. - Przewodnik wzruszył ramionami. - Jest gorylem.

- Niemożliwe - upierał się Peter.

W głębi duszy sądził jednak, że Munro może mieć rację. Małpy wychowywane przez ludzi z biegiem lat stawały się zbyt duże, zbyt silne, by w pełni akceptować dominację człowieka. Kończył się czas pieluszek i radosnych szczebiotów; różnice zachowań były coraz bardziej widoczne.

- Grupy goryli nie stanowią zamkniętej społeczności - zauważył Munro. - Inne osobniki, zwłaszcza samice, są dość chętnie przyjmowane do stada.

- Nie zrobiła tego - szepnął Elliot. - Nie mogła.

Amy od dzieciństwa miała ścisły kontakt z ludźmi. Lepiej знаła świat autostrad i barów szybkiej obsługi niż dżunglę. Gdy samochód Petera mijał jej ulubioną restaurację, klepała kierowcę po ramieniu i sygnalizowała, żeby zawrócił. O życiu w tropikalnym lesie wiedziała tyle, co jej opiekun, a poza tym...

- Lepiej rozbijmy obóz - odezwała się Karen. Spojrzała na zegarek, po czym skierowała wzrok na Petera. - Pamiętaj, że to ona nas opuściła. Jeśli będzie miała ochotę, wróci.

W jednym z plecaków znaleźli butelkę Dom Pérignon, lecz nikt nie miał ochoty na spełnienie toastu. Peter z przygnębieniem rozglądał się po okolicy, pozostali uczestnicy wyprawy wciąż mieli w pamięci widok bezwładnych ciał zalegających zniszczony obóz konsorcjum. Mimo ciemności pośpiesznie wznosili ogrodzenie

stanowiące część systemu ochronnego określanego nazwą WEIRD⁷.

Pomysł wykorzystywał tradycyjną konstrukcję ciernistej *borny*, która od stuleci stanowiła główne zabezpieczenie afrykańskich obozowisk. Stanley pisał: „Budowę obozu można uważać za ukończoną jedynie wówczas, gdy cały obszar zostanie ogrodzony ściętymi krzewami lub drzewami”. Przez kilka dekad niewiele można było zmienić w tej instrukcji. Rozwój techniki defensywnej zaowocował powstaniem systemu WEIRD.

Murzyni napełnili powietrzem srebrzyste namioty. Karen kierowała ustawieniem teleskopowych statywów, na których zawieszono podłużne lampy emitujące promienie podczerwone. Miały oświetlać teren wokół obozu.

Później przystąpiono do budowy właściwego ogrodzenia. Lekka, metalowa sieć bardziej przypominała tkaninę niż zasieki. Umocowana do palików, szczelnie otaczała cały teren, a kiedy podłączono ją do przetwornicy, stawała się nieprzebytą barierą o napięciu stu tysięcy woltów. Aby akumulatory nie wyczerpały się zbyt szybko, prąd płynął z częstotliwością czterech cykli na sekundę, co powodowało stłumione, pulsujące brzęczenie.

Kolacja składała się z ryżu polanego sosem krewetkowym. Sos, przygotowany ze sproszkowanego preparatu, przypominał smakiem rozmoczoną tekturę, lecz w otoczeniu mrocznej, pierwotnej dżungli łatwo było zapomnieć o niedoskonałościach techniki dwudziestego wieku.

Munro rozstawił warty. Do pierwszej grupy zaliczył siebie, Elliota i Kahegę. Zmiany posterunków miały następować w czterogodzinnych odstępach.

Noktowizory nadawały wartownikom wygląd olbrzymich świerszczy spoglądających w leśną gęstwinę. Elliot czuł się nieswojo. Nie potrafił przywyknąć do widmowego pejzażu. Po kilku minutach przyrząd zaczął mu ciążyć, więc ściągnął go z twarzy i zamarł w bezruchu zaskoczony tym, że dookoła widać jedynie smolistą czerń. Szybko założył gogle z powrotem.

Noc minęła spokojnie.

⁷ *Wilderness environment intruder response defences* - system reagowania na zagrożenie ze strony dziko żyjących gatunków.

DZIEŃ DZIEWIĄTY:

ZINJ

21 czerwca 1979

1. Ogon tygrysa

Rankiem, dwudziestego pierwszego czerwca, stanęli u wrót zaginionego miasta Zinj. Wejście w głąb ruin nie miało w sobie aury romantyzmu, jaka towarzyszyła przygodom dziewiętnastowiecznych podróżników. Współczesny badacz pocił się i dyszał pod ciężarem wyposażenia technicznego: czujników optycznych, dalmierzy, nadajników i wielu innych przyrządów, które mogłyby służyć do szybkiego oszacowania wartości archeologicznej każdego znaleziska.

Tym razem interesowały ich wyłącznie diamenty. Schliemann w pogoni za złotem odkrył ruiny Troi i spędził trzy lata wśród wykopalisk. Karen zamierzała zakończyć poszukiwania w ciągu trzech dni.

Symulacja komputerowa zakładała, że pierwszy etap działań powinien polegać na stworzeniu dokładnego planu miasta. Analiza wyglądu zabudowań pozwalała zlokalizować położenie kopalni.

W myśl tych samych przewidywań, czas potrzebny na sporządzenie mapy nie przekraczał sześciu godzin. Wystarczyło stanąć w każdym z czterech rogów budynku i włączyć przenośny nadajnik. Dwie anteny zainstalowane w obozie przekazywały sygnał do pamięci komputera, gdzie powstawał dwuwymiarowy obraz odzwierciedlający położenie obiektu. Niestety, okazało się, że ruiny zajmują gęsto zalesiony obszar o powierzchni trzech kilometrów kwadratowych. Pomiar powodowałyby konieczność rozbicia ekspedycji na mniejsze grupy, co w obliczu potencjalnego niebezpieczeństwa wydawało się niezbyt właściwym rozwiązaniem.

Jedyną możliwością był wrywkowy przegląd terenu, czyli „poszukiwanie tygrysięgo ogona” (wśród pracowników ERTS-u krążyło powiedzenie, że tygrysa ukrytego w zaroślach można odnaleźć jedynie wówczas, gdy ktoś przypadkowo nadeptnie mu na ogon).

Przez kilka godzin krążyli wśród kamiennych budowli, omijając węże i olbrzymie pająki. Te ostatnie osiągały wielkość dłoni dorosłego mężczyzny i ku zdziwieniu Karen wydawały głośnie klekoczące odgłosy.

Kamienne ściany zostały obrobione z dużą precyzją, choć w niektórych miejscach na wapieniu widniały głębokie rysy. Wszędzie powtarzał się motyw łuku wieńczącego otwory drzwi i okien, lecz poza tym, żadne z pomieszczeń nie wyróżniało się niczym szczególnym. Na murach nie widniał nawet najmniejszy ślad dekoracji. Wiek zatarł także ostatnie dowody ludzkiej działalności; jedynie Elliot odnalazł dwa

kamienne szpadle o półkolistych zakończeniach, służące prawdopodobnie do wykopywania bulw lub kłaczy.

Anonimowość kamiennych budowli stawała się coraz bardziej nużąca, zwłaszcza że nikt nie potrafił ustalić ich prawdziwego przeznaczenia. Nazwy zaczęły powstawać pod wpływem skojarzeń. W jednej z przestronnych izb Karen odkryła ścianę z kilkoma owalnymi dziurami. Zakpiła, że tu musiała znajdować się poczta i od tej pory budynek zyskał nowe określenie.

W innym miejscu natrafili na długi szereg wnęk przypominających cele. Liczne otwory w podłodze i suficie wskazywały, że istotnie każde z pomieszczeń było niegdyś zagrodzone drewnianymi prętami. Munro uznał dom za więzienie, lecz „cele” były zbyt małe dla normalnego człowieka. Zdaniem Karen mieszkańcy Zinj przypominali posturą Pigmejów lub uważali ciasnotę za dodatkowy element kary. Peter był przekonany, że ciąg klatek stanowił swoisty ogród zoologiczny. Lecz dlaczego wszystkie pomieszczenia miały tę samą wielkość? Munro zwrócił uwagę, że nie istniał żaden podest lub ścieżka dla zwiedzających. Upierał się przy nazwie „więzienie” i w końcu postawił na swoim.

Obok znajdował się przestronny dziedziniec, który przezwano „stadionem”. Stały tam cztery kamienne słupy zakończone obręczami oraz konstrukcja przypominająca drążek gimnastyczny. Elliot zwrócił uwagę na stosunkowo małe rozmiary przyrządów: górna krawędź „drążka” znajdowała się na wysokości półtora metra. Może dziedziniec pełnił funkcję placu zabaw? Munro przypuszczał, że chodzi raczej o teren ćwiczeń dla żołnierzy, zwłaszcza iż Karen podtrzymywała swą teorię o niewielkim wzroście mieszkańców.

Czas mijał, a zagadka ruin pozostawała nie rozwiązana. Miasto przypominało łamigłówkę złożoną z identycznych, niczym nie oznaczonych klocków. Nie zawierało żadnych informacji o życiu ludzi, którzy je zbudowali.

Błąd. Informacje były, lecz Karen, Peter i Munro potrzebowali paru godzin, by je odnaleźć. Niektóre ściany pokrywała gruba warstwa ciemnozielonej pleśni. Munro zauważył, że zjawisko nie wiązało się ani z cyrkulacją powietrza, ani z nasłonecznieniem. W kilku pomieszczeniach nalot porastał jedynie dolną część muru i urywał się prostą, horyzontalną linią, niczym ucięty niewidzialnym nożem.

- Cholernie dziwne - mruknął mężczyzna. Przesunął ręką po oślizłej ścianie. Na palcach pozostały mu ślady błękitnej farby.

W ten sposób odkrył pierwszą płaskorzeźbę. Malowane niegdyś reliefy znajdowały się we wszystkich punktach miasta, lecz pleśń dokładnie wypełniała zagłębienia, skrywając przed ludzkim wzrokiem kontury postaci i ornamentu.

Podczas lunchu Munro wyraził ubolewanie, że wśród uczestników wyprawy zabrakło historyka sztuki.

- Mógłby włączyć jakąś lampę, uruchomić kilka urządzeń i od razu zobaczyć o co chodzi - powiedział.

Od czasów Degustona do badań zabytkowych rzeźb i obrazów wykorzystywano promienie podczerwone. Ekwipunek zabrany przez Karen umożliwił wypróbowanie podobnej metody. Po zjedzeniu posiłku wrócili do ruin zaopatrzeni w kamerę, jedną z lamp używanych do nocnej obserwacji terenu i przenośny minikomputer z monitorem.

Próby trwały niemal godzinę, lecz zakończyły się sukcesem. Lampa rzuciła promienie podczerwone na porośnięty pleśnią fragment muru, a widok rejestrowany przez kamerę był przekazywany przez satelitę w formie zapisu cyfrowego do centralnego komputera w Houston. Po chwili na monitorze pojawiał się „oczyszczony” wizerunek rzeźby.

Peterowi przypominało to świat oglądany przez noktowizor. Gdy spoglądał na pozieleniałą ścianę, nie widział nic prócz mchu i porostów - obraz na ekranie komputera przedstawiał tętniące życiem miasto, utrwalone w kamieniu przez nieznanego artystę.

„Niesamowite”, wspominał później. „Znajdowaliśmy się w samym środku tropikalnego lasu, lecz obserwację najbliższego otoczenia mogliśmy prowadzić jedynie za pośrednictwem maszyn. W nocy używaliśmy noktowizorów, w dzień kamery. Byliśmy całkowicie uzależnieni od techniki”.

Ponadto, obraz widziany przez kamerę, nim pojawił się na monitorze stojącym o kilka kroków dalej, musiał pokonać trzydzieści tysięcy kilometrów. Zdaniem Elliota była to „największa pętla świata”. Przekaz trafiał do Houston z prędkością światła, był poddawany błyskawicznej obróbce i po upływie pół sekundy powracał w głąb kongijskiej dżungli. Dawno zapomniana cywilizacja zaczęła ujawniać swe tajemnice.

Mieszkańcy Zinj byli czarnoskórzy, wysocy i harmonijnie zbudowani. Przypominali nieco Murzynów Bantu, którzy dwa tysiące lat temu opuścili wyżynne stopy i powędrowali na południe, w kierunku Kongo. Energiczni i pełni wigoru,

pomimo upalnego klimatu lubili odziewać się w bogato zdobione, długie szaty. Sceny z ich codziennego życia ostro kontrastowały z pokruszonymi murami stanowiącymi jedyny ślad dawnej świetności.

Pierwsza barwna płaskorzeźba ukazywała targowisko. Wśród kupców i przekupniów stało wiele fantazyjnie zdobionych koszy, zawierających niezbyt duże, kuliste przedmioty. Elliot przypuszczał, że są to owoce, lecz Karen była innego zdania.

- Diamenty - powiedziała. - Surowe diamenty sprzedawane wraz z odłamkami macierzystej skały.

Żaden z reliefów nie wyjaśniał przyczyn upadku kwitnącego niegdyś miasta. Nie ulegało wątpliwości, że Zinj zostało opuszczone; na budynkach nie było widocznych śladów wojennej pożogi lub kataklizmu. Karen obawiała się skrycie, że po prostu zabrakło diamentów i gród podzielił los tysiąca innych osiedli górniczych. Peter wspominał o możliwości wybuchu epidemii, Munro obarczył winą stada dziko żyjących goryli.

- Wcale nie żartuję - oświadczył. - Znajdujemy się na terenie wulkanicznym. Erupcja, trzęsienie ziemi, susza, pożar... Wszystkie te czynniki powodują gwałtowne zmiany w zachowaniu zwierząt.

- Gniew przyrody? - Peter potrząsnął głową. - Niemożliwe. Wybuchy wulkanu zdarzają się dość często, a miasto przetrwało kilka stuleci.

- Może była rewolucja pałacowa... zamach stanu?

Elliot wybuchnął śmiechem.

- A co to ma wspólnego z gorylami?

- Podczas wojny małpy stają się agresywne - odparł Munro. Wspomniał o pawianach napadających na południowoafrykańskie osiedla i atakujących autobusy w Etiopii.

Peter był nieprzejednany. Od czasów Ezopa zwierzęta obdarzano ludzkimi cechami, lecz nie miało to nic wspólnego z nauką.

- Świat przyrody traktuje człowieka z całkowitą obojętnością odparł.

- Bez wątplenia - zgodził się przewodnik. - Tyle że ze „świata przyrody” pozostały nędzne resztki.

Elliot z niechęcią musiał przyznać mu rację. Problem był przyczyną wielu naukowych sporów. W 1955 roku francuski antropolog Maurice Cavalle opublikował kontrowersyjny artykuł pt. „Śmierć natury”, w którym pisał między innymi:

„Milion lat temu Ziemia stanowiła dzikie uroczysko, które zwykliśmy określać mianem natury. Wśród owej natury istniały niewielkie enklawy zamieszkane przez człowieka. I niezależnie od tego, czy mówimy o jaskiniach ogrzewanych płomieniem ogniska, czy o muro-wanych miastach otoczonych pasem ziemi uprawnej, musimy stwierdzić, że były to twory nienaturalne. Z każdym nowym wiekiem obszar dziewiczej przyrody stawał się coraz mniejszy, choć przez wiele tysięcy proces ten przebiegał niemal niezauważalnie.

Jeszcze trzysta lat temu między wielkimi miastami Francji lub Brytanii ciągnęły się hektary lasów zamieszkiwanych przez zwierzęta takie same, jak te, które żyły na obszarze Europy na długo przed powstaniem cywilizacji. Potem ekspansja człowieka nabrała tempa.

Sto lat temu, w czasach ostatnich wielkich podróżników, natura była tak zdegradowana, że dzikie ostępy stały się swego rodzaju ciekawostką; dziewicza dżungla Afryki silnie działała na wyobraźnię dziewiętnastowiecznych odkrywców. Wejście w świat nieskażonej przyrody miało w sobie posmak egzotyki, wykraczało poza doświadczenia większości mieszczuchów od kolebki po grób żyjących w otoczeniu przedmiotów wykonanych ludzką ręką.

W dwudziestym wieku nastąpi ostateczny upadek natury. Dzikie rośliny przetrwają jedynie w cieplarniach, dzikie zwierzęta - w ogrodach zoologicznych i rezerwach; w sztucznym środowisku stworzonym na kształt żalosnej pamiątki po przebrzmiałej przeszłości. Zwierzę zamknięte w zoo lub rezerwacie ma tyleż wspólnego z naturą, co człowiek zamieszkujący betonową dżunglę miasta.

Dziś, zewsząd otaczają nas inni ludzie. Nawet w najdalszym zakątku globu nie można się ustrzec obecności człowieka. Natura stała się baśnią, snem o świecie, którego dawno już nie ma”.

Karen oderwała Elliota od kolacji.

- Do ciebie - powiedziała wskazując na komputer. - Ten twój przyjaciel.

Munro wyszczerzył zęby.

- Nawet w głębi dżungli mogą wywołać cię do telefonu. Peter stanął przed monitorem.

KOMPUTR ANLTZ INFO DZWEKWYCH BZ REZLTATU OCZKJE WCEJ DANYCH.

JAKICH? - wystukał Peter.

WCEJ DZWKOW-TRNSMISJI NGRNIA.

„Tylko wówczas, gdy się pojawią”.

TLKO WWCZAS GDY SIĘ PJAWIA.

FREQNCJA 22-50.000 CYKLI-KRTYCZNA.

„Zrozumiałem”.

ZROZMLEM.

Nastąpiła pauza, po czym pojawił się nowy ciąg liter.

JAK AMY?

Peter zawahał się chwilę.

DBRZE.

PWIEDZ JEJ ZE WSZYSCY

Transmisja została nagle przerwana.

CZEKAJ.

Tym razem przerwa była o wiele dłuższa.

NWRYGODNE WIEŚCI - przekazał Seamans. - ODNLZIONO MRS SWENSN.

2. Mrs. Swenson

Przez chwilę Elliot nie wiedział, o kogo chodzi. Swensn? Kim była Swensn? Błąd w zapisie? Nagle przyszło olśnienie: pani Swenson! Kobieta, która odnalazła Amy i przywiozła ją z Afryki do zoo w Minneapolis. Kobieta, która przez kilka ostatnich tygodni przebywała na Borneo.

NOWE INFO-MATKA AMY NIE ZABTA PRZEZ TBYLCW.

Peter z niedowierzaniem patrzył na ekran. Do tej pory był przekonany, że matka Amy została upolowana przez Murzynów zamieszkujących wioskę Bagimindi. Osieroconą małpką...

CO TO ZNCZY?

MATKA JUŻ MRTWA NIE ZJDZONA.

Murzyni znaleźli zwłoki goryla?

WYJSN1ENIE.

SWENSN MA FOTO TRANSMT?

„Transmituj”, z niecierpliwością wystukał Elliot.

TRANSMT.

Przerwa wlokła się w nieskończoność. Obraz na monitorze pojawiał się wąskimi pasami od góry ekranu. Zanim transmisja dobiegła końca, Peter już wiedział, co przedstawia zdjęcie.

Na twardo ubitym dziedzińcu wioski leżały zwłoki goryla. Małpa miała zmiażdżoną czaszkę.

Powoli zbliżali się do rozwiązania zagadki, która przez wiele miesięcy dręczyła uczonych. Szkoda, że pani Swenson nie powróciła kilka tygodni wcześniej...

Obraz zaczął znikać,

W głowie Petera kręciło się od rozmaitych pytań. Zgniecione czaszki spoczywały na cmentarzysku położonym w bezludnej części Kongo. Wioska Bagimindi znajdowała się niemal dwieście kilometrów dalej, nad rzeką Lubula. W jaki sposób ciało małpy znalazło się w rękach Murzynów?

- Jakież kłopoty? - spytała Karen.

- Nie wszystko zrozumiałem. Chciałbym zapytać...

- Najpierw jeszcze raz obejrzyj przekaz. Został wprowadzony do pamięci komputera.

Nacisnęła klawisz z napisem REPEAT.

Na ekranie pojawił się zapis rozmowy. Jedna z odpowiedzi Seamansa była szczególnie dziwna.

MATKA JUŻ MRTWA NIE ZJDZONA.

Dlaczego? W tej części Kongo mięso goryli było uważane za przysmak. Wystukał pytanie:

DLCZGO NIE ZJDZONA.

MATKA/DZCKO ODNLZIONE PRZEZ PATRL WJSKOWY Z SUDANU CIAŁO/DZCKO WZIONO 5 DNI DO BAGIMINDI NA SPRZDAZ TURSTM. TAM SWENSN.

Pięć dni! Elliot pośpiesznie zadał następne pytanie:

GDZIE ODNLZIONE?

NZNANY OBSZR KONGO, brzmiała odpowiedź.

SZCZGOLY.

NZNANE. Nastąpiła chwila przerwy. MAM INNE FOTO.

TRANSMT.

Ekran ściemniał, po czym powoli wypełnił się obrazem przedstawiającym zbliżenie zgruchotanej głowy goryla. Obok kuliło się niewielkie czarne stworzenie, szeroko otwierające buzię w niemym krzyku.

Amy.

Karen kilkakrotnie wywoływała zapis przekazu. Spoglądała na małą, czarną, wrzeszczącą Amy.

- Nic dziwnego, że dręczyły ją koszmary - odezwała się w końcu. - Oglądała śmierć własnej matki.

- Przynajmniej możemy być pewni, że nie zrobił tego żaden goryl - powiedział Elliot. - Mały nie zabijają się nawzajem.

- W tej chwili niczego nie możemy być pewni - odparła Karen.

Noc z dwudziestego pierwszego na dwudziesty drugi czerwca była tak cicha i spokojna, że o dziesiątej wyłączyli lampy emitujące promienie podczerwone. Niemal w tej samej chwili zaszeleściły zarośla. Munro i Kahega chwycili za karabiny. Hałas był coraz bliżej. Usłyszeli dziwny, stłumiony dźwięk przypominający sapanie.

Elliot poczuł, że cierpnie mu skóra na karku; ten sam głos towarzyszył ujęciom przedstawiającym zniszczony obóz pierwszej ekspedycji. Włączył magnetofon i skierował mikrofon w stronę krzewów. Wszyscy w napięciu czekali na dalszy rozwój

wydarzeń.

Minęła godzina. Jedynie lekkie kołysanie liści zdradzało obecność intruza. Tuż przed północą z metalowego ogrodzenia buchnął snop iskier. Munro oddał w tym kierunku serię strzałów. Karen wdusiła guzik wyłącznika, zalewając obóz potokami czerwonego światła.

- Widzieliście? - spytał Munro. - Widzieliście, co to było?

Przecząco pokręcili głowami. Nikt niczego nie zauważył. Peter przewinął taśmę i pochylił się nad głośnikiem. Usłyszał jedynie echo wystrzałów oraz głośny trzask iskier. Ani śladu sapania.

Pozostała część nocy upłynęła w spokoju.

DZIEŃ DZIESIĄTY:

ZINJ

22 czerwca 1979

1 Powrót

Ranek dwudziestego drugiego czerwca był mglisty i szary. Peter obudził się o szóstej i stwierdził, że wszyscy już wstali. Munro kończył obchód wokół ogrodzenia. Ubranie aż po pierś miał przemoczone rosą. Na widok Elliota uśmiechnął się triumfalnie i wskazał na ziemię.

W miękkim gruncie widniały głębokie ślady. Odcisk był krótki, o lekko trójkątnym kształcie, z wyraźną przerwą pomiędzy dużym palcem a resztą stopy.

Peter pochylił się nisko.

- To nie człowiek - stwierdził. Munro milczał.

- Prawdopodobnie któryś z naczelnych. Munro milczał.

- Na pewno nie goryl. - Peter wyprostował plecy. Rozmowa z Seamanssem utwierdziła go w przekonaniu o niesłuszności dotychczasowych podejrzeń. Matka Amy została zabita; żaden goryl nie zamordowałby przedstawiciela swojego gatunku.

- Na pewno - powtórzył.

- Goryl - powiedział Munro. - Spójrz na to.

Wskazał odległe o kilka kroków miejsce, gdzie widniała większa liczba odcisków.

- Ślady dłoni. Musiał stąpać na czworakach.

- Goryle są łagodnymi, nieco nieśmiałymi zwierzętami - oświadczył Peter. - Śpią w nocy.

- Powiedz to temu, który nas odwiedził.

- Goryl ma dużo większe łapy - rzucił z niecierpliwością Elliot.

Podszedł w kierunku ogrodzenia. Z cieniutkich drutów zwisały strzępki szarej sierści.

- I nie jest siwy - dodał.

- Niektóre samce mają srebrzyste grzbiety - odparł Munro.

- Srebrzystobiałe. To futro jest ciemniejsze. - Zrobił zamyśloną minę. -

Kakundakari?

Munro skrzywił się z niesmakiem.

Kakundakari było tajemniczym zwierzęciem zamieszkującym ostępy Kongo. Wielokrotnie widywane - jak himalajski yeti i północnoamerykański bigfoot - nigdy nie wpadło w ręce człowieka. Wśród miejscowych plemion krążyły opowieści o dwumetrowej małpie chodzącej na tylnych łapach i przypominającej zachowaniem

człowieka.

Wielu poważnych naukowców wierzyło, że *kakundakari* istnieje. Prawdopodobnie pamiętali o smutnym doświadczeniu starszych kolegów, którzy swego czasu uparcie odrzucali wszelkie pogłoski mówiące o gorylach.

W 1774 roku lord Monboddo zanotował, że goryl „[...] jest to cudowny, a przerażający zarazem twór natury, który chodzi wyprostowany, wzorem człeka; ma zaś siedem do dziewięciu stóp wzrostu [...] i niezwykłą siłę. Pokryty długawym włosiem, czarnym na całym ciele, lecz nieco dłuższym na głowie; twarz bardziej przypomina ludzką niżeli *chimpanza*, lecz cery czarnej. Ogona nie ma”.

Czterdzieści lat później Bowditch opisał afrykańską małpę „[...] zwykle pięć stóp wysoka, o barkach szerokich na cztery stopy; mówią, że łapę ma dysproporcjonalną do wielkości i jednym uderzeniem potrafi zabić”. Dopiero w 1847 roku amerykański misjonarz Thomas Savage i anatom z Bostonu, Jeffries Wyman, opublikowali artykuł przedstawiający „[...] drugi z gatunków afrykańskich [...] dotąd nie uznawany przez naukę”, któremu nadali nazwę *Troglodytes gorilla*. Praca wywołała poruszenie w świecie naukowym; w muzeach Londynu, Paryża i Bostonu poczęto kompletować szkielety. W 1855 roku zniknęły ostatnie wątpliwości: druga, olbrzymia małpa zamieszkiwała dżunglę Afryki.

Wiek dwudziesty przyniósł kolejne odkrycia. W 1904 roku opisano olbrzymią świnię leśną z Kenii, a w 1961 - dużą pardwę z czerwonym upierzeniem na piersi. Istniały podstawy, by przypuszczać, że w głębi tropikalnego lasu kryje się olbrzymi przedstawiciel rzędu naczelnych, lecz żaden z badaczy nie zebrał przekonujących dowodów na potwierdzenie tej teorii.

- Umiem rozpoznać trop goryla - powiedział z naciskiem Munro. - Małpy krążyły wzdłuż ogrodzenia. Śledziły obóz.

- Śledziły obóz? - powtórzył Elliot. Potrząsnął głową.

- Sprawdź sam - zaproponował przewodnik. - Wystarczy, że porządnie przyjrzesz się tym cholernym śladom.

Peter stracił cierpliwość. Wspomnił coś o „mrozących krew w żyłach” myśliwskich opowieściach, a Munro wygłosił niezbyt pochlebną opinię o ludziach, którzy całą wiedzę czerpali wyłącznie z książek.

Ukryte wśród liści gerezy poczęły głośno skrzeczeć i potrząsać gałęziami.

Zwłoki Malawiego spoczywały na skraju polany. Śmierć dosięgła go w drodze

nad strumień; obok ciała leżało plastikowe wiadro. Zgruchotane kości czaszki i szeroko otwarte usta powodowały, że twarz Murzyna przybrała dziwny, groteskowy wygląd.

Karen pośpiesznie odwróciła głowę. Chwyciły ją mdłości. Podnieceni tragarze zgromadzili się wokół Kahegi. Munro pochylił się nad zabitym.

- Boki głowy są całkowicie spłaszczone... jakby zostały sprasowane... - mówił z namysłem.

Po chwili polecił przynieść kamienne szpadle, odnalezione w ruinach przez Petera. Spojrzał na Kahegę.

Murzyn wyprężył się niczym struna.

- Musimy wracać, boss - powiedział.

- To niemożliwe - odparł przewodnik.

- Wracamy do domu. Musimy wracać. Nasz brat zginął. Musimy urządzać uroczystość dla jego żony i dzieci.

- Kahega...

- Musimy wracać, boss.

- Porozmawiajmy.

Otoczył Murzyna ramieniem i odciągnął na drugą stronę polany. Przez kilka minut prowadzili cichą konwersację.

- To straszne... - szepnęła Karen. Wyglądała na przybitą ostatnimi wydarzeniami. Peter chciał ją pocieszyć, lecz dalsze słowa kobiety sprawiły, że zrezygnował z tego zamiaru.

- To straszne. Musimy się jakoś pozbierać, bo nigdy nie znajdziemy diamentów...

- Nie masz innych zmartwień?

- Wszyscy tragarze są ubezpieczeni...

- Na miłość boską!

- Wpadłeś w depresję, bo ci uciekła cholerna małpa! - warknęła Karen. - Spróbuj się opanować. Patrz na nas.

Kikujowie rzeczywiście spoglądali w ich stronę, choć dobrze wiedzieli, że właściwe negocjacje toczą się pomiędzy Munro i Kahegą. Murzyn ocierając łzy powrócił do grupy. Rzucił kilka zdań; tragarze bez słowa skinęli głowami. Kahegą spojrział na przewodnika.

- Zostajemy, boss.

- Dobrze. - Głos Munro nabral dawnego, rozkazującego brzmienia. - Przynieście szpadle.

Gdy wypełnili polecenie, umieścił oba przedmioty tuż przy głowie Malawiego. Półokrągłe kamienie idealnie pasowały do wgłębień w zgniecionej czaszce.

Munro powiedział coś w swahili. Kahegą zwrócił się w stronę braci. Murzyni w milczeniu wyrazili swą zgodę. Były najemnik rozpostarł ramiona i wymierzył „szpadlami” potężny cios w głowę zabitego. Rozległ się nieprzyjemny stuk, kilka kropel krwi spłynęło po koszuli przewodnika, lecz uderzenie nie spowodowało dalszych obrażeń.

- Żaden człowiek nie ma dość siły, aby spowodować taką ranę - oświadczył Munro. Spojrzał na Elliota. - Chcesz spróbować?

Peter pokręcił głową.

- Sądząc po śladach, w chwili śmierci Malawi szedł w stronę potoku. - Munro zbliżył się do stojącego nieco z boku przyrodnika i popatrzył mu prosto w oczy. - Zabiło go zwierzę wielkości człowieka. Duże, silne zwierzę. Goryl.

Oskarżenia rzucone przez Munro mocno niepokoiły Petera, choć nie obawiał się o własne bezpieczeństwo.

„Po prostu nie potrafiłem tego zaakceptować”, stwierdził później. „Większą część życia poświęciłem gorylom i nie mogłem sobie wyobrazić, by którykolwiek z osobników pozostających na wolności mógł zachowywać się z tak wyrafinowanym okrucieństwem. Goryl zabijający ludzi za pomocą kamiennego szpadla? To nie miało sensu”.

Elliot spędził kilka minut nad ciałem zabitego tragarza, po czym poszedł nad strumień, aby obmyć krew z dłoni. W samotności, z dala od pozostałych członków ekspedycji, zaczął zastanawiać się nad rozwiązaniem zagadki. Czyżby się mylił? Dzieje badań historii naturalnej były usiane błędami przyrodników.

Sam przyczynił się do obalenia kilku utartych koncepcji. Udowodnił, że goryl nie musi być dziką, prymitywną bestią. Savage i Wyman pisali: „Inteligencja tego zwierzęcia jest o wiele mniejsza niż u szympanów, czemu nie należy się dziwić, zważywszy różnicę, jaka dzieli społeczności obu gatunków”. Późniejsi obserwatorzy postrzegali goryla jako stworzenie „o nieposkromionym i brutalnym charakterze”; dopiero badania laboratoryjne udowodniły, że olbrzymia małpa stoi na wyższym stopniu rozwoju niż szympan.

Świat nauki z nieufnością przyjmował doniesienia o szympansach--kidnaperach, które porywały i zjadały murzyńskie dzieci. Wszelkie informacje na ten temat traktowano jako „tubylcze bajania”, póki staranne obserwacje nie potwierdziły ich wiarygodności. Podczas pracy w Gombe Stream Research Centre Jane Goodall dla bezpieczeństwa zostawiała własne dziecko w dobrze zamkniętym pomieszczeniu.

Stada szympansów urządzały prawdziwe łowy na mniejsze zwierzęta. Wyniki badań prowadzonych przez Dian Fossey wskazywały, że i goryle od czasu do czasu zajmują się polowaniem...

Po drugiej stronie potoku rozległ się donośny szelest i na skraju zarośli stanął ogromny, srebrzystogrzbiety goryl. Peter zmartwiał z przerażenia, lecz po chwili uświadomił sobie, że obecność zwierzęcia nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Goryle unikały wody i nawet najmniejszy strumień stanowił dla nich przeszkodę nie do pokonania. A może jednak...

Stojący na brzegu samiec uważnie przyglądał się człowiekowi. W jego wzroku nie było nic groźnego; wyrażał raczej ostrożne zaciekawienie. Peter czuł ostry zapach bijący od małpy i słyszał głośny oddech wydobywający się przez spłaszczone nozdrza. Właśnie rozmyślał jak postąpić, gdy samiec z hałasem zniknął w wysokiej trawie.

Peter otarł pot z czoła. Nagle zauważył, że wśród krzewów ponownie coś się poruszyło. W zieleni zamajaczyła druga, nieco mniejsza postać. Samica. Przez chwilę spoglądała z nieufnością, po czym uniosła dłoń i zaczęła poruszać palcami.

Peter przyjdzie połaskocze.

- Amy! - wrzasnął mężczyzna. Pędem przebrnął przez strumień, rozchlapując wodę na wszystkie strony. Małpa rzuciła mu się w ramiona i obsypała twarz mokrymi pocałunkami.

Niespodziewany powrót Amy omal nie stał się przyczyną jej śmierci z rąk Kikujów. Na widok przygotowanych do strzału karabinów Peter zasłonił małpę własnym ciałem. Dwadzieścia minut później Amy uznała, że wszyscy zaakceptowali już jej obecność i zaczęła stawiać żądania.

Z dużym rozczarowaniem stwierdziła, że w obozie nadal nie było mleka ani słodczy. Munro wyjął z plecaka butelkę ciepłego szampana. Amy zgodziła się przyjąć prezent i nieco poweselała.

Usiedli kręgiem popijając alkohol z cynowych kubków. Małpa zachowywała się całkiem beztrosko.

Amy lubi picie laskocze - zasygnalizowała.

Peter, nareszcie spokojny o bezpieczeństwo swej wychowawicy, poczuł, że wzbiera w nim gniew za jej ucieczkę.

- Po co się denerwować, profesorze - wyszczerzył zęby Munro. Przecież to jeszcze dziecko.

- Racja - warknął Elliot. W rozmowie ze zwierzęciem używał wyłącznie języka znaków.

„Dlaczego Amy uciekła?”

Małpa wetknęła nos w kubek.

Laskocze picie dobre picie.

„Amy” - nie ustępował Peter. „Amy powie Peterowi, dlaczego uciekła”.

Peter nie lubi Amy.

„Peter lubi Amy”.

Peter boli Amy fruwa pinezka au kłuje Amy nie lubi Peter nie lubi Amy Amy smutna smutna.

Elliot postanowił zapamiętać, że znak „pinezka au” nabrał szerszego znaczenia i dotyczył również strzykawki napełnionej thoralenem. Odkrycie, że małpa zachowała zdolność abstrakcyjnego rozumowania, sprawiło mu dużą satysfakcję, lecz zachował surowy wyraz twarzy.

„Peter lubi Amy. Amy wie, że Peter lubi Amy. Amy powie Peterowi dlaczego...”

Peter nie laskotał Amy Peter niedobry Peter niedobry człowiek Peter lubi kobietę nie lubi Amy Peter nie lubi Amy Amy smutna Amy smutna.

Tak długa i gwałtowna wypowiedź świadczyła o przygnębieniu zwierzęcia.

„Dokąd poszła Amy?”

Amy poszła goryle dobre goryle. Amy lubi.

Gniew ustąpił miejsca zaciekawieniu. Peter obrzucił małpę uważnym spojrzeniem. Przez wszystkie minione dni wędrowała ze stadem? Jeśli tak, stanął u progu przełomowego odkrycia w historii badań naczelných. Musiał poznać szczegóły.

„Goryle miłe dla Amy?”

Ponuro zerknęła w jego stronę.

Tak.

„Amy opowie Peterowi”.

Wpatrywała się w przestrzeń, nie wykonując żadnego ruchu. Elliot strzelił palcami, żeby przyciągnąć jej uwagę. Ze znudzoną miną zerknęła na niego.

„Amy opowie Peterowi. Amy została z goryłami?”

Tak.

Jej pozorna obojętność świadczyła wyraźnie, iż wie, jak bardzo Peterowi zależy na odpowiedzi. Bezbłędnie potrafiła wykorzystać swą przewagę, lecz Elliot był uosobieniem cierpliwości.

„Amy powie Peterowi.”

Dobre goryle lubią Amy Amy dobry goryl.

To nic nie wyjaśniało. Zwierzę odpowiadało bez zastanowienia, co było jeszcze jednym sposobem ignorowania rozmówcy.

„Amy.”

Spojrzała z udawanym zdziwieniem.

„Amy powie Peterowi. Amy poszła zobaczyć goryle?”

Tak.

„Co zrobiły goryle?”

Goryle wachały Amy.

„Wszystkie?”

Duże goryle białe plecy goryle wachały Amy dzieci wachały Amy wszystkie goryle wachały goryle lubią Amy.

Najpierw podeszły samce, potem małpiątka, a jeszcze później cała reszta stada. Ta część relacji była nadzwyczaj przejrzysta. Czy Amy została przyjęta do grupy?

„Co było potem?”

Goryle dały jedzenie.

„Jakie jedzenie?”

Amy nie ma nazwy jedzenie dały jedzenie.

Czy inne małpy wskazały jej właściwe pożywienie, czy próbowały ją karmić? Nikt dotąd nie poznał odpowiedzi na to pytanie, ponieważ żaden z naukowców nie oglądał ceremonii przyjęcia nowego członka małpiej społeczności. Amy była niemal dorosłą samicą...

„Które goryle dały jedzenie?”

Wszystkie dały jedzenie Amy wzięła jedzenie Amy lubi.

Zatem w powitaniu uczestniczyły nie tylko samce. Lecz co spowodowało, że została zaakceptowana? W odróżnieniu od pozostałych gatunków małp, goryle tolerowały obecność innych osobników...

„Amy została z goryłami?”

Goryle lubią Amy.

„Tak. Co Amy robiła?”

Amy spala Amy jadła Amy żyła goryle goryle dobre goryle Amy lubi.

Dołączyła do stada i naśladowała zachowanie swych towarzyszy. Żadna z małp nie próbowała jej dyskryminować?

„Amy lubi goryle?”

Goryle głupie.

„Dlaczego głupie?”

Nie mówią.

„Nie znają mowy znaków?”

Goryle nie mówią.

Doznała rozczarowania, gdy jej sygnały pozostawały bez odpowiedzi. (W podobnych okolicznościach „mówiące” małpy zawsze popadały we frustrację.)

„Goryle miłe dla Amy?”

Goryle lubią Amy Amy lubi goryle lubi Amy lubi goryle.

„Dlaczego Amy wróciła?”

Chce mleko cukierki.

- Amy... doskonale wiesz, że nie mamy cholernego mleka ani słodczy - powiedział Elliot. Jego głośna wypowiedź wywołała ogólne poruszenie. Karen i Munro pytająco spojrzeli na małpę.

Amy nie odpowiadała bardzo długo.

Amy lubi Peter. Amy smutna chce Peter.

Elliot poczuł łyżę pod powiekami.

Peter dobry człowiek.

Gwałtownie zamrugął oczami.

„Chodź, Peter połaskocze Amy”.

Rzuciła mu się na szyję.

Nieco później zaczął wypytywać ją o szczegóły. Trwało to dość długo, gdyż zwierzę miało duże trudności ze zrozumieniem pojęcia czasu.

Amy rozróżniała przyszłość, teraźniejszość i przeszłość - pamiętała zdarzenia sprzed kilku lat i doskonale zdawała sobie sprawę, że coś może się wydarzyć „za chwilę” - lecz żaden z instruktorów nie potrafił wyjaśnić jej szczegółów. Pojęcie „wczoraj” niczym nie różniło się od „przedwczoraj”. Pozostawało zagadką, czy błąd

tkwił w metodzie nauczania, czy odmienności doznań. (Świat Amy istotnie różnił się od świata ludzi. Podczas nauki wielokrotnie używano przestrzennej metafory czasu np. „to już mamy za sobą” lub „to jeszcze przed nami”. Dla naukowców przeszłość była „z tyłu”. Zachowanie zwierzęcia wskazywało na całkowicie odmienną koncepcję. Przeszłość znajdowała się „z przodu”, ponieważ można ją było zobaczyć, a „niewidzialna” przyszłość kryła się za plecami. W oczekiwaniu na obiecaną wizytę przyjaciela małpa z niecierpliwością spoglądała przez ramię, nawet gdy siedziała twarzą w kierunku wejścia.) Podczas rozmowy Elliot starannie dobierał słowa.

- Amy, co działo się nocą? Co z goryłami?

Spojrzała na niego z politowaniem.

Amy śpi nocą.

- A inne goryle?

Goryle śpią nocą.

- Wszystkie?

Westchnęła ciężko, jakby zastanawiając się nad ludzką naiwnością.

- Amy - nie ustępował Peter. - Dziś w nocy goryle przyszły do obozu.

Przyszły to miejsce?

- Tak. Przyszły w to miejsce. Dziś w nocy. Myślała przez chwilę.

Nie.

- Co powiedziała? - spytał Munro.

- „Nie” - odparł Elliot. - Przyszły, Amy. Na pewno. Po krótkiej przerwie poruszyła dłoń.

Oni przyszli.

Munro nadal żądał wyjaśnień, więc Peter zaczął tłumaczyć dalszą część rozmowy.

- Powiedziała „oni przyszli”.

- Jacy „oni”, Amy? - spytała Karen.

Żli.

- Goryle? - wtrącił Munro.

Nie goryle. Żli. Dużo żli przyszli las przyszli. Oddech mowa. Przyszli nocą przyszli.

- Gdzie są teraz?

Małpa rozejrzała się po okolicy.

Tutaj. Tu stare złe miejsce żli przyszli.

- Kim są „źli”, Amy? - spytała Karen. - Czy to zwierzęta? Elliot wyjaśnił, że małpa nie rozumiała znaczenia ostatniego słowa.

- W jej pojęciu wszystkie żywe stworzenia, łącznie z człowiekiem, są zwierzętami - powiedział. Spojrzał na Amy. - Czy źli są ludźmi?

Nie.

- Małpami? - spytał Munro.

Nie. Źli nie śpią nocą.

- Można jej wierzyć? - przewodnik zerknął na Petera.

Co znaczy?

- Bez zastrzeżeń - odparł Elliot.

- Rozumie pojęcie „goryl”?

Amy dobry goryl - wtrąciła małpa.

- Tak, tak - uśmiechnął się do niej Peter. - Mówi, że jest dobrym gorylem.

Munro zmarszczył brwi.

- Z jej słów wynika, że „źli” nie mają nic wspólnego z gorylami.

- Jest o tym całkowicie przekonana.

2. Brakujące fragmenty

Na prośbę Petera Karen ustawiła kamerę w pobliżu ruin i skierowała obiektyw w stronę obozu. Elliot podprowadził Amy do granic miasta. Chciał utrwalić na taśmie reakcję małpy na widok budynków, które stanowiły część dręczącego ją koszmaru. Konfrontacja miała zupełnie nieoczekiwany przebieg.

Amy zachowywała się z całkowitą obojętnością.

Spokojnie patrzyła na kamienne mury. Nie wykonała żadnego znaku i z wyraźnym znudzeniem oczekiwała na koniec spaceru. Peter obserwował ją spod oka. Nie zauważył oznak frustracji lub podniecenia. Niczego, co mogłoby świadczyć o nieprzyjemnych skojarzeniach.

- Amy zna to miejsce?

Tak.

- Amy powie Peterowi jakie miejsce.

Złe miejsce stare miejsce.

- „Spać-obrazki”?

Tutaj źle miejsce.

- Dlaczego złe, Amy?

Złe miejsce stare miejsce.

- Tak, wiem, ale dlaczego?

Amy boi się.

Na pozór nie objawiała strachu. Przykucnęła w trawie, spokojnie wpatrując się w przestrzeń.

- Dlaczego Amy się boi?

Amy chce jeść.

- Dlaczego Amy się boi?

Nie odpowiedziała. Zrobiła znudzoną minę, co było wyraźnym sygnałem, że uważa rozmowę za zakończoną. Nie miała ochoty dyskutować na temat snów. Zdecydowanie odmówiła udziału w powtórnej wyprawie do ruin, lecz nie okazywała zaniepokojenia, gdy Peter, Karen i Munro wyruszali w głąb miasta. Wesoło pomachała im dłonią na pożegnanie, po czym podbiegła do Kahegi i zaczęła domagać się kolejnej porcji pożywienia.

Dopiero po powrocie do Berkeley, szperając wśród książek Freuda, Elliot znalazł klucz do właściwej interpretacji zachowania zwierzęcia.

„W rzadkich przypadkach może dojść do sytuacji, iż pacjent zyska okazję skonfrontowania swych marzeń sennych z rzeczywistością. I, niezależnie od tego czy chodzi o zdarzenie, czy osobę, zasadnicza reakcja pozostaje taka sama. Marzenie - zarówno przyjemne jak i przerażające lub tajemnicze - zostaje całkowicie pozbawione ładunku emocjonalnego.[...] Objawy głębokiego znudzenia, jakie wówczas obserwujemy, są najlepszym dowodem na to, że treść snu odpowiada rzeczywistości. Pacjent nie potrafi udźwignąć brzemienia konfrontacji i zaczyna przejawiać oznaki zmęczenia, znudzenia i obojętności, którymi usiłuje pokryć swą całkowitą bezradność wobec zastanego problemu”.

Freud miał rację. Pozorne znudzenie było dowodem głębokich przeżyć zwierzęcia, które usiłowało odgrodzić się murem obojętności od zaistniałej sytuacji. Sytuacji tym groźniejszej, że bezpośrednio przywołującej wspomnienia z dzieciństwa i obraz tragicznej śmierci matki.

Elliot, Munro i Karen z trudem przedzierali się przez porośnięty pnączami gąszcz bambusów. Panował piekielny upał. Zwarta, stosunkowo młoda dżungla broniła dostępu do budynków położonych w samym sercu miasta. Dopiero wczesnym popołudniem wysiłki trójki śmiałków zostały uwieńczone sukcesem. Zza zielonej kurtyny wyłonił się kompleks imponujących budowli. Niektóre domy miały pozbawione stropów podpiwniczenie, sięgające trzech, a nawet czterech poziomów w głąb ziemi.

Karen z zadowoleniem przyjęła widok lochów. Znalazła dowód, że mieszkańcy Zinj dysponowali techniką potrzebną do drążenia sztolni i prowadzenia prac górniczych. Munro w pełni podzielał jej entuzjazm.

- Znali się na robocie - mruknął z uznaniem.

W piwnicach nie było nic ciekawego, więc powrócili do naziemnej części miasta. Pod koniec dnia odkryli budynek tak obficie pokryty reliefami, że bez wahania nadali mu nazwę „galerii”. Za pomocą kamery i komputera rozpoczęli „zwiedzanie”.

Płaskorzeźby przedstawiały codzienne życie miasta. Kobiety zajmowały się gotowaniem, dzieci grały w piłkę, skryba siedział na ziemi schylony nad glinianą tabliczką... Całą ścianę pokrywały sceny z polowań: odziani w przepaski mężczyźni z długimi włóczniami w dłoniach tropili zwierzynę. Na koniec pojawiło się kilku górników wynoszących z głębokiego tunelu kosze wypełnione kamieniami.

Rzucił się w oczy brak kilku istotnych szczegółów. Mieszkańcy Zinj hodowali

psy gończe oraz trzymali w domach niewielkie stworzenie przypominające cywetę, lecz nie używali zwierząt pociągowych. Całość prac była wykonywana rękami niewolników. Prawdopodobnie nie znali koła; nie budowali pojazdów, a do transportu używali wyłącznie koszy.

Munro z zamyśloną miną wpatrywał się w obraz.

- To nie wszystko... - powiedział półgłosem.

Scena z kopalni diamentów przedstawiała mężczyzn objuczonych cennym urobkiem.

- Jasne! - w podnieceniu strzelił palcami. - Nie ma policji! Peter z trudem powstrzymał się od śmiechu. Tylko ktoś taki jak

Munro mógł szukać stróżów prawa wśród przedstawicieli dawno wygasłej cywilizacji.

Przewodnik upatrywał głębszego znaczenia w swym odkryciu.

- Spójrzcie tutaj - powiedział. - Jedynym powodem, dla którego powstało miasto, jest kopalnia. Mieszkańcy Zinj tworzyli wyizolowaną społeczność zajmującą się górnictwem. Bogactwo, rozwój handlu, nawet codzienne życie zależało wyłącznie od zasobności złoża znajdującego się w głębi ziemi. Dlaczego nie istniał mechanizm chroniący je?

- Nie widzieliśmy także wielu innych rzeczy - odezwał się Elliot. - Nigdzie nie znalazłem wizerunku ludzi zajętych jeźdzeniem. Być może istniał zakaz przedstawiania postaci strażników.

- Być może - z powątpiewaniem mruknął Munro. - Lecz na całym świecie kopalnie znajdują się pod ścisłą kontrolą. Jedź do Południowej Afryki lub do szmaragdowego zagłębia Boliwii. Pierwsze, co zobaczysz, to kordon straży.

Wyciągnął dłoń w stronę ściany.

- Tu nie ma ani jednego wartownika.

Karen wyraziła przypuszczenie, że mieszkańcy Zinj byli zdyscyplinowani i nie musieli stosować metod nacisku, by egzekwować przepisy prawa.

- Żyli tak dawno temu... - powiedziała.

- Ludzka natura jest niezmienna - oświadczył Munro.

Do galerii przylegał obszerny dziedziniec, porośnięty splątanymi lianami. Po drugiej stronie, w otoczeniu smukłych kolumn, stał budynek przypominający świątynię. W pierwszej chwili uwagę wchodzących przyciągnął zupełnie inny widok. Na płytach dziedzińca walały się sterty kamiennych „szpadli”.

- Niech to szlag... - warknął Peter. Utorowali sobie drogę przez rumowisko i weszli do „świątyni”.

Znaleźli się w dużej prostokątnej sali. Przez popękany sufit przedzierały się wątle smugi słonecznego światła. W tylnej części komnaty sterczał wysoki na trzy i pół metra kłęb roślinności. Po chwili zrozumieli, że pnącza porastają statwę.

Elliot wspiął się na posąg i zaczął zrywać zieloną zasłonę. Szło mu ciężko, gdyż łądygi oplatały kamień niczym olbrzymie macki. W końcu zerknął w dół.

- Lepiej? - spytał.

- Chodź i sam zobacz - odparł Munro z dziwnym wyrazem twarzy.

Peter zeskoczył na ziemię i cofnął się kilka kroków. Pokruszony, pozbawiony dawnych barw posąg przedstawiał ogromnego goryla o wykrzywionej wściekłością twarzy. Zwierzę szeroko rozpościerało ramiona. W obu dłoniach trzymało doskonale znane wszystkim „szpadle”.

- Boże... -jęknął Peter.

- Goryl - stwierdził z satysfakcją Munro.

- Jasne - dodała Karen. - Był przedmiotem kultu religijnego.

Czcili go, niczym boga.

- Dlaczego Amy wciąż twierdzi, że „oni” nie mają nic wspólnego z gorylami?

- Spytaj jej - powiedział Munro. Spojrzał na zegarek. - Musimy przygotować obóz do nocnej wizyty.

3. Atak

Za pomocą saperek wykopali wokół ogrodzenia niewielką fosę. Zapadł zmierzch; kontynuowali pracę przy sztucznym oświetleniu. Kanał został napełniony wodą z pobliskiego strumienia. Nie sprawiał zbyt imponującego wrażenia - miał zaledwie pół metra szerokości i kilkanaście centymetrów głębokości. Każdy człowiek mógł go z łatwością przekroczyć.

Karen z powątpiewaniem pokręciła głową. Munro stanął po drugiej stronie fosy i zawołał:

- Chodź, Amy. Pora na łaskotki.

Mała z radosnym pomrukiem popędziła w kierunku mężczyzny, lecz zatrzymała się gwałtownie na widok wody.

- Chodź - powtórzył Munro wyciągając ręce. - No, panienko... nie daj się prosić.

Wykonała kilka gwałtownych ruchów. Munro podniósł ją z ziemi i przeniósł przez kanał.

- Goryle nienawidzą wody - wyjaśnił. - Widziałem, jak rezygnowały z przeprawy przez mniejszy strumień.

Amy podrapała go pod pachami, a potem wskazała na siebie. Bez trudu zrozumiał jej intencje.

- Kobiety... - westchnął. Przykucnął obok mały i zaczął ją czochrać. Amy zwinęła się w kłębek. Posapywała i pomrukiwała z zadowolenia. Gdy skończył, leżała bez ruchu czekając na kolejną porcję pieszczot.

- Koniec - oświadczył Munro.

Wykonała kilka znaków.

- Nie rozumiem - roześmiał się mężczyzna. - Nie... wolniejsze ruchy nic nie pomogą.

Nagle pojął znaczenie sygnałów i przeniósł zwierzę za fosę, na teren obozu. Amy podziękowała mu soczystym pocałunkiem.

- Uważaj na nią - powiedział do Petera. Zachowywał się z dużą swobodą, co jaskrawo kontrastowało z ponurymi minami osób zgromadzonych wokół ogniska. Kolacja upłynęła w nerwowej atmosferze. Po zjedzeniu posiłku Murzyni zajęli się sprawdzeniem broni. Munro pociągnął Elliota za rękaw.

- Uwiąż małą w namiocie - powiedział. - Nie chcę, by biegała po obozie, gdy zaczniemy strzelać. Moi chłopcy nie zawsze odróżniają jednego goryla od drugiego.

Wyjaśnij jej, że będzie dużo hałasu, lecz nie ma powodu do obaw.

- Będzie dużo hałasu? - powtórzył Peter.

- Tak mi się wydaje - odparł przewodnik.

Elliot zabrał Amy do namiotu i założył jej mocny łańcuch, którego używał zamiast smyczy podczas spacerów w San Francisco. Drugi koniec łańcucha przywiązał do łóżka. Miało to znaczenie czysto symboliczne, gdyż zwierzę potrafiło uwolnić się w każdej chwili.

Mała złożyła solenne przyrzeczenie, że nie opuści schronienia. Mężczyzna skierował się w stronę wyjścia.

Amy lubi Peter.

- Peter lubi Amy - odparł z uśmiechem. - Wszystko będzie dobrze.

Wkroczył do innego świata.

Czerwone lampy rzucały niewiele światła, lecz w migoczącym blasku ogniska zobaczył zaopatrzonych w noktowizory wartowników patrolujących teren obozu. Szum drucianego ogrodzenia potęgował niesamowite wrażenie. Peter uświadomił sobie nagle całą grozę położenia - garstka wystraszonych ludzi czaiła się w głębi pierwotnego lasu, ponad trzysta kilometrów od najbliższego ośrodka cywilizacji.

Czekali.

Elliot zaczepił nogą o czarny kabel leżący na ziemi. Chwilę później spostrzegł, że przewodów było znacznie więcej. Wiły się wśród trawy łącząc karabiny wartowników z niewielkimi, zabawnie wyglądającymi urządzeniami. Broń także miała niecodzienny wygląd; była zbyt smukła, jakby brakowało jej kilku części.

Karen siedziała przy ognisku, pochylona nad magnetofonem.

- Co to jest? - szepnął Peter wskazując na przewody.

- LATRAP - odpowiedziała. - Wielofunkcyjny celownik laserowy typu LGSD sprzężony z systemem RFSD.

Każdy karabin był w rzeczywistości optycznym urządzeniem celowniczym, a długodziobe mechanizmy - szybkostrzelnymi miotaczami pocisków.

- Zaczynają działać automatycznie z chwilą, gdy cel zostanie zlokalizowany i rozpoznany - wyjaśniała Karen. - Szczególnie przydatne podczas starć w dżungli. Dodatkowo są wyposażone w tłumiki, aby nieprzyjaciel nie mógł się zorientować, skąd padają strzały. Uważaj, gdzie chodzisz, ponieważ reagują na temperaturę ciała.

Wręczyła mu magnetofon i poszła sprawdzić stan urządzenia zasilającego

ogrodzenie. Elliot usiłował przebić wzrokiem ciemności. Munro wesoło pomachał mu dłonią. Przez noktowizor widział na pewno o wiele więcej. Wyglądał niczym przybysz z odległej części wszechświata rzucony przypadkowo w otchłań prastarej dżungli.

Czekali.

Mijały godziny. Las trwał w milczeniu, przerywanym jedynie cichym pluskiem wody obmywającej brzegi fosy. Czasem któryś z tragarzy rzucił półgłosem krótki dowcip. Nikt nie palił papierosów, by nie zakłócać pracy czujników. Minęła jedenasta, północ, pierwsza...

Peter słyszał chrapanie Amy, zagłuszające nawet szum ogrodzenia. Rzucił okiem na śpiącą Karen. Dłoń kobiety spoczywała na przycisku uruchamiającym oświetlenie. Ze stłumionym ziewnięciem zerknął na zegarek. Munro najwyraźniej pomylił się w swych przewidywaniach.

Nagle do jego uszu dobiegło głośnie sapanie.

Wartownicy skierowali lufy karabinów w stronę czarnej ściany zarośli. Elliot bezskutecznie usiłował wychwycić źródło głosu. Uniósł mikrofon, lecz sapanie zdawało się płynąć z każdego zakątka dżungli. Miękki, niepokojący dźwięk dryfował wśród oparów.

Wskaźnik poziomu nagrywania umieszczony na obudowie magnetofonu wykonywał dziwny taniec. Nagle zamarł na czerwonym polu. Peter usłyszał głuchy stuk i bulgotanie wody. Metalicznie szczęknęły zwalniane bezpieczniki automatów.

Elliot z mikrofonem w dłoni zaczął pełznąć w kierunku ogrodzenia. Spojrzał na drugą stronę fosy. Zauważył jakiś ruch wśród liści. Sapiący dźwięk przybrał na sile. Woda kłębiła się wokół dużego pnia drzewa, przerzuconego w poprzek fosy.

Zrozumiał przyczynę słyszanego uprzednio hałasu. Jednocześnie pojął, że nawet Munro nie doceniał siły oraz inteligencji przeciwnika. Spojrzał przez ramię. Przewodnik ruchem dłoni kazał mu odejść od siatki, wskazując na ustawione w pobliżu urządzenie obronne. Zanim Peter zdążył uczynić pierwszy krok, rozległ się przenikliwy skrzek gerezy. Goryle atakowały w milczeniu.

Kątem oka dostrzegł sylwetkę ogromnego zwierzęcia pokrytego jednolicie szarym futrem. Rzucił się na ziemię. Chwilę później strzelił w górę snop iskier i w powietrzu rozszedł się odór palonego mięsa.

Taki był początek niesamowitego, cichego starcia.

W mroku połyskiwały szmaragdowe promienie laserów. Ustawione wśród trawy karabiny wypluwały serie pocisków. Słysząc było stłumione *thud-thud-thud*

towarzyszące strzałom. Lufy przesuwaly się to w jedną, to w drugą stronę, lokalizowały cel, rozbłyskiwały ogniem, po czym znów podejmowały swą śmiertcioną wędrowkę. Co dziesiąty nabój był wypełniony fosforem; zielonobiałe smugi krzyżowały się nad głową Elliota.

Goryle atakowały zewsząd. Sześć małp niemal jednocześnie wpadło na ogrodzenie. W blasku skwierczących iskier poskręcane ciała osunęły się na murawę, lecz to nie zapobiegło kolejnej szarży. Słysząc było nieprzerwany trzask metalowej pajęczyny i zgiełk panujący wśród stada gerez. Peter spostrzegł, że duża grupa goryli wspięła się na gałęzie drzew ocieniających teren obozu. Munro i Kahega poderwali lufy karabinów, zimny promień lasera zamigotał na liściach. Ponownie rozległo się głośne sapanie. Elliot obrócił głowę. Kilka małp rozrywało pozbawione prądu ogrodzenie. Iskrzenie ustało.

Peter zrozumiał, że nowoczesny, skomplikowany sprzęt nie odstraszy atakującego stada. Potrzebny był hałas. Munro pojął to samo, gdyż wrzasnął na tragarzy, aby wstrzymali ogień, po czym krzyknął do Elliota:

- Zerwij tłumiki! Tłumiki!

Peter chwycił czarną lufę najbliższego miotacza, ściągnął wierzchnią osłonę i z głośnym przekleństwem cisnął ją na ziemię. Rozpalony metal poparzył mu rękę. Ledwo zdążył się cofnąć, gdy huk wystrzałów targnął powietrzem. Dwie małpy z łoskotem zwały się z drzewa. Jedna wciąż żyła. Dźwignęła się na nogi i ruszyła w stronę mężczyzny pochylonego nad drugim miotaczem. Mechanizm drgnął, seria pocisków przeszła zwierzę z odległości paru kroków. Elliot poczuł, że twarz pokrywają mu krople lepkiej cieczy. Zerwał kolejny tłumik i całym ciałem przywarł do ziemi.

Ostry swąd prochu i ogłuszająca kanonada przechyliły szalę zwycięstwa na stronę obrońców obozu. Małpy wycofały się w bezładzie. Zapadła cisza, choć promienie laserów jeszcze przez chwilę tańczyły wśród krzewów, powodując nieustanny ruch luf miotaczy poszukujących celu.

Potem zapanował spokój. Dżungla pogrążyła się w uśpieniu.

Goryle zniknęły.

DZIEŃ JEDENASTY:

ZINJ

23 czerwca 1979

1. Gorilla ellioti

Dwa zabite goryle leżały rozciągnięte na ziemi. Martwe ciała zeszywniały już lekko w porannym upale. Elliot poświęcił kilka godzin na szczegółowe oględziny. Każda z małp była samcem w pełnym rozkwicie wieku.

Najdziwniejszą cechą stanowił jednolicie szary kolor futra. Dwa znane podgatunki: goryl górski z okolic Virungi i goryl nizinny i obszarów położonych w pobliżu wybrzeża, miały sierść czarną. Jedynie wśród młodych spotykano osobniki o brązowym ubarwieniu, które jednak ciemniało w ciągu pierwszych pięciu lat życia zwierzęcia. U dwunastoletnich samców pojawiało się siodło - pas srebrzysto-białych włosów, ciągnący się z grzbietu w okolice lędźwi i stanowiący oznakę dojrzałości płciowej.

Z wiekiem starsze osobniki zaczynały siwieć, podobnie jak ludzie. Pierwsze pasemka srebrnych włosów pojawiały się nad uszami, potem obszar siwizny obejmował coraz większe połacie sierści. Najstarsze, dobiegające trzydziestki zwierzęta bywały niemal całkowicie szare; jedynie ręce zachowywały czarną barwę.

Stan uzębienia zabitych małp wskazywał, że żadna z nich nie przekroczyła dziesiątego roku życia. Miały jasną karnację i żółto-brązowe źrenice, co także różniło je od czarnoskórych i ciemnokkich goryli.

Właśnie widok oczu wydawał się Peterowi najbardziej zastanawiający.

Przystąpił do dalszych badań. Mniejsza z małp miała sto trzydzieści dziewięć centymetrów, a druga - sto czterdzieści jeden centymetrów.

Samiec goryla górskiego mierzył od stu czterdziestu siedmiu do dwustu pięciu centymetrów, co dawało średnią około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Nocni napastnicy byli o wiele mniejsi. Ciężar ciała potwierdził tę różnicę: ważyły sto piętnaście i sto pięćdziesiąt siedem kilogramów. Większość goryli ważyła od stu dwudziestu siedmiu do dwustu dziesięciu kilogramów.

Peter wykonał serię trzydziestu dodatkowych pomiarów, które miał zamiar poddać dokładnej analizie po powrocie do San Francisco. Czuł, że stoi u progu zadziwiającego odkrycia. Za pomocą noża usunął wierzchnią warstwę skóry z głowy jednego ze zwierząt i odsłonił czaszkę. Chciał obejrzeć grzebień kostny będący miejscem przyczepu mięśni żuchwowych, ciągnący się nad ciemieniem od czoła aż po nasadę karku. To właśnie ów grzebień nadawał głowie goryla spiczasty wygląd. Inne gatunki naczelnych (łącznie z człowiekiem) były pozbawione wspomnianej cechy.

Czaszka zabitej małpy miała niewielkie wybrzuszenie. Układ mięśni i ścięgien wskazywał na większe podobieństwo do szympansa niż goryla. Peter zmierzył wielkość zębów, długość szczęki, szerokość wału nadczołowego i pojemność czerepu.

Wczesnym popołudniem zyskał całkowitą pewność, że małpy te należą do innego podgatunku niż znane dotąd goryle, choć nie odrzucał przypuszczenia, że chodzi o całkiem nowy gatunek zwierzęcia.

„Coś dziwnego dzieje się z człowiekiem, któremu przychodzi odkryć nowy gatunek stworzenia” - pisała lady Elizabeth Forstmann w 1879 roku. „Natychmiast zapomina o rodzinie i przyjaciółach, o tych, którzy przez lata byli mu bardzo bliscy. Zapomina o kolegach, którzy wspierali go podczas badań. Z całkowitą obojętnością traktuje swych rodziców i dzieci. Porzuca wszystkich, ogarnięty nieposkromioną żądzą zdobycia sławy z rąk demona noszącego miano Nauki”.

Rok wcześniej mąż lady Forstmann odkrył w Norwegii pardwę błękitną i wkrótce potem opuścił rodzinę.

„Ktoś mógłby zapytać z bólem, jakie znaczenie ma fakt, że jeszcze jeden ptak lub zwierzę zostało dopisane do długiej listy stworzeń bożych, która już dziś - według systematyki Linneusza - obejmuje miliony gatunków i odmian. Nie znajdzie właściwej odpowiedzi, ponieważ odkrywca we własnym mniemaniu wstępuje w szeregi nieśmiertelnych i stają mu się obce wysiłki nędznych ludzi usiłujących zawrócić go z obranej raz drogi”.

Peter Elliot czułby się urażony na myśl o porównaniu z rozpustnym szkockim arystokratą⁸, lecz z równą niechęcią traktował konieczność dalszego pobytu w Zinj. Nie interesowały go kopalnie diamentów ani wspomnienie koszmaru dręczącego Amy; chciał jedynie powrócić do domu ze szkieletem nieznanego małpy i wprowadzić w osłupienie naukowców całego świata. Nagle przypomniał sobie, że dotąd nie kupił smokingu i z pasją zastanawiał się nad nazewnictwem. Był przekonany, że już w najbliższej przyszłości podręczniki zoologii będą wymieniać trzy gatunki człekokształtnych małp afrykańskich:

Pan troglodytes, szympan.

Gorilla gorilla, goryl.

Gorilla ellioti, szary goryl Elliota.

⁸ * Sir Anthony Forstmann popadł w karciane długi i zmarł na syfilis w 1880 roku. (przyp, autora)

Nawet nikłe prawdopodobieństwo odrzucenia nazwy systematycznej przez świat naukowy nie zmieniało wagi wydarzenia. Peter osiągnął więcej, niż mógłby pragnąć w najśmielszych marzeniach.

Siedział, zadumany nad własną przyszłością.

Patrząc z perspektywy czasu, żaden z uczestników wyprawy nie potrafił zdobyć się na spokojną analizę wydarzeń. Peter spytał, czy może przekazać do Houston nagranie zawierające tajemnicze posapywanie szarych goryli. Karen odpowiedziała, że nie ma pośpiechu. Nie należało; oboje żalowali potem swojego postępowania.

Z dala dobiegało głucho dudnienie, przypominające palbę artyleryjską. Karen była przekonana, że to wojska generała Muguru pacyfikują kolejną wioskę. Munro pokręcił głową. Obszar objęty powstaniem znajdował się sto kilometrów dalej; fale dźwiękowe nie docierały na tak dużą odległość. Mimo wszystko, nikt nie pokusił się o ustalenie przyczyny hałasu.

Karen zrezygnowała z porannej sesji łączności, nie wiedziała zatem o zarejestrowanych zmianach sejsmicznych w okolicach Mukenko.

Wszystkich rozpieszczała duma ze zwycięskiego starcia ze stadem goryli. Czuli się całkowicie bezpieczni pod osłoną najnowocześniejszej techniki. Jedynie Munro zachował pewną dozę sceptycyzmu. Z zafrasowaną miną sprawdził pozostałą ilość amunicji.

- System laserowy jest znakomity, lecz zużywa pociski, jakbyśmy nie musieli obawiać się o jutro - stwierdził. - W ciągu jednej nocy wyczerpał połowę zapasów.

- Co zrobimy? - spytał Peter.

- Miałem nadzieję, że to właśnie ty będziesz umiał mi coś doradzić. Obejrzałeś oba ciała.

Elliot odparł, że jego zdaniem małpy należą do nieznanego gatunku i pokrótce przedstawił szereg dowodów anatomicznych na poparcie swojej teorii. . .

- Znakomicie - powiedział Munro. - Lecz osobiście jestem bardziej zainteresowany ich zachowaniem niż wyglądem. Twierdzisz, że w odróżnieniu od goryli są zwierzętami nocnymi, które bez cienia strachu atakują ludzi. Dlaczego?

Peter przyznał, że nie zna przyczyn takiego zachowania.

- Wziąwszy pod uwagę kurczący się zapas amunicji, lepiej będzie, jeśli czym prędzej poszukamy odpowiedzi - zakończył rozmowę były najemnik.

2. Świątynia

Budynek, w którym stał groźny posąg goryla, wydawał się właściwym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań. Za plecami rzeźby odkryli długi ciąg niewielkich pomieszczeń. Karen wyraziła pogląd, że były to cele zajmowane przez kapłanów związanych z kultem zwierzęcia.

Przedstawiła nawet roboczą wersję wyjaśnienia.

- Mieszkańcy Zinj drżeli ze strachu przed gorylami i usiłowali je przebłagać składając ofiary u stóp posągu. Kapłani tworzyli zamkniętą grupę, odizolowaną od reszty społeczeństwa. Przy drzwiach korytarza prowadzącego do pomieszczeń znajduje się pokój strażnika, który bronił mnichów przed natarczywością wyznawców. Wszystko wokół było podporządkowane zasadom wiary.

Peter z powątpiewaniem pokręcił głową. Munro również nie wyglądał na przekonanego.

- Nawet religia musi mieć praktyczne strony - powiedział. - Powinna zapewniać jakieś korzyści.

- Ludzie otaczają wciąż coś, czego się boją - odparła Karen. - Mają nadzieję, że w ten sposób opanują strach.

- W jaki sposób mogliby zdobyć kontrolę nad gorylami? - spytał przewodnik.

Wkrótce poznali odpowiedź, która całkowicie zmieniła ich tok rozumowania.

Ciąg pomieszczeń przechodził w sieć bogato zdobionych korytarzy. Niebawem na komputerze pojawiły się pierwsze obrazy. Były ułożone w określonym porządku, niczym ilustracje z podręcznika.

Pierwsza scena ukazywała dużą grupę goryli zamkniętych w klatkach. W pobliżu zwierząt stał czarnoskóry mężczyzna uzbrojony w krótką pałkę.

Na drugiej płaskorzeźbie widniały dwie mały trzymane na smyczy przez opiekuna.

Trzeci relief przedstawiał scenę na dziedzińcu. Goryle były uwiązane do pierścieni umieszczonych na wysokich kamiennych obeliskach.

Ostatni wizerunek ukazywał stado małp atakujących słomiane manekiny zwisające z kamiennego przęsła. Zagadkowy wygląd „stadionu” i „więzienia” został wyjaśniony.

- Boże... -jęknął Elliot. - Poddawali je tresurze. Munro skinął głową.

- Potrzebowali strażników do pilnowania kopalni. Tworzyli elitarne oddziały

bezlitosnych i nieprzekupnych wojowników. Po głębszym zastanowieniu można to uznać za całkiem niezły pomysł.

Karen powiodła wzrokiem po ścianach budynku. Nieoczekiwanie zrozumiała, że nie znajdowali się w świątyni, lecz w szkole. Ogarnęły ją wątpliwości. Płaskorzeźby przedstawiały wydarzenia sprzed kilku stuleci. Treserzy dawno pomarli, a zwierzęta nadal pełniły swe obowiązki.

- Kto je teraz uczy?

- Nikt - odparł Elliot. - Rodzice przekazują swą wiedzę potomstwu.

- Niemożliwe.

- Możliwe. Nauka odnotowała kilka podobnych przypadków wśród naczelnych.

Wielu badaczy wątpiło w zdolności edukacyjne człekokształtnych, lecz Washoe, pierwsza małpa posługująca się językiem migowym, cierpliwie uczyła Ameslanu własne dziecko. Inne „mówiące” zwierzęta postępowały podobnie względem mniej wykształconych towarzyszy, a nawet ludzi. Gestykulowały powoli i kilkakrotnie powtarzały każdy symbol w nadziei, że głupi, niedouczony człowiek pojmie wreszcie, o co im chodzi.

Peter nie widział nic zaskakującego w założeniu, że kolejne generacje małp kultywowały wpojone im przed wiekami zasady postępowania.

- Chcesz powiedzieć, że przetrwały upadek cywilizacji, która je stworzyła? - spytała Karen.

- Na to wygląda - mruknął Elliot.

- I używają broni? - nie dawała za wygraną. - Kamiennych szpadli?

- Tak - odparł Peter.

Teoria była mniej naciągana, niż mogłoby się wydawać laikowi. Szympany dość często posługiwały się różnymi narzędziami. Najbardziej znanym przykładem było „łowienie termitów”. Małpa oskubywała z liści cienką gałązkę, po czym wsuwała ją w głąb termitiery i przez kilka godzin wyciągała smakowite owady.

Obserwatorzy byli przekonani, że jest to klasyczna forma użycia prymitywnego narzędzia. Naukowcy wkrótce zauważyli, że małpie potomstwo całymi dniami przygląda się pracy rodziców, nim spróbuje samodzielnie działać. Proces nauczania ciągnął się nieraz całymi latami.

Ten sposób zachowania podejrzanie przypominał załączek kultury. Terminator sztuki drukarskiej, młody Ben Franklin, niewiele różnił się od młodego łowcy termitów, szympansa. Obaj długo kształcili swe umiejętności obserwując

postępowanie starszych i obaj zdobywali doświadczenie, czerpiąc naukę z własnych błędów.

Jednak posługiwanie się szpadlami świadczyło, że goryle z Zinj pokonały daleką drogę od gałązek i termitier... Uprzywilejowana pozycja człowieka, jako jedyne go twórcy kamiennych narzędzi, uległa niespodziewanemu zachwianiu wskutek działalności prowadzonej przez samotnego badacza. W 1971 roku brytyjski naukowiec R.V.S. Wright postanowił przyuczyć małpę do wykonywania zadań wymuszających wykorzystanie własnoręcznie zrobionego przedmiotu. Obiektem eksperymentu stał się pięcioletni mieszkaniec bristolskiego zoo, orangutan imieniem Abang. Wright wręczył zwierzęciu ciasno zawiązane pudełko z jedzeniem, po czym pokazał mu jak przeciąć sznur za pomocą ostrego odłamka krzemienia. Po upływie godziny Abang bez trudu dostawał się do pokarmu.

Wright przystąpił do kolejnego etapu działań. Zaprezentował małpie sposób, w jaki można rozbić większy kawałek krzemienia, aby powstał nóż o ostrych i twardych krawędziach. Tym razem lekcja trwała o wiele dłużej. Nawet po kilku tygodniach nauki Abang potrzebował aż trzech godzin, by prawidłowo chwycić i rozłupać kamień, przeciąć sznur i otworzyć pudełko.

Wright nie próbował udowodnić, że niektóre z małp używają kamiennych narzędzi. Zadowolił się stwierdzeniem, że mają dość inteligencji i zręczności, aby się tego nauczyć.

- Dlaczego Amy z uporem twierdzi, że to nie są goryle?

- Ponieważ tak jest w istocie - odparł Elliot. - Mają odmienny wygląd i sposób zachowania. Zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym są zupełnie inne niż goryle.

Głośno wyraził podejrzenie, że małpy były nie tylko tresowane, lecz także krzyżowane - prawdopodobnie z szympanсами lub, co brzmiało jeszcze dziwniej, z ludźmi.

Karen i Munro uznali tę wypowiedź za niepoważny dowcip, lecz pewne fakty wskazywały, że Peter może mieć racje. W 1960 roku badania porównawcze krwi wykazały pokrewieństwo łączące małpy człekokształtne z ludźmi.

Ostateczny stopień pokrewieństwa ustalono w 1975 roku, porównując cząsteczki DNA. Różnice genetyczne między szympansem i człowiekiem wynoszą zaledwie jeden procent. Nikt nie chciał mówić o najważniejszej konsekwencji tego

odkrycia: dla współczesnej inżynierii genetycznej stworzenie krzyżówki dwóch różnych gatunków małp w teorii stało się zadaniem niezwykle prostym.

Oczywiście, czternastowieczni mieszkańcy Zinj nie mieli pojęcia o istnieniu cząsteczek DNA, choć Peter zwrócił uwagę, iż dotychczasowe odkrycia wskazują na ich nieprzeciętną inteligencję, czego dowodem był chociażby fakt, że już przed pięcioma wiekami stosowali bardzo skomplikowane metody pracy ze zwierzętami.

Z punktu widzenia Elliota zasadniczy problem tkwił zupełnie w czym innym.

- Musimy spojrzeć prawdzie w oczy - oświadczył. - Specjalne testy dla małp wykazały, że w przypadku Amy iloraz inteligencji wynosi dziewięćdziesiąt dwa. Zwierzę pod wieloma względami dorównuje człowiekowi, a w niektórych przypadkach go przewyższa, zwłaszcza gdy chodzi o bystrość i wrażliwość. Bez trudu potrafi manipulować naszymi uczuciami.

Szare goryle z Zinj obdarzone są podobną inteligencją, choć ich instynkt został sprowadzony do poziomu dobermana. Stały się strażnikami przyuczonymi do walki i zabijania, lecz potrafią myśleć i analizować przyczyny porażki. Jestem przekonany, że nie ustąpią. Będą atakować tak długo, aż wszyscy zginiemy.

3. Widok zza kraty

W 1975 roku matematyk S.L. Berensky przejrzał literaturę na temat sposobów porozumiewania się zwierząt naczelnych i doszedł do zaskakujących wniosków.

„Nie ulega wątpliwości” - stwierdził - „że małpy człekokształtne mają o wiele wyższą inteligencję niż człowiek”.

Zdaniem Berensky'ego „każdy, kto choć raz odwiedził ogród zoologiczny, musiał zadać sobie pytanie: kto właściwie siedzi w klatce? Kto jest uwięziony, a kto wolny? Człekopodobne stworzenia po obu stronach kraty stroją do siebie miny. [...] Stwierdzenie, że człowiek zajmuje uprzywilejowaną pozycję, ponieważ to on wybudował zoo, wydaje się zbyt uproszczone. Próbujemy oszukać własny strach przed zamknięciem - które traktujemy jako formę kary - i przypuszczamy, że zwierzęta dzielają nasze uczucia”.

Berensky z upodobaniem porównywał małpy do dyplomatów. „W ciągu minionych stuleci żyły wśród ludzi i spełniały zaszczytną rolę ambasadorów swego gatunku. Całkiem niedawno zaczęły używać symboli języka migowego. [...] Niestety, wymiana dyplomatyczna, o której wspominałem, przebiega w sposób jednostronny. Nikt z nas nie zdobył się na to, by stać się członkiem małpiej społeczności, poznać język i obyczaje swych gospodarzy, spożywać pokarm, który jedzą i w pełni przejąć ich sposób bycia. Małpy nauczyły się ludzkiej mowy, lecz nikt z ludzi nie umie mówić po małpiemu. Któż więc powinien być uważany za istotę naprawdę myślącą?”

Wywód Berensky'ego kończył się ostrzeżeniem:

„Przyjdzie czas, że splot okoliczności zmusi niejednego z nas do zaakceptowania zasad rządzących życiem naczelnych. Dopiero wówczas zrozumiemy, iż w porównaniu z innymi stworzeniami, człowiek jest egoistą pełnym pychy i fałszywej wiary we własne siły”.

Przed podobnym problemem stanęli uczestnicy wyprawy ERTS-u, zagubieni w głębi kongijskiej dżungli. Aby zwyciężyć w konfrontacji z olbrzymimi małpami, musieli zaakceptować narzucone warunki.

O zmierzchu Peter połączył się Houston i przekazał nagranie zawierające dźwięki wydawane w czasie bitwy przez szare goryle. Dane niemal natychmiast trafiły do San Francisco. Rozmowa z Seamanssem trwała dość krótko.

OTRZMLEM NGRNIE. PWINNO POMOC.

B.WAZNE-SZBKO PTRZEBNE TLMCZENIE - odpisał El-liot. - CO MASZ?
KOMPUTR ANLIZ TRUDNA-PROBLM WIĘKSZY NIŻ TLMCZENIE
CSL/JSL.

- Co to znaczy? - spytała Karen.

- Tłumaczenie stwarza więcej kłopotów niż interpretacja symboli chińskiego lub japońskiego języka migowego.

Karen nie miała pojęcia, że istnieje chińska wersja mowy znaków. Z wyjaśnień Petera wynikało, iż różnice występują nawet wśród społeczeństwa należącego do tej samej grupy językowej. Brytyjski język migowy, BSL, był całkowicie odmienny od Ameslanu, choć mieszkańcy obu krajów mówili i pisali po angielsku.

Inne języki migowe miały własną gramatykę oraz składnię, a w wielu przypadkach opierały się na tradycyjnej symbolice. W chińskich znakach: „za dwa tygodnie” i „brat” rozmówca unosił dłoń z wysuniętym środkowym palcem, co w Ameryce było niedopuszczalne i traktowane jako obraza.

- Lecz w tym wypadku mamy do czynienia z dźwiękami - zauważyła Karen.

- Tak, lecz stopień komplikacji jest podobny - odparł Elliot. - Obawiam się, że niezbyt szybko otrzymamy tłumaczenie.

Wieczorem udało im się uzyskać kolejne informacje. Symulacja komputerowa wykazała, że poszukiwania kopalni diamentów zajmą co najmniej trzy dni ze zwykłą dwudniową tolerancją. Zapasów jedzenia wystarczyłoby na pięciodniowy pobyt; gorzej rzecz się miała z amunicją. Munro zaproponował użycie gazu łzawiącego.

Wszyscy byli przekonani, że tym razem goryle wybiorą inną porę na atak. Rzeczywiście, zwierzęta pojawiły się tuż po zapadnięciu zmroku. Bitwa w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty czerwca toczyła się wśród wybuchów i syku ulatującego z pojemników gazu. Skutek był niemal natychmiastowy: goryle uciekły. Do świtu panował spokój.

Munro z zadowoleniem przyjął wynik starcia. Stwierdził, że ilość gazu pozwala nawet na kilkutygodniową obronę obozu. Najpoważniejszy problem został rozwiązany. Przynajmniej na razie.

DZIEŃ DWUNASTY:

ZINJ

24 czerwca 1979

1. Ofensywa

O świcie odkryli ciała dwóch tragarzy. Mulewe i Akari leżeli w pobliżu jednego z namiotów. Nocny atak okazał się manewrem, pozwalającym samotnej małpie wtargnąć do obozu, zabić obu Murzynów i bezpiecznie wycofać się do lasu. Pozostawało tajemnicą, w jaki sposób zwierzę sforsowało ogrodzenie.

Dokładne oględziny wykazały niewielkie rozdarcie u dołu siatki. Obok leżał długi kij, za pomocą którego goryle uniosły zaporę. Po wykonaniu zadania zabójca ponownie Przeczółgał się pod ogrodzeniem i zniknął w zaroślach. Pozostałe małpy usiłowały przywrócić wygląd siatki do pierwotnego stanu.

Zachowanie zwierząt wskazywało na niespodziewanie wysoki poziom inteligencji. „Zyskaliśmy kolejny dowód, że nasze początkowe wnioski są całkowicie bezpodstawne”, powiedział później Elliot. „Mimo to nadal uważaliśmy postępowanie goryli za bezmyślną, instynktowną krzątanicę. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że stoimy w obliczu groźnego, logicznie rozumującego przeciwnika, który w krótkim czasie zdążył uszczuplić nasze siły o jedną czwartą”.

Najwięcej kłopotów ze zrozumieniem tego faktu miał Munro. Z jego dawnych doświadczeń na polu walki wynikało, że zachowanie zwierząt w niczym nie przypomina postępowania człowieka.

- Małpy zostały wytresowane przez ludzi, więc muszę myśleć o nich, jak o ludziach - stwierdził w końcu. - Powstaje pytanie: co bym zrobił, gdybym naprawdę miał do czynienia z ludźmi?

Niemal natychmiast znalazł odpowiedź. Należało przejąć inicjatywę.

Amy zgodziła się wskazać im miejsce, gdzie żerowało stado szarych goryli. O dziesiątej przed południem, uzbrojeni w pistolety maszynowe, zagłębili się w gąszcz porastający pagórkowaty teren na północ od ruin miasta. Dość szybko odnaleźli pierwsze ślady - sterty odchodów i kilkanaście legowisk. Munro zaniepokojony rozglądał się po okolicy. Na jednym z drzew naliczył ponad dwadzieścia gniazd, co świadczyło, że populacja zwierząt jest znacznie większa, niż przypuszczał.

Kilka minut później zauważyli dziesięć olbrzymich małp buszujących wśród zwisających pnączy. Były tam cztery samce, trzy samice, podrostek i dwójka młodych. Starsze goryle poruszały się ociężale, często przysiadły w nasłonecznionych miejscach i leniwie napychały usta pokarmem. Niektóre pochrapywały leżąc na plecach.

Munro uniósł dłoń; szczęknęły bezpieczniki pistoletów. Nim zdążył wydać rozkaz otwarcia ognia, Amy pociągnęła go za nogawkę. Spojrzał w górę zbocza.

„Przeżyłem największy szok w całym swym cholernym życiu. Wśród drzew zerowała kolejna grupa goryli. Było ich dziesięć... może dwanaście. Potem zobaczyłem następną grupę... i następną... i jeszcze jedną... Na wzgórzu przebywało ponad trzysta zwierząt. Cała okolica zdawała się pełzać”, mówił później.

Największe stado goryli, zauważone w Kabarze w 1971 roku, liczyło trzydzieści jeden osobników, choć niektórzy badacze wątpili w dokładność obserwacji. Dominował pogląd, że było to przypadkowe spotkanie dwóch grup zwierząt. Przeciętna liczebność stada goryli wynosiła pięć do trzydziestu osobników. Elliot uznał widok trzystu małp za „coś przerażającego”, choć z wielkim zainteresowaniem obserwował ich zachowanie. Żerujące w promieniach słońca zwierzęta przypominały „zwykle” goryle, lecz wprawne oko naukowca bez trudu dostrzegło szereg różnic.

- Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że porozumiewają się za pomocą dźwięków. Posapywanie miało wszelkie cechy artykulacji. Niektóre z małp posługiwały się dodatkowo mową znaków, niepodobną jednak do jakiegokolwiek ze znanych mi języków migowych. Szeroko rozpostarte ramiona i delikatne ruchy dłoni przywodziły na myśl tajskich tancerzy. Większość symboli stanowiła jakby dopełnienie dźwięków. Pozostawało rzeczą sporną, czy goryle zostały wyuczone tej formy mowy, czy była to część postępującego procesu ewolucji, lecz stopień komplikacji języka daleko wykraczał poza wyniki uzyskiwane w naszych laboratoriach.

Radość z niezwykłego odkrycia tłumilo poczucie czyhającego zewsząd niebezpieczeństwa. Uczestnicy wyprawy kulili się wśród gęstych zarośli. Nikt nie śmiał zbyt głośno oddychać. Małpy zachowywały się całkiem spokojnie, lecz sama liczebność stada wywoływała przerażenie graniczące z paniką. Po dłuższej chwili Munro dał sygnał do odwrotu. Odnaleźli szlak i powrócili do obozu.

Tragarze zajęli się pochówkiem zabitych towarzyszy. Stuk łopat ponuro przypominał o zagrożeniu.

- Nie zauważyłem oznak agresji w zachowaniu goryli - powiedział Munro.

- To prawda - odparł Peter. - W dzień przypominają zwykle małpy. Są nieco bardziej ociężałe. Prawdopodobnie większość samców traktuje ten czas jako porę wypoczynku.

- Ile samców może znajdować się na wzgórzu?

Samice z młodymi nie brały udziału w nocnych atakach. Munro chciał poznać siłę zastępów przeciwnika.

- Badania wskazują, że liczebność samców w pojedynczym stadzie osiąga około piętnastu procent. Należy przy tym pamiętać, że błąd w ocenie ogólnej liczby zwierząt wynosi dwadzieścia pięć procent. W obserwowanej grupie znajduje się zawsze więcej osobników, niż to widać.

Wynik obliczeń był przygnębiający. Na wzgórzu przebywało niemal czterysta małp, w tym piętnaście procent dorosłych samców. Sześćdziesięciu groźnych wojowników przeciwko dziewięcioosobowej wyprawie.

- Kiepska sprawa - pokręcił głową Munro. Amy знаła tylko jedno rozwiązanie.

Wracamy.

Karen spytała, o co jej chodzi.

- Chce wracać - wyjaśnił Peter. - Myślę, że ma rację.

- Nie bądź śmieszny. Jeszcze nie znaleźliśmy diamentów. Nie możemy przerwać poszukiwań.

Wracamy - powtórzyła Amy.

Spojrzeli na Munro. Niemal jednocześnie uznali, że to on powinien podjąć ostateczną decyzję.

- Chciałbym położyć rękę na tych cholernych diamentach - mruknął - ale w grobie nie będę miał z nich żadnego pożytku. Powinniśmy wracać, póki to jeszcze możliwe.

Karen rzuciła kilka soczystych teksaskich przekleństw.

- Co masz na myśli mówiąc „póki to jeszcze możliwe”? - spytał Peter.

- Nie wiem, czy małpy pozwolą nam odejść.

2. Odwrót

Zgodnie z poleceniem Munro zabrali minimalną ilość pożywienia i amunicji. Porzucili niemal wszystko: namioty, sieć ochronną i sprzęt telekomunikacyjny. W południe opuścili obóz.

Munro obejrzał się przez ramię. Miał nadzieję, że postępuje słusznie. W latach sześćdziesiątych wśród najemników walczących w Kongo krążyło ironiczne przykazanie: „Nie opuszczaj domu”. Miało to podwójne znaczenie, ponieważ większość żołnierzy szczerze żałowała decyzji o przyjeździe do Afryki. „Domem” mógł być także solidnie ufortyfikowany obóz lub osiedle kolonialne, zapewniające o wiele lepsze schronienie niż posepny mrok dżungli. Wielu najemników przekonało się o tym na własnej skórze. „Digger dostał w zeszłym tygodniu w pobliżu Stanleyville”. „W pobliżu? Po co wychodził z domu?”

Teraz Munro opuszczał dom, zostawiając za sobą połyskujący srebrzyście obóz i urządzenia obronne. Nie będzie już siedział na polanie niczym kwoką wystawiona na cel atakujących goryli... choć najemnicy i na to mieli gotową odpowiedź: „Lepiej być kwoką, niż dostać w kaczy kuper”.

Rozterkę przewodnika potęgowała świadomość, że poruszają się najmniej korzystną formacją - gęsiego. Ścieżka zwięzła się powoli. Gęste paprocie i palmy przesłaniały widoczność. Małpy mogłyby przebywać w odległości kilku metrów i nikt nie zauważyłby ich obecności... aż do chwili ataku.

Szli dalej.

Munro uznał, że niebezpieczeństwo zostanie zażegnane z chwilą, gdy wyprawa dotrze na wschodni stok Mukenko. Szare goryle pilnowały jedynie okolic miasta i z całą pewnością nie podjęłyby ryzyka dalekiego pościgu. Wulkan był odległy o dwie godziny marszu...

Spojrzał na zegarek. Od chwili opuszczenia obozu minęło zaledwie dziesięć minut.

W tej samej chwili usłyszał sapanie. Dźwięk zdawał się napływać z każdego zakątka dżungli. Krzewy drgnęły, jakby muśnięte nagłym podmuchem wiatru, choć w powietrzu panował zupełny bezruch. Sapanie przybrało na sile.

Wyprawa stanęła u wylotu wąwozu, który niegdyś stanowił koryto strumienia. Po obu brzegach wznosiła się nieprzenikniona ściana dżungli. Znakomite miejsce na zasadzkę. Za plecami przewodnika rozległ się znajomy szcęk odbezpieczanych

karabinów. Podszedł Kahega.

- Co robimy, kapitanie?

Munro uważnie obserwował zarośla. Zastanawiał się, ile małych czatuje w ukryciu. Dwadzieścia? Trzydzieści? W każdym razie, zbyt dużo.

Kahega wyciągnął dłoń w stronę wąskiej ścieżki prowadzącej na szczyt zbocza.

- Idziemy?

Munro milczał przez długą chwilę.

- Nie - odparł w końcu.

- Co robimy, kapitanie?

- Wracamy - powiedział przewodnik. - Wycofujemy się do obozu.

Gdy stanęli plecami do wąwozu, sapanie umilkło. Munro obrócił głowę. Dżungla tchnęła spokojem, a wyschnięte łóżysko strumienia zdawało się zapewniać całkiem bezpieczną wędrówkę. Pozory, pomyślał mężczyzna. Droga ucieczki została zamknięta.

3. Powrót

Plan Elliota powstał pod wpływem nagłego olśnienia.

„Siedziałem pośrodku obozu i patrzyłem, jak Amy potrząsa dłonią w stronę Kahegi”, opowiadał później. „Prosiła o coś do picia, lecz Murzyn nie zrozumiał znaczenia gestów i bezradnie wzruszył ramionami. W tym momencie pojąłem, że umiejętności lingwistyczne, które dawały szarym goryłom tak wielką przewagę nad innymi stworzeniami, są jednocześnie przysłowiową »piętą Achillesa«”.

Pomysł polegał na tym, by schwytać jedną z małp, nauczyć się jej języka i podjąć próbę porozumienia z pozostałymi osobnikami. W normalnych warunkach eksperyment trwałby kilka miesięcy, lecz Peter był przekonany, że uda mu się poznać mowę goryli w ciągu paru godzin.

Nadal trwały prace nad rozszyfrowaniem małpiego języka; Seamans potrzebował dodatkowych informacji. Elliot uznał, że goryle używają kombinacji dźwięków i gestów, a język migowy jest znacznie łatwiejszy do opanowania.

Program APE ⁹, opracowany swego czasu przez Seamansa, umożliwiał pełną klasyfikację symboli używanych przez Amy, nawet jeśli zwierzę tworzyło całkiem nowe znaki. Wyzyskiwał wojskowy program deszyfrujący, udostępniony przez specjalistów z U.S. Army i doskonale pasował do planu Petera.

Łączna satelitarne pozwalały na przekazanie do Berkeley *via* Houston informacji zarejestrowanych przez kamerę obserwującą schwytane zwierzę. APE działał z zadziwiającą szybkością (program wojskowy łamał szyfr nieprzyjaciela w ciągu kilku minut).

Karen zapaliła się do tego pomysłu. Munro był bardziej sceptyczny. Mruknął coś o traktowaniu jeńców wojennych.

- Jak chcesz zmusić zwierzę do mówienia? - spytał. - Torturami?

- Wykorzystamy stres towarzyszący sytuacji zagrożenia - odparł Peter. Na trawie leżały przygotowane „pomoce naukowe”: banan, miseczka z wodą, cukierek, krótki patyk, łydga pnącza i kamienny szpadel. - Jeśli zajdzie konieczność, postaram się ją wystraszyć.

-Ją?

- Oczywiście - odparł Peter. Wsunął do wiatrówki nabój wypełniony thoralenem. - Ją.

⁹ * *Animal Paltem Explanation* - wyjaśnienie wzorca zachowania u zwierząt; także: *ape* - ang. małpa

4. Więzień

Chciał schwytać bezdzietną samicę. Obecność małpiątka mogłaby tylko skomplikować sytuację.

Powoli przedzierał się przez sięgające do pasa zarośla. Gdy dotarł do krawędzi urwiska, zobaczył w dole grupę złożoną z dziewięciu osobników: dwóch samców, pięciu samic i dwójki dzieci. Wysokość skały nie przekraczała sześciu metrów.

Peter uważnie obserwował żerujące stado. Chciał się przekonać, czy wszystkie samice używają języka gestów i czy w zaroślach nie ma większej liczby młodych. Czekał na właściwy moment.

Goryle buszowały wśród paproci, starannie wybierając najsmaczniejsze liście. Żyły powoli, z wyraźnym upodobaniem. Po kilku minutach jedna z samic oddaliła się od grupy i podeszła do zbocza, na którym czatował Elliot. Od innych zwierząt dzieliło ją prawie dziesięć metrów.

Peter uniósł oburącz pistolet pneumatyczny. Nie mógł sobie wymarzyć lepszej sytuacji. Wymierzył, zacisnął palec na spuście... Nagle stracił równowagę. Noga ześliznęła mu się z ostrej krawędzi i runął w dół, w sam środek stada goryli.

Munro spojrział na bezwładne ciało leżące u stóp skały. Elliot był nieprzytomny, lecz nadal oddychał, a jedna z jego rąk drgała nerwowo. Upadek nie spowodował groźnych obrażeń. Prawdziwe niebezpieczeństwo czaiło się gdzie indziej.

Zwierzęta zauważyły spadającego człowieka. Powoli zbliżały się do nieruchomego ciała. Osiem lub dziewięć małp przysiadło kręgiem i rozpoczęło bezgłośnie rozmowę.

Munro odbezpieczył karabin.

Elliot jęknął, dotknął obolałej głowy i otworzył oczy. Znieruchomiał ze zgrozy na widok goryli. Trzy samce przykucnęły bardzo blisko, uniemożliwiając mu jakąkolwiek próbę ucieczki. Czas włókł się w nieskończoność. Peter przez minutę nie wykonał żadnego ruchu. Goryle wciąż posapywały i gestykulowały. Nie zdradzały zdenerwowania.

Mężczyzna powoli dźwignął tułów z ziemi i wsparł się na łokciu. Zwierzęta zareagowały gwałtownymi ruchami ramion, lecz w ich zachowaniu nie było nic agresywnego.

Ukryta na szczycie skały Amy dotknęła ręki skulonego obok mężczyzny. Gdy

spojrzał w jej stronę, wykonała kilka zdecydowanych gestów. Munro pokręcił głową. Nie rozumiał intencji małpy. Uniósł broń do policzka; Amy ugryzła go w kolano. Poczł przenikliwy ból i mocno zacisnął zęby, żeby powstrzymać się od krzyku.

Elliot nadal leżał u podnóża urwiska. Starał się zachować spokojny, równomierny oddech. Od najbliższego zwierzęcia był na długość wyciągniętego ramienia. Wyraźnie czuł lekko stęchłą, słodkawą woń małpiego ciała. Goryle zaczęły zdradzać podniecenie. Jeden z samców wydawał rytmiczne pomruki.

Peter zdecydował, że czas podjąć jakieś działanie. Gdyby zdołał wstać i powoli przejść kilka kroków... Już pierwsza próba ruchu wywołała groźne warknięcie ze strony samca. Małpa zaczęła kołysać się na boki i uderzać dłońmi o ziemię.

Mężczyzna wrócił do poprzedniej pozycji. Zdenerwowanie zwierzęcia minęło, więc uznał, że postąpił prawidłowo. Małpy były wyraźnie zdziwione pojawieniem się człowieka na żerowisku, które do tej pory uważały za swoją wyłączną własność.

Pozostawało czekać. Peter miał zamiar leżeć tak długo, aż goryle powrócą do swoich zajęć. Oddychał powoli, choć czuł grube krople potu ściekające po twarzy. Prawdopodobnie „śmierdział strachem”, lecz małpy - podobnie jak ludzie - miały dość słabo rozwinięty zmysł powonienia. Nie reagowały na charakterystyczną woń towarzyszącą przerażeniu. Mijały minuty. Zwierzęta nadal sapały i wymachiwały dłońmi. Zastanawiały się, co zrobić z intruzem. Nieoczekiwanie jeden z samców wbił wzrok w Elliota, zakołysał całym ciałem i uderzył dłońmi w murawę. Mężczyzna leżał bez ruchu. Usiłował sobie przypomnieć kolejne stadia zachowania rozszoszczonego goryla: pomruki, kołysanie, bicie dłońmi o ziemię, wrywanie trawy, bębnienie w piersi...

Atak.

Samiec wyrwał kilka garści darni. Peter czuł, że serce wali mu jak młotem. Goryl ważył co najmniej sto trzydzieści kilogramów. Właśnie stanął na tylnych łapach i płasko ułożonymi dłońmi zabębnił w klatkę piersiową. Dudniący dźwięk przerwał ciszę. Peter zastanawiał się, co robi Munro. Słyszcząc głośny trzask zerknął w górę. Amy zsuwała się w dół zbocza. Chwyła pobliską gałąź, aby osłabić upadek, i wylądowała u stóp swego opiekuna.

W stadzie zapanowała konsternacja. Samiec przerwał bębnienie, opadł na czworaki i obrzucił intruza uważnym spojrzeniem.

Amy warknęła.

Samiec postąpił krok w stronę człowieka, lecz nie spuszczał wzroku z obcej małpy. Amy przypatrywała mu się ze spokojem. Goryl dążył do próby sił. Podchodził coraz bliżej. Bliżej...

Amy ryknęła ogłuszająco. Elliot zadygotał. Dawniej tylko raz był świadkiem podobnego zachowania, świadczącego o skrajnej wściekłości zwierzęcia. Wśród goryli zawrzało; nigdy nie widziały ryczącej samicy. Amy nastroszyła sierść, napięła mięśnie i zrobiła ponurą minę z gniewem spoglądając na samca. Wrzasnęła ponownie.

Samiec zatrzymał się nagle. Przechylił głowę w bok, myślał przez chwilę, po czym dołączył do kręgu małp otaczających półkolem głowę

Petera.

Amy zdecydowanym ruchem oparła dłoń na nodze mężczyzny, co było, oznaką, że uważa go za swoją własność. Pięcioletni podrostek wyrwał się ze stada i szczerząc zęby podbiegł do gorylicy. Amy wymierzyła mu siarczysty policzek. Młodziak wywinął kozła i z piskiem uciekł w bezpieczne miejsce.

Amy rzuciła okiem w stronę stada, po czym wykonała kilka gestów:

Idzie odchodzi Amy odchodzi.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Peter dobry człowiek.

Po chwili zrozumiała, że małpy nie pojmują znaczenia jej ruchów. Wówczas zrobiła coś nieoczekiwanego: westchnęła w sposób przypominający mowę szarych goryli.

Zwierzęta ze zdumieniem spojrzwały po sobie.

Jednak wysiłki Amy i tym razem spełzyły na niczym. W miarę jak „mówiła”, zainteresowanie małp wyraźnie malało. Z obojętnością patrzyły w jej stronę.

Nie próbowały nawiązać kontaktu.

Amy usiadła tuż przy głowie Petera i kilkakrotnie przesunęła dłonią po jego włosach, wykonując ruchy przypominające czesanie. Goryle zaczęły gestykulować. Samiec ponownie wydał krótkie „ho-hoho”. Amy spojrzała na Elliota.

Amy przytuli Peter - zasygnalizowała.

Mężczyzna zareagował zdziwieniem. Zwykle to ona domagała się pieśczo i łaskotania.

Usiadł. Małpa natychmiast przycisnęła go do swej włochatej piersi. Szary samiec umilkł; stado wycofywało się z widocznym zawstydzeniem. Peter wszystko zrozumiał: Amy potraktowała go jak własne dziecko!

Dość często obserwowano u małp przykłady podobnego zachowania. Silnie zakorzeniona obawa przed skrzywdzeniem niemowlęcia wpływała kojąco na temperament adwersarzy. Walki pawianów kończyły się z chwilą, gdy jeden z samców przytulił do piersi małąpiątko. Widok bezbronno stworzenia zmuszał przeciwnika do przerwania ataku. U szympansov nie był istotny związek pokrewieństwa - jeśli igraszki malców stawały się zbyt brutalne, dorosła małpa brała w ramiona którekolwiek z dzieci, co było sygnałem do zakończenia zabawy. Amy nie tylko powstrzymała atak szarego samca, lecz całkowicie otoczyła opieką swe maleństwo - goryle zaakceptowały widok „maleństwa” obdarzonego gęstą brodą i niemal dwumetrowym wzrostem.

Małpy zniknęły w zaroślach.

Amy uwolniła Petera z objęć. Spojrzała mu prosto w oczy.

Głupi szarzy oni.

- Dziękuję, Amy. - Ucałował ją w policzek.

Peter łaskocze Amy Amy dobry goryl.

- Pewnie, że dobry.

Łaskotał ją przez kilka minut, aż z radosnym pomrukiem zwinęła się w kłębek na ziemi.

Powrócili do obozu dopiero o drugiej po południu.

- Schwytaście goryla? - spytała Karen.

- Nie - odparł Elliot.

- Nie szkodzi - powiedziała. - I tak nie mogę nawiązać łączności.

Peter zrobił zdziwioną minę.

- Wznowili zagłuszanie?

- Gorzej - mruknęła Karen. Przez godzinę usiłowała połączyć się z Houston. Sygnał zanikał po kilku sekundach. Sprawdziła, że nadajnik pracuje prawidłowo i zerknęła na datę.

- Dziś jest dwudziesty czwarty czerwca - oznajmiła. - Centrala zanotowała podobne kłopoty podczas poprzedniej ekspedycji, dwudziestego ósmego maja. Prawie miesiąc temu.

Elliot nadal nic nie rozumiał.

- Słońce - wyjaśnił Munro.

- Właśnie - dodała Karen. - Zniekształcenia występują w jonosferze.

Większość zakłóceń jonosfery - grubej warstwy zjonizowanych cząsteczek unoszących się kilkaset kilometrów nad powierzchnią Ziemi - była powodowana przez plamy słoneczne. Efekt występował wtedy, gdy rosła aktywność Słońca.

- Dobra - powiedział Peter. - Słońce. Ile to może potrwać? Karen potrząsnęła głową.

- W normalnych warunkach nie więcej niż kilka godzin... Najwyżej dobę. Lecz tym razem dzieje się coś dziwnego. Przed pięcioma godzinami sygnał był czysty i wyraźny... teraz umilkł całkowicie. Zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności. Przerwa może trwać nawet tydzień.

- Tydzień bez łączności? Żadnego korzystania z komputerów, z niczego?

- Tak - odparła spokojnie Karen. - Od tej chwili jesteśmy całkowicie odcięci od świata.

5. Osamotnienie

Największa protuberancja słoneczna lat siedemdziesiątych została zauważona dwudziestego czwartego czerwca 1979 roku przez astronomów z obserwatorium Kitt Peak w pobliżu Tucson. Informację przekazano natychmiast do ośrodka Space Environment Services Center, mieszczącego się w Boulder, w stanie Kolorado. Naukowcy z SESC byli przekonani, że zaszła pomyłka; nawet w gigantycznych standardach astronomii solarnej wybuch, oznaczony symbolem 78/06/414aa, osiągnął przerażające rozmiary.

Przyczyny protuberancji nadal pozostają zagadką, choć ich występowanie jest związane z aktywnością gwiazdy. Wspomniany wybuch objawił się jako intensywnie jasna plama o średnicy szesnastu tysięcy kilometrów i miał wpływ nie tylko na układ linii widma wodoru alfa i zjonizowanego wapnia, lecz powodował zakłócenia bezpośrednio w widmie słonecznym, co było niezwykle rzadkim zjawiskiem.

Naukowcy ze zgrozą myśleli o konsekwencjach. Wybuch słoneczny wyzwalała ogromne ilości energii; nawet jeśli osiąga przeciętną wielkość.

Wywołane przez niego zakłócenie jonosfery spowodowało zjawisko „zanikania” krótkich fal radiowych, co nie było zbyt kłopotliwe w przypadku dużych stacji komercyjnych, lecz dla nadajnika o mocy dwudziestu kilowatów stanowiło przeszkodę nie do pokonania. Towarzyszące erupcji promienie Roentgena i emisja cząsteczek atomowych wydłużały okres „ciszy w eterze”. Travis otrzymał informację, że przerwa w łączności może potrwać od czterech do ośmiu dni.

- Kiepska sprawa - oświadczył dyżurny technik. - Najpóźniej jutro rano Karen domyśli się, co zaszło.

- Musimy czym prędzej nawiązać kontakt - oświadczył Travis.

Komputer opracował pięć wariantów działania, lecz żadna z prognoz nie przedstawiała się zbyt zachęcająco. Wyprawa Karen znalazła się w poważnych kłopotach. Szansę uratowania członków ekspedycji określano jako „zero przecinek dwa cztery cztery, nadal zmienne”, co znaczyło, że nawet w przypadku odzyskania łączności istniała tylko jedna możliwość na cztery, że ktokolwiek ocaleje.

Travis zastanawiał się, czy Karen w pełni rozumie grozę sytuacji.

- Mamy jakieś nowe informacje na temat Mukenko?

„Piątka” zainstalowana na landsacie rejestrowała obraz powierzchni globu w podczerwieni. W ciągu ostatnich dziewięciu dni wulkan stawał się coraz gorętszy;

temperatura wzrastała przeciętnie o osiem stopni.

- Nie - odparł technik. - Komputer nie przewiduje możliwości wybuchu. Margines błędu obserwacji satelitarnej wynosi cztery stopnie, pozostałe cztery to zbyt mało, by istniał powód do niepokoju.

- Nieźle - mruknął Travis. - Tylko co zrobią z małpami, skoro nie mają dostępu do naszego oprogramowania?

To samo pytanie od pół godziny dręczyło uczestników wyprawy. Mogli korzystać z „oprogramowania” zawartego jedynie we własnych głowach, a te nie dysponowały wystarczającą mocą, by sprostać wszystkim zadaniom.

Peter stwierdził, że myślenie przychodzi mu z trudem.

„Byliśmy tak przyzwyczajeni do pracy z komputerem, że popadliśmy w pewien rodzaj uzależnienia”, wspominał później. „Pracownik każdego laboratorium ma stały dostęp do bazy danych i nawet w nocy może poddać błyskawicznej analizie dowolną informację. Traktuje maszynę jak część własnej osobowości”.

Nawet jeśli język goryli był stosunkowo łatwy, próby rozszyfrowania poszczególnych dźwięków i znaków zajęłyby co najmniej kilka tygodni. Bez programu APE sytuacja stawała się beznadziejna. Munro stwierdził, że nie zdołają odeprzeć frontalnego ataku, a nie istniał żaden powód, by ludzić się nadzieją, iż noc minie spokojnie.

Elliot przypomniał sobie zachowanie Amy. Wszystko wskazywało na to, że u podnóża urwiska próbowała nawiązać kontakt werbalny ze zwierzętami przebywającymi w stadzie. Być może mogłaby pełnić rolę tłumacza.

- Warto spróbować - nalegał Peter. Niestety, sama Amy wykluczyła tę możliwość.

- Amy rozmawia oni? - spytał Peter.

Nie rozmawia - odpowiedziała.

- Na pewno? - Pamiętał, że u podnóża urwiska zaczęła posapywać. - Peter widział Amy rozmawia.

Nie rozmawia. Tylko hałas.

Zrozumiał, że jedynie naśladowała dźwięki wydawane przez szare goryle, lecz nie miała pojęcia, co one oznaczają. Minęła druga. Do zachodu słońca pozostało zaledwie pięć lub sześć godzin.

- Daj spokój - odezwał się Munro. - Nic z tego nie wyjdzie. Zamierzał spalić

obóz i jeszcze za dnia siłą utorować sobie drogę ucieczki. Był przekonany, że jeśli pozostaną na polanie, nikt nie ujdzie z życiem.

Elliot siedział zamyślony.

Lata spędzone z Amy utwierdziły go w przekonaniu, że umysł małpy przypominał umysł kilkuletniego dziecka i trzeba było sporej dawki cierpliwości oraz starannego doboru słów, aby uzyskać zadowalającą i wyczerpującą odpowiedź na postawione pytanie.

Spojrzał na zwierzę.

- Amy rozmawia oni?

Nie rozmawia.

- Amy rozumie oni mówią?

Małpa nie odpowiedziała. Zdawała się być całkowicie pochłonięta przeżuwaniami kawałka pnącza.

- Amy, słuchaj tego, co mówię. Zerknęła w jego stronę.

- Amy rozumie oni mówią?

Amy rozumie oni mówią - odparła. Zrobiła to z taką obojętnością, że w pierwszej chwili Peter był przekonany, iż źle postawił pytanie.

- Amy patrzy oni mówią. Amy rozumie? *Amy rozumie.*

- Na pewno?

Amy rozumie.

- Niech mnie diabli... - szepnął Peter.

- Zostało nam kilka godzin do zmierzchu. - Munro pokręcił głową. - Nawet jeśli zrozumiesz ich język, jak zamierzasz rozmawiać?

6. Amy rozumie oni mówią

O trzeciej po południu Elliot i Amy ukryli się w zaroślach porastających zbocze wzgórza. Jediną oznaką ich obecności był smukły pałak mikrofonu wystający z gęstych liści.

Podstawowa trudność polegała na zlokalizowaniu właściwego zwierzęcia. Peter nie miał pewności, czy Amy poprze jego wybór, czy będzie tłumaczyć te same dźwięki, które zostaną zarejestrowane na taśmie. Najbliższa grupa małp składała się z ośmiu osobników i Amy nie potrafiła się skupić. Jedna z samic piastowała sześciomiesięczne dziecko. W pewnej chwili malec został ukąszony przez osę.

Dziecko wściekle - zasygnalizowała Amy.

Uwaga Petera była w tym czasie skierowana na samca.

„Amy, uważaj” - poprosił ją na migi.

Amy uważa. Amy dobry goryl,

„Tak. Amy dobry goryl. Amy patrzy duży samiec”.

Amy nie lubi.

Mężczyzna zaklął pod nosem i usunął z nagrania zapis ostatnich kilkunastu minut. Obserwował całkiem inne zwierzę. Przy ponownej próbie postanowił polegać na wyborze Amy.

„Gdzie Amy patrzy?”

Amy patrzy dziecko.

To było bez sensu, ponieważ małpiątko nie potrafiło mówić.

Spróbował perswazji.

„Amy patrzy matka dziecko”.

Amy lubi patrzy dziecko.

Peter miał wrażenie, że został przeniesiony w świat sennego koszmaru. Był zdany na łaskę zwierzęcia, którego sposób rozumowania i zachowanie poznał w stosunkowo niewielkim stopniu; ponadto odcięty od ludzi i techniki, którą stworzyli, czuł jeszcze głębszą zależność od humorów Amy.

Minęła kolejna godzina. W gasnącym blasku słońca powrócili do obozu.

Munro nie tracił czasu na próżne rozmyślenia.

Wokół polany wykopał kilka głębokich dołów przypominających pułapki na słonie. Pod osłoną liści i gałęzi kryły się ostro zakończone paliki.

Poszerzył fosę i usunął przewrócone pnie drzew, które mogły posłużyć do przeprawy.

Pościnał gałęzie zwisające nad polaną; uznał, że żadna z małp nie zdecyduje się na skok z wysokości dziesięciu metrów.

Trzech pozostałych przy życiu tragarzy, Muzezi, Amburi i Harawi, zostało zaopatrzonych w strzelby i pojemniki z gazem łzawiącym.

Karen podniosła napięcie prądu zasilającego ogrodzenie do stu pięćdziesięciu tysięcy woltów i zwiększyła jego natężenie. Zredukowano impuls z czterech do dwóch cykli na sekundę. Wspomniany zabieg zmienił zaporę w zabójczą pułapkę. Atakującym zwierzętom groziła niechybna śmierć, choć jednocześnie wzrosło niebezpieczeństwo krótkiego spięcia i wyłączenia całego systemu.

O zmierzchu Munro podjął najtrudniejszą decyzję. Połowę pozostałej amunicji załadował do miotaczy. Wiedział, że po wyczerpaniu zapasu naboju automaty po prostu przestaną strzelać. Wówczas mogli liczyć wyłącznie na zdolności lingwistyczne Elliota i Amy.

Niestety, po powrocie ze wzgórza Peter nie miał zbyt wesołej miny.

7. Ostateczna obrona

- Kiedy będziesz gotów? - spytał Munro.

- Nie prędzej niż za dwie godziny - odparł Elliot.

Zwrócił się do Karen z prośbą o pomoc. Amy pomaszerowała wprost do Kahegi, domagając się porcji pożywienia. Była niesłychanie dumna z siebie i uważała, że zyskała należną pozycję wśród członków grupy.

- Myślisz, że zadziała? - spytała Karen.

- Za chwilę się przekonamy - odpowiedział Peter. Zamierzał odtworzyć nagranie i znaleźć tylko te sygnały, które powtarzały się kilkakrotnie. Gdyby Amy za każdym razem tłumaczyła ich znaczenie w ten sam sposób, można by przyjąć, że przekład jest prawidłowy.

To była cholernie żmudna praca. Dysponowali jedynie półcałowym monitorem i kieszonkowym magnetofonem. Co gorsza, nie mieli możliwości połączenia obu urządzeń. Peter zażądał, aby w obozie panowała zupełna cisza. Przewijał taśmę, nagrywał, odtwarzał, jeszcze raz nagrywał, słuchał sapania goryli...

Ludzkie ucho okazało się zbyt mało wyczulone na niuanse małpiej mowy. Wszystkie dźwięki brzmiały identycznie. Karen zrobiła zamyśloną minę.

- Sygnały są zarejestrowane w formie impulsów elektrycznych - powiedziała powoli.

- Tak...

- Nadajnik wyposażony jest w pamięć 256K.

- Nie możemy połączyć się z komputerem w Houston.

- Nie o to chodzi - odparła. Z jej wyjaśnień wynikało, że sprzęt telekomunikacyjny ma oprogramowanie pozwalające na szczegółową identyfikację odbieranych sygnałów. Takie były wymagania łączności satelitarnej, lecz istniała możliwość wykorzystania zasobów pamięci do całkiem innych celów.

- Myślisz, że zdołamy przeprowadzić analizę porównawczą? - spytał Peter.

Udało się, choć sam proces przebiegał niezwykle powoli. Dźwięki musiały być wprowadzone do komputera, po czym „przepisane” na taśmę magnetyczną i odtworzone wspólnie z obrazem. Zsynchronizowany sygnał ponownie trafiał do komputera, gdzie następował kolejny etap obróbki. Karen z żonglerską zręcznością manipulowała dyskietkami i kasetami. Elliotowi nie pozostawało nic innego, jak tylko stać i obserwować jej krzątanie. Co pół godziny pojawiał się Munro; pytał, jak idzie

praca.

- Szybciej nie można - warknęła zirytowana Karen. Minęła ósma.

Pierwsze wyniki wypadły zadowolająco. Amy okazała się dobrym tłumaczem.

Do dziewiątej komputer sklasyfikował jedenaście pojęć:

POKARM	0,9213 0,112
JEŚĆ	0,8844 0,334
WODA	0,9978 0,004
PIĆ	0,7743 0,334
{POTWIERDZENIE} TAK	0,6654 0,441
{ZAPRZECZENIE} NIE	0,8883 0,220
PRZYCHODZIĆ	0,5459 0,440
ODEJŚĆ	0,5378 0,404
ZESTAW DŹWIĘKÓW:? DALEKO	0,5444 0,343
ZESTAW DŹWIĘKÓW:? TUTAJ	0,6344 0,344
ZESTAW DŹWIĘKÓW:? GNIEW ? ŹLE	0,4232 0,477

Karen zdjęła palce z klawiatury.

- Twoja kolej - powiedziała do Petera.

Munro przechadzał się po polanie. Ciągłe oczekiwanie działało mu na nerwy. Miał ochotę pożartować z tragarzami, lecz Karen i Peter potrzebowali całkowitego spokoju podczas pracy. Spojrzał na Kahegę.

Murzyn wskazał na niebo, po czym delikatnie potarł końce palców.

Munro skinął głową.

On także czuł, że powietrze przesycone jest elektrycznością i niemal namacalną, ciężką wilgocią. Zbliżała się burza. Tylko tego brakowało, pomyślał. Po południu znów było słycać stłumione dudnienie i echo eksplozji. Początkowo uznał, że to odgłosy odległej nawałnicy, lecz dźwięk był zbyt ostry i krótki... i dziwnie znajomy. Po chwili namysłu rozpoznał źródło hałasu.

Spojrzał na ponury masyw Mukenko i Oko Diabła lekko połyskujące wśród poczerniałych gładów. Przeniósł wzrok na promienie laserów. Jedna z zielonych smug niespiesznie przesuwiała się po liściach. Munro zmarszczył brwi. Chciał się upewnić,

że to nie złudzenie spowodowane ruchem gałęzi. Nie. Rozkołysany promień raz wędrował w górę, raz opadał.

Odkrycie dawało dodatkowy powód do niepokoju, lecz musiało zaczekać. Liczyły się tylko najbliższe godziny. Mężczyzna rzucił okiem w kierunku namiotów. Elliot i Karen siedzieli w otoczeniu rozmaitych elektronicznych urządzeń. Rozmawiali cicho i zachowywali się, jakby mieli masę czasu.

Peter pracował jak szalony. Z jedenastu słów zarejestrowanych na taśmie musiał stworzyć jednoznaczną, przekonującą wiadomość, a to nie było takie proste, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Przede wszystkim, język szarych goryli nie opierał się wyłącznie na dźwiękach. Każdy przekaz stanowił kombinację gestów i mowy. Pojawiał się odwieczny problem lingwistów: co było właściwym nośnikiem informacji? (L.S. Verinski wspominał niegdyś, że przybysz z odległej planety obserwujący rozmowę Włochów byłby przekonany, iż Ziemianie komunikują się za pomocą języka migowego, a dźwięków używają wyłącznie dla podkreślenia wypowiedzi.) Wiadomość spreparowana przez Elliota musiała być na tyle prosta, by wyeliminować konieczność gestykulacji.

Nic nie wiedział o składni, która w wielu wypadkach miała istotne znaczenie dla logiki zdania - wystarczy wspomnieć różnicę pomiędzy wyrażeniami „Dziecko ma długi” i „»Długi« ma dziecko”. Nawet najkrótsza wypowiedź mogła zawierać pułapkę; polecenia „weź prysznic” nie należy traktować dosłownie.

Przez chwilę zastanawiał się nad wykorzystaniem pojedynczego wyrazu, lecz żadne z pojęć podanych przez komputer nie wydawało mu się właściwe. W końcu uznał, że należy wyemitować kilka krótkich zdań, co zmniejszało ryzyko błędu. Wybrał trzy możliwości: ODEJŚĆ DALEKO, NIE PRZYCHODZIĆ, TUTAJ ŹLE. Przynajmniej jedna z nich była zrozumiała niezależnie od szyku wyrazów.

Karen cały czas siedziała przy komputerze. Kilka minut po dziewiątej zdołała wyselekcjonować potrzebne wyrazy, teraz należało połączyć je w zdania. Peter potrzebował „pętli” umożliwiającej wielokrotne powtórzenie dźwięków. Postanowili posłużyć się magnetowidem, który automatycznie cofał taśmę po zakończeniu odtwarzania. Pozostawało jeszcze skrócić pauzy pomiędzy wyrazami. Przez kolejną godzinę nerwowo wciskali klawisze usiłując uzyskać prawidłowy - przynajmniej według ich mniemania - ciąg posapywań i westchnień.

Minęła dziesiąta.

Zza namiotu wynurzył się Munro. Trzymał laser.

- Naprawdę myślisz, że to przyniesie jakiś efekt?

- Nie wiem - potrząsnął głową Peter. Opadły go wątpliwości. Utrwalił na taśmie dźwięki wydawane przez samicę... Czy stado samców zechce wysłuchać jej poleceń? Czy zrozumieją słowa nie poparte mową gestów? Czy przekaz stanie się dostatecznie czytelny? Czy udało się zachować właściwe odstępy pomiędzy wyrazami? Czy nagranie w ogóle przyciągnie uwagę goryli?

Nie znał odpowiedzi na żadne z powyższych pytań. Mógł jedynie czekać.

Zagadką był także problem nagłośnienia. Karen wyjęła głośnik z małego magnetofonu i przykleiła go do owiniętego folią trójnożnego statywu, tworzącego coś w rodzaju parasola. Dźwięk brzmiał zaskakująco donośnie, lecz niewyraźnie.

Ledwie skończyli pracę, gdy wśród drzew okalających polanę rozległo się głośnie sapanie.

Munro zerknął na połyskującą czerwonym blaskiem diodę umieszczoną na lufie celownika, po czym zaczął przyglądać się zaroślom. Przez szkła noktowizora widział wyraźnie każdy listek. Szelest przybierał na sile, lecz ani jeden goryl nie pojawił się w pobliżu ogrodzenia. Mniejsze mały w milczeniu przycupnęły na gałęziach. W dżungli panowała głucha cisza, przerywana jedynie złowieszczym posapywaniem. Munro stwierdził, że dźwięki rzeczywiście przypominały mowę i...

Na skraju krzewów pojawił się olbrzymi samiec. Kahega pociągnął za spust, promień lasera zamigotał w ciemnościach. Rozległ się głośnie terkot miotacza, grad pocisków śmignął po liściach. Goryl bezgłośnie zniknął w gęstych paprociach.

Munro dał znak tragarzom, by zajęli wyznaczone stanowiska. W czerwonym blasku lamp pochylone sylwetki Murzynów rzucały długie cienie na metalową siatkę i okoliczne zarośla.

Sapanie rozbrzmiewało jeszcze przez kilka minut, po czym zaczęło cichnąć, aż umilkło.

- Co się dzieje? - spytała Karen. Munro zmarszczył brwi.

- Czekają.

- Na co?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Spokojnym krokiem obszedł posterunki, choć w głowie huczało mu od natłoku myśli. Potrafił przeczuć, co zrobi zraniony lampart, jak zachowa się bawół zapędzony w pułapkę... lecz tym razem miał do czynienia z

czymś, co wykraczało poza jego doświadczenie. Z niechęcią musiał przyznać się do niewiedzy. Czy samotny goryl pełnił funkcję zwiadowcy? Może atak został przerwany wskutek nieprzewidzianych okoliczności? A może była to próba nerwów, obliczona na zastraszenie przeciwnika? Obserwował nieraz, jak stado polujących szympanсів pozorowaną napaścią wzbudza niepokój wśród pawianów, oczekując dogodnego momentu do przeprowadzenia właściwej akcji.

Nad dżunglą przetoczył się donośny pomruk gromu. Kahega potrząsnął głową i wskazał na niebo. Znalazł odpowiedź.

- Cholera - zaklął Munro.

O wpół do jedenastej z nieba lunęły potoki tropikalnego deszczu. Delikatny głośnik natychmiast zamókł i pochylił się ku ziemi. Ulewa spowodowała spięcie w kablach zasilających ogrodzenie. Światła zaczęły migotać, dwie żarówki eksplodowały z głośnym trzaskiem. Miękka murawa zmieniła się w chlupiące bajoro; widoczność zmaląła do pięciu metrów. Co gorsza, krople deszczu tak głośno łomotały o liście, że obrońcy obozu musieli porozumiewać się krzykiem. Nie było mowy o uruchomieniu nagrania przygotowanego przez Petera, zresztą szum ulewy i tak tłumił wszelkie dźwięki. Ściana wody ograniczała skuteczność laserów i niwelowała działanie gazu łzawiącego. Wśród uczestników wyprawy zapanowało przygnębienie.

Pięć minut później goryle zaatakowały.

Niczym stado widm, pod osłoną deszczu zbliżyły się do obozu. Zaatakowały jednocześnie z trzech stron. Peter wiedział od samego początku, że tym razem zwierzęta zmienią metodę postępowania.

Wyciągnęły naukę z poprzednich porażek i doszły do wniosku, że czas zakończyć zabawę z intruzami.

„Mały człekokształtne, wyćwiczone na sprawnych i bezlitosnych wojowników”. Doskonale pamiętał swe słowa, a mimo to ze zdumieniem patrzył na wyłaniający się zza drzew zastęp szarych bestii. Atakowały falami, niczym zdyscyplinowany oddział żołnierzy. Lecz to nie ludzie walczyli przeciw ludziom. Wytrenowane w sztuce zabijania zwierzęta usiłowały zniszczyć grupę obcych, nieprzyjaznych istot. Insektów.

Nieistotne były przyczyny, które skłoniły kilkoro ludzi do podjęcia wyprawy w głąb Kongo. Goryle nie zabijały ani z głodu, ani ze strachu, ani w obronie potomstwa. Mordowały, bo nauczono je mordować.

Atak przebiegał ze zdumiewającą szybkością. W ciągu kilku sekund małpy wdeptały w błoto pozbawione prądu ogrodzenie i z rykiem wtargnęły na teren obozu. Zmoczona sierść nadawała im wygląd upiorów. Peter zauważył co najmniej tuzin zwierząt zajętych wywracaniem namiotów. Azizi zginął na miejscu, zabity ciosem kamiennego szpadla.

Munro, Kahega i Karen niemal jednocześnie otworzyli ogień do napastników, lecz ze względu na złą widoczność ich strzały nie odnosiły żadnego skutku. Promienie laserów ginęły wśród ulewy; pociski smugowe z sykiem opadały na rozmiękłą murawę. Jeden z miotaczy zaczął wirować wokół własnej osi sypiąc gradem kul we wszystkich kierunkach. Obrońcy przypadli do ziemi. Kilka małp zostało trafionych; ginęły przyciskając dłonie do piersi, jakby w ponurej parodii ludzkiego zachowania.

Peter stanął przy komputerze, lecz w tej samej chwili poczuł na szyi włochate ramiona. To była Amy. Odepchnął ją na bok i wdusił klawisz uruchamiający nagranie.

Stado szalało po całym obozie. Munro leżał na plecach, wciśnięty w błoto przez olbrzymie zwierzę. Karen zniknęła. Kahega zwarł się pierś w pierś z atakującym gorylem. Z głośnika popłynęły chrapliwe dźwięki, lecz żadna z małp nie zwróciła na to uwagi.

Muzezi dostał się w pole ostrzału szalejącego miotacza, podskoczył z głośnym krzykiem i rozdarty kulami runął na ziemię. Kilka goryli również leżało martwych lub umierających. Kanonada umilkła; wyczerpał się zapas amunicji. Jedna z małp silnym kopnięciem wrzuciła bezużyteczną broń do kałuży, gdzie miotacz oblepiony szlamem nadal drgał niczym ranne stworzenie.

Peter dostrzegł samotnego goryla metodycznie rwącego na długie pasy srebrzystą powłokę namiotu. Inny łomotał aluminiowymi naczyniami. Coraz więcej małp wbiegało na polanę. Posapujący głośnik nie wzbudzał w nich żadnego zainteresowania. Zawiodła ostatnia nadzieja ocalenia.

Pomału zbliżał się koniec starcia.

Wściekle pomrukujący samiec rzucił się w stronę Elliota wymachując kamiennymi szpadlami. Przerazona Amy całym ciałem przywarła do mężczyzny. Łapami zakryła mu oczy.

- Amy! - krzyknął Peter.

Usiłował uwolnić się z jej objęć, świadom, że lada chwila potężne uderzenie zgruchocze mu czaszkę...

Szary goryl był coraz bliżej. Peter napiął mięśnie. Jeszcze dwa metry...

Małpa zahamowała tak gwałtownie, że pośliznęła się na rozmięklej trawie i z rozmachem klapnęła w błoto. Usiadła, przechyliła głowę w bok i zaczęła nasłuchiwać.

Peter dopiero teraz spostrzegł, że ulewa zmieniła się w drobno siąpiącą mżawkę. Kolejny goryl zastygł w bezruchu. I jeszcze jeden... i następny... Obóz przypominał scenę *tableau vivant* z zamarzniętymi w oparach mgły sylwetkami zwierząt.

Małpy słuchały dźwięków płynących z głośnika.

Peter wstrzymał oddech. Goryle słuchały, jakby z niedowierzaniem. Nadal istniało niebezpieczeństwo, że gdy minie pierwsze zdziwienie, zwierzęta z furją podejmą przerwany atak.

Nic podobnego nie nastąpiło. Małpy ustąpiły pola. Munro dźwignął się na nogi. Podniósł z błota karabin, lecz nie oddał ani jednego strzału. Stojący w pobliżu samiec zdawał się być pogrążony w głębokim transie; całkowicie stracił ochotę do dalszej walki.

W łagodnym szumie opadających kropeł, w blasku migoczących świateł, goryle znikwały w dżungli. Były zmieszane i zawstydzone. Z głośnika nadal płynęły głębokie westchnienia.

Ostatnie zwierzę przekroczyło stratowane ogrodzenie i wtopiło się w mrok panujący pomiędzy drzewami. Ludzie spojrzeli po sobie. Byli zmęczeni, przemoczeni i zziębnięci, lecz nareszcie sami. Goryle odeszły.

Dwadzieścia minut później, gdy próbowali doprowadzić do porządku zniszczony obóz, burza przybrała na sile i na ziemię ponownie spłynęły strugi ulewnego deszczu.

DZIEŃ TRZYNASTY:

MUKENKO

25 czerwca 1979

1. Diamenty

Rankiem teren obozu pokrywała gruba warstwa popiołu. Z krateru Mukenko wydobywały się kłęby czarnego dymu. Amy pociągnęła Elliota za rękaw.

Teraz wracamy - gestykulowała natarczywie.

- Nie, Amy - odpowiedział mężczyzna.

Żaden z uczestników wyprawy nie przejawiał ochoty do powrotu. Peter stwierdził, że musi zebrać więcej informacji na temat szarych goryli. Nie wystarczał mu jedynie szkielet. Przede wszystkim nietypowe było zachowanie zwierząt, chciał więc utrwalić na taśmie życie stada i nagrać dźwięki ich „mowy”. Karen myślała wyłącznie o diamentach, a Munro w pełni akceptował jej decyzję o podjęciu dalszych poszukiwań.

Teraz wracamy.

- Dlaczego właśnie teraz?

Zła ziemia. Teraz wracamy.

Peter niewiele wiedział o aktywności wulkanów, lecz to, co zobaczył, nie wywarło na nim większego wrażenia. Zdążył już przywyknąć do widoku dymu i oparów.

- Myślisz, że są powody do obaw? - spytał przechodzącego przewodnika. Munro wzruszył ramionami.

- Kahega udaje wystraszonego. Prawdopodobnie szuka pretekstu, by wracać do domu.

Amy podbiegła do rozmawiających mężczyzn. Z rozmachem uderzyła dłońmi o ziemię. Munro pomyślał, że to zachęta do zabawy. Roześmiał się i wyciągnął rękę. Amy wykonała kilka gwałtownych ruchów.

- Co ona mówi? - spytał Munro nie przerywając łaskotania. - Co mówisz, mały diable?

Amy zamruczała z zadowolenia. Poruszyła palcami.

- Mówi, że powinniśmy wracać - wyjaśnił Elliot. Munro przerwał pieszczoty.

- Naprawdę? - spytał ostrym tonem. - A dlaczego?

Peter był zdziwiony jego nagłym zainteresowaniem, choć Amy uznała to za coś całkiem normalnego. Nie spuszczać wzroku z twarzy przewodnika wolno powtórzyła wszystkie gesty.

- „Zła ziemia”.

- Ciekawe... - mruknął Munro. Spojrzał na zegarek.

Nosowłosy człowiek słucha Amy teraz wracamy.

- Mówi, żebyś jej posłuchał i zarządził powrót.

- Powiedz, że rozumiem.

Elliot przetłumaczył odpowiedź. Amy zrobiła smutną minę i zrezygnowała z dalszej rozmowy.

- Gdzie Ross? - spytał Munro.

- Tutaj - odpowiedziała.

- Ruszamy.

Skierowali się w stronę ruin. Ku ogólnemu zdziwieniu, Amy zadeklarowała chęć uczestniczenia w poszukiwaniach i czym prędzej dołączyła do grupy.

Ostatniego dnia pobytu w Zinj niemal wszyscy uczestnicy wyprawy odnieśli wrażenie, że wymarłe miasto zostało nagle odarte z tajemnicy, która je spowijała. Były to teraz tylko spękane kamienne budynki, porośnięte wilgotną i cuchnącą roślinnością tropikalnego lasu.

Widok stał się po prostu nudny. Jedyne Munro zatroskanym wzrokiem przepatrywał okolicę.

Elliot rozwodził się nad werbalną inteligencją szarych goryli i koniecznością zarejestrowania szczegółów ich zachowania. W pewnej chwili spytał, czy może zabrać do Kalifornii zakonserwowany mózg jednej z małp zabitych podczas nocnego starcia. Wśród naukowców od dawna trwał spór o pochodzenie mowy: w myśl utartego poglądu słowa były prostym rozwinięciem zwierzęcych pomruków. Dopiero Paul Broca udowodnił, że ośrodek mowy znajduje się w zupełnie innej części mózgu... Munro nie zwracał uwagi na paplaninę Petera. Słuchał odległego dudnienia Mukenko.

Na własnej skórze przekonał się, czym grozi erupcja; podczas pobytu w Kongo w 1968 roku był świadkiem wybuchu Mbuti, wulkanu także należącego do masywu Virungi. Głośne eksplozje zapowiadały nadchodzące trzęsienie ziemi, a przesuwający się po liściach promień lasera dowodził niezbicie, że na górnych zboczach krateru wystąpiły pierwsze drgania.

Nie sposób było przewidzieć skutków wybuchu. Przez ponad pięć wieków ruiny Zinj trwały u stóp Mukenko nietknięte potokiem ognia. Jęzory zastygłej lawy wciskały się w głąb dżungli daleko od murów miasta. Ukształtowanie wulkanu sprawiało, że rozpalona masa znajdowała łatwiejsze ujście z południowej strony góry, choć nadal istniała groźba, iż przy kolejnej erupcji popłynie nowym korytem. Jednak nie to było

właściwym powodem do zmartwienia. Strumień lawy poruszał się powoli; rzadko dorównywał prędkości idącemu człowiekowi. Prawdziwe niebezpieczeństwo stanowiły gazy i popiół wyrzucane z krateru.

Większość ofiar aktywności wulkanów ginęła zaduszona pyłem i czadem. Tlenek węgla jest cięższy od powietrza. Miasto położone w kotlinie w ciągu kilku minut wypełniało się trującymi wyziewami. A Zinj ze wszystkich stron otaczały wzgórze...

Powstawało pytanie, kiedy nastąpi główna faza erupcji. Munro pilnie obserwował zachowanie Amy, ponieważ wiedział, że małpy człekokształtne miały „szósty zmysł” pozwalający im przewidzieć nadciągający wstrząs tektoniczny. Dziwiło go postępowanie Elliota, który wciąż nie dostrzegał powagi sytuacji i gadał bzdury o mrożonych mózgach. A Karen?... Znała się na geologii, a mimo to zlekceważyła opady popiołu wyraźnie wskazujące na początek erupcji.

Karen doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Rankiem zasiadła przed nadajnikiem, by spróbować nawiązać łączność z Houston. Ku jej zaskoczeniu, niemal natychmiast pojawiła się informacja, że odebrano sygnał. Poruszyła palcami po klawiszach, lecz ekran zgasł, po czym błysnęło krótkie zdanie:

HUSTN PRZKAZ BZWGLEDNE PRWSZENSTWO.

Sygnał używany jedynie w sytuacjach najwyższego zagrożenia. Zetknęła się z nim po raz pierwszy, lecz знаła procedurę postępowania. Pośpiesznie oczyściła bank pamięci i wcisnęła klawisz wywołania. Nastąpiła chwila przerwy.

KOMPUTR PRZWIDUJE WLK ERUPCJA MUKENKO NATYCHMIAST OPSCIC TEREN RUIN EXPDYCJA W NBEZP-CZNSTWIE PWTRZAM NATYCHMIAST OPSCIC TEREN.

Karen rozejrzała się po obozie. Kahega przyrządzał śniadanie, Amy siedziała w pobliżu ogniska, zajęta jedzeniem pieczonego banana (od dłuższego czasu Murzyn darzył ją szczególnymi względami), Elliot i Munro popijali kawę. Na pozór wszystko wyglądało normalnie, wrażenie psuła jedynie gruba warstwa czarnego popiołu pokrywająca okolicę. Karen powtórnie spojrzała na monitor.

WLK ERUPCJA MUKENKO NATYCHMIAST OPSCIC TEREN RUIN.

Przeniosła wzrok na pióropusz dymu widoczny nad kraterem. Do diabła z wulkanem, pomyślała. Zbyt daleko dotarła, by wracać z pustymi rękami.

Na ekranie zamigotał kolejny napis:

CZEKM PTWRDZENIE ODBIORU.

Wyłączyła nadajnik.

Późnym rankiem odczuli serię podziemnych wstrząsów; z pokruszonych ścian budynków posypały się tumany kurzu. Groźny pomruk wulkanu przybrał na sile. Karen zachowywała się z niezmaconym spokojem.

- To znaczy, że jesteśmy w krainie słoni - powiedziała. Wśród geologów krążyło powiedzenie: „Jeśli szukasz słonia, idź do krainy słoni”. „Krainą słoni” nazywano miejsce występowania określonych minerałów.

- Jeśli szukasz diamentów, idź do krainy wulkanów - dodała ze wzruszeniem ramion.

Już ponad sto lat temu zauważono, że złoża diamentów występują w pobliżu wulkanów, lecz dalsze badania tego zjawiska utknęły w martwym punkcie. Powszechnie przyjęta teoria zakładała, że kryształy węgla powstają pod wpływem wysokiej temperatury i ciśnienia panującego w górnych warstwach płaszcza perydotytowego, około tysiąca sześciuset kilometrów pod powierzchnią ziemi. Diamenty pozostawały nietknięte do czasu, aż strumień rozpalonej magmy unosił je w górę, w kierunku krateru.

Rzecz jasna, nie trzeba było wchodzić do wnętrza czynnego wulkanu, by znaleźć cenne minerały. Większość złóż znajdowała się w okolicach od dawna nie przejawiających aktywności sejsmicznej, w skamieniałych „szyszkach” zwanych kimberlitami (od nazwy południowoafrykańskiego miasta Kimberley). Virunga, położona w pobliżu niestabilnej geologicznie Rift Valley, od pięćdziesięciu milionów lat była zalewana potokami lawy. Karen poszukiwała tych samych skał, które swego czasu znaleźli mieszkańcy Zinj.

Tuż przed południem, w połowie drogi ku wzgórzom po wschodniej stronie miasta, zauważyła na wpół zasypany ciąg tuneli wiodących w głąb ziemi, w stronę Mukenko.

Peter był rozczarowany.

„Nie wiem, czego się spodziewałem”, powiedział później. „Zobaczyłem zwykły ziemny tunel o wyrudziałyach ścianach, z których gdzieniegdzie sterczał kawałek brązowej skały. Karen wpadła w zachwyty, a ja niczego nie rozumiałem”.

Kawałki brązowej skały były w rzeczywistości diamentami. Po oczyszczeniu

miały przejrzystość okopconej szyby.

„Myśleli, że zwariowałam”, opowiadała Karen, „ponieważ zaczęłam skakać z radości. Nie zdawali sobie sprawy, na co patrzą”.

W pokładach kimberlitu diamenty były zazwyczaj rozsypane dość rzadko; na każde sto ton wydobytej skały przypadają zaledwie trzydzieści dwa karaty - niecałe sześć i pół grama błyszczących okruchów. Kopalnia Zinj stanowiła wyjątek. Munro wydłubał maczetą ze ściany chodnika bryłkę o masie sześciuset karatów, a w promieniu kilkunastu metrów tkwiło jeszcze sześć lub siedem o podobnej wielkości.

„W zasięgu wzroku”, mówiła Karen, „leżały diamenty o łącznej masie czterech tysięcy karatów, dostępne bez rycia sztolni czy kruszenia skały. Wystarczyło sięgnąć ręką... To było niewiarygodne. Zasoby złoża przekraczały bogactwo kopalni Premier w Południowej Afryce”.

Jednak nie wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione.

- Dlaczego ludzie opuścili miasto, skoro w kopalni jest pełno diamentów?! - nie wytrzymał Peter. Karen już od dłuższej chwili zastanawiała się nad tym pytaniem.

- Goryle wyrwały się spod kontroli - zachichotał Munro, nie przerywając skrobienia po ścianach. - Urządziły zamach stanu.

Peter powtórzył swą wcześniejszą teorię o epidemii. Karen uznała, iż rzeczywisty powód był całkiem prozaiczny.

- W pojęciu mieszkańców Zinj zasoby kopalni wyczerpały się - powiedziała. Diamenty nie przedstawiały wartości jubilerskiej: były niebieskawe i miały wiele zanieczyszczeń.

- Nikt nie przypuszczał, że pięćset lat później pozornie bezużyteczny kawałek kryształu stanie się obiektem pożądania niemal całego świata.

- Skąd to zainteresowanie?

- Błękitny diament może zmienić oblicze świata - odpowiedziała cicho Karen. - Może zakończyć erę atomu.

2. Wojna z szybkością światła

W styczniu 1979 roku generał Franklin F. Martin z Pentagonu, zeznający przed senacką komisją do spraw zbrojeniowych, powiedział:

„W 1939 roku, w pierwszych dniach wojny światowej, Kongo Belgijskie było najważniejszym krajem świata dla amerykańskiego przemysłu wojskowego”.

Według Martina „pewien przypadek geograficzny” sprawił, że Kongo - obecny Zair - przez czterdzieści lat pozostawało w sferze żywotnych interesów administracji amerykańskiej i miało utrzymać swą pozycję w najbliższej przyszłości. (Generał stwierdził buńczucznie, że „nasz kraj będzie bronił Zairu z większą zaciętością, niż broni zasobów ropy w państwach arabskich”.)

W czasie działań wojennych trzy tajne konwoje przewiozły do Stanów Zjednoczonych ładunek uranu, niezbędny do skonstruowania bomb atomowych zrzuconych później na Japonię. W latach sześćdziesiątych Amerykanie zmienili zainteresowania: poszukiwali kobaltu i miedzi. Dziesięć lat później przemysł elektroniczny zaczął domagać się dostaw tantalu, wolframu i germanu do produkcji półprzewodników. „W nadchodzącym dziesięcioleciu nastąpi wzrost znaczenia militarnego tak zwanych diamentów typu IIb, a mamy wszelkie podstawy, by przypuszczać, że w ziemi Zairu kryje się największe złoża tych minerałów”. Generał Martin uważał, iż „brutalna siła współczesnej broni zostanie zastąpiona przez szybkość oraz inteligencję”.

Eksperci wojskowi przez trzydzieści lat głowili się nad konstrukcją rakiet międzykontynentalnych. Zdaniem Martina pociski ICBM¹⁰ były zbyt prymitywne.

„Nie zbliżają nas nawet o krok do teoretycznych barier ustanowionych przez prawa fizyki. Einstein zakładał, że nic w przyrodzie nie może poruszać się z szybkością większą niż prędkość światła, czyli trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Lasery pulsacyjne i broń wykorzystująca promieniowanie cząsteczkowe pozwolą na prowadzenie działań właśnie z taką prędkością. Pocisk balistyczny, zdolny w ciągu godziny pokonać odległość dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów, stanie się dinozaurem, reliktem minionej epoki, równie nieprzydatnym i łatwym do wyeliminowania jak kawaleria na polach bitew drugiej wojny światowej”.

Nowa broń przenosiła działania wojenne w kosmos. Martin wspomniał, że już w 1973 roku Rosjanom udało się „strącić” amerykańskiego satelitę szpiegowskiego

Wz02. W połowie lat siedemdziesiątych w zakładach lotniczych Hughesa powstał sprzężony system celowniczy, umożliwiający zestrzelenie kilku obiektów jednocześnie. W ciągu sekundy następowała emisja ośmiu wiązek energii. W 1978 roku eksperci od Hughesa zredukowali czas reakcji do pięćdziesięciu nanosekund - pięćdziesięciu miliardowych części sekundy - przy jednoczesnym zwiększeniu skuteczności. Broń balistyczna rzeczywiście stawała się przeżytkiem.

„Miejsce gigantycznych rakiet zajmą miniaturowe, ultraszybkie komputery i to one właśnie zdeterminują obraz działań podejmowanych w czasie trzeciej wojny światowej. Dwadzieścia lat temu siłą napędową wyścigu zbrojeń była moc wybuchu jądrowego. Teraz tę samą funkcję pełni szybkość przetwarzania danych.

W najbliższej przyszłości obwody elektroniczne zostaną zastąpione wiązkami światła. Tak zwany interferometr Fabry-Perota - optyczny odpowiednik tranzystora - działa z prędkością jednej pikosekundy (10^{-12} sekundy) i jest co najmniej tysiąc razy szybszy niż układ wykorzystujący zjawisko Josephsona”. A do produkcji nowej generacji komputerów niezbędny był kryształ węgla - błękitny diament typu IIb.

Peter niemal natychmiast zdał sobie sprawę z konsekwencji planowanego rozwoju techniki militarnej. Szybkość działań przekraczała zdolność pojmowania człowieka, przyzwyczajonego do prowadzenia walki przy użyciu konwencjonalnych maszyn i urządzeń.

Wojna przyszłości miała być rozgrywana przez komputery, a czas jej trwania nie przekraczałby kilku minut.

W 1956 roku, gdy na niebie wciąż królowały bombowce strategiczne, eksperci przewidywali, że konflikt nuklearny trwałby dwanaście godzin. Siedem lat później pociski balistyczne osiągały najbardziej odległy cel w trzy godziny. W 1974 roku teoretyczna „półgodzinna wojna” powodowałaby więcej zniszczeń niż jakiegokolwiek inne starcie w historii cywilizacji.

Gdyby w latach pięćdziesiątych Amerykanie i Rosjanie użyli całego potencjału militarnego, w ciągu pierwszej godziny konfliktu w powietrzu znalazłoby się nie więcej niż dziesięć tysięcy obiektów latających. Częstotliwość działań zaczepno-obronnych wyniosłaby około piętnastu tysięcy na godzinę.

Nowa taktyka podnosiła liczbę „systemów szybkiego reagowania” do niemal astronomicznych wielkości. Według obliczeń, na świecie działało czterysta milionów

¹⁰ *Intercontinental ballistic missile* - międzykontynentalny pocisk balistyczny.

komputerów o ściśle wojskowym przeznaczeniu, zdolnych do przeprowadzenia piętnastu miliardów akcji w ciągu trzydziestu minut.

Osiem milionów działań na sekundę... Człowiek stawał się zbytecznym dodatkiem do maszyny. „Trzecia wojna światowa nie będzie polegać na naciskaniu guzików, ponieważ czas ludzkiej reakcji wynosi jedną i osiem dziesiątych sekundy, a to we współczesnym konflikcie oznacza całą wieczność”, stwierdził generał Martin.

Powstawał problem określany przez Martina „problemem skały”.

„Współczesny komputer w mgnieniu oka wykonuje tysiące obliczeń. Z punktu widzenia maszyny przeznaczonej do prowadzenia działań wojennych, człowiek jest istotą niezmienną, nieruchomą niczym skała. Wojna komputerowa wejdzie w decydującą fazę, nim ktoś z nas zdąży zrozumieć, że się zaczęła”.

Z powyższego rozumowania wynikał prosty wniosek, że dowodzenie działaniami należało także podporządkować inteligencji maszyn cyfrowych.

„Nie ludźmy się, że w nadchodzącym starciu jakakolwiek decyzja będzie zależała od człowieka. Ten, kto zawierzy ludziom, już dziś może uważać się za pokonanego. Naszą jedyną nadzieją są maszyny. Ludzka etyka, wartości i sposób myślenia muszą zejść na dalszy plan. Trzecia wojna światowa stanie się wojną reprezentacji; wojną maszyn pozbawionych uczucia strachu, które w krytycznych momentach mogłoby przechylić szalę zwycięstwa na korzyść wroga”.

Ostatni etap - przekształcenie komputerów działających w ciągu nanosekundy w komputery działające w ciągu pikosekundy - zależał wyłącznie od zasobów złoża wypełnionego diamentami typu IIb.

Peter z niepokojem myślał o maszynach obarczonych odpowiedzialnością za los człowieka. Karen wzruszyła ramionami.

- To nieuniknione - powiedziała. - W wąwozie Olduvai w Tanzanii odkryto ślady domu sprzed dwóch milionów lat. Człekokształtne stworzenia nie były zadowolone z jaskiń i innych schronień oferowanych im przez przyrodę; stworzyły całkiem nowe siedlisko. Od samego początku istnienia ludzie zmieniali prawa natury.

- Nie powinniśmy tracić kontroli nad naszym postępowaniem.

- Robimy to już od stuleci - odparła. - Czym jest zwierzę pociągowe? Albo kieszonkowy kalkulator? Nie chciało nam się własnoręcznie uprawiać pola, ani obarczać umysłu obliczeniami, więc zawierzyliśmy obcej inteligencji wytresowanej, wykarmionej lub po prostu stworzonej przez człowieka.

- Dominacja maszyn jest zupełnie czymś innym! - zawołał Peter.

- Robimy to już od stuleci - powtórzyła Karen. - Posłuchaj uważnie: jeśli zrezygnujemy z produkcji szybszych komputerów, całą inicjatywę przejmą Rosjanie. Gdyby nie czujność Chińczyków, już dawno siedzieliby w Zairze szukając diamentów. Nie możemy powstrzymać rozwoju techniki. Należy wykorzystać każdą możliwość postępu.

- Musimy zachować zdolność do podejmowania własnych decyzji - odparł Elliot. - Nie chcę w tym uczestniczyć.

- Więc odejdz. Kongo to nie najlepsze miejsce do akademickich dyskusji.

Wyjęła z plecaka kilka białych, ceramicznych stożków oraz taką samą liczbę niewielkich pudełek zakończonych krótką anteną: Zaczęła rozmieszczać przedmioty wzdłuż ścian sztolni, coraz głębiej wchodząc w ciemność.

Peter nie wesoly Peter.

- Nie - odparł Elliot.

Dlaczego nie wesoly?

- Trudno to wytłumaczyć, Amy.

Peter powie Amy dobry goryl.

- Wiem, Amy.

Karen wynurzyła się z pierwszego tunelu i zniknęła w następnym. Elliot przez chwilę widział blade światło latarki.

W blasku słońca pojawił się Munro. Kieszenie kurtki miał wypchane diamentami.

- Gdzie Ross?

- W kopalni.

- Co robi?

- Prawdopodobnie chce zebrać kilka próbek. - Peter wskazał na trzy białe przedmioty leżące wśród trawy. Munro wyciągnął rękę. Starannie obejrzał ceramiczny stożek.

- Wiesz, co to jest? - spytał. Elliot potrząsnął głową.

- RC. Upadła na głowę, jeśli ma zamiar je wykorzystać. Wysadzi w powietrze całą okolicę.

Materiał wybuchowy określany skrótem RC stanowił połączenie elektroniki z konwencjonalnym ładunkiem.

- Używaliśmy tego dwa lata temu do niszczenia mostów w Angoli - powiedział Munro. - Przy prawidłowym rozmieszczeniu wystarczy sto dwadzieścia gramów, by zwalić pięćdziesiąt ton solidnie zespawanej stali.

Zerknął na porzucony plecak.

- Czujnik umieszczony na pudełku reaguje na drgania fal dźwiękowych powstających przy wybuchu, a to po upływie precyzyjnie określonego czasu powoduje odpalenie następnej miny. Powstaje silny rezonans i konstrukcja mostu zostaje po prostu „roztrzęsiona” na strzępy, co daje niezwykle widowiskowy efekt.

Rzucił okiem w kierunku dymiącego krateru. Z głębi sztolni wyłoniła się uśmiechnięta Karen.

- Zaraz poznamy odpowiedź - stwierdziła.

- Odpowiedź?

- Dotyczącą długości pokładów kimberlitu. Założyłam dwanaście ładunków, więc zyskamy dostateczną liczbę próbek.

- Założyłaś dwanaście ładunków rezonansowych? - spytał Munro.

- Wszystkie, jakie miałam. Powinno wystarczyć.

- Aż nadto - odparł mężczyzna. Wyciągnął dłoń w stronę Mukenko. - Wulkan jest w fazie erupcji.

- Wykorzystałam zaledwie osiemset gramów materiału wybuchowego - odpowiedziała ze zniecierpliwieniem. - Nie powstaną żadne naprężenia w głębi ziemi.

- Miejmy nadzieję.

Peter z mieszanymi uczuciami przysłuchiwał się sprzeczce. Obiekcje przewodnika były śmieszne; kilka małych ładunków nie mogło wywołać wybuchu wulkanu. Dlaczego Munro wciąż mówił o zagrożeniu? Być może wiedział o czymś, czego pozostali członkowie wyprawy nie potrafili sobie nawet wyobrazić.

3. DOD/ARPD/VULCAN 7021

W 1978 roku Munro był przewodnikiem ekspedycji wyruszającej w głąb Zambii. Wśród uczestników wyprawy znajdował się Robert Perry, młody geolog z uniwersytetu hawajskiego, jeden z współtwórców „Projektu Vulcan” finansowanego przez wydział badań amerykańskiego departamentu obrony.

„Vulcan” wywoływał wiele kontrowersji nawet wśród sztabowców. W 1975 roku otrzymał kryptonim DOD/ARPD/VULCAN 7021 i na wszelki wypadek został enigmatycznie określony jako „długoterminowy program wzmocnienia bezpieczeństwa narodowego”. Jednak rok później hawajski kongresman partii demokratycznej, David Inaga, zażądał wyjaśnień dotyczących militarnej strony projektu oraz „odpowiedzi na pytanie, dlaczego badaniami objęto wyłącznie obszar stanu Hawaje”.

Rzecznik Pentagonu oświadczył, że właściwym celem działań jest stworzenie „systemu ostrzegania przed tsunami”, które stanowiły groźbę zarówno dla cywilnych mieszkańców archipelagu, jak i dla instalacji wojskowych rozmieszczonych na wyspach. Przypomniał również, że w 1948 roku gigantyczna fala wywołana podmorskim trzęsieniem ziemi zniszczyła Kauai, a po dwudziestu minutach - zanim zdołano przekazać sygnał o katastrofie - dotarła do Oahu i Pearl Harbor.

„Wspomniana fala tsunami powstała u wybrzeży Japonii, lecz należy pamiętać, że i na Hawajach jest kilka czynnych kraterów” - głosiło oświadczenie. „System pozwalający przewidzieć zagrożenie na podstawie obserwacji aktywności sejsmicznej wulkanów miałby ogromne znaczenie nie tylko dla półmilionowego Honolulu, lecz także dla urządzeń marynarki wojennej, których łączna wartość przekracza trzydzieści pięć miliardów dolarów”.

W rzeczywistości „Vulcan” nie był wcale „długoterminowym programem”, jak twierdzili sztabowcy; miał się zakończyć tuż po erupcji największego z czynnych wulkanów świata, Mauna Loa. Mimo ogromu krateru strumień lawy wypływał dość łagodnie i eksperci z U.S. Army byli przekonani, że uda im się opracować metodę umożliwiającą kontrolowanie żywiołu.

Stożek Mauna Loa wznosił się na wysokość czterech tysięcy stu siedemdziesięciu metrów nad poziom morza, lecz mierząc od dna oceanu góra była dwukrotnie większa od Mount Everestu i stanowiła unikatową formację geologiczną. Od dawna cieszyła się szczególnym zainteresowaniem naukowców. W 1928 roku na

jej zboczach postawiono pierwszą stałą stację badawczą. Tu także człowiek sprawdzał swe możliwości w walce z nieokiełznanymi dotąd siłami przyrody. W czasie erupcji, która następowała przeciętnie co trzy lata, potoki lawy kierowano ku morzu za pomocą nalotów bombowych lub całkiem zwyczajnie, używając łopat i worków z piaskiem.

Twórcy „Vulcana” zamierzali zmienić przebieg wybuchu poprzez „wentylację” krateru i uwolnienie olbrzymich ilości płynnej magmy. W pęknięciach skorupy pokrywającej zbocza góry umieszczono konwencjonalne ładunki wybuchowe z czujnikiem rezonansowym. Realizacja projektu przebiegała w ścisłej tajemnicy. W październiku 1978 roku w okolicach Mauna Loa pojawiły się śmigłowce marynarki wojennej. Nastąpiło kilka detonacji. Po dwóch dniach cywilny ośrodek badań Mauna Loa Volcanic Laboratory podał do wiadomości publicznej, że „październikowa erupcja miała znacznie łagodniejszy przebieg, niż przewidywano, i nie należy spodziewać się dalszych wybuchów”.

„Vulcan” opatrzony był nagłówkiem „ściśle tajne”, lecz Munro poznał wiele szczegółów podczas nocnej pijatyki w obozie koło Bangazi. Program opierał się na założeniu, że do rozpętania gigantycznego kataklizmu - tajfunu, trzęsienia ziemi lub wybuchu wulkanu - wystarczy stosunkowo niewielka ilość energii.

Karen skończyła przygotowania do odpalenia ładunków.

- Spróbuj nawiązać łączność z Houston - odezwał się Munro.

- To bezcelowe - odpowiedziała stanowczym głosem. - Okoliczności zmuszają mnie do samodzielnego podjęcia decyzji. Mam zamiar sprawdzić, czy złożę jest wystarczająco bogate.

Amy nie zwracała uwagi na ich kłótnię. Z ciekawością spoglądała na migoczący maleńkimi światełkami detonator, który spoczywał obok plecaka. Po chwili zastanowienia wzięła przedmiot do ręki i wyciągnęła palec w stronę przycisku.

Karen spojrzała przez ramię.

- O Boże...

Munro pośpiesznie obrócił głowę.

- Amy - powiedział łagodnym tonem. - Amy, nie. Nie. Niedobra Amy.

Amy dobry goryl Amy dobra.

Była zafascynowana połyskującymi lampkami. Z roztargnieniem popatrzyła na ludzi.

- Amy, nie - powtórzył Munro. Zerknął na Elliota. - Możesz ją jakoś powstrzymać?

- Mam to gdzieś - powiedziała Karen. - Zaczynaj, Amy.

Seria eksplozji wypełniła podziemne korytarze tumanem diamentowo błyszczącego pyłu. Zapadła cisza.

- Mam nadzieję, że wszyscy są zadowoleni - odezwała się Karen. - Tak niewielki wybuch nie mógł poruszyć wulkanu. Na przyszłość proszę nie wtrącać się do ściśle naukowych...

Z krateru Mukenko wydobył się groźny pomruk. Ziemia drgnęła tak gwałtownie, że wszyscy poupadali.

4. ERTS Houston

O pierwszej w nocy czasu lokalnego R. B. Travis z marsową min;(zasiadł przed monitorem komputera. Za pośrednictwem GSFC otrzymał z obserwatorium Kitt Peak nowe informacje dotyczące fotosfery. Spodziewał się ich znacznie wcześniej i był w wyjątkowo złym nastroju.

Negatyw przedstawiał czarną tarczę Słońca upstrzoną białymi rzędami punktów. Travis naliczył co najmniej piętnaście większych plam; jedna z nich stanowiła gigantyczną protuberancję - prawdziwe źródło kłopotów.

Szef ERTS-u już od dwóch dni nie opuszczał biura. Sypiał przy biurku.

Jedna z ekspedycji przebywała w Pakistanie, w pobliżu targanej niepokojami granicy z Afganistanem, druga w Malezji, w samym centrum komunistycznej rebelii, a trzecia w Kongo wśród zbuntowanych krajowców i stada nieznanymi małpoludów. Słoneczny wybuch uniemożliwił im wszelką łączność z centralą. Travis zażądał weryfikowanej co sześć godzin symulacji komputerowej, lecz wyniki nie napawały optymizmem. Wyprawa do Pakistanu miała szansę na uniknięcie kłopotów kosztem sześciodniowego opóźnienia, co zwiększało wydatki o dwieście tysięcy dolarów, grupa „malajska” znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie, a sytuacja trzeciej ekspedycji została określona jako CANNY, co w żargonie technicznym było skróconą wersją słów „can not estimate” - „niemożliwa do ustalenia”. Travis pamiętał dwie podobne wyprawy: do Amazonii w 1976 roku i do Sri Lanki w 1978. Obie zakończyły się śmiercią kilku uczestników.

Sprawy szły źle, choć ostatni raport astronomów był nieco lepszy od poprzedniego. Przed paroma godzinami nawiązano krótkotrwałą łączność z Kongo, choć Karen Ross nie potwierdziła odebrania sygnału. Travis zastanawiał się, czy zrozumiała ostrzeżenie. Z wściekłością spojrzął na zdjęcie Słońca.

W drzwiach gabinetu pojawił się jeden z informatyków, Richards.

- Mam coś na temat Kongo.

- Wal - burknął Travis. Znał wagę każdej informacji.

- Stacja sejsmologiczna uniwersytetu w Johannesburgu przekazała wiadomość o silnych ruchach tektonicznych, jakie miały miejsce o dwunastej zero cztery. Epicentrum znajdowało się gdzieś w okolicach Mukenko, w paśmie Virungi. Siła wstrząsów wynosiła od pięciu do ośmiu stopni w skali Richtera.

- Są jakieś potwierdzenia?

- Najbliższa stacja, w Nairobi, zanotowała wstrząsy o sile od sześciu do dziewięciu stopni. Dziewiątka Morellego. Nastąpiła także seria wyładowań atmosferycznych.

Travis spojrzął na zegarek.

- Dwunasta zero cztery minęła godzinę temu. Dlaczego nie zawiadomiono mnie od razu?

- Dopiero teraz nadeszły informacje z Afryki - wyjaśnił Richards. - Dla nich to nic szczególnego. Jeszcze jeden wybuch wulkanu.

Travis westchnął. Od wielu lat aktywność wulkaniczną uznawano za całkiem normalne zjawisko. W 1965 roku zaczęto notować dane o każdej erupcji. Co roku dopisywano przeciętnie dwadzieścia dwa duże wybuchy - jeden na dwa tygodnie. Stacje badań niespiesznie podawały wiadomości o tak „prozaicznych” wydarzeniach; opóźnienie było wyrazem ostentacyjnego znudzenia.

- Mieli problemy z transmisją - dodał Richards. - Po przerwaniu łączności satelitarnej cały przekaz idzie kablem. W dodatku są przekonani, że północno-wschodnia część Kongo jest całkowicie nie zamieszkana.

- Jak wygląda „dziewiątka Morellego”?

Richards milczał przez chwilę.

- Paskudnie, szefie.

5. „Wszystko zaczęło się ruszać”

W samym Kongo wstrząsy osiągnęły osiem stopni w skali Richtera. Przy tym natężeniu drgania są tak gwałtowne, że ludzie mają kłopoty z zachowaniem równowagi. Ziemia pęka i tworzą się głębokie rozpadliny; drzewa, a nawet konstrukcje z żelazobetonu ulegają całkowitemu zniszczeniu.

W ciągu pięciu minut, jakie upłynęły od serii podziemnych wybuchów, dżungla wokół wulkanu zmieniła się w przedsionek piekła. Elliot wspominał:

„Wszystko się ruszało. Upadliśmy na ziemię; mogliśmy jedynie pełzać na czworakach, niczym niemowlęta. Oddaliliśmy się od tuneli, lecz budynki miasta chwiały się jak olbrzymia galareta. Po chwili - może po minucie - kamienne ściany zaczęły się walić. Mury i stropy runęły jednocześnie, olbrzymie głązy toczyły się po dżungli. Pnie drzew pękały z głośnym trzaskiem”.

Trzęsieniu ziemi towarzyszył ogłuszający hałas, potęgowany dudnieniem wulkanu. Mukenko przestał pomrukiwać; w takt ostrych eksplozji lava torowała sobie drogę ku powierzchni. Fale rozgrzanego powietrza, powstające przy każdym wybuchu, dopełniały dzieła zniszczenia.

- W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że dostałem się w sam środek pola bitwy - mówił Elliot.

Amy wpadła w panikę. Pomrukując ze zgrozy, uczepiła się ramion Petera i zalała mu ubranie strumieniem moczu. Pośpiesznie wracali w stronę obozu.

Kolejny wstrząs rzucił Karen na ziemię. Wstała z trudem. Z krateru wydobywały się smoliste kłęby wulkanicznego popiołu i pyłu. Niebo poczerniało w ciągu kilku minut, wśród gęstych chmur zamigotały błyskawice. Rosa pokrywająca rośliny po nocnej ulewie wypełniała powietrze intensywnym zapachem wilgoci; zbliżała się burza. Karen poczuła przewrotną chęć podjęcia spokojnej obserwacji niecodziennego zjawiska, lecz instynkt samozachowawczy zmuszał ją do ucieczki.

Oślepiająca, błękitnobiała błyskawica oznajmiła o nadejściu nawałnicy. Wyładowania sypały się niczym krople deszczu. W pierwszej minucie burzy w ziemię uderzyło ponad dwieście piorunów - trzy na sekundę. Trzask błyskawic zmienił się w ciągły, monotony dźwięk przypominający ryk wodospadu. Ludzie zakryli dłońmi bolące uszy.

Wszystko działo się tak szybko, że nie mieli czasu na przemyślaną reakcję. Świat stanął na głowie. Tuż przed granicą miasta czekał jeden z tragarzy, Amburi. Z

uniesioną dłonią ruszył na spotkanie. Strzelająca z ziemi błyskawica odrzuciła go o kilkanaście metrów i po pniu drzewa poszybowała w stronę nieba. Karen wiedziała, że zjawisko zostało wywołane przez opad elektronów, lecz co innego wiedzieć, co innego zobaczyć... Amburi zerwał się na nogi, wrzeszcząc histerycznie.

Okoliczne drzewa jęczały i sypały drzazgami pod ciosami piorunów. W powietrze wzbijały się kłęby pary.

„Oślepiające światło błyskawic zalewało okolicę widmowym blaskiem”, opowiadała Karen. „Panował nieustanny huk i hałas. Tragarz [Amburi] wciąż piszczał. Kolejny piorun trafił wprost w niego. Stałam na wyciągnięcie ręki, lecz zauważyłam jedynie bladą poświatę wydzielającą niewielką ilość ciepła. Poczułam ostry swąd palonego mięsa. Sztywno wyprężone ciało Murzyna buchnęło płomieniem. Upadł. Munro przetoczył go kilka razy po ziemi, by zdusić ogień, lecz tragarz już nie żył. Popędziliśmy w kierunku obozu. »Popędziliśmy« to niewłaściwe słowo, ponieważ wciąż byliśmy przewracani przez wstrząsy ziemi. Słyszałam głośny krzyk, lecz nie wiedziałam, kto krzyczał. Byłam przekonana, że wszyscy zginiemy”.

Drogę do obozu zagroził im wywrócony pień gigantycznego drzewa. Przeszkoda wznosiła się na wysokość dwupiętrowego budynku. Gdy przedostali się na drugą stronę, wśród mokrych gałęzi zamigotała błyskawica, z sykiem i trzaskiem sunąca po konarach. Błękitna poświata otoczyła dłoń Amy. Małpa zeskoczyła na ziemię, ukryła głowę w niskich zaroślach i zamarła w bezruchu. Elliot musiał użyć siły, by zaciągnąć ją do obozu.

Munro pierwszy wpadł na polanę. Kahega usiłował zebrać rozsypany ekwipunek, lecz ciągle drgania ziemi uniemożliwiały mu jakiegokolwiek działanie. Jeden z namiotów zaczął płonąć. Poczuli ostry swąd rozgrzanego plastiku. Piorun rozdarł srebrzystą antenę; w powietrzu wirowały kawałki metalu.

- W nogi! - krzyknął Munro. - Uciekamy!

- *Ndio mzee!* - wrzasnął Kahega chwytając plecak. Rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu pozostałych uczestników wyprawy. Z chmury popiołu wynurzył się Peter niosący Amy. Mężczyzna miał zranione kolano i lekko kulał. Małpa zeskoczyła mu z ramion.

- Uciekamy! - powtórzył Munro.

Karen zanosła się głośnym kaszlem. Piorun osmałił jej lewą część ciała i poparzył skórę dłoni, choć nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to się stało. Wskazała na nos i gardło.

- Pali... boli... - wycharczała.

- Gaz! - krzyknął Munro. Chwycił kobietę w ramiona i na wpół niosąc, na wpół ciągnąc, ruszył w kierunku wzgórza.

- Musimy wejść jak najwyżej!

Godzinę później znaleźli się ponad kotliną. Ruiny spowijała gęsta zasłona dymu i popiołu. Drzewa porastające zbocza wulkanu stanęły w ogniu. Niewidoczny jeszcze potok lawy rozpoczął wędrówkę w dół stoku. W zaroślach rozległy się bolesne krzyki szarych goryli, szukających schronienia przed deszczem rozpalonych odłamków. Pas roślinności otaczający miasto stawał się coraz węższy, aż w końcu zniknął pod ciemną chmurą pyłu.

Zaginione miasto Zinj zostało pogrzebane.

Karen zrozumiała nagle, że nie odzyska diamentów.

6. Kraina cieni

Nie mieli wody, pożywienia ani wystarczająco dużo amunicji. Zmęczeni, w podartych i popalonych ubraniach przedzierali się przez zarośla. Nie rozmawiali. Z tępym uporem szli naprzód. Elliot wspominał później, że był to „marsz przez krainę cieni”.

Wokół ciągnęła się posępna, pozbawiona kolorów dżungla. Połyskujące niegdyś białą pianą strumienie i wodospady zamieniły się w błotnistą breję, pokrytą szarym nalotem. Na ołowianym niebie od czasu do czasu migotały czerwone płomienie wydobywające się z wnętrza krateru. Gęsta zawiesina pyłu oraz sadzy drażniła gardła i zmuszała do ciągłego kaszlu.

Popiół osiadał wszędzie - na plecach, na pokrytych głębokimi bruzdami twarzach, na włosach... Gryzł w oczy i wdzierał się w głąb nosa. Ludzie byli bezradni; nie pozostawało im nic innego, niż wędrować dalej.

Karen miała własne powody do zmartwienia. Poniosła porażkę, która w ironiczny sposób kończyła jej karierę. Znała opinię psychologów, ponieważ od dawna miała dostęp do archiwum ERTS-u.

MŁODZIEŃCZA BEZWZGLĘDNOŚĆ (prawdopodobnie) / ZNIKOMA POTRZEBA KONTAKTÓW MIĘDZYLUDEK (to nieprawda) / CHEĆ DOMINACJI (być może) / POCZUCIE WYŻSZOŚCI INTELEKTUALNEJ (całkiem naturalne) / NIECZUŁOŚĆ (co to mogło znaczyć?) / CHEĆ OSIĄGNIĘCIA CELU, BEZ WZGLĘDU NA CENĘ (wada?)

Potem następowały wnioski. Odrzucanie autorytetów i tak dalej... oraz opinia końcowa: OSOBA POWINNA BYĆ ŚCIŚLE KONTROLOWANA W OSTATNIM ETAPIE DZIAŁAŃ.

Nieprawda. Straciła diamenty z przyczyn całkowicie obiektywnych.

Kto mógł przypuszczać, że wulkan wybuchnie z siłą nie notowaną od dziesięcioleci? Kto mógł ją obarczać winą za to, co się stało? W ciągu następnej ekspedycji udowodni...

Munro czuł się jak hazardzista, który przegrał, mimo że prawidłowo obstawił wszystkie zakłady. Podjął właściwą decyzję, zrezygnował z udziału w wyprawie konsorcjum i poparł działania ERTS-u, lecz wracał z pustymi rękami. No, może nie całkiem pustymi... Klepnął się po kieszeni wypełnionej diamentami.

Elliot utracił wszystkie zdjęcia, filmy i taśmy z nagraniami oraz szkielet szarego

goryla. Nawet notatki i wyniki pomiarów gdzieś przepadły. Nie miał nic, czym mógłby udowodnić odkrycie nowego gatunku małpy, a bez dowodów nie powinien nawet zaczynać dyskusji z innymi naukowcami... Umknęła szansa na nieśmiertelność. W czasie wędrówki przez mroczną dżunglę miał wrażenie, że świat przyrody oszalał: zaduszone trującymi oparami ptaki spadały z trzepotem na ziemię, mimo wczesnej pory wśród drzew wirowały stada nietoperzy, z dala dobiegały ryki i pomruki zwierząt. W południe na ścieżce pojawił lampart z tłącym się futrem. Gdzieś daleko rozległo się alarmujące trąbienie słoni.

Ludzkie widma błąkały się wśród ponurego, obsypanego sadzą krajobrazu, przypominającego biblijny wizerunek piekła: wieczysty ogień, ciemność i jęki umęczonych stworzeń... Z krateru Mukenko wciąż unosiły się snopy iskier. Deszcz gorących odłamków szeleścił po liściach, z sykiem opadał na wilgotne poszycie, robił dziury w zniszczonych ubraniach, parzył skórę i palił włosy. Ludzie podskakiwali z bólu, po czym kulili się pod drzewami w oczekiwaniu na koniec diabelskich igraszek.

Od początku wędrówki Munro kierował się w stronę zniszczonego samolotu konsorcjum. Wiedział, że we wnętrzu transportowca znajdą schronienie i dostateczną ilość zapasów. Miejsce katastrofy było odległe o dwie godziny marszu, lecz minęło ich sześć, nim ujrzeli wśród drzew pokryty popiołem olbrzymi kadłub maszyny.

Głównym powodem opóźnienia była obecność wojsk generała Muguru patrolujących obszar Virungi. Munro zauważył świeże ślady samochodu terenowego i bez namysłu skręcił na zachód, w głąb dżungli.

- Nie mam ochoty na spotkanie z tym facetem - powiedział. - Ani z jego podopiecznymi. Od czasu do czasu wycinają jeńcom wątroby i spożywają je na surowo.

Gruba warstwa popiołu spoczywająca na skrzydłach samolotu przypominała czapy czarnego śniegu. Z jednej strony, na kształt szeleszczącego wodospadu, sypał się niewielki strumień pyłu. Zza drzew dobiegało odległe dudnienie bębnow i stłumiony huk wystrzałów. Wokół wraku panowała cisza.

Munro przykucnął w zaroślach. Przez długą chwilę obserwował otoczenie. Karen wykorzystała przerwę, aby podjąć próbę nawiązania łączności. Uporczywie zgarniała sadzę z nadajnika i monitora, lecz jej wysiłki nie przyniosły żadnego rezultatu.

Munro uniósł się z ziemi i dał znak, że można iść dalej. Przerazona Amy

chwyciła go za rękaw.

Nie idziemy - zasygnalizowała. - Tam ludzie.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Zerknął na Elliota. Peter wyciągnął dłoń w stronę samolotu. Po chwili rozległ się głośny trzask i dwóch biało pomalowanych Murzynów wytaszczyło z wnętrza ładowni kilka skrzynek whisky. Głośno sprzeczali się, w jaki sposób przetransportować na dół cenne brzemię. Z krzewów wyszło jeszcze pięciu Kigani. Odebrali ładunek i wkrótce cała grupa zniknęła w gęstwinie.

Munro z uśmiechem spojrzął na małpę.

Amy dobry goryl - odpowiedziała.

Czekali jeszcze dwadzieścia minut. W końcu ostrożnie ruszyli w stronę wraku. Byli już przy kadłubie, gdy grad strzał ze świstem posypał się w ich stronę.

- Do środka! - krzyknął Munro. Fragmenty zniszczonego podwozia ułatwiały wspinaczkę. Po skrzydle dostali się do wnętrza maszyny. Munro zatrzasnął wyjście awaryjne. Strzały stuknęły o metal poszycia.

W środku samolotu panował półmrok; podłoga opadała pod stromym kątem. Większość ładunku zsunęła się z półek i w beładzie zalegała pomieszczenie. Odłamki szkła trzeszczały pod stopami. Peter doprowadził Amy w stronę fotela, lecz zauważył, że siedzenie jest pobrudzone odchodami.

Na zewnątrz huczały bębny, deszcz pocisków łomotał o kadłub oraz iluminatory. Wśród drzew uwijały się grupy biało pomalowanych wojowników.

- Co zrobimy? - spytała Karen.

- Zaczniemy strzelać - mruknął Munro. Wziął do ręki karabin i otworzył jedno z pudełek. - Mamy całkiem spory zapas amunicji.

- Jest ich co najmniej setka.

- Wystarczy zabić jednego, z czerwonymi pasami wokół oczu, a pozostali natychmiast zaprzestaną ataku.

- Dlaczego? - spytał Elliot.

- To *angawa*, czarownik. - Munro przesunął się w stronę kokpitu. - Jeśli go zastrzelimy, będziemy uratowani.

Zatrute strzały nadal uderzały o metalowe poszycie kadłuba oraz iluminatory. Kigani rzucali także fekaliami. Bębny nie przestawały dudnić ani na chwilę.

Wystraszona Amy zajęła miejsce w fotelu i zacisnęła wokół talii pas bezpieczeństwa.

Amy jedzie teraz ptak leci.

Elliot zauważył dwóch wojowników skradających się w tyle pomieszczenia przeznaczonego dla pasażerów. Ku własnemu zdziwieniu bez wahania pociągnął za spust karabinu. Broń drgnęła mu w dłoniach, seria pocisków wtoczyła Murzynów w siedzenia, wybiła kilka dziur w ścianie i rozbiła szyby.

- Dobra robota, doktorze. - Kahega wyszczerzył zęby. Peter drżał jak w febrze. Opadł na fotel obok małpy.

Ludzie atakują ptak ptak leci teraz ptak leci Amy chce jechać.

- Jeszcze chwilę, Amy - odparł z nadzieją w głosie.

Kigani zrezygnowali z frontalnego ataku. Zakradli się od tyłu, gdzie nie było okien. Po chwili dał się słyszeć tupot bosych stóp uderzających o metal. Dwóch wojowników usiłowało wedrzeć się przez otwarte drzwi luku.

- Jeśli was dorwą, skończycie w kotle! - wrzasnął siedzący w kokpicie Munro.

Karen oddała kilka strzałów. Krople krwi opryskały jej ubranie. Dwa martwe ciała runęły na zewnątrz samolotu.

Amy nie lubi Amy chce do domu.

Małpa oburącz ścisnęła pas bezpieczeństwa.

- Tu się schował sukinsyn! - krzyknął Munro. Huknęły strzały. Młody, zaledwie dwudziestoletni mężczyzna z twarzą przekreśloną czerwonym pasem farby upadł na ziemię. Pociski przez chwilę szarpały martwym ciałem.

- Dostałem go - zawołał przewodnik. - *Angawa* nie żyje. Kigani pośpiesznie wycofywali się w głąb dżungli. Munro pochylił się nad poczerniałymi zwłokami pilota i wyrztał przez okno.

- Co teraz? - spytał Elliot. - Wygraliśmy? Munro pokręcił głową.

- Zaczekają do zmierzchu i wrócą, żeby nas pozabijać.

- Jak się obronimy?

Przewodnik zamyślił się głęboko. Wiedział, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie uda im się opuścić transportowca. Jediną skuteczną formą obrony było wzniesienie pożaru i oczyszczenie z roślinności szerokiego pasa wokół samolotu. Oczywiście pod warunkiem, że podobny zabieg nie spowoduje eksplozji zapasów paliwa.

- Szukaj raketnicy - powiedział do Kahegi. - Albo kanistrów z benzyną.

Zerknął do dokumentów, by sprawdzić jak rozmieszczono zapasy. Podeszła Karen.

- Wpakowaliśmy się w niezłe kłopoty - stwierdziła.
- Tak - odparł. Nie wspomniał ani słowem o wulkanie.
- Popełniłam błąd.
- Możesz go naprawić, jeśli znajdziesz drogę ucieczki.
- Zobaczę, co da się zrobić - odpowiedziała z powagą i poszła na tył samolotu.

Kwadrans później z ładowni dobiegły głośne krzyki.

Munro zerwał się z karabinem przygotowanym do strzału. Popędził w kierunku głosu. Karen siedziała w fotelu zanosząc się histerycznym śmiechem. Pozostali ze zdumieniem spoglądali w jej stronę.

- Opanuj się - warknął Munro. Potrząsnął ją za ramię. Nie przestawała chichotać.

Kahega stał w pobliżu butli z gazem oznaczonej napisem PROPAN.

- Zerknęła na to i spytała, czy jest więcej. Odpowiedziałem, że jeszcze sześć, a wtedy wybuchnęła śmiechem.

Munro zmarszczył brwi. Butla miała pojemność około pięciuset litrów.

- Jak zamierzali to wykorzystać? Kahega wzruszył ramionami.

- Za duże do gotowania. Dobremu kucharzowi wystarczy sto pięćdziesiąt litrów.

- I jest jeszcze sześć?

- Tak, boss. Sześć.

- Po co zgromadzili tyle gazu? - spytał z namysłem Munro. Zrozumiał, że Karen od razu odgadła przeznaczenie butli. Po chwili już wiedział. Uśmiechnął się szeroko.

- Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co chodzi? - odezwał się nieco naburmuszony Elliot.

- To znaczy - wykrztusił z śmiechem przewodnik - że nasze akcje idą w górę.

Dwadzieścia tysięcy litrów rozgrzanego propanem powietrza wypełniło nylonową powłokę aerostatu. Balon oderwał się od powierzchni ziemi i poszybował w zapadający zmierzch.

Kigani wybiegli z zarośli. Kilka białych strzał zamigotało w gasnących promieniach słońca, by po chwili opaść nie czyniąc nikomu krzywdy. Balon wznosił się coraz wyżej.

Na wysokości sześciuset metrów podmuch wiatru skierował go na wschód, z dala od zielonego dywanu kongijskiej dżungli, ponad dymiącym sercem Mukenko i ostrą krawędzią Rift Valley, połyskującą w blasku księżyca.

Tam minęli granicę Zairu. Trafili do Kenii - i cywilizacji.

EPILOG:

PALENISKO

Osiemnastego września 1979 roku satelita landsat 3, krążący wokół Ziemi na wysokości dziewięciuset osiemnastu kilometrów, wykonał zdjęcia dwustukilometrowego pasa Afryki Równikowej (w podczerwieni, w zakresie 0,7 - 0,8 mikronów). Pod gęstą pokrywą chmur Mukenko wciąż ział ogniem, choć od chwili pierwszej erupcji minęły trzy miesiące. W powietrzu znajdowało się osiem kilometrów sześciennych popiołu, a po zachodniej stronie stożka zanotowano wylew trzech kilometrów sześciennych lawy. Tubylcy określali to miejsce nazwą *kanyalifeka*, „palenisko”.

Pierwszego października 1979 roku R.B. Travis ogłosił formalne zakończenie prac nad „niebieskim” kontraktem i oświadczył, że nie istnieją zdatne do eksploatacji złoża diamentów typu IIb. Japoński koncern elektroniczny Hakamichi powrócił do przerwanych badań nad procesem Nagaury. Firmy amerykańskie podjęły wyzwanie i także przystąpiły do eksperymentów. Spodziewano się, że do roku 1994 doświadczenia zostaną uwieńczone pełnym sukcesem.

Dwudziestego trzeciego października Karen Ross opuściła ERTS i znalazła zatrudnienie w ośrodku badawczym U.S. Geological Survey EDC w Sioux Falls, w Południowej Dakocie, gdzie nie podejmowano ekspedycji w odległe rejony świata, ani nie prowadzono żadnych prac wojskowych. W chwili obecnej jest żoną naukowca z EDC, Johna Bellinghama.

Trzydziestego października Peter Elliot wziął bezterminowy urlop i wyjechał z Berkeley do Afryki. Rzecznik prasowy uniwersytetu wydał oświadczenie, które w zasadzie sprowadzało się do jednego zdania:

„Wiek i rozmiary Amy [...] uniemożliwiają dalsze prowadzenie badań laboratoryjnych”.

„Projekt Amy” oficjalnie dobiegł końca, choć grupa naukowców postanowiła wyjechać wraz z Peterem. Kontynuacją badań zajął się Instytut d'Etudes Ethnologiques w Bukama, w Zairze. Amy przyłączyła się do stada dzikich goryli pozostających pod obserwacją pracowników instytutu. W listopadzie 1979 roku prawdopodobnie zaszła w ciążę; ponieważ większość czasu spędzała w dżungli, nie

można było jednoznacznie stwierdzić jej stanu. Zniknęła w maju 1980 roku¹¹.

Od marca do sierpnia 1980 roku naukowcy przeprowadzili spis dziko żyjących goryli górskich. Doliczono się pięciu tysięcy osobników, co stanowiło połowę populacji określonej przed dwudziestu laty przez George'a Schallera i potwierdzało teorię o gwałtownym wymieraniu gatunku. Hodowla podejmowana przez ogrody zoologiczne dawała dość dobre rezultaty, lecz małpy przetrzymywane w niewoli przejmowały wiele cech i zachowań człowieka. Dziki, srebrzystogrzbity władca dżungli odchodził do przeszłości.

Kahega powrócił do Nairobi w 1979 roku i przez pewien czas pracował w chińskiej restauracji. Gdy rok później zakład zamknięto z powodu bankructwa, przyłączył się do ekspedycji National Geographic Society wyruszającej do Botswany na obserwację stad hipopotamów.

Aki Ubara, najstarszy syn tragarza imieniem Marawani i pracownicy obserwatorium astronomicznego w Cambridge, otrzymał w 1980 roku Nagrodę Herskovitza za badania nad promieniowaniem Roentgena emitowanym z galaktyki M 3 22.

Pod koniec 1979 roku, na amsterdamskiej *bourse*, Charles Munro sprzedał z dużym zyskiem kilkanaście błękitnych diamentów typu IIB o łącznej masie trzydziestu jeden karatów; kamienie zakupiła amerykańska firma elektroniczna Intel. W styczniu 1980 roku, w Antwerpii, został zraniony przez rosyjskiego agenta; ciało napastnika odnaleziono jakiś czas później w Brukseli. W marcu Munro został aresztowany przez uzbrojony oddział patrolujący granicę Zambii; postępowanie umorzono z braku dowodów. Według nie potwierdzonych informacji w maju widziano go w Somalii. Nadal mieszka w Tangierze.

Ze zdjęć wykonanych przez satelitę landsat 3 w styczniu 1980 roku wynikało, że erupcja Mukenko dobiegła końca. Słabe promienie laserów, widoczne na kilku wcześniejszych fotografiach, zniknęły. W miejscu, które niegdyś wskazywały, znajdował się czarny jezior „quatermainu”, grubej na osiemset metrów warstwy lawy skrywającej ruiny zaginionego miasta Zinj.

¹¹ W maju 1980 roku Amy zniknęła na cztery miesiące; we wrześniu pojawiła się ponownie. U piersi trzymała małpiątko. Elliot wykonał kilka gestów i z radosnym zdziwieniem zauważył, że malec odpowiedział *Amy lubi Petem lubi Petem*. Znaki były wyraźne i poprawne; całość zdarzenia utrwalono na taśmie wideo. Amy nie pozwoliła ludziom zbliżyć się do dziecka. Gdy małpiątko zrobiło kilka kroków w stronę Petera, chwyciła je na rękę i zniknęła w zaroślach. Później widywano ją w stadzie złożonym z dwunastu osobników, żerującym na zboczach góry Kyambara w północno-wschodnim Zairze, (przyp, autora)

MICHAEL CRICHTON

Jeden z najslawniejszych autorów amerykańskich, obwołany pisarzem 1993 roku

Urodził się w 1942 roku w Nowym Jorku. Mając 27 lat uzyskał tytuł doktora Harvard Medical School. Zadebiutował powieścią „*Andromeda*” *znaczy śmierć* (1969), która została sfilmowana i przyniosła mu światowy rozgłos i uznanie u recenzentów. Ujęła czytelników oryginalnością pomysłu. Crichton zapoczątkował nowy gatunek powieści, nazwany przez krytyków technothrillerem. Udoskonalił go w utworach: *Człowiek terminal* (1972), *Kongo* (1980), *Kula* (1987) i *Jurassic Park* (1990). We wszystkich teorie i odkrycia naukowe są punktem wyjścia do pytań o najwyższe wartości ludzkie. Crichton zwraca uwagę na pozornie tylko odległe niebezpieczeństwa zagrażające światu. Z przyjemnością pisze również klasyczne powieści sensacyjne: *Wielki skok na pociąg* (1975) i *Wschodzące słońce* (1992).

W czerwcu 1993, kiedy to Steven Spielberg pokazał światu najdroższy film w dziejach kina według *Jurassic Park*, sława Crichtona osiągnęła niespotykane rozmiary. Film pobił wszelkie rekordy popularności. Obie Ameryki, Europę i Japonię ogarnęła „dinomania”. W styczniu 1994 roku powieść *Disclosure* stała się kolejnym spektakularnym sukcesem wydawniczym Crichtona.

KONGO

Trójka śmiałków, zaopatrzona w sprzęt komputerowy najnowszej generacji, wyrusza w głąb afrykańskiej dżungli. Poszukują zaginionego miasta Zinj oraz nieznanego antropologom rasy małpoludów. Przewodnikiem wyprawy jest Amy - gorylica umiejąca się posługiwać językiem migowym. Kontakt z dziewiczą przyrodą Czarnego Lądu okazuje się równie szokujący dla małpy, jak i dla ludzi...